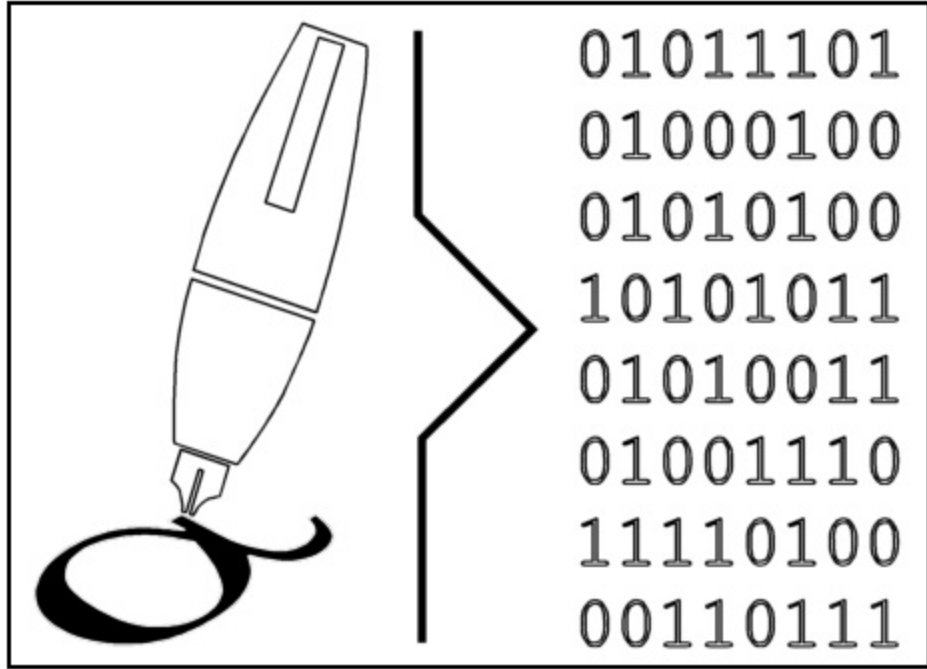


Pułapka

Desmond Bagley



calibre 0.9.27



DESMOND

BAGLEY

PULAPKA

Przekład: Anna Kraśko

Tytuł oryginału:

The Freedom Trap

Data wydania polskiego: 1992 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1971 r.

Dla Rona i Peggy Hulland

Biuro Mackintosha znajdowało się, o dziwo, w City. Miałem trudności ze znalezieniem drogi, bowiem mieściło się w tej plątanie uliczek między Holborn a Fleet Street, która dla kogoś nawykłego do ulic Johannesburga — krzyżujących się niczym pręty w ruszcie — zdawała się być absolutnym labiryntem. Odszukałem je w końcu w jakimś obskurnym budyniszczu. Nieźle już wytarta mosiężna tabliczka informowała niewinnie, że część tego dickensowskiego gmaszyska zajmuje biuro spółki *Anglo-Scottish Holdings Ltd.*

Uśmiechnąłem się, dotykając wypolerowanej tabliczki i zostawiłem na niej rozmazany odcisk palca. Wyglądało na to, że Mackintosh zna się na rzeczy. Mosiężna tabliczka — najwyraźniej glansowana przez całe pokolenia biurowych gońców — stanowiła świadectwo rozsądnego planowania i dobrze wróżyła na przyszłość. O tak, bez wątplenia znać w tym było rękę zawodowca.

Sam jestem zawodowcem i nie lubię pracować z amatorami. Jak na mój gust, amatorzy są zbyt nieostrożni i diabelnie niebezpieczni, no i nigdy nie wiadomo, co za chwilę zrobią. Miałem wątpliwości co do Mackintosha, bowiem Anglia jest duchową ojczyzną amatorszczyzny, ale z drugiej strony Mackintosh był Szkotem.

To, jak sądziłem, zmienia postać rzeczy.

Naturalnie, winda nie istniała, zatem z trudem pokonałem cztery kondygnacje kiepsko oświetlonych schodów i na końcu ciemnego korytarza — którego ściany w kolorze marmolady gwałtownie domagały się odnowienia — znalazłem biuro spółki. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie, tak naturalnie, że zacząłem wątpić, czy trafiłem pod właściwy adres. Mimo to gdy stanąłem przed biurkiem, powiedziałem:

— Nazywam się Rearden. Chcę się widzieć z panem Mackintoshem.

Rudowłosa dziewczyna obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem i odstawiła filiżankę z herbatą.

— Pan Mackintosh oczekuje pana — powiedziała. — Sprawdzę, czy nie jest zajęty. — Wyszła do sąsiedniego pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi. Miała niezłe nogi.

Spojrzałem na odrapane i powgniatane segregatory, na szafki z aktami i zadumałem się, co też w sobie kryją. Szybko doszedłem do wniosku, że i tak nie

4

zgadnę. Może pełno w nich Szkotów i Amerykanów. . . ? Na ścianie wisiały dwie osiemnastowieczne ryciny: zamek w Windsorze i Tamiza w Richmond. Obok zobaczyłem jeszcze wiktoriański staloryt przedstawiający Princes Street w Edynburgu. Wszystko to bardzo angielskie i bardzo szkockie. Zaczynałem nabierać coraz większego uznania dla Mackintosha — szykowała się niezgorzej przemyślana robota — ale i zastanawiałem się, jak on to, u licha, zrobił. No bo co, zamówił

dekoratora wnętrz? A może znał jakiegoś scenografa z filmu?

Panienska wróciła.

— Pan Mackintosh przyjmie pana natychmiast. Proszę wejść do środka.

Podobał mi się jej uśmiech, więc go odwzajemniłem i minąwszy dziewczynę wszedłem do sanktuarium Mackintosha.

Mackintosh nic a nic się nie zmienił. Co prawda nie spodziewałem się, że się

zmieni — nie w ciągu dwóch miesięcy — ale zdarza się, że na własnym terenie,

tam, gdzie ma się poczucie bezpieczeństwa, gdzie się wie, na czym się stoi, człowiek wygląda zupełnie inaczej. Ale nie on, nie Mackintosh. W sumie ucieszyłem się z tego, bo to oznaczało, że facet nigdy i nigdzie nie traci pewności siebie. A ja lubię ludzi, na których można polegać.

Mackintosh był mężczyzną w kolorze piasku. Tak, piasku. Poza tym miał lek-

ko rudawe włosy i niewidoczne rzęsy i brwi, co nadawało jego twarzy wyraz nago-

ści. Gdyby nie golił się przez tydzień i tak nikt by tego nie zauważył. Był drobnej budowy i zastanawiałem się, jak też by sobie radził, gdyby doszło do jakiegoś mordobicia; należał do typowych przedstawicieli wagi muszej, a typowi przedstawiciele wagi muszej mają się zazwyczaj różnych paskudnych chwytów, żeby

nadrobić braki w mięśniach. Ale nie on, nie Mackintosh, co to, to nie. On nigdy nie wdałby się w

żadną awanturę i wszystko załatwiłby siłą intelektu, za pomocą szarych komórek.

Położył dłonie płasko na biurku.

— A więc już pan tutaj jest — urwał, wstrzymując oddech, a potem wyrzucił z siebie moje nazwisko: — Rearden. Jak minął lot?

— Nie najgorzej.

— To dobrze. Niech pan siada. Ma pan może ochotę na herbatę? — Uśmiechnął się leciutko. — Ludzie, którzy pracują w biurach takich jak to, piją herbatę na okrągło.

— Poproszę — odparłem i usiadłem.

Mackintosh podszedł do drzwi.

— Czy mogłaby nam pani podesłać tu imbryczek świeżej herbaty, pani Smith?

Zamknął łagodnie drzwi, a ja przekrzywiłem na bok głowę i zapytałem:

— Czy ona. . . wie?

— Och, to jej prawdziwe nazwisko. I nie takie znów nieprawdopodobne. Smithów jest przecież bez liku, panie Rearden. Pani Smith zaraz do nas dołączy, proponuję zatem wstrzymać się na razie z poważniejszą rozmową. — Przyjrzał mi

5

się uważniej. — Jak na naszą angielską pogodę jest pan dość lekko ubrany. Żeby pan tylko nie złapał zapalenia płuc!

Wyszczrzyłem do niego zęby.

— Może pan poleci mi krawca?

— W rzeczy samej, musi pan się wybrać do mojego krawca. Jest trochę drogi, ale sądzę, że z tym damy sobie radę. — Otworzył szufladę i wyjął z niej grubą paczkę banknotów. — Będzie pan miał różne wydatki.

Nie dowierzając własnym oczom gapiłem się, jak zaczyna odliczać piątki.

Odliczył trzydzieści i przerwał.

— Lepiej zaokrąglimy do dwustu — zdecydował i dorzucił jeszcze dziesięć

banknotów. Podsunął plik w moją stronę. — Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko żywej gotówce. W mojej branży czeki nie cieszą się zbytnim zaufaniem.

Szybko wepchnąłem pieniądze do portfela, żeby się nie rozmyślił.

— Czy to aby trochę nie dziwne? Nie spodziewałem się, że będzie pan taki rozrzutny.

— Niech się pan nie martwi. Budżet inwestycyjny jakoś to zniesie -powiedział tolerancyjnie. — Poza tym niedługo zapracuje pan na to. — Podsunął mi papiery. — A jak się miewał Johannesburg, kiedy pan wylatywał?

— Wciąż po swojemu zmienny — odparłem. — Od czasu pańskich odwiedzin zbudowali w centrum jeszcze jeden biurowiec. Wysokie toto na pięćdziesiąt kilka metrów.

— W dwa miesiące?! Nieźle!

— W dwanaście dni — stwierdziłem sucho.

— Dwanaście dni! Proszę, proszę, obrotnych tam macie chłopaków w tej Afryce Południowej, nie ma co. O, jest już herbata.

Pani Smith postawiła tacę z herbatą na biurku i przysunęła sobie krzesło. Spojrzałem na nią z zaciekawieniem, bowiem każdy, kogo Mackintosh obdarzał zaufa-

niem, musiał z pewnością mieć w sobie coś niezwykłego. Nie żeby pani Smith ja-koś osobliwie wyglądała, o nie. Spojrzałem na nią z zainteresowaniem dlatego, że idealnie przebrała się za sekretarkę, wkładając regulaminowy bliźniak, skutkiem czego miałem oto przed sobą zwyczajną, biurową panienkę o miłym uśmiechu.

Odnosiłem wszelako wrażenie, że w innych okolicznościach mógłbym się z panią

Smith nieźle dogadać — pod nieobecność pana Smitha, rzecz jasna.

Mackintosh zrobił zapraszający gest ręką.

— Zechce pani pełnić honory gospodyni?

Zajęła się filiżankami, tymczasem Mackintosh stwierdził:

— Uważam, że dalsze prezentacje nie są potrzebne, prawda? Pan będzie tu

ledwie tyle czasu, ile trzeba, żeby wykonać zadanie, Rearden. Myślę, że możemy już przejść do rzeczy.

Mrugnąłem do pani Smith.

6

— Szkoda.

Spojrzała na mnie bez uśmiechu.

— Czy pan słodzi? — Tylko tyle chciała wiedzieć.

Mackintosh zetknął dłonie czubkami palców.

— Czy pan wie, że Londyn to światowe centrum handlu brylantami? — spytał.

— Nie. Zdawało mi się, że Amsterdam.

— Tam są szlifowane. W Londynie natomiast brylanty się kupuje i sprzedaje,

i to na wszelkich etapach obróbki, począwszy od nieoszlifowanych kamyków,

na dorodnych okazach biżuterii skończywszy. — Uśmiechnął się. — W zeszłym

tygodniu trafiłem w miejsce, gdzie paczuszki z brylantami idą jak kostki świeżego masła w spożywczym.

Przyjąłem herbatę z rąk pani Smith.

— Założę się, że mają tam niezłe zabezpieczenie.

— Istotnie, mają — potwierdził Mackintosh. Rozłożył ramiona szeroko ni-

czym rybak opisujący rybę, która mu umknęła. — Ściany sejfów są taaakie grube, a całe pomieszczenie jest tak utkane elektroniką że wystarczy mrugnąć powieką w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwej porze, aby ściągnąć sobie na głowę całą londyńską policję.

Pociągnąłem łyk herbaty i odstawiłem filiżankę.

— Nie włamuję się do sejfów — oznajmiłem. — Nie wiedziałbym nawet, jak

się do tego zabrać. Powinien pan wziąć kasiarza. No i zaangażować całą gromadę ludzi. Bez tego ani rusz.

— Spokojnie, spokojnie — odparł Mackintosh. — To właśnie południowo-

afrykański aspekt całej sprawy natchnął mnie myślą o brylantach. Bo widzi pan, brylanty mają wszelkie możliwe zalety. Są w dużej mierze anonimowe, łatwe

w transporcie i łatwo się sprzedają. Są właśnie tym, czym ktoś z RPA mógłby

się zainteresować, nie sądzi pan? Czy słyszał pan o IDB? O tej międzynarodowej siatce zajmującej się handlem diamentami?

Potrząsnąłem głową.

— Jak dotąd nie. Nie robiłem jeszcze w diamentach. Póki co.

— Nieważne. Może to i lepiej. Jest pan sprytnym złodziejem, Rearden, dlatego

jak dotąd udawało się panu nie wpaść. Ile razy pan siedział?

Wyszczерzyłem się do niego.

— Raz. Osiemnaście miesięcy. To było dawno temu.

— Rzeczywiście. Zmienia pan cele i metody, prawda? Nie zostawia pan żad-

nych powtarzających się statystycznie śladów, który komputer mógłby później

wychwycić, w pańskich posunięciach brak wyraźnego *modus operandi*, na któ-

rym można by się poślizgnąć. Ja już mówiłem, sprytny z pana złodziej. Sądzę, że to, o czym myślę bardzo będzie panu pasować. Pani Smith też jest tego zdania.

— A zatem niechże się dowiem — powiedziałem ostrożnie.

7

— GPO, Brytyjska Poczta i Telegraf, to wspaniała instytucja zaczął bez związ-

ku Mackintosh. — Niektórzy twierdzą, że to najlepiej działający system pocztowy w świecie. No, jeśli sądzić po listach czytelników w *Daily Telegraph*, inni uważają, że jest wręcz przeciwnie. Ale narzekanie jest przywilejem Anglików. Tymczasem towarzystwa ubezpieczeniowe plasują Poczta Brytyjską bardzo wysoko.

Niech no mi pan powie, Rearden, co jest najbardziej uderzającą cechą diamen-

tu?

— Błyszczący.

— Nie oszlifowany nie błyszczący — wytknął Mackintosh. — Nie oszlifowa-

ny diament wygląda jak kawałek butelkowego szkła wypłukanego przez morze.

Niech pan jeszcze pomyśli.

— Jest twardy. Chyba najtwardszy ze wszystkiego, co istnieje.

Zniecierpliwiony Mackintosh mlasnął językiem.

— On nie myśli. Prawda, że nie myśli, pani Smith? Niech mu pani powie.

— Rozmiar, a właściwie jego brak — wyjaśniła spokojnie.

Mackintosh podetkał mi rękę pod nos i zacisnął palce w pięść.

— Można w dłoni trzymać fortunę, a nikt niczego się nie domyśli. Do tego oto pudełeczka od zapalek można napakować brylantów o wartości setek tysięcy funtów i... co wtedy będziemy mieć?

— No, słucham.

— Paczuszkę, Rearden, paczuszkę. Coś, co można zawinąć w szary papier, napisać na tym adres i nakleić znaczek. Coś, co da się wrzucić do skrzynki na listy, ot co.

Wbiłem w niego zdumione spojrzenie.

— Przesyłają diamenty pocztą?!

— A czemuż by nie? Nasza poczta jest niezwykle sprawna i bardzo rzadko

coś gubi. Towarzystwa ubezpieczeniowe chętnie stawiają duże sumy na skutecz-

ność GPO, a one już dobrze wiedzą, co robią! Wszystko, jak pan wie, jest kwestią statystyki. — Bawił się pudełkiem zapalek. — Kiedyś istniał system kurierów,

ale miał wiele mankamentów. Kurier osobiście przewoził przesyłkę i dostarczał

ją na miejsce przeznaczenia, z ręki do ręki. System upadł z kilku powodów. Naj-ważniejszy z nich to to, że przestępcy nie śpią i po pewnym czasie zawsze tych kurierów rozpracowywali. Smutno się to z reguły kończyło i wielu z nich zostało ciężko poturbowanych. To znaczy kurierów. Poza tym, ludzie są w końcu tylko

ludźmi i kuriera dawało się przekupić. Liczba ludzi godnych zaufania nie jest nieograniczona i cały ten system był w sumie trochę niebezpieczny. Ale przyjrzyjmy się obecnym rozwiązaniom — powiedział z entuzjazmem. — Z chwilą,

kiedy przesyłka wpadnie w tryby poczty, nawet sam Pan Bóg nie zdoła jej wy-

ciągnąć, póki paczuszka nie dotrze do adresata. A dlaczego? Bo tak naprawdę to nikt dokładnie nie wie, gdzie też nasza przesyłka może być! Jest po prostu jedną z milionów paczek krążących w systemie pocztowym i odnalezienie jej nie było-8

by nawet szukaniem przysłowiowej igły w stogu siana, a raczej poszukiwaniem stogu celem znalezienia konkretnego źdźbła słomy. Rozumie pan, o co chodzi?

Kiwnąłem głową.

— Brzmi logicznie.

— Ależ naturalnie! — zapewniał Mackintosh. — Pani Smith zebrała w tej sprawie wszystkie niezbędne informacje. To bardzo zdolna dziewczyna. — Machnął ociężale ręką. — Niech pani objaśnia dalej, pani Smith.

— Kiedy urzędnicy towarzystw ubezpieczeniowych przeanalizowali statysty-

ki Poczty Brytyjskiej pod kątem zagubionych przesyłek, okazało się, że jest to świetna droga pod warunkiem, że podejmie się pewne środki ostrożności. Zaczniemy od tego, że kamienie przesyła się w paczkach o różnych rozmiarach i kształ-

tach, od takich wielkości pudełka zapalek, do takich wielkości skrzynki z herbatą.

Przesyłki oznacza się na wiele najrozmaitszych sposobów, bardzo często za po-

mocą nalepki jakiejś znanej firmy. Rozumie pan, wszystkie chwytły dobre, byle

tylko zmylić trop. Najważniejszą sprawą jest anonimowość punktu odbioru. Ist-

nieje sporo adresów, które, choć nie mają nic wspólnego z przemysłem diamentowym, służą jako takie właśnie punkty. No i, rzecz jasna, żaden z adresów nie jest wykorzystywany dwukrotnie.

— Bardzo ciekawe — stwierdziłem. — No to jak się im dobierzemy do skóry?

Mackintosh oparł się wygodniej i znów zetknął ręce czubkami palców.

— Weźmy sobie na przykład takiego listonosza idącego ulicą. Znajomy wi-

dok, prawda? Ma przy sobie diamenty czy brylanty wartości setek tysięcy funtów, ale. . . I na tym właśnie polega cała sprawa: nie wie o tym ani on, ani nikt inny.

A odbiorca, który niecierpliwie czeka na przesyłkę, nie ma pojęcia kiedy naprawdę nadejdzie. Poczta nie gwarantuje żadnego określonego terminu. Tak, tak, tak jest bez względu na to, co

opowiadają te pseudorzetelne reklamy zachęcające do korzystania z przesyłek pierwszej klasy. Paczki są wysyłane zwykłą pocztą, bez żadnych dodatkowych formalności związanych z doręczeniem na specjalnych warunkach. Coś takiego zbyt łatwo dałoby się rozszyfrować.

— Wygląda na to, że sam się pan zapędza w ślepią uliczkę — zacząłem z wol-

na. — Ale przypuszczam, że coś pan tam jeszcze w zanadrzu ukrywa. Dobra jest, jak na razie wchodzę w to.

— Robił pan kiedyś zdjęcia?

Z trudem się powstrzymałem, żeby nie wybuchnąć złością. Ten gość umiał

kluczyć wokół tematu, oj umiał, lepiej niż ktokolwiek inny. Tak samo zachowywał

się w Johannesburgu — nigdy mu się nie zdarzyło mówić na temat dłużej niż

przez dwie minuty.

— Z raz czy dwa coś tam pstryknąłem — odparłem przez zaciśnięte zęby.

— Zdjęcia czarno-białe czy kolorowe?

— Takie i takie.

Mackintosh miał zadowolony wyraz twarzy.

9

— Kiedy robi pan kolorowe zdjęcia, przeźrocza, i wysyła pan kliszę do wywołania, to co pan dostaje z powrotem?

Spojrzałem na panią Smith, u niej szukając zrozumienia, i westchnąłem.

— Pocięty na kawałki film z obrazkami. — Urwałem i po sekundzie dorzuciłem: — Te kawałki oprawione są w tekturowe ramki.

— Ależ tak! Dostaje pan jeszcze charakterystyczne żółte pudełko, w którym

to wszystko przesyłają. No właśnie, żółte. Sądzę, że można by ten kolor nazwać żółcią kodakowską. Jeśli facet niesie w ręku takie pudełko, widać to z przeciwległej strony ulicy i można sobie śmiało powiedzieć: „Oho! Ten człowiek niesie pudełko przeźroczy Kodaka”.

Czułem podniecające napięcie. Mackintosh zbliżał się do sedna sprawy.

— No dobra — rzucił nagle. — Wyłożę kawę na ławę. Wiem, kiedy zostanie

nadana przesyłka z brylantami. Wiem, dokąd ją wysyłają, mam adres odbiorcy.

A co najważniejsze, wiem, w co będzie zapakowana, a tego nie sposób pomylić.

Pańska rola sprowadza się do tego, żeby czekać w pobliżu wskazanego adresu,

a listonosz już sam wejdzie na pana z tą cholerną przesyłką w ręce. To małe, żółte pudełko będzie zawierać nie opracione brylanty warte sto dwadzieścia tysięcy

funtów. I pan mu je odbierze.

— Jak pan to wszystko wytropił? -zapytałem z ciekawością.

— Nie ja — odrzekł. — To pani Smith. Wszystko jest jej pomysłem. Ona na

to wpadła i zebrała niezbędne informacje. Ale sposób, w jaki do tego doszła, nie powinien pana interesować.

Spojrzałem z na nią z podziwem i odkryłem, że ma błyszczące, zielone oczy.

Jej usta wyginały się w zabawny zawijas.

— Trzeba za wszelką cenę wystrzegać się przemocy, panie Rearden — powie-

działa z powagą i wdzięczny zawijas gdzieś zniknął.

— Tak — potwierdził Mackintosh. — Przemocy trzeba tu najwyżej tyle, żeby

zabezpieczyć sobie odwrót. Nie uznaję gwałtu, to szkodzi interesom. Niech pan lepiej o tym pamięta.

— Listonosz nie wręczy mi pudełka sam z siebie. Będę musiał odebrać mu je

siłą — zauważyłem.

Mackintosh obnażył zęby w dzikim uśmiechu.

— A zatem jeśli pana złapią, będzie to rabunek z użyciem przemocy. W ta-

kich przypadkach sędziowie Jej Królewskiej Mości są dość surowi, szczególnie

jeśli weźmiemy pod uwagę wartość łupu. Będzie pan miał dużo szczęścia, jeśli

skończy się tylko na dziesięciu latach.

— Taaak. . . — stwierdziłem w zamyśleniu i odwzajemniłem mu uśmiech

z nawiązką.

— Ale przecież nie będziemy policji ułatwiać zadania, panie Rearden. Plan

jest taki: ja będę się kręcił gdzieś w pobliżu, a pan zajmie się swoją działką. Kamienie wyjadą z kraju w ciągu trzech godzin od ich przechwycenia. Pani Smith, 10

czy zechce pani teraz omówić sprawy bankowe?

Otworzyła aktówkę i wyjęła z niej blankiet, który następnie podała mi przez blat biurka.

— Niech pan to wypełni.

Był to kwestionariusz-podanie o otwarcie konta w *Zuricher Ausfuhren Handelsbank*.

Jej palec spoczął na blankiecie, a ja nabazgrałem obok niego numer mojego konta.

— Ten numer wypisany na odpowiednim blankiecie czekowym w miejscu podpisu umożliwi panu podjęcie dowolnej sumy do wysokości czterdziestu tysięcy funtów szterlingów, bądź ekwiwalentu w dowolnej walucie — pouczała.

Mackintosh zachichotał nieelegancko.

— Oczywiście, najpierw musi pan załatwić brylanty.

Wbiłem w nich wzrok.

— Więc zgarniacie dwie trzecie.

— Tak to zaplanowałam — oświadczyła chłodno pani Smith.

Mackintosh uśmiechnął się niczym zgłodniały rekin.

— Ona ma kosztowne gusta.

— Co do tego nie mam wątpliwości — stwierdziłem. — Czy pani gusta roz-

ciągają się też na dobry obiad? Musiałaby jednak pani wskazać restaurację, bo w Londynie jestem pierwszy raz w życiu.

Właśnie miała coś odpowiedzieć, kiedy Mackintosh rzucił ostro:

— Nie przyjechał pan tu po to, żeby zabawiać się w uwodzenie mojej pracownicy, Rearden! Nie byłoby mądrze, gdyby ktoś zauważył, że zadaje się pan z kimkolwiek z nas. Być może jak już będzie po wszystkim, zjemy sobie obiad.

We troje.

— Dziękuję — odparłem niemrawo.

Smarował coś na świstku papieru.

— Proponuję, żeby po obiedzie. . . hm. . . nabadał pan teren. Tak to się chyba mówi, prawda? To jest adres, pod który nadejdzie przesyłka. — Popchnął karteluszek przez blat i zaczął pisać coś na następnym. — A to jest adres mojego krawca.

I ostrożnie, niech pan ich tylko nie pomyli. To byłaby katastrofa.

II

Obiad zjadłem w Cocku na Fleet Street i ruszyłem na poszukiwanie adresu, który dostałem od Mackintosha. Oczywiście poszedłem w złym kierunku; Londyn jest cholernym miastem, jak się go nie zna, a trzeba gdzieś dojść. Nie chciałem brać taksówki, bo zawsze lubię grać ostrożnie, może nawet zbyt ostrożnie. Ale właśnie dlatego odnoszę sukcesy.

11

Tak czy owak, znalazłem się na ulicy Ludgate Hill. Tam się połapałem, że zmyliłem drogę, więc zawracając w Holborn, musiałem przejść koło Głównego Sądu Kryminalnego. Wiedziałem, że to Sąd Główny, bo tak głosił napis, ale zdumiało mnie to, że nie nazywa się Old Bailey, jak zawsze myślałem. Rozpoznałem budynek dzięki złotej postaci Sprawiedliwości na dachu. Nawet obywatel RPA

jest w stanie go rozpoznać, bo w końcu my też oglądamy filmy Edgara Lustgarte-na.

Wszystko to było niezwykle interesujące, ale przecież nie spacerowałem po

Londynie w charakterze turysty. Zrezygnowałem więc z wejścia do środka, chociaż bardzo chciałem zobaczyć, czy nie toczy się tam przypadkiem jakaś ciekawa sprawa.

Przeszedłem na Leather Lane, za Gamage's, i odkryłem tam targowisko ulicz-

ne, gdzie przekupnie sprzedawali najróżniejsze rupiecie z ręcznych dwukołowych wózków. Nie bardzo mi się to podobało, gdyż w gęstym tłumie trudno jest szybko uciekać. W tej sytuacji należało zrobić wszystko, żeby obyło się bez krzykliwego pościgu, a to oznaczało, że będę zmuszony grzmotnąć listonosza nader solidnie.

Już go nawet zaczynałem żałować.

Nim sprawdziłem dokładny adres, krążyłem po sąsiedztwie, wypatrując

wszelkich możliwych dróg ucieczki. Ku swemu zdumieniu stwierdziłem, że Hat-

ton Garden biegnie równoległe do Leather Lane, a wiedziałem, że tam właśnie

rezydują handlarze brylantami. Po namyśle doszedłem do wniosku, że w grun-

cie rzeczy nie ma w tym nic zaskakującego, bo diamentowi chłopcy nie chcieliby przecież, żeby miejsce dostawy znajdowało się o dziesiątki mil od miejsca, gdzie czekał właściwy odbiorca. Przyglądałem się solidnym, nijakim budynkom i duma-

łem, w którym z nich mieszczą się owe skarbcze, które opisywał mi Mackintosh.

Spędziłem pół godziny przemierzając okoliczne uliczki i odnotowując w pamięci lokalizację rozmaitych sklepów. Sklepy są bardzo przyteczne, bowiem można w nich się skryć, kiedy trzeba szybko zniknąć z ulicy. Zdecydowałem,

że w Gamage's dałoby się niezłe zgubić, więc kolejny kwadrans spędziłem na penetrowaniu jego wnętrza. To wszystko nie mogło wystarczyć, ale na tym etapie

bez sensu byłoby postanawiać coś ostatecznie. Wielu ludzi potyka się na robocie takiej jak ta, bo wmawiają w siebie, że są geniuszami wśród złodziei. Układają szczegółowe plany jeszcze na rozbiegu, po czym całej operacji szybko kostnieją arterie, staje się sztywna i nieelastyczna.

Wróciłem na Leather Lane i odnalazłem adres, który wypisał mi Mackintosh.

Punkt znajdował się na drugim piętrze, więc skrzypiącą windą wjechałem na trzecie i zszedłem na półpiętro. *Betsy-Lou Dress Manufacturing Co, Ltd* stała otworem dla wszystkich klientów, ale nie fatygowałem się, by wchodzić do środka

i komukolwiek się przedstawiać. Zamiast tego sprawdziłem, w jaki sposób najlepiej tam dotrzeć i odkryłem, że nie jest źle. Ale najpierw musiałem ujrzeć w akcji listonosza i dopiero potem zdecydować, jak najlepiej przeprowadzić operację.

12

Nie wystawałem tam zbyt długo, tylko tyle, bym mógł się z grubsza zorientować w okolicy. Po dziesięciu minutach byłem już z powrotem w Gamage's, w budce telefonicznej.

Pani Smith musiała chyba warować przy telefonie, czekając na znak ode mnie, bowiem dzwonek zadzwonił tylko raz i natychmiast usłyszałem jej głos.

— *Anglo-Scottish Holdings.*

— Rearden.

— Łączę z panem Mackintoshem.

— Chwileczkę — wstrzymałem ją. — Czy pani jest tylko Smith, czy coś jeszcze?

— Co pan ma na myśli? — Przez chwilę milczała, potem zaś rzekła: — Może

niech mi pan mówi Lucy.

— Ajajaj! Nie wierzę.

— Niech pan lepiej uwierzy.

— A czy istnieje jakiś pan Smith?

— To już nie pański interes — odpowiedziała takim tonem, że moja słuchawka pokryła się lodem. — Łączę z panem Mackintoshem.

Trzask i na chwilę zaległa cisza. Pomyślałem sobie, że jako kochanek nie mam

chyba zbyt wielkich szans. Tak naprawdę nie było w tym nic zaskakującego, bo

jakoś nie umiałem sobie wyobrazić, by Lucy Smith — o ile tak się rzeczywiście nazywała — chciała nawiązać ze mną bliższą znajomość przed wykonaniem zadania. Czułem się przybity.

— Serwus, drogi chłopcze — zaskrzeczał mi w ucho Mackintosh.

— Jestem gotów do dalszej rozmowy.

— O? A zatem niech pan wpadnie do mnie jutro o tej samej porze.

— Dobrze.

— A! Jeszcze jedno! Czy odwiedził pan już krawca?

— Nie.

— Radzę się pospieszyć — rzekł. — Trzeba zdjąć miarę, no i będą zapewne co

najmniej trzy przymiarki. Powinien pan zdążyć z tym wszystkim akurat na chwilę przedtem, zanim zakują pana w kajdanki.

— Ale śmieszne — powiedziałem i rzuciłem słuchawką. Dobrze mu było robić pseudodowcipne uwagi, bo to nie on miał odwalić zasadniczą robotę. Zastanawiałem się, czym jeszcze zajmuje się Mackintosh w tym swoim podupadłym biurze. Oprócz planowania brylantowych skoków, oczywiście.

Pojechałem taksówką na West End i znalazłem sklep Austina Reeda, gdzie ku-

piłem bardzo przyjemny dwustronny prochowiec i szpiczastą czapkę, jedna z tych, które tak chętnie noszą angielscy dżentelmeni z prowincji. Chcieli mi tę czapkę zapakować w papier, ale zwinąłem ją

w trąbkę, wsadziłem do kieszeni płaszcz, a płaszcz przerzuciłem sobie przez ramię.

13

Ani mi w głowie było zbliżyć się do krawca, którego tak gorąco zachwalał
Mackintosh.

III

— A więc uważa pan, że to się da przeprowadzić — podsumował Mackintosh.

Kiwnąłem głową.

— Będę musiał dowiedzieć się jeszcze tego i owego, ale tymczasem wygląda nieźle.

— Co pan chce wiedzieć?

— Po pierwsze: kiedy ma się odbyć skok?

Uśmiechnął się.

— Pojutrze-rzucił lekko.

— O Boże! Nie mamy zbyt wiele czasu.

Zachichotał.

— W niecały tydzień od chwili, gdy postawił pan stopę na angielskiej ziemi, będzie już po sprawie. — Mrugnął do pani Smith. — Nie każdy może zarabiać czterdzieści tysięcy funtów za tydzień nie najcięższej pracy.

— Widzę tu przynajmniej jeszcze jedną taką osobę — stwierdziłem sarkastycznie. — Jakoś nie znać, żeby pan urabiał sobie ręce po łokcie.

Nie był tym wcale zakłopotany.

— Ja zajmuję się planowaniem, Rearden, planowaniem. To moja działka.

— Znaczy, że dzisiejsze popołudnie i cały jutrzejszy dzień muszę poświęcić na studiowanie zwyczajów angielskich listonoszy. Ile razy dziennie obchodzą rewir?

Mackintosh zazezował w stronę pani Smith, która odparła:

— Dwa razy.

— Czy możecie zwerbować jakichś ludzi na „oko”? — indagowałem. — Nie

chcę zbyt długo kręcić się po Leather Lane. Mogą mnie zwinąć za włóczęgostwo, a to rozłożyłoby całą rzecz na obie łopatki.

— Wszystko już załatwione — zapewniła mnie pani Smith. — Tutaj mam

rozkład obchodów doręczycieli.

Ja zagłębiłem się w harmonogram pracy listonoszy, a ona tymczasem rozpo-
starła na biurku jakiś plan.

— To jest rozkład całego drugiego piętra. Mamy szczęście. W niektórych bu-

dynkach skrzynki na listy wiszą szeregiem w holu wejściowym. W niektórych, bo w tym nie. Tutaj do
każdego biura listonosz nosi korespondencję osobiście.

Mackintosh dźgnął palcem w plan.

— O tutaj, tutaj zajmie się pan listonoszem. W ręku będzie trzymał listy dla tej firmy odzieżowej o
piekielnej nazwie. Z tego miejsca powinien pan zobaczyć, czy ma tę naszą przesyłkę, czy nie. Jeśli
nie, mija go pan i czeka na kolejny obchód.

14

— I to mnie właśnie martwi — powiedziałem. — To czekanie. Jeśli się gdzieś
nie schowam, będę rzucał się wszystkim w oczy jak latarnia morska.

— Ach! Nie mówiłem panu? Wynająłem biuro na tym samym piętrze — rzekł
niedbale Mackintosh. — Pani Smith zrobiła niezbędne zakupy i zaprowadziła
w naszym lokalu wszelkie domowe wygody. Znajdzie pan tam elektryczny czaj-
nik, herbatę, kawę, cukier, mleko i jeszcze koszyczek delikatesów od Fortnuma.

Będzie się pan czuł jak król. Mam nadzieję, że lubi pan kawior.

Gwałtownie wypuściłem powietrze.

— Niech pan nie zawraca sobie głowy i tego akurat ze mną konsultuje —
powiedziałem sarkastycznie.

Mackintosh uśmiechnął się tylko i rzucił na biurko breloczek z kluczami.

Wziąłem go do ręki.

— Pod jakim występuję szyldem?

— *Kiddykar Toys, Ltd* — poinformowała mnie pani Smith. To najprawdziwsza w świecie spółka.

Mackintosh roześmiał się.

— Sam ją założyłem. Kosztowała mnie całe 25 funtów.

Resztę przedpołudnia spędziliśmy na omawianiu planów i nie znalazłem

w nich żadnych mankamentów, które miałyby spędzić sen z powiek. Przyłapałem

się na tym, że Lucy Smith coraz bardziej mi się podoba. Umysł miała ostry jak brzytwa, nic nie umykało jej uwagi, nie szarogęsiła się i zachowywała przy tym swoją kobiecość — dla kobiety przeciętnej to kombinacja niezwykle trudno osią-

galna. Kiedy już mieliśmy wszystko zapięte na ostatni guzik, zagadnąłem ją:

— No dobrze. Lucy nie jest przecież pani prawdziwym imieniem Jak pani naprawdę na imię?

Spojrzała mi prosto w oczy.

— Nie sądzę, żeby to miało znaczenie — odparła spokojnie.

Westchnąłem.

— Nie — przyznałem. — Chyba nie.

Mackintosh przyglądał się nam z zainteresowaniem i nagle rzekł:

— Mówiłem już, niech pan nie zawraca głowy mojej sekretarce, Rearden. Ma się pan zająć robotą i tylko robotą. — Spójrz zegarek. — Zresztą, niech pan już lepiej sobie idzie.

Zatem cóż, opuściłem ponure, dziewiętnastowieczne biuro i zjadłem obiad

w Cocku, a popołudnie spędziłem w pomieszczeniu zarejestrowanym na *Kiddy-*

kar Toys, Ltd oddalonym o dwoje drzwi od *Betsy-Lou Dress Manufacturing Co, Ltd*. Znalazłem tam wszystko, co obiecał Mackintosh. Zrobiłem sobie czajniczek herbaty i z zadowoleniem stwierdziłem, że pani Smith zaopatrzyła mnie w prawdziwą herbatę, a nie w to rozpuszczalne świństwo.

Miałem stamtąd dobry widok na ulicę i kiedy zajrzałem do harmonogramu,

byłem w stanie dokładnie odtworzyć trasę listonosza. Powiniennem go zauważyć

liwszy, co miałem ustalić, urządziłem sobie parę przechadzek poza biurem, przemierzając korytarz i wyliczając czas. Tak naprawdę nie miało to zbyt wiele sensu, bo nie wiedziałem przecież, w jakim tempie chodzi listonosz, ale przynajmniej sobie poćwiczyłem. Sprawdziłem też, ile zabiera mi przejście z biura do sklepu Gamage's; szedłem szparko, ale nie na tyle szybko, by zwracać na siebie uwagę. Potem godzinka w sklepie i skomplikowana trasa na zgubienie ewentualnego

pościgu była gotowa. Na tym zakończyłem działalność i wróciłem do hotelu.

Mój następny dzień wyglądał bardzo podobnie, tyle tylko, że doszedł uzupeł-

niający element treningu — listonosz. Kiedy pojawił się po raz pierwszy, obserwowałem go przez uchylone drzwi biura ze stoperem w rękę. Może nieco prze-

sadziłem, bo w końcu wszystko, co miałem zrobić, to faceta ogłuszyć i tyle. Ale skoro stawka była tak cholernie wysoka, postanowiłem przerobić wszystko po

kolei.

Kiedy listonosz zjawił się tego dnia po raz wtóry, zrobiłem na niego próbny

nalot. I rzeczywiście było tak, jak przepowiadał Mackintosh. Doręczyciel pod-

chodził pod drzwi *Betsy-Lou*, ściskając w rękę listy, które miał tam zostawić no i, rzecz jasna, pudełko Kodaka byłoby widoczne jak na dłoni. Miałem tylko nadzieję, że Mackintosh nie myli się też co do brylantów, bo wyglądalibyśmy cholernie głupio, lądując z fotograficznym zapisem weekendu *Betsy-Lou* w Brighton. Nim

na dobre wyszedłem z biura, zadzwoniłem do Mackintosha. Telefon odebrał sam szef.

— Bardziej gotów niż teraz już nie będę — oznajmiłem.

— Świetnie! — Chwilę milczał. — Już mnie pan nie zobaczy, pomijając moment przekazania towaru. Niech się pan tylko dobrze spisze, na miłość boską!

— A co się stało? Cykora pan nagle złapał?

Zbył to milczeniem.

— W hotelu czeka na pana upominek. Niech się pan z nim ostrożnie obchodzi.

— Znow zamilkł. — Powodzenia.

— Proszę przekazać pani Smith moje najgorętsze wyrazy szacunku.

Zakaszłał.

— Nic by z tego nie było, dobrze pan wie.

— Może nic, ale lubię sam podejmować decyzje.

— Być może. . . tylko, że jutro ona będzie już w Szwajcarii. Ale przekażę pozdrowienia, jak ją zobaczę. — Odłożył słuchawkę.

Wróciłem do hotelu. W recepcji odebrałem niewielką paczuszkę. Rozpakowa-

łem ją u siebie w pokoju. W małym pudełku leżała ołowiana pałka oblana warstwą gumy. Miała pewny uchwyt, a do tego elegancki paseczek, którym oplatało się

nadgarstek. W sumie — bardzo skuteczny instrument do usypiania ludzi. Może

tylko trochę bardziej niebezpieczny od innych. W pudełku znajdował się również skrawek papieru, a na nim zaledwie linijka tekstu wystukana na maszynie:

16

Tyle, ile trzeba, nie mocniej.

Tej nocy położyłem się spać wcześnie. Następnego dnia czekała mnie robota.

IV

Rano wybrałem się do City na podobieństwo wielu innych przedstawicieli interesu, chociaż nie posunąłem się aż tak daleko, by na głowę włożyć melonik,

a do ręki wziąć berło urzędnika — zwinięty parasol. W City znalazłem się wcze-

śniej niż większość ludzi, albowiem pierwszą korespondencję roznoszono jeszcze przed rozpoczęciem godzin urzędowania. Do biura *Kiddykar Toys* dotarłem z pół-

godzinnym zapasem i natychmiast, zanim jeszcze skontrolowałem teren z okna,

nastawiłem czajnik wody na kawę. Straganiarze z *Leather Lane* szykowali się już do pracy, a Mackintosha nigdzie nie był widać. To mnie nie martwiło, bo na pewno kręcił się gdzieś w pobliżu, wypatrując listonosza.

Skończyłem właśnie pierwszą filiżankę kawy, kiedy zadzwoni telefon.

— Nadchodzi — rzucił krótko Mackintosh. Usłyszałem trzask odkładanej słuchawki.

W trosce o mięśnie własnych nóg listonosz musiał chyba poświęcić nieco czasu na opracowanie najbardziej ekonomicznego sposobu przemieszczania się we-

wnątrz budynku. Otóż miał zwyczaj jechać windą na najwyższe piętro i zaczy-

nać-doręczanie listów idąc z góry na dół, zgodnie ze wszech miar słuszną teorią, że schodzenie po schodach jest łatwiejsze od wspinania się po nich.

Włożyłem prochowiec i kapelusz i uchyliwszy nieco drzwi, nasłuchiwałem ję-

ku windy. Po dziesięciu minutach usłyszałem, jak winda wjeżdża na górę. Wtedy wyszedłem na korytarz, starannie przymykając za sobą drzwi; nie domknąłem ich jednak, by otworzyły się za najlżejszym pchnięciem.

O tej porze budynek był bardzo cichy i kiedy usłyszałem stąpanie listonosza

po schodach prowadzących na drugie piętro, wycofałem się na podest niżej. Listonosz dotarł na miejsce, po czym odwrócił się od drzwi *Betsy-Lou Ltd.*, by roznieść listy innym biurom. Nie zaniepokoiłem się — tak robił zawsze.

Potem usłyszałem jak wraca i zatrzymuje się co kilka kroków odmierzając

przystanki metalicznymi stuknięciami kłapek skrzynek na listy. Wyczułem wła-

ściwy moment, wszedłem na drugie piętro i skierowałem się do biura *Kiddykar Toys*, co pozwoliło mi stanąć twarzą w twarz z listonoszem. Spojrzałem na jego ręce, ale nie zobaczyłem w nich żółtego pudełka.

— Dzień dobry — rzucił. — Ładny mamy ranek, prawda?

Minął mnie szybkim krokiem, a ja, wolno i niezdarnie, usiłowałem dostać się

do mego biura, udając, że otwieram drzwi kluczem. Kiedy już je za sobą zamkną-

łem, stwierdziłem, że dłonie lepią mi się od potu. Lepiły się nie za bardzo, ale i tak przekonałem się, że jestem mocno spięty. Było w tym, jak sądzę, coś prze-

komicznego i absurdalnego, bo w końcu jedyne, co miałem zrobić, to odebrać

małeńkie pudełko człowiekowi, który się niczego nie spodziewa. To zaś powinno być rzeczą najprostszą pod słońcem, a nie okazją do zdenerwowania.

Napięcie powodowała sama zawartość pudełka. Sto dwadzieścia tysięcy fun-

tów to nie w kij dmuchał. To tak jak z tym facetem, który idzie sobie spacerkiem po krawężniku, stąpa pewnie, a noga nigdy mu się nie omsknie. Ale niech no tylko spróbuje tak pospacerować nad kilkudziesięciometrową przepaścią, a od razu obleje się zimnym potem.

Stałem przy oknie i otworzyłem jedno skrzydło nie tyle po to, by zaczerp-

nąć więcej tlenu, ile by dać znak Mackintoshowi, że pierwszy obchód listonosza okazał się niewypałem. Wyjrzałem na Leather Lane i ujrzałem go w umówionym

miejscu. Stał przed straganem owocowo-warzywnym, nerwowo dźgając palcem

pomidory. Spojrzał w górę, w okno, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Zapaliłem papierosa i otworzyłem poranną gazetę. Do następnego podejścia

zostało jeszcze sporo czasu.

Dwie godziny później telefon znów się rozdzwonił.

— Życzę więcej szczęścia tym razem — rzekł Mackintosh i odłożył słuchawkę.

Postąpiłem dokładnie tak samo jak przedtem i nie było w tym nic złego, ponie-

waż korespondencję roznosił inny listonosz. Czekałem na podeście między pierwszym a drugim piętrem i pilnie nasłuchiwałem. Teraz miałem trudniejsze zadanie.

W budynku panował ruch, a od tego, czy uda mi się listonosza zdybać sam na sam zależało bardzo wiele. Jeśli tak, nie będzie problemów, jeżeli natomiast przyplą-
cze się jeszcze ktoś, będę musiał wyrwać doręczycielowi pudełko i zwiewać co
sił w nogach.

Równomierne kroki ostrzegły mnie, że już nadchodzi, więc w krytycznym mo-
mencie podreptałem na górę. Odwróciłem głowę najpierw w jedną, potem w dru-
gą stronę — jak ktoś, kto właśnie ma przejść przez jezdnię — i stwierdziłem, że wszystko gra, bo
korytarzem szliśmy tylko my dwaj: listonosz i ja. Wtedy spojrzałem na jego ręce.

Trzymał w garści plik listów, a na wierzchu tego pliku siedziało sobie żółte
pudełeczko.

Gdy zrównał się z biurem *Kiddykar Toys*, wyszedłem tuż przed niego.

— Ma pan coś dla mnie? — spytałem. — Pracuję tutaj. — Wskazałem drzwi
za jego plecami.

Odwrócił głowę, by rzucić okiem na napis na drzwiach, a ja, modląc się w du-
chu, żeby nie miał zbyt kruchej czaszki, walnąłem go pałką za uchem. Mruknął

coś i ugięły się pod nim kolana. Złapałem go zanim upadł i wepchnąłem w drzwi biura, które
otworzyły się pod naciskiem ciężaru jego ciała. Przewrócił się na pro-18

gu, rozsypując przed sobą listy. Z lekkim stukotem upadło też pudełko Kodaka.

Wciągnąłem listonosza do środka, a drzwi domknąłem nogą. Porwałem żółte
pudełeczko i umieściłem je w niewinnie wyglądającym, brązowym opakowaniu,

które Mackintosh zorganizował specjalnie na tę okazję. Miałem mu je przekazać na ulicy, a nie
chcieliśmy, żeby ktoś zauważył wpadającą w oko żółć.

W niecałe sześćdziesiąt sekund od spotkania z listonoszem znalazłem się po

drugiej stronie drzwi, które zamknąłem za sobą na klucz. Właśnie przekręcałem go w zamku, gdy za
moimi plecami ktoś przeszedł, kierując się w stronę biura

Betsy-Lou. Odwróciłem się i zszedłem po schodach. Nie pędziłem na złamanie karku, ale i nie
marudziłem zbyt długo. Zakładałem, że poczciarz nie ocknie się przez bliższe dwie, trzy minuty, no i
prócz tego będzie musiał jeszcze wydostać się z lokalu firmy *Kiddykar Toys*.

Wyszedłem na ulicę i dostrzegłem Mackintosha. Wpatrywał we mnie. Szybko odwrócił wzrok i zrobił półobrót, a ja, idąc do niego przeszedłem przez ulicę i kluczyłem chwilę między straganami panującym tam ścisłu nietrudno było pchnąć go ramieniem, wymamrotać: „Przepraszam”, równocześnie przekazać mu pudełko i iść sobie dalej w kierunku Holbornu.

Nie uszedłem daleko, gdy usłyszałem brzęk rozbijanego szkła czyjś wzburzony krzyk. Spryciarz z tego pocziarza. Nie tracił czasu na forsowanie drzwi, tylko zbił szybę, żeby zwrócić na siebie uwagę. No a w dodatku ocknął się szybciej niż się spodziewałem. Widać nie uderzyłem go wystarczająco mocno.

Mimo to czułem się bezpieczny. Byłem już na tyle daleko, by nie mógł mnie zauważyć, w dodatku coraz bardziej się od niego odwróciłem. Wyjaśnienie całego zamieszania zajmie co najmniej pięć minut, a do tego czasu miałem szczerzy zamiar zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Liczyłem, że i Mackintosh zrobi to samo.

Teraz on był trefny teraz on miał brylanty.

Zboczyłem chyłkiem w stronę tylnego wejścia do Gamage's wolniejszym krokiem przeszedłem przez sklep. Miałem nadzieję, że sprawiam wrażenie człowieka,

który wie, dokąd zmierza. Znalazłem męską ubikację i zamknąłem się w kabinie. Zdjąłem płaszcz — ten tak uważnie przeze mnie wybrany prochowiec o ślicznie kontrastujących barwach — i odwróciłem go na drugą stronę. Z kieszeni wyjąłem zręczną czapeczkę i z żalem zwinąłem swój kapelusz w bezkształtną masę. Zostawić go w toalecie? Nie, tego nie mogłem zrobić. Więc do kieszeni z nim, choć to nie najlepsze rozwiązanie.

Ponoć ubiór czyni człowieka. Jeśli tak, to z męskiej toalety wyszedł komplet-

nie inny człowiek. Przechadzałem się niedbale po sklepie i z wolna dryfowałem w stronę głównego wejścia. Po drodze kupiłem sobie krawat, by mieć namacalny

powód mojej tam bytności, lecz ten środek ostrożności był całkowicie zbędny. Ze sklepu wyszedłem na chodnik Holbornu i skierowałem kroki na zachód. Żadnych

taksówek. Taksówkarzy będą na pewno przepytywać, czy o tej a o tej godzinie, tu a tu ktoś nie korzystał przypadkiem z ich usług. Pół godziny później siedziałem 19

w pubie w jednej z bocznych uliczek Oxford Street, opodal Marble Arch, i na luzie sączyłem piwo.

Odwałem niezłą fuchę, ale to jeszcze nie wszystko. O, do diabła!

I to bardzo nie wszystko! Zastanawiałem się, czy mogę ufać Mackintoshowi. Bo czy on wykona jak trzeba swoją część zadania. . . ?

V

Tego wieczoru, gdy przygotowywałem się do wyjazdu z miasta, usłyszałem stanowcze pukanie do drzwi mojego pokoju. Otworzyłem i stanąłem oko w oko z dwoma roslymi mężczyznami ubranymi bardzo tradycyjnie i w dobrym guście.

Ten z prawej zapytał:

— Pan Joseph Aloysius Rearden?

Nie musiałem za bardzo się zmóżdżać, by zorientować się, że mam oto przed sobą dwóch gliniarzy.

Uśmiechnąłem się krzywo.

— Aloysiusa wolałbym puścić w niepamięć.

— Jesteśmy z policji. — Machnął mi przed nosem czymś w rodzaju portfela, a zrobił to bardzo niedbale. — Mamy nadzieję, że zechce pan nam pomóc, odpowiadając na kilka pytań.

— Hej! — zawołałem. — Czy to aby nakaz sądowy? Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem!

Gliniarz, choć niechętnie, rozłożył portfel jeszcze raz i dał mi przeczytać nakaz. Okazało się, że mam przed sobą śledczego, inspektora Johna M. Brunskilla, który stoi oto w drzwiach w swym najprawdziwszym, bez wątpienia, wydaniu.

Paplałem dalej:

— Owszem, widziałem takie rzeczy w bioskopie, ale nawet mi do głowy nie przyszło, że przydarzy mi się coś takiego naprawdę!

— W bioskopie? — zapytał podejrzliwie.

— No, na ekranie. W RPA na kino mówimy bioskop. Mieszkam na stałe w Afryce Południowej. Nie wiem, jak mógłbym wam pomóc, panie inspektorze. Londynu nie znam. Tak naprawdę to nie znam Anglii. Jestem tu raptem od

tygodnia, właściwie nawet krócej.

— To wszystko już wiemy, panie Rearden — oświadczył spokojnie Brunskill.

Aha! Więc już mnie zdążyli sprawdzić! Chłopcy szybko działają! Genialni są ci brytyjscy detektywi!

— Możemy wejść, panie Rearden? Sądzę, że jednak będzie pan mógł nam pomóc.

Zrobiłem im przejście i machnięciem ręki zaprosiłem do środka.

— Wejdźcie panowie i siadajcie. Jest tylko jedno krzesło. Jeden z was musi usiąść na łóżku. I rozbierzcie się.

20

— Może niekoniecznie. Nie zabawimy długo. To jest śledczy Jervis, sierżant Jervis.

Jervis robił wrażenie jeszcze twardszego niż Brunskill. Brunskill był układny i miał w sobie tę łagodność, która przychodzi z wiekiem dojrzałym, tymczasem

Jervis to młodzian jeszcze surowy, gliniarz twardy jak skała. Jednak to Brunskill okaże się groźniejszy, to on będzie stosował te wszystkie chyte sztuczki.

— No więc czym mogę służyć? — zapytałem.

— Prowadzimy śledztwo w sprawie przesyłki, którą dziś rano skradziono listonoszowi na Leather Lane — zaczął Brunskill. — Co pan nam może o tym powiedzieć, panie Rearden?

— A gdzie jest Leather Lane? Nie znam miasta.

Brunskill spojrział na Jervisa, Jervis na Brunskilla, a potem oby dwaj spojrzeli na mnie.

— Niech pan da spokój, panie Rearden — odezwał się Brunskill. — Stać pana na coś więcej.

— Ma pan za sobą odsiadkę — powiedział zniechęca Jervis.

Poczułem się tak, jakbym oberwał obuchem w łeb.

— A wy, pałkarze, już nigdy nie dacie mi o tym zapomnieć, co? — powie-

działem z goryczą w głosie. — Tak, siedziałem półtora roku w Pretoria Central, mam za sobą osiemnaście miesięcy odsiadki w wiejącej chłodem ciupie. To dawne dzieje. Od tamtej pory prowadzę się bardzo przyzwoicie.

— Aż do dzisiejszego ranka, zgadłem? — odezwał się Brunskill.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

— Bez owijania w bawełnę. Pan mi powie, co niby miałem dziś zrobić, a ja panu powiem, czy to zrobiłem. Prosto z mostu.

— Pięknie to z pana strony — mruknął Brunskill. — Nie sądzicie sierzancie?

Z głębi krtani Jervisa wydobył się jakiś paskudny dźwięk. Potem Jervis rzekł:

— Macie coś przeciwko temu, że przeszukamy wasz pokój, Rearden?

— Dla sierżantów jestem pan Rearden. Pański szef jest lepiej wychowany od pana. I, oczywiście, zdecydowanie protestuję przeciwko rewizji. Chyba, że macie panowie nakaz.

— Ależ oczywiście, że mamy — łagodził Brunskill. — Spokojnie! panie Re-

arden. Niech pan zaczyna, sierzancie. — Wyjął z kieszeni jakiś papier i z rozma-chem położył go płasko na dłoni. — Myślę, że co do tego nie będzie pan miał

żadnych wątpliwości.

Nie zadałem sobie trudu, żeby choć zerknąć na dokument. Po prostu rzuciłem

go na toaletkę i przyglądałem się, jak Jervis przekopuje mi fachowo pokój. Niczego nie znalazł, bo niczego znaleźć nie mógł. Wreszcie poddał sprawę, spojrzał na Brunskilla i potrząsnął głową.

— Muszę pana zaprosić na komendę — zwrócił się do mnie Brunskill.

21

Nie odezwałem się i pozwoliłem, by w pokoju zaległa dłuższa cisza. Dopiero po chwili rzekłem:

— Proszę, niech mnie pan zaprasza.

— Mamy tu dowcipnisia, panie inspektorze — stwierdził Jervis, przyglądając mi się z niechęcią w oku.

— Jeśli mnie tylko zaprosicie, nie pójdę. Będziecie musieli mnie aresztować. Inaczej w pobliże kratki dowlec się nie dam.

Brunskill westchnął.

— Niech i tak będzie, panie Rearden. Aresztuję pana pod zarzutem udziału w napadzie na listonosza w budynku przy Leather Lane około dziewiętej trzydzieści dziś rano. Czy to pana satysfakcjonuje!

— Wystarczy, żeby z panem pójść — odparłem. — Idziemy. — Byłbym zapomniał! — zawołał. — Wszystko, co pan od tej chwili powie, może być odnotowane i użyte przeciwko panu.

— Znam tę formułkę. Znam ją aż nadto dobrze.

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości — powiedział cicho.

Spodziewałem się, że zawiozą mnie do Scotland Yardu, tymczasem znalazłem

się na małym posterunku policji. Gdzie to było, nie mam pojęcia — naprawdę nie znam Londynu. Wsadzili mnie do jakiejś klatki, której całe umeblowanie stanowił stół z surowego drewna i dwa zwykłe krzesła. Unosił się tam znajomy za-

pach, charakterystyczny dla policyjnych aresztów we wszystkich zakątkach świata. Usiadłem na krześle i paliłem papierosa za papierosem, czemu przyglądał się mundurowy gliniarz, który stał tyłem do drzwi i bez hełmu na głowie wyglądał

jakoś tak nago.

Minęło prawie półtorej godziny, zanim cokolwiek zaczęło się dziać. Tym razem do ataku przystąpił Jervis — twardziel. Wszedł do pokoiku, machnął gwał-

townie ręką w stronę mundurowego, który wykonał posłusznie rozkaz i natych-

miast zniknął, zasiadł po drugiej stronie stołu i dłuższy czas przyglądał mi się w milczeniu. Zignorowałem go, nawet na niego nie spojrzałem i to on przerwał

ciszę.

— Byłeś tu już przedtem, Rearden, co nie?

— Nigdy w życiu tu nie byłem.

— Ty wiesz, co mam na myśli. Siedziałeś już na twardych, drewnianych krze-

słach z policjantem po drugiej stronie stołu, siedziałeś wiele, wiele razy. To ćwiczenie przerobiłeś już aż za dobrze, jesteś zawodowcem. Z innym facetem mógł-

bym się może bawić w kotka i myszkę, mógłbym może zastosować parę chwytów

z psychologii, ale nie z tobą, co nie? Bo z tobą nie zdałoby to egzaminu. Więc nie będę tego robił. Nie będę się z tobą bawił ani w taktowne gadki, ani w psychologię. Ja cię po prostu rozgniotę, Rearden. Rozgniotę cię jak łupinę orzecha.

— Lepiej niech pan nie zapomina o prawach z Kodeksu Postępowania Sędziowskiego.

22

Wybuchnął ostrym, urywanym śmiechem.

— Sam widzisz! Uczciwy człowiek nie odróżniłby praw z Kodeksu od Prawa Parkinsona! Ale ty tak, ty odróżniasz! Już jesteś lewy, już masz u mnie krzywo, Rearden!

— Jeśli pan skończył już mnie znieważać, to sobie pójdę — powiedziałem.

— Pójdiesz, kiedy ci pozwolę -rzucił ostro. Wyszczrzyłem w uśmiechu zęby.

— Przedtem lepiej spytaj o pozwolenie Brunskilla, synku.

— Gdzie brylanty?

— Jakie brylanty?

— Słuchaj, Rearden, z listonoszem jest kiepsko. Za mocno go stuknąłeś i są szansę, że się z tego nie wygrzebie. I co się wtedy z tobą stanie? — Nachylił się nad stołem. — Wsadzą cię do pierdła na tak długo, że będziesz się potykał o własną brodę.

Trzeba przyznać, że robił, co mógł, ale kiepsko oszukiwał, bo przecież za-

den umierający listonosz nie wywaliłby okna w biurze *Kiddykar Toys*. Siedziałem więc bez słowa i patrzyłem mu prosto w oczy.

— Cienko będziesz prządł, jeśli te brylanty się nie znajdą. — Postanowił mnie teraz uświadamiać.
— Może gdyby się znalazły, sędzia mógłby okazać się dla

ciebie łaskawszy.

— Jakie brylanty?

I tak się to ciągnęło przez dobre pół godziny. Wreszcie zmęczył się i poszedł sobie. Wrócił za to mundurowy; zajął dawne stanowisko przy drzwiach.

Odwrociłem się i spojrzałem na niego.

— Nie robią się panu odciski? Czy ta praca nie obciąża za bardzo stóp?

Popatrzył na mnie oczyma bez wyrazu, z absolutnie pustą twarzą. I nie odezwał się słowem.

Teraz nadszedł czas, by wytoczyć działo największego kalibru. Na scenę wkroczył Brunskill, niosąc z sobą teczkę wypchaną papierami. Położył ją na stole.

— Przykro mi, że musiał pan czekać tyle czasu, panie Rearden.

— Aha, nie dałbym za to złamanego centa — odparłem. Obdarzył mnie litosciwym, choć pełnym zrozumienia uśmiechem.

— Wszyscy wykonujemy jakieś zadania. Niektóre z nich są paskudniejsze od innych. Niech mnie pan nie gani, że robię, co do mnie należy. — Otworzył teczkę.

— Jak widzę, i pan ma swoje osiągnięcia, panie Rearden. Interpol zgromadził grube dossier na pana temat.

— Wyrok dostałem tylko raz — odrzekłem. — Cała reszta nie została udowodniona i nie może być wykorzystana przeciwko mnie. Pomówienia różnych ludzi to nie dowody winy, to dowody, które nie dowodzą niczego. — Uśmiechnąłem się, wskazując teczkę z dokumentami i zacytowałem: — „To, co zeznał

policjant, nie zostało udowodnione”, zgadza się?

23

— Dokładnie — stwierdził Brunskill. — Udowodnione czy nie, nadal jest bardzo interesujące. — Wpatrywał się w papierzyska dłuży czas, po czym powiedział: — Dlaczego miał pan jutro lecieć do Szwajcarii?

— Jestem turystą — odrzekłem. — Nigdy tam jeszcze nie byłem.

— W Anglii też jest pan pierwszy raz, zgadza się?

— Dobrze pan o tym wie. No dobra, wystarczy. Chcę się zobaczyć z adwokatem.

Spojrzał na mnie.

— Proponowałbym obrońcę. Ma pan kogoś konkretnego na myśli?

Z portfela wyjąłem świstek papieru, który dostałem od Mackintosha z myślą o takiej ewentualności.

— Znajdzie się pod tym numerem — rzekłem. Brunskill zerknął na karteczkę i uniósł brwi.

— Znam ten numer, i to bardzo dobrze. Tak, to odpowiedni człowiek do sprawy takiej jak pańska. Jak na kogoś, kto jest w Anglii od niespełna tygodnia, nieźle pan sobie radzi z manewrowaniem pośród mielizn i raf, panie Rearden. — Odłożył

karteluszek na bok. — Dam mu znać, że pana tu mamy.

Wypaliłem tyle papierosów, że zaschło mi w gardle.

— I jeszcze coś — rzuciłem. — Wypiłbym filiżankę herbaty.

— Obawiam się, że na herbatę nie możemy sobie pozwolić -stwierdził z żalem. — Czy nie wystarczyłaby szklanka wody?

— Wystarczyłaby.

Podszedł do drzwi, wydał polecenia, wrócił.

— Panowie sobie myślicie, że my, gliniarze na posterunkach, nie robimy nic

innego, tylko popijamy herbatkę i prowadzimy całodobowy bufet dla was, starych bywalców. Nie mogę zrozumieć, skąd się wam to bierze. Chyba z telewizji, co?

— Mnie nie. W RPA nie mamy telewizji.

— Coś takiego! Przedziwne. . . No, a wracając do tych brylantów, to myślę, że. . .

— Jakich brylantów? — przerwałem mu.

I tak to leciało. Musiałem się przy nim bardziej pilnować, bo Brunskill był podstępniejszy niż Jervis. W odróżnieniu od swego młodszego kolegi miał w głowie na tyle oleju, żeby nie kłamać tam, gdzie wiedziałem, jak się rzeczy mają. No i katował mnie o wiele skuteczniej, bo namolny był jak natrętna mucha.

Mundurowy przyniósł karafkę z wodą i szklanę. Napełniłem szklanę i łąp-
czywie wypilem. Napełniłem ją jeszcze raz i znów wypilem do dna.

Brunskill przyglądał mi się i wreszcie zapytał:

— Już się pan napił?

Kiwnąłem głową, więc wyciągnął rękę i delikatnie, czubkami palców, ujął szklanę, po czym wyniósł z pokoju. Wrócił i spojrzał na mnie z troską w oku.

24

— Nie sądziłem, że da się pan na to nabrać. Pan wie, że oficjalnie nie możemy zdjąć odcisków, dopóki pana nie wsadzimy. Dlaczego je nam pan tak łatwo podarował?

— Zmęczenie.

— Fatalnie. . . — stwierdził ze współczuciem. — A teraz wróćmy do tych brylantów. . .

W pewnym momencie znów zjawił się Jervis i ruchem głowy dał znak Brunskillowi. Stanęli przy drzwiach i rozmawiali ściszone głosami. Brunskill odwrócił się do mnie.

— No, Rearden, mamy pana. Zebraliśmy dość dowodów, żeby posadzić pana na dziesięć lat. Jeśli pomoże nam pan odzyskać brylanty, złagodzi pan sobie wyrok.

— Jakie brylanty? — spytałem znużonym głosem.

Zamknął usta tak gwałtownie, że aż kłapnął zębami.

— No dobra — rzucił krótko. — Za mną.

Wtłoczony między Brunskilla i Jervisa niczym wędlina w kanapce, wyszedłem z pokoju. Odprowadzili mnie do dużego pomieszczenia, w którym pod ścianą siedziało z tuzin facetów.

— Chyba nie trzeba wam, Rearden, wyjaśniać, co to takiego — odezwał się Je-

rvis. — Ale zrobię to, bo tego wymaga ode mnie prawo. To jest rząd podejrzanych sformowany w celu dokonania identyfikacji. Zaraz wejdą tu trzy osoby i sobie

was obejrzą. Możecie, Rearden, ustawić się w dowolnym miejscu. Możecie nawet

w przerwach zmieniać pozycję. Jasne?

Skinąłem głową i podszedłem do ściany, ustawiając się jako trzeci z brzegu.

Przez chwilę nic się nie działo, wreszcie wpuszczono pierwszego świadka, niedu-

żą, starszą panią, taką milutką, kochaną mamunię. Przeszła wzdłuż całego szeregu, po czym wróciła wprost do mnie i mierząc palcem w moją pierś, oznajmiła:

— To ten.

W życiu jej nie widziałem.

Wyprowadzili ją, ale nie zadałem sobie trudu, żeby zmienić miejsce. Tak naprawdę nie było po co, bo, jak powiedział Brunskill, rzeczywiście mnie mieli.

Następnym świadkiem okazał się mniej więcej osiemnastoletni chłopak. Nie musiał nawet maszerować wzdłuż całego szpaleru. Od razu zatrzymał się przede mną.

— To on — oświadczył. — Tak, to on.

Trzeci świadek też nie miał kłopotów. Rzucił tylko na mnie okiem i wrzasnął:

— To ten ptaszek! Mam nadzieję, że dadzą ci dożywocie, ty palancie. — Od-

szedł, rozcierając sobie głowę. To był listonosz i wcale nie wił się w agonii, jak przekonywał mnie Jervis.

25

Potem wszystko się skończyło, a Jervis i Brunskill odprowadzili mnie z powrotem do klitki.

— Niezły z pana cudotwórca — zwróciłem się do Jervisa. — Wskrzesił pan tego listonosza, czy jak?

Spojrzał na mnie ostro, a jego twarz wyciągnęła się z wolna w uśmiechu.

— A skąd wiecie, że to listonosz?

Wzruszyłem ramionami. Jak się nie kręcić, zadek i tak z tyłu.

— Co to za sukinyński drań mnie sprzedał? — spytałem Brunskilla. Jego twarz stała się nieprzystępna.

— Powiedzmy, że dostaliśmy informację, panie Rearden. Jutro rano sporządzi

się akt oskarżenia i zostanie pan natychmiast postawiony przed sądem. Dopilnuję, żeby pański obrońca przy tym był.

— Dzięki. Jak się ten obrońca nazywa?

— Coś podobnego! — wykrzyknął. — Masz pan te nerwy! Pańskim obrońcą jest niejaki Maskell.

— Stokrotne dzięki.

Brunskill przywołał jakiegoś miejscowego sierżanta, który za mną

w celi na noc. Wrzuciłem coś na ząb, potem wyciągnąłem się jak długi i niemal natychmiast zasnąłem.

Miałem za sobą męczący dzień.

Maskell był niskim, krępy męczyzną o chytrych, brązowych oczach i niezmiernych pokładach godności. Został mi przedstawiony na chwilę przed odczytaniem aktu oskarżenia i nie zauważyłem, by bulwersował go fakt, że przyszło mu bronić kryminalistę. Uprawianie zawodu prawnika to dziwne zajęcie, a ci, którzy go uprawiają, muszą wyrzucić za burtę moralność przeciętnego śmiertelnika.

Tak, bo jeśli budzący ogólną sympatię i szacunek adwokat, który walczy o swego klienta jak lew — klientem może być równie dobrze morderca jak i gwałcień —

uzyska w sądzie jego uniewinnienie, otrzyma od wszystkich szczerze i jakże zasłużone gratulacje. Potem wróci do domu i wysmaruje list do kolumny czytelniczej w *The Times* i będzie w tym liście grzmiał o przerażającym wzroście przestępczości. Nie ma co, to profesja dla schizofreników.

To właśnie powiedziałem któregoś dnia Maskellowi, kiedy znaleźmy się już trochę.

— Panie Rearden, dla mnie nie jest pan ani winny, ani niewinny. O tym za-

decyduje dwanaście osób z ławy przysięgłych. Ja tu jestem od tego, żeby zebrać materiał w konkretnej sprawie i przekazać go obrońcy, który będzie pana reprezentował na sali sądowej. On przygotuje linię obrony. Ja tylko ustalam fakty. Za to biorę pieniądze. — Akurat znajdowaliśmy się w sądzie. Zamachał rękami. —

Kto mówi, że zbrodnia nie popłaca? — rzucił cynicznie. — Zbierając wszystkich do kupy. Począwszy od woźnych sądowych po sędziego Jej Królewskiej Mości, to

co najmniej pięćdziesiąt osób jest bezpośrednio zaangażowanych w pańską sprawę.

W ten sposób zarabiają na chleb powszedni. Niektórym, jak na przykład mnie i Wysokiemu Sądowi, udaje się zarobić więcej niż innym. Dzięki ludziom takim

jak pan, panie Rearden, nieźle sobie żyjemy.

Jednak wtedy Maskella jeszcze nie znałem. Przywitaliśmy się prędko i od razu zapowiedział:

— O szczegółach porozmawiamy później. Najpierw dowiemy się, jak w ogóle

sprawa wygląda.

Zatem aresztowano mnie i sporządzono akt oskarżenia. Nie będę zagłębiał się w prawniczy żargon. Cała rzecz sprowadzała się do rabunku z naruszeniem nie-tykalności fizycznej niejakiego Johna Edwarda Harte'a, pracownika Brytyjskiej 27

Poczty i Telegrafu oraz do kradzieży brylantów, własności spółki *Lewis & van Veldenkamp, Ltd*, których wartość szacowano na sto siedemdziesiąt trzy tysiące funtów.

Omal nie wybuchnąłem śmiechem. Łup okazał się większy, niż zakładał Mackintosh, chyba że panowie Lewis i Maneer van Veldenkamp usiłowali narznąć swoje towarzystwo ubezpieczeniowe. Zachowałem jednak kamienną twarz i kiedy skończyli czytać akt oskarżenia, odwróciłem się do Maskella i zapytałem:

— I co teraz?

— Za jakąś godzinkę zobaczymy się w Sądzie Magistrackim. To będzie czysta formalność. — Potarł brodę. — Tu idzie o duże pieniądze. Czy policja odzyskała brylanty?

— Niech pan o to zapyta policję. Ja nie wiem nic o żadnych brylantach.

— Dobrze sobie! Musi pan zrozumie, że jeśli brylanty są wciąż. . . że tak powiem, na wolności, będzie mi bardzo trudno wyciągnąć pana za kaucją. Ale spróbuję.

Formalności w Sądzie Magistrackim były krótkie, bo trwały może ze trzy minuty. Trwałyby jeszcze krócej, lecz Brunskill stawał na głowie, walcząc przeciwko zwolnieniu mnie za kaucją.

— Ciągłe nie odzyskaliśmy brylantów, Wysoki Sądzie i obawiam się, że kiedy nam się to nie uda, jeśli wypuścimy zatrzymanego. Co więcej, gdybyśmy nie aresztowali go wczoraj wieczorem, dzisiaj byłby już w Szwajcarii.

Sędzia magistracki zatrzepotał rękami.

— Czy sądzi pan, inspektorze — spytał — że zatrzymany gotów jest zapłacić kaucję i zbiec?

— Tak sędzę — odparł stanowczo Brunskill. — I jeszcze jedno. Zatrzymane-

go oskarżać się będzie o użycie przemocy. Był on już niejednokrotnie notowany, a w jego aktach użycie przemocy zajmuje niepoślednie miejsce. Mam obawy, że

zatrzymany może zechcieć zastraszyć świadków.

Sędzia zamachał rękami tak gwałtownie, że omal nie odfrunął.

— Uważa pan, inspektorze, że zatrzymany wyjedzie i będąc poza granicami kraju zastraszy nam świadków?! — zapytał z uprzejmym niedowierzaniem. —

Wątpię, czy jego groźne ramię mogłoby aż tak daleko sięgać. Tym niemniej po

rozważeniu przedstawionych dowodów, uwzględniając fakt, że jak dotąd brylan-

tów nie odzyskano, skłonny jestem przychylić się do pańskiego żądania. Wniosek o zwolnienie za kaucją oddalony.

Brunskill usiadł, a Maskell wzruszył ramionami i wetknął jakieś papiery z powrotem do swojej teczki.

Zatem do czasu rozprawy w Głównym Sądzie Kryminalnym miałem siedzieć

w areszcie. Więc jednak dane mi będzie obejrzeć Old Bailey od środka. . .

Nim mnie odprowadzono, Maskell zamienił ze mną parę słów.

28

— Teraz sprawdzę, jak mocne dowody ma przeciwko panu policja i szepnę

słówko oskarżycielowi, a potem pan i ja siądziemy sobie i przedyskutujemy całą sprawę. Jeśli będzie pan czegokolwiek chciał niech pan żąda, aby mnie o tym

informowano. Ale najprawdopodobniej i tak się jutro zobaczymy.

Zatrzymany w areszcie jest teoretycznie niewinny. W praktyce traktują go neu-

tralnie, ani jako winnego, ani niewinnego. Karmili dobrze łóżko było miękkie, nie stosowali wobec mnie żadnych irytujących restrykcji. Poza jedną: nie mogłem

wyść z mamra. No cóż, nie można mieć wszystkiego.

Maskell zajrzał do mnie nazajutrz po południu i usiedliśmy w rozmównicy.

Popatrzył na mnie w zamyśleniu, a później przemówił:

— W pańskiej sprawie zebrano duży materiał dowodowy, panie Rearden. Na-

prawdę bardzo duży. O ile nie będzie pan w stanie przekonująco i jednoznacznie udowodnić, że nie mógł pan popełnić zarzucanego panu przestępstwa, obawiam

się, że sąd pana skaze.

Chciałem coś powiedzieć, ale uniósł rękę.

— Jednak tym zajmiemy się później. Zacznijmy wszystko po kolei. A więc,

czy ma pan jakieś pieniądze?

— Ze sto pięćdziesiąt funtów. Ale nie zapłaciłem jeszcze rachunku za hotel, nie miałem okazji. Nie chciałbym, żeby do oskarżenia dorzucono wymigiwanie się od płacenia rachunków. Tym samym mam na zbyciu coś około stu funtów.

Maskell skinął głową.

— Jak pan zapewne wie, o moje honorarium już się zatroszczono. Ale to nie

ja będę pana bronił w sądzie. Tym zajmie się obrońca sądu wyższego, a taki gość bywa na ogół droższy ode mnie. Zwłaszcza adwokat odpowiedniego kalibru, taki, który mógłby sprawę wygrać. Sto funtów nie starczy nawet na zaliczkę, panie

Rearden.

Wzruszyłem ramionami.

— Przykro mi, to wszystko, co mam. — Nie była to cała prawda, ale doskonale

wiedziałem, że nawet najlepszy adwokat nie zdoła mnie stąd wyciągnąć. Nie było sensu wyrzucać pieniędzy w błoto.

— Rozumiem. Istnieje pewne zabezpieczenie na wypadek sytuacji takiej jak

pańska. Sąd wyznaczy panu obrońcę z urzędu. Problem w tym, że nie będzie to adwokat z pańskiego wyboru. Na szczęście mam pewne wpływy. Zobaczę, czy uda

się pociągnąć za odpowiednie sznurki tak, byśmy dostali możliwie najlepszego.

— Wyjął papierową teczkę i otworzył ją. — Chciałbym, żeby mi pan dokładnie

opowiedział, co pan robił wiadomego ranka. — Tu przerwał. — Wiem już tyle, że nie jadł pan

śniadania w hotelu.

— Tamtej nocy źle spałem. Dlatego wstałem wcześniej i poszedłem na spacer - wyjaśniłem.

Maskell westchnął.

— I dokąd pan się udał, panie Rearden?

29

— Wybrałem się do Hyde Parku i doszedłem aż do Okrągłego Stawu. Tam stoi to słynne gmazysko, Pałac Kensingtonski, ale go nie zwiedziłem, bo było za wcześnie.

— Nie wyobrażam sobie, żeby o tak wczesnej porze w Hyde Parku albo Ogrodzie Kensingtonskich mogło być dużo ludzi. Czy rozmawiał pan z kimś? Może dowiadywał się pan o coś w Pałacu? Może, na przykład, pytał pan o godzinę otwarcia?

— Nie było tam kogo pytać.

— No dobrze. Co pan robił później?

— Wróciłem do Hyde Park Corner i przeszedłem do Green Parku. Dalej, idąc Bond Street, doszedłem do Oxford Street. Oglądałem wystawy sklepów, wie pan.

— A o której godzinie mniej więcej?

— Hm, nie wiem. Może o dziewiątej piętnaście. . . Trochę się włóczyłem. Po drodze rzuciłem okiem na coś, co nazywa się Burlington Arcade, a potem wszedłem w Bond Street i jak już mówiłem, oglądałem sklepy. Wspaniałe! W RPA niczego takiego nie mamy.

— I z nikim pan nie rozmawiał?

— Gdybym wiedział, że potrzebne mi będzie alibi, na pewno bym to zrobił — odparłem z goryczą.

— No tak. . . — skomentował Maskell. — Zatem doszedł pan do Oxford Street

i co dalej?

— Cóż, nie jadłem śniadania i czułem się trochę głodnawy, Znalazłem więc pub i zamówiłem sobie kanapki z dużym piwem. Gawędziłem nieco z barmanem, Irlandczykiem. Powinien mnie pamiętać.

— A o której to było?

— Musiało już być po dziesiątej, bo pub był otwarty. . . Powiedzmy w pół do jedenastej.

— To alibi jest nieco spóźnione, dla sprawy bez znaczenia — ocenił Maskell

i zajął do jakiejś kartki, którą uprzednio wyjął z teczki. — Muszę pana ostrzec, że policyjna wersja wydarzeń w zasadniczy sposób odbiega od pańskiej. Policja zebrała pokaźny materiał dowodowy, panie Rearden. — Spojrzał mi prosto

w oczy. — Czy muszę panu wyklądać, jakie niebezpieczeństwa kryją się w okłamywaniu własnego adwokata?

— Ja nie kłamię — stwierdziłem z oburzeniem.

— Panie Rearden, muszę powiedzieć, że znalazł się pan w ogromnych tarapa-

tach — rzekł z powagą. — Rozumiem, że na procesie nie zechce pan przyznać się do winy, lecz muszę pana uprzedzić, że w świetle zebranego materiału dowodowego wiele przemawia za tym, że pan sprawę przegra. Ostatnio nasila się społeczne zaniepokojenie związane ze wzrostem liczby przestępstw, które łączą się z użyciem przemocy. Sędziowie wychodzą temu zaniepokojeniu naprzeciw i wydają

bardzo surowe wyroki. — Tu przerwał, by zebrać myśli, a dalej mówił już nieco 30

bardziej umiarkowanym tonem. — Jako pański adwokat nie mogę zawczasu wy-

rokować w tej sprawie, niemniej chciałbym panu uświadomić rzecz następującą:

jeżeli brylanty zostaną zwrócone, a pan przyzna się do winy, sąd będzie bardziej pobłażliwy i, moim zdaniem, nie dostanie pan więcej niż pięć lat, może nawet

tylko trzy. Uwzględniając ewentualne zmniejszenie wyroku za dobre sprawowa-

nie, mógłby się pan znaleźć na wolności już po dwóch latach. Jeśli zaś brylanty nie zostaną zwrócone

i jeśli pan nie zechce przyznać się do winy, wyrok będzie surowy; zakładając, rzecz jasna, że zostanie pan skazany. Uwzględniając zebrane dowody, możemy to założenie uznać za szalenie prawdopodobne. Gdybym miał

w tym miejscu użyć prawniczego żargonu, powiedziałbym, że Wysoki Sąd dzieli

pana w łeb paragrafem, zapudłuje, a klucz wyrzuci. Bo wątpię czy w takim wy-

padku uda się panu dostać mniej niż czternaście lat. Zapewniam pana, że w tych sprawach mam nieźle doświadczenie i nie rzucam słów na wiatr. — Odchrząknął.

— I co pan na to powie, panie Rearden? Jak teraz zadziałamy?

— Jedyne brylantami, jakie widziałem tamtego ranka, były brylanty

w oknach wystawowych na Bond Street — oznajmiłem dobitnie.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę w milczeniu, po czym potrząsnął głową.

— No cóż. . . — bąknął cicho. — Zajmę się tym, co do mnie należy, to jest

pańską sprawą. Ale nie mam większych nadziei na sukces. Uprzedzam, że policja dysponuje takimi dowodami, które będzie niezwykle trudno obalić.

— Jestem niewinny — trwałem w uporze.

Nie powiedział już nic więcej. Pozbierał swoje papiery i nie oglądając się za siebie, wyszedł z rozmównicy.

I tak znalazłem się na ławie oskarżonych w Głównym Sądzie Kryminalnym zwanym Old Bailey. Wiele tam było pompy i parady, tóg i peruk, ukłonów, okazywania względów i ceremonialnych uprzejmości. Wskoczyłem w to wszystko

niczym jakiś demoniczny król ze spektaklu pantomimy, zjawiłem się tam jak spod ziemi, by od razu stać się ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Oczywiście, miałem też rywala w osobie Wysokiego Sądu. Wydaje mi się, że kiedy ktoś za-siądzie już za sędziowskim stołem, natychmiast ogarnia go przekonanie, że został

oto licencjonowanym kawalarzem i nic nie może sprawić mu większej radości

niż widok publiki, która tarza się w ławach ze śmiechu. Popisy sędziego były na głowę większość musicali, jakie kiedykolwiek dane mi było oglądać. Przyznaję, że jego występy zdecydowanie ożywiały atmosferę oraz że sala sądowa byłaby

bez nich miejscem okrutnie ponurym. No i Główny Kawalarz zachowywał przy tym bezstronność, jednakowo mierząc i w szeregi obrony, i we flanki oskarżenia.

31

Stwierdziłem, że w sumie mnie to bawi, więc śmiałem się na równi z innymi.

Maskell też się tam znalazł, choć w pomniejszej roli. Reprezentantem obrony był facet nazwiskiem Rollins. Tuż przed rozprawą Maskell raz jeszcze usiłował nakłonić mnie do zmiany zdania i przyznania się do winy.

— Panie Rearden — zaczął — chciałbym, żeby pan jeszcze raz prze myślał

konsekwencje, jakie będzie pan musiał ponieść, jeśli przegra pan sprawę. Mało tego, że wyrok będzie duży, ale pociągnie to za sobą także inne następstwa. Skazańcy z dużymi wyrokami są zawsze traktowani jako penitencjariusze bardzo niebezpieczni, jako więźniowie specjalnej kategorii. A już szczególnie w cudzysłowie, darzy się tych, którzy zostawili na wolności jakieś zabezpieczenie finansowe. W przypadku zniknięcia brylantów o wartości stu siedemdziesię-

ciu trzech tysięcy funtów zostanie pan z pewnością zaliczony do tej właśnie grupy. Więzień specjalnej kategorii traktowany jest inaczej niż zwykły klient i o ile wiem, może to przybrać formę mocno nieprzyjemną. Na pana miejscu jeszcze raz

bym to sobie przemyślał.

Nie musiałem sobie niczego przemyśliwać. Nie miałem cienia nadziei na od-

zyskanie brylantów, a w tym tkwiło sedno sprawy. Nawet gdybym przyznał się do winy, to skoro nie było brylantów, i tak poszedłbym siedzieć. Jedyne, co mogłem zrobić, to przybrać godny wyraz twarzy i tak trzymać. Nagle dotarło do mnie,

że Mackintosh jest cholernie sprytnym facetem, a pani Smith to kobieta jeszcze sprytniejsza od niego.

— Przykro mi, panie Maskell, ale jestem niewinny.

Na jego obliczu pojawiło się zaciekawienie. Nie wierzył ani jednemu mojemu słowu, ale za nic nie mógł sobie wykombinować, dlaczego nie chciałem puścić pary z ust. Wreszcie uśmiechnął się lodowato.

— Czy uważa pan, że zainwestowanie czternastu lat życia warte jest tych pieniędzy, panie Rearden? Zbyt długi okres spędzony w więzieniu może zmienić człowieka na gorsze.

Teraz z kolei ja się do niego uśmiechnąłem.

— Zdawało mi się, że nie chce pan z góry przesądzać sprawy, panie mecenasie.

— Myślę, że jest pan bardzo młodym i bardzo niemądrym człowiekiem — powiedział. — Ale życzę panu wszystkiego najlepszego na tę pańską nieszczęsną przyszłość.

Proces posuwał się z nudnizną naprzód. Najpierw ustalono szczegóły związane z ławą przysięgłych, a później się zaczęło. Pierwsze słowo należało do oskarżenia.

Oskarżycielem był wysoki, chudy mężczyzna o twarzy jak ostrze topora. Facet znajdował wyraźne upodobanie w tym, co robił. Zaczął od dość ogólnego przedstawienia sprawy, potem podpierał się już świadkami. Tymczasem Rollins, mój obrońca, przyglądał się jego wyczynom z dość znudzoną miną. Rollinsa widziałem dotąd tylko dwukrotnie i za każdym razem był bezceremonialny jak diabeł.

Wiedział, że tej sprawy nie wygra.

Świadkowie oskarżenia byli dobrzy, naprawdę bardzo dobrzy, i zaczynałem

rozumieć, dlaczego oskarżyciel jest taki pogodny, chociaż na twarzy maluje mu się wyraz okropnego nieszczęścia. Biegli świadkowie policyjni przedstawili zdję-

cia i szkice z miejsca przestępstwa, a kiedy sprawa osiadła już na solidnych fun-
damentach, zaczęli mnie z wolna przygważdżać.

Zjawiała się ta starsza pani — typ kochanej mamuśki — która rozpoznała mnie
w szeregu innych na posterunku policji.

— Widziałam, jak uderzył listonosza — zeznawała z błyskiem uczciwości

bijącym jej z oczu. — Stałam na korytarzu i widziałam, jak oskarżony uderzył

pięścią listonosza, jak wyrwał mu siłą pudełko i wepchnął listonosza do biura.

Później oskarżony zbiegł po schodach.

Prokurator podsunął jej plan drugiej kondygnacji.

— Gdzie pani stała?

Wskazała miejsce w korytarzu, po czym przez całą szerokość sali sądowej po-

patrzyła wprost na mnie. Ta niewinna jak anioł, ta słodka, starsza pani kłamała jak z nut i dobrze
wiedziała, że ja o tym wiem. Nie mogła stać w korytarzu, bo przecież sprawdziłem piętro, a poza tym
nie zgadzały się inne szczegóły jej zeznania.

Ale i tak nic na to nie mogłem poradzić.

Kolejnym gwoździem programu okazał się facet od *Fortnuma i Masona*, który zeznał, że wysyłał do
pewnego hotelu zapakowany kosz z jedzeniem. Dostał telefoniczne zamówienie od niejakiego
Reardena. Na pytanie obrony odparł, że nie ma pewności, czy pan Rearden, który zamówił kosz, oraz
oskarżony, to jedna i ta sama osoba.

Recepcjonista zaświadczył, że oskarżony zatrzymał się w jego hotelu i że ow-

szem, dostarczono kosz na nazwisko pana Reardena. Co stało się z tym koszem,

nie wiedział, ale prawdopodobnie odebrał go oskarżony. W tym miejscu wywiąza-

ła się drobna dyskusja, w wyniku której część jego zeznania została wykreślona.

Jakiś detektyw okazał w sądzie ów koszyk oświadczając, że znalazł go w biu-

rze *Kiddykar Toys Ltd.* Stwierdzono, iż kosz pochodzi ze sklepu Fortnuma.

Kolejny policyjny świadek zeznał, że kosz ten był dosłownie oblepiony odciskami palców oskarżonego, podobnie jak inne przedmioty w biurze: na przykład elektryczny czajnik, imbryczek na esencję oraz filiżanka i sztucce.

Przysięgli wyciągnęli odpowiednie wnioski.

Później pojawił się jeszcze jeden policjant, który oświadczył, że zainteresowało go, kto kryje się pod szyldem *Kiddykar Toys Ltd.* Jak się okazało, była to autentyczną spółka, tyle że nie uprawiała żadnej działalności. Nici wiodące do jej właścicieli zostały mocno pogmatwane, lecz dzięki uprzejmej pomocy policji południowoafrykańskiej naszemu stróżowi prawa udało się te nici rozplatać. Otóż właścicielem spółki okazał się być niejaki Joseph Aloysius Rearden z Johannesburga. Nie, skąd, świadek nie wiedział, czy Joseph Aloysius Rearden od *Kiddykar 33*

to pan Joseph Aloysius Rearden siedzący na ławie oskarżonych, aż tak daleko nie mógł się posunąć w swoich oświadczeniach.

Przysięgli znów wyciągnęli odpowiednie wnioski.

Listonosz zeznawał uczciwie. Uderzyłem go i ocknął się w biurze *Kiddykar*.

W jego oświadczeniu nie znalazło się nic, co stałoby w sprzeczności z zeznaniami „kochanej mamuśki”.

Trzecim naocznym świadkiem był goniec z *Betsy-Lou*. Oznajmił, że widział, jak zamykałem drzwi swego biura na klucz, i że potem zbiegiem po schodach.

Pamiętałem go jak przez mgłę; ktoś rzeczywiście mijał mnie na korytarzu. Ale przecież nie zbiegałem po schodach! W tym miejscu, wraz z upływem czasu, musiała ponieść go wyobraźnia.

Gwiazdorem wśród zeznających okazał się Brunskill.

— Działając na podstawie otrzymanej informacji poszedłem wraz ze śledczym, sierżantem Jervisem, spotkać się z oskarżonym w jego hotelu. Na moje

pytania oskarżony udzielił takich odpowiedzi, że aresztowałem go pod zarzutem domniemanego współdziałania w przestępstwie. Następnie uzyskałem jego odciski palców, które to odciski odpowiadały tym znalezionym w biurze *Kiddykar Toys Ltd.* Dalsze postępowanie śledcze

spowodowało odnalezienie trzech świadków. Wszyscy troje zidentyfikowali oskarżonego. Kolejne, wzmożone działania

śledcze zaowocowały zebraniem materiału dowodowego przedstawionego Wysokiemu Sądowi. W jednym przypadku materiały związane są z koszem jedzenia, w drugim wyjaśniają, kto jest właścicielem spółki *Kiddykar Toys Ltd.*

Prokurator usiadł, by ustąpić miejsca Rollinsowi, który wyskoczył jak z katedry, żeby wziąć świadka w krzyżowy ogień pytań.

Rollins: Powiedział pan, inspektorze, cytując: „Na podstawie otrzymanej informacji”. Jaką drogą trafiła do pana ta informacja?

Brunskill (z wahaniem): Czy muszę odpowiadać na to pytanie, Wysoki Sądzie? Ujawnienie źródeł informacji może okazać się szkodliwe dla. . .

Rollins (błyskawicznie): Wysoki Sądzie, chodzi o złą wolę jakiejś nieznannej osoby, czy osób, która może zaszkodzić sprawie mojego klienta.

Sędzia (przybieraj

ac churchillowski ton głosu): Panie mecenasie Rollins, nie

bardzo widzę, jak też można by jeszcze zaszkodzić sprawie pańskiego klienta.

Ale proszę, jestem skłonny podtrzymać pańskie pytanie. Interesuje mnie to tak jak wszystkich innych. Czekamy na odpowiedź, panie inspektorze.

Brunskill (niechętnie): Otrzymaliśmy telefon i list.

Rollins: Oba anonimowe?

Brunskill: Tak.

Rollins: Czy oba wskazywały na to, że oskarżony dopuścił się tego przestępstwa?

Brunskill: Tak.

Rollins: Czy informowały też, gdzie oskarżony przebywa?

34

Brunskill: Tak.

Rollins: Czy zawierały informacje o tym, że kosz z wiktuałami znaleziony w biurze spółki został zakupiony przez oskarżonego sklepie *Fortnum & Mason*?

Brunskill: Hm. . . Tak.

Rollins: Czy przestępstwem jest zaopatrywać się w tej renomowanej firmie kupieckiej?

Brunskill (ostro): Oczywiście, że nie.

Rollins: Czy owe anonimowe doniesienia sugerowały, że spółka zarejestrowana jest na nazwisko oskarżonego?

Brunskill (skrzepowany): Tak.

Rollins: Czy to zbrodnia posiadać taką spółkę jak *Kiddykar Ltd*?

Brunskill (na granicy cierpliwości): Nie.

Sędzia: Nie byłbym tego taki pewny. Każdy, kto jest w stanie wymyślić równie paskudną nazwę dla spółki, poniewiera nasz ojczysty język do tego stopnia, że powinien być traktowany jak zbrodniarz.

(')

Smiech na sali.)

Rollins: Inspektorze, czy nie przyzna pan, że w tej sprawie ktoś zrobił za was całą robotę? Czy nie przyzna pan, że bez tych obciążających donosów oskarżony nie siedziałby teraz z nami w sądzie?

Brunskill: Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Złapalibyśmy go i tak.

Rollins: Naprawdę? Podziwiam pańską pewność siebie.

Brunskill: Złapalibyśmy go.

Rollins: Ale nie tak szybko, co?

Brunskill: Może.

Rollins: Czy nie nazwałby pan swego tajemniczego informatora kimś, kto miał

prywatny interes w tym, żeby się oskarżonemu jak najgorzej przysłużyć? Czy nie nazwałby go pan ordynarnym donosicielem albo w najlepszym razie policyjnym

provokatorem?

Brunskill (uśmiechaj

ac się): Wolałbym o nim myśleć jak o człowieku, który

spełnia swoją obywatelską powinność.

Bardzo śmieszne! Mackintosh w roli człowieka spełniającego obywatelską po-

winność! Do licha, ta para okazała się nad wyraz sprytna! Kosz z wiktuałami od *Fortnuma i Masona* ujrzałem po raz pierwszy w biurze *Kiddykar* i z całą pewno-

ścią nie ja go zamawiałem. To pani Smith zadbała o zakupy, jak widać z dobrym skutkiem! Nie byłem też właścicielem spółki *Kiddykar Toys Ltd*, w każdym razie nic o tym nie wiedziałem. No tak, ale potrzebowałbym cholernie dużo czasu, że-by to udowodnić. Nie ma co, doprowadzili mnie do ławy oskarżonych związanego

jak barana na rzeź!

Po tych wystąpieniach nie działo się wiele więcej. Powiedziałem, co miałem

do powiedzenia, choć było to całkiem bezcelowe — prokurator rozszarpał mnie

35

na kawałki, a Rollins, zresztą zupełnie bez przekonania i bez większych rezultatów, usiłował pozszywać mnie o kupy. Sędzia rzecz całą pokrótce zreferował

i uważając, by nie dać obronie powodów do odwołania się w Sądzie Apelacyj-

nym, Poinstruował przysięgłych, by uznali mnie winnym. Sędziowie przysięgli

zniknęli na zapleczu — ale tylko na pół godziny, żeby puścić nareszcie wytęsknionego dymka — po czym wrócili, z wiadomym werdyktem.

Wtedy sędzia zapytał, czy mam coś do powiedzenia. Więc powie działałem.

Tylko dwa słowa.

— Jestem niewinny.

Nikt na to nie zwrócił uwagi, bo wszyscy przyglądali się jak sędzia układa

papiery. Przyglądali się temu w napięciu i w radosnym oczekiwaniu, bo każdego interesowało, ile też mi dołoży. Jakiś czas robił wokół siebie zamieszanie, wreszcie, upewniwszy się, że wszystkie oczy utkwione są w niego, przemówił głosem

złowieszczym i potępiającym:

— Josephie Aloysiusie Rearden, został pan uznany winnym rabunku brylan-

tów wartości stu siedemdziesięciu trzech tysięcy funtów. Mam za to przestępstwo wydać

sprawiedliwy wyrok. Zanim jednak to uczynię, chciałbym rzec kilka słów

na temat pańskiego udziału w tej sprawie.

Wiedziałem, do czego zmierza. Stary piernik, nie mógł sobie od mówić tej przyjemności i chciał mnie pouczać. Z bezpiecznego miejsca to cholernie łatwe.

— Oto idzie sobie ulicą zwykły obywatel, jak co dzień wykonując swoje normalne obowiązki, a tu nagle i niespodziewanie staje się ofiarą napadu. Jest nieświadomy faktu, że ma przy sobie kosztowności, które uznałby niewątpliwie za niezmiernie bogactwo i to z ich powodu właśnie zostaje zaatakowany. Kosztow-

ności owe — brylanty — zniknęły, a pan Rearden nie wykazał najmniejszej chęci do współpracy z policją, aby je odzyskać. Nie zrobił pan tego, chociaż musiał

pan wiedzieć, że jeśli pan to uczyni, sąd będzie skłonny potraktować pana łaska-wiej. Dlatego teraz nie może pan liczyć na moją wyrozumiałość. Zaskoczyła mnie pańska zatwardziałość w tej kwestii, lecz zdumienie moje zmalowało, kiedy dokonałem pewnych działań matematycznych. Normalną kolejną rzeczy, w przypadku

przestępstwa, jakiego się pan dopuścił, to jest rabunku połączonego z napadem —

co w naszym kraju budzi szczególną odrazę — oraz z bezpowrotną utratą mienia

prywatnego wartości stu siedemdziesięciu trzech tysięcy funtów, zostałby pan su-rowym wyrokiem sądu skazany na czternaście lat pozbawienia wolności. Z moich

rachunków niezbitnie wynika, że w ciągu tych czternastu lat pański dochód — i to dochód zwolniony od podatku — wyniósłby przeszło dwanaście tysięcy funtów

rocznie, co uzyskujemy dzieląc wartość skradzionych przez pana brylantów przez czternaście. W tym miejscu chciałbym zauważyć, iż kwota ta znacznie przewyż-

sza uposażenie sędziego Jej Królewskiej Mości, choćby takiego jak ja, co może sprawdzić każdy, kto pofatyguje się do Almanachu Whitakera. Czy poświęcenie czternastu lat wolności i skazanie się na mało sympatyczne warunki panujące 36

w więzieniach warte jest tego dochodu? To sprawą do dyskusji. Pan najwyraźniej uznał, że tak. Do zadań sądu nie należy jednak czynić nie z przestępczości dzia-

łań opłacalnych, zatem nie może pan mieć mi za złe, że dołożę wszelkich starań, by pana dochody zmniejszyć. Josephie Aloysiusie Rearden, skazuję pana na dwadzieścia lat pozbawienia wolności w takim zakładzie, bądź zakładach karnych,

jakie władze więzienne uznają za stosowne.

Założyłbym się, że Mackintosh pęka ze śmiechu.

Sędzia miał rację, mówiąc o „mało sympatycznych warunkach panujących w więzieniach”. W tym, w którym się znalazłem, były dość koszmarne. Oddział przyjęć okazał się zatłoczony — tego dnia sędziowie musieli chyba wyrabiać nad-godziny — i trzeba było czekać w nieskończoność, w dodatku nie bardzo wiadomo na co. Czuję się nieco przybity, no bo trudno jest tak stać przed sędzią i z całkowitą obojętnością przyjąć wiadomość o dwudziestu latach odsiadki.

Dwadzieścia lat!

Miałem trzydzieści cztery lata, więc gdy wyjdę, będę miał pięćdziesiąt cztery.

Może trochę mniej, jeśli uda mi się ich przekonać, że grzeczny ze mnie facet.

Chociaż w świetle tego, co mówił sędzia, rzecz okaże się zapewne diablo trudna.

Każda Komisja Odwoławcza, przed którą miałbym ewentualnie stanąć, przeczyta najpierw stenogram procesu i uwagi sędziego będą ich bić po oczach.

Dwadzieścia lat. . .

Stałem więc sobie bezwolnie, tymczasem eskortujący mnie policjant wyczytywał na głos szczegóły mojej sprawy oficerowi przyjmującemu.

— Dobra — powiedział gość, pod którego opiekę przechodziłem. Wpisał się do jakiejś książki i wyrwał z niej kartkę. — Tu jest pokwitowanie za jedną sztukę.

Jak Bóg na niebie, tak właśnie powiedział: „za jedną sztukę”! W więzieniu przestaje się być człowiekiem, jest się „sztuką”, kimś pogrzebanym za życia, chodzącym numerem statystycznym, jest się czymś, co można przekazywać z rąk do

rąk tak, jak to robiła Poczta Jej Królewskiej Mości z złotym pudełkiem pełnym brylantów, jest się opakowaniem wypełnionym krwią i bebechami, które wymagają żarcia w regularnych odstępach czasu, no i oczywiście — tak się tu zakłada

— jest się całkowicie pozbawionym rozumu.

— Ty! Rusz się no! — odezwał się mój nowy opiekun. — Właż tutaj. —

Otworzył kluczem drzwi, po czym odstąpił na bok, by mnie przepuścić. Drzwi

zatrzasnęły się za mną z hukiem i usłyszałem szcęk zamka.

Znalazłem się w pomieszczeniu, w którym tłoczyli się faceci najróżniejszej

maści, co wnosiłem po ich ubraniach. Można tam było zobaczyć wszystko po-

cząwszy od dżinsów, skończywszy na meloniku i spodniach w prążki. Nikt się nie 37

odezwał. Po prostu stali tak sobie ze wzrokiem wbitym w podłogę i oddawali się temu zajęciu z jakąś szczególną pasją. Przypuszczam, że wszyscy czuli się tak jak ja, że stracili całą parę.

Czekaliśmy tam długo, zastanawiając się, co będzie dalej. Może niektórzy

z nich wiedzieli, z poprzednich odsiadek. Ja jednak znalazłem się w angielskim mamrze po raz pierwszy i trochę się bałem. Zaczynałem się martwić tym, co powiedział Maskell o nieprzyjemnym traktowaniu więźniów kategorii specjalnej.

Wreszcie zaczęli nas wywoływać, pojedynczo, przestrzegając po rządku al-

fabetycznego. R znajduje się dopiero gdzieś pod koniec alfabetu, musiałem więc czekać dłużej niż większość, ale i moja kolej w końcu nadeszła, a wtedy strażnik zaprowadził mnie korytarzem do jakiegoś gabinetu.

Więźnia nigdy nie prosi się, by zechciał usiąść. Stałem zatem przed biurkiem

i odpowiadałem na pytania, a więzienny oficer zasuwał dane jak maszyna. Zapisał

moje imiona, nazwisko, miejsce urodzenia, imię ojca, nazwisko panięskie matki, ile mam lat, jakich krewnych i jaki zawód. Przez cały ten czas ani razu na mnie nie spojrział, bo dla niego nie byłem człowiekiem. Widział we mnie komputerowy bęben z danymi statystycznymi — naciskał guzik, *pstrrrryk* i już jest potrzebna informacja.

Kazali mi opróżnić kieszenie. Ich zawartość cisnęli na biurko i zanim ją wrzucili do płóciennego worka, skrupulatnie wszystko spisali. Potem zdjęli mi odciski palców. Rozejrzałem się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłbym zetrzeć tusz, ale niczego takiego nie znalazłem.

Wkrótce dowiedziałem się, dlaczego. Strażnik wyprowadził mnie z gabinetu

i wepchnął do gorącego, wypełnionego parą pomieszczenia, gdzie kazano mi ro-

zebrać się do naga. Tam właśnie pożegnałem się ze swoim ubraniem. Nie miałem

go oglądać przez dwadzieścia najbliższych lat i musiałbym mieć cholernie dużo szczęścia, żeby okazało się jeszcze modne.

Po kąpieli, co dobrze mi zrobiło, ubrałem się w więzienny strój. Przedzier-
gnąłem się w człowieka w garniturze z szarej flaneli. Tylko że ten garnitur miał
okropny krój i z dwojga złego wolałbym już chyba pójść do krawca Mackintosha.

Przemaszerowałem kolejnym korytarzem i wylądowałem na badaniu lekar-
skim. Badanie lekarskie to następny przejaw biurokratycznej głupoty. Dlaczego nie przeprowadzają
go, kiedy człowiek jest nagi, tuż po prysznicu? Tego nie byłem w stanie pojąć. Tym niemniej
rozebrałem się grzecznie, potem znów się ubrałem i zostałem zakwalifikowany do pracy. Tak,
okazałem się pierwsza klasa! Jestem facet zdatny do każdej roboty!

Później strażnik zaprowadził mnie do ogromnego holu z rzędem cel wzdłuż
ścian i z żelaznymi schodami, do złudzenia przypominającymi schody przeciw-
pożarowe.

— Powiem ci tylko raz — odezwał się strażnik. — To jest hol C.

Z metalicznym tupotem pokonaliśmy kilka stopni i weszliśmy na podest. Za-

38

trzymał się przed jakąś celą i otworzył ją kluczem.

— Twoja.

Wszedłem do środka i drzwi zatrzęsły się za mną z głuchym łoskotem osta-
teczności. Stałem tak, nie patrząc na nic w szczególności. Mózg mi kompletnie zdrętwiał. Po jakimś
kwadransie położyłem się na łóżku i byłem o krok od tego, żeby zapłakać się na amen.

Później poczułem się jakby trochę lepiej i byłem już w stanie zmusić swój in-
telekt do stawienia czoła rzeczywistości. Cella miała około czterech metrów dłu-
gości, nieco ponad dwa szerokości i na oko ze dwa i pół metra wysokości. Ściany pstrzyły się urzędowym kremem i
więzienną zielenią, a w jednej z nich, wysoko pod sufitem, widniało maleńkie, zakratowane okienko.
Drzwi wyglądały tak solidnie, że wytrzymałyby chyba ciężki ostrzał artyleryjski i oczywiście tkwił w
nich judasz.

Na ubogie umeblowanie składały się: żelazne łóżko, drewniany stół wraz

z krzesłem, podstawka pod miednicę z dzbankiem na wodę, miednica, nocnik oraz łysa półka.
Badanie celi więziennej to zadanie, które wykonuje się błyskawicznie, bo nic do badania tu nie ma.
W ciągu trzech minut odkryłem wszystko, co było do odkrycia: trzy koce, dwa prześcieradła, materac

w góry i doły, zapasową koszulę, filcowe kapcie, cienki, ścierkowaty ręcznik, łyżkę i kubek. Na sznurku owinię-

tym wokół gwoźdźcia w ścianie wisiał egzemplarz Przepisów i Zasad rządzących zakładami karnymi Jej Królewskiej Mości.

Tak więc wystarczyły trzy minuty i o celi wiedziałem już wszystko. Zastanawiałem się, czym się będę zajmował przez następne dwadzieścia lat. Właśnie wtedy postanowiłem racjonować swoją ciekawość, zwolnić tempo, nie myśleć.

Za dużo będzie czasu, za mało wydarzeń. Każde przeżycie okaże się skarbem, którego trzeba zazdrośnie strzec.

Ściany mojego więzienia nabrały nagle realnego, fizycznego wymiaru. Czuję, jak mnie osaczają, jak na mnie napierają, czuję ich grubość, ich moc. Przeżyłem iście klaustrofobiczny kwadrans, zanim wrażenie ustąpiło, a ja zdołałem opanować rozdygotane dłonie.

Natychmiast złamałem obietnicę o racjonowaniu ciekawości i zacząłem czytać regulamin więzienia. W końcu musiałem przecież to zrobić. Byłem w tej szkółce nowym uczniem i zdecydowałem, że im szybciej nauczę się zasad gry, tym lepiej.

Starzy wyjadacze mogli wyciąć nowicjuszowi sporo numerów, a nie chciałem dać się nabrać na żaden.

Regulamin okazał się nader pożytecznym źródłem informacji. Do wiedziałem

się z niego, że dodatkowa koszula w celi miała robić za koszulę nocną, że światło gaszono o wpół do jedenastej, że pobudkę urządzano o szóstej trzydzieści rano, i że będą mi wydawać maszynkę do golenia, którą zaraz po goleniu odbiorą. Znajdowały się tam jeszcze inne pomocne wskazówki łącznie z tą, jak wydostać się

z więzienia.

39

Mogłem na przykład odwołać się do Sądu Apelacyjnego do Spraw Kryminalnych, a gdyby to nie poskutkowało, mogłem odwołać się do Prokuratora Gene-

ralnego, aby przedłożył moją sprawę w Izbie Lordów. W każdej chwili mogłem smarować petycje do ministra spraw wewnętrznych i wolno mi było korespondować z moim posłem w Parlamencie.

Jakoś nie widziałem siebie przy tych czynnościach. Nie czułem się na tyle

za pan brat z ministrem spraw wewnętrznych, by wdawać się z nim w obszerną wymianę listów, z kolei mój poseł w Parlamencie znajdował się ciut za daleko, bym mógł mieć z niego jakikolwiek pożytek — dzieliło nas, bagatela!, prawie

cztery tysiące kilometrów.

Przeczytałem regulamin od deski do deski, a potem zacząłem jeszcze raz od początku. Nie miałem nic innego do roboty, więc postanowiłem nauczyć się tej cholernej książeczki na pamięć. Ciągle czytałem, gdy zgasło światło.

IV

Rozbrzęczał się dzwonek. Otworzyłem oczy i czas jakiś miałem mętlik w gło-

wie. Później przypomniałem sobie, gdzie jestem. Ubrałem się pospiesznie, zaścieliłem łóżko i dźwignąłem je tak, żeby stało na baczność w rogu celi. Usiadłem na krześle i czekałem. Niebawem od strony drzwi doszedł mnie cichy metaliczny

dźwięk i już wiedziałem, że ktoś mnie obserwuje przez judasza.

Rozległ się ostry szczęk przekręcanego zamka i drzwi się otworzyły. Wstałem.

Do celi wszedł strażnik. Rozejrzał się wokół taksującym spojrzeniem, a potem skupił swój zimny wzrok na mnie.

— Jesteś nowy. Już to czytałeś, co? — Kiwnął głową w stronę broszury na stole.

— Czytałem.

— Łóżko stoi w złym rogu, a książka powinna wisieć na ścianie, tam, skąd ją wzięłeś. Nauczysz się. Skorzystaj z mojej rady i rób, co ci mówią, a będzie w porządku. Teraz łap się za nocnik i idziemy wylewać.

— Nie używałem nocnika — zauważyłem.

— Wylewa się niezależnie od tego, czy był używany, czy nie — rzucił sucho.

— Pamiętaj, co mówiłem. Rób, co każą i nie dyskutuj. To lekcja numer jeden.

Podniosłem nocnik i wyszedłem za strażnikiem na zatłoczoną galeryjkę. Ludzie stali tu w szeregu, a każdy ścisnął w garści swój nocnik.

Ktoś krzyknął: „Dobra jest! Ruszać się!” i w powietrzu uniosła się smrodliwa woń. Przesuwałem się wraz z innymi, by w końcu stwierdzić, że powinienem opróżnić nocnik do jednego zlewu, a w drugim zlewie go umyć. Zrobiłem, co trzeba i wróciłem do celi, małpując innych.

Znów przyszedł strażnik.

— Jak chcesz, możesz jeść w celi. Dostaniesz jedzenie razem z innymi, w ja-
dalni na dole, ale możesz zabrać tacę na górę, jeśli tymczasem nie masz ochoty dołączyć do reszty
towarzystwa.

Nie czułem się jeszcze na siłach z kimkolwiek rozmawiać. Zanadto pochła-
niało mnie trzymanie się w ryzach.

— Dzięki — powiedziałem i usłyszałem, jak głos mi się łamie.

— Nie mnie dziękuj — rzucił ironicznie. — Tak stanowią przepisy dla nowo
przybyłych. Aha, i jeszcze jedno. Dziś rano pójdziesz zameldować się u Naczelnego. Funkcyjny
zaprowadzi cię do gabinetu.

Funkcyjny przyszedł po mnie tuż przed dziesiątą i razem wyszliśmy z holu C.

— Ty jesteś Rearden? — spytał. — Słyszałem o tobie.

— Słyszałeś?

— Nazywam się Simpson. — Dźgnął mnie mocno łokciem pod żebra. —

Idziesz się stawić przed Komisją Przyjęć. Z niczym się nie wychylaj, tyle ci radzę.

— Co tam będzie?

— Och, nasi chcą ci się tylko z bliska przyjrzeć. Naczelnik, Kropidło, Główny

Klawisz i Kaowiec. To miejscowe szychy. Naczelnik nie jest najgorszy, jeśli żyjesz z nim w
zgodzie, ale jak nie, niech cię Bóg ma w opiece. Niektórzy bę-

da cię chcieli od razu nawracać, banda pieprzonych dobroczyńców. Ale strzeż się Hudsona, to
prawdziwy sukinsyn.

— Kto to jest?

— Główny Klawisz.

Simpson zaprowadził mnie do poczekalni, w której siedziało już sześciu in-
nych więźniów. Wszyscy robili wrażenie ludzi upadłych na duchu.

Simpson zachichotał.

— Ty nie musisz czekać na swoją kolejkę, brachu. Wchodzisz pierwszy. Masz specjalne uprawnienia.

— Dlaczego specjalne?

— Zobaczysz. Naczelnik ci to zgrabnie wytłumaczy.

Miałem zamiar coś z niego jeszcze wydusić, ale w poczekalni zjawił się strażnik.

— Rearden! Tędy. Simpson, wracaj na hol C.

Wokół dużego stołu siedziało pięciu mężczyzn, dwóch z nich w mundurach więziennych funkcjonariuszy. Śmieszna historia z tymi więziennymi mundurami.

Faceci, którzy się w nie wbijają, nigdy nie zdejmują z głów czapek, nigdy, nawet wtedy, gdy siedzą w gabinecie samego szefa! Może to wynika z tradycji ich służ-

by? Jeden z cywilów miał na szyi koloratkę. To musiał być Kropidło, jak Simpson nazwał więziennego kapelana.

Siedzący pośrodku mężczyzna o wojskowym wyglądzie przemówił pierwszy.

— Rearden, jestem naczelnikiem tego więzienia. Znaleźliście się tu, bo dopu-

ściliście się przestępstwa i społeczeństwo zdecydowało, że nie możecie pozostać 41

na wolności. Jak będziecie sprawować się w tym zakładzie, to wasza rzecz. Bo na więzienie, Rearden, można spojrzeć dwojako. Można w nim widzieć miejsce odbywania kary, bądź miejsce odnowy moralnej. Wybór należy do was. My jesteśmy

wyposażeni w środki na obie okoliczności. Czy dobrze się rozumiemy?

— Tak jest, panie naczelniku. Wziął ze stołu jakąś kartkę.

— Na ogół mam zwyczaj traktować wszystkich więźniów jednakowo. Tym

razem jednak dostałem pismo z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, żeby potrak-

tować was jako więźnia specjalnej kategorii, a to z kolei łączy się z określonymi restrykcjami dotyczącymi waszego pobytu u nas. Na przykład: sprowadził

was tutaj funkcyjny, najwyższy rangą więzień. To się już więcej nie powtórzy.

W przyszłości, jeżeli będziecie mieli poruszać się wewnątrz zakładu, pójdziecie pod obstawą

strażnika. Będziecie też nosić kolorowe naszywki na ubraniu. Mam

tu przygotowaną listę wszystkich innych restrykcji związanych z postępowaniem wobec więźnia kategorii specjalnej. Przestudiujecie ją sobie i będziecie się do niej stosować.

Wręczył mi kartkę. Złożyłem ją i wsadziłem sobie do kieszeni. Naczelnik odchrząknął.

— Musicie zrozumieć, Rearden, że to, jak długo będziecie należeć do tej kategorii penitencjariuszy, zależy wyłącznie od was. Sprawa waszego ewentualnego przeszeregowania będzie rozpatrywana w regularnych odstępach czasu, a moja

rekomendacja zostanie przed stawiona w ministerstwie. Musicie też wiedzieć, że ministerstwo ma wszelkie prawo zignorować moje rekomendacje. Należycie do

grupy więźniów specjalnego nadzoru i zawdzięczacie to wyłącznie swojemu po-

stępowaniu. Dlatego jeśli tylko istnieje jakikolwiek sposób, żeby przekonać władze policyjne, iż nie stanowicie już takiego za grożenia, to gorąco was zachęcam, byście z niego skorzystali.

Oczywiście miał na myśli brylanty. Wciąż zależało im na tych cholernych brylantach!

— Tak jest, panie naczelniku — odparłem drewnianym głosem. Spróbuję się nad tym zastanowić.

Naczelnik odwrócił głowę.

— Czy chcielibyście coś dorzucić, Padre? Kapelan uśmiechnął się.

— Nazywam się Clark. Przejrzałem twoje papiery, synu, i zauważyłem, że nie przyznajesz się do żadnego wyznania. . .

— Zgadza się, ojczu.

— Nie jestem z tych, którzy wpychają ludziom religię do gardła — oznajmił

Clark. — Ale czy będziesz miał coś przeciwko temu, jeśli za jakiś czas do ciebie wpadnę, synu?

— Nie, ojczu.

— To jest pan Anderson, nasz kulturalno-oświatowy — objaśniał mnie naczeln-

nik. — Może wiele dla was działać, jeśli mu na to pozwolicie. Ilekroć będziecie 42

chcieli się z nim spotkać, dajcie znać strażnikowi z waszego piętra. Czy chcielibyście już teraz zapytać o coś pana Andersona?

— Tak jest, panie naczelniku. W jaki sposób mogę zaopatrzyć się w przybory do pisania i książki?

— Materiały do pisania, pióra i papier możecie kupić w sklepie za pieniądze, które zarobicie pracując w więzieniu. Będziecie dostawać minimum szylinga i osiem pensów dziennie, ale zarobicie więcej, jeśli się postaracie. Książki możecie wypożyczać z więziennej biblioteki.

— Dziękuję. Czy można będzie ściągnąć jakieś książki spoza zakładu? — Zaważałem się. — Mam tu spędzić kupę lat, chciałbym się uczyć. Chcę się moralnie odbudować. Anderson zamierzał coś powiedzieć, ale się pohamował i spojrzał na naczelnika. A naczelnik zauważył:

— Bardzo to szczytny cel, Rearden, ale muszę się nad tym zastanowić. Ta sprawa zależeć będzie od waszego ogólnego postępowania, a jak sami powiedzieliście, spędzicie tu kupę lat. — Skinął głową w stronę mundurowego przy końcu stołu. — A to jest pan Hudson, komendant straży więziennej. Pan Hudson odpowiada za dyscyplinę w zakładzie. Czy chciałby pan coś powiedzieć, panie Hudson?

— Tylko jedno, panie naczelniku — rzekł Hudson; miał martwą gębę i oczy jak drobiny szkła. — Nie lubię więźniów kategorii specjalnej, Rearden. Zakłócają porządek i powodują zamieszanie wśród innych skazanych. Nie sprawiaj mi tu żadnych kłopotów, to wszystko. Inaczej mocno tego pożałujesz.

Bardzo się pilnowałem, żeby nic nie wyczytali z mojej twarzy.

— Rozumiem, panie komendancie.

— Mam szczerą nadzieję, że rozumiecie, Rearden — odezwał się naczelnik.

— Macie dzisiaj gości. Policjant ze Scotland Yardu. — Dał znak strażnikowi stojącemu przy drzwiach. — Wiesz, gdzie go zaprowadzić.

Spodziewałem się zobaczyć Brunskilla, ale to był ktoś inny.

— Inspektor Forbes, śledczy. Siadajcie, Rearden.

Usiadłem po przeciwnej stronie stołu, a on zaczął, nawet sympatycznie:

— Przypuszczam, że naczelnik już wam sprzedał nowinę. Zostaliście zakwalifikowani do grupy więźniów specjalnego nadzoru, tak? Czy wiecie, co to znaczy?

Potrząsnąłem głową.

— Nie bardzo.

— To lepiej się dowiedzcie — poradził. — Naczelnik dał wam chyba egzem-

plarz regulaminu dotyczącego tej grupy penitencjariuszy. Macie teraz pięć minut na zapoznanie się z przepisami.

43

Wyjąłem kartkę z kieszeni i wygładziłem na stole. Nawet przy pobieżnym

czytaniu stało się od razu jasne, że życie w zakładzie będzie dla mnie zdecydowanie trudniejsze niż dla innych więźniów. Światło w mojej celi palić się będzie całą noc, to po pierwsze. Wszystkie ubrania, wyjąwszy nocną koszulę i kaptcie, będą co wieczór zabierane w depozyt. Wszystkie listy, jakie bym miał pisać, będę musiał wręczać strażnikowi. Zrobią z tych listów kopie, fotostaty wyślą do miejsc przeznaczenia, oryginały zaś zatrzymają w więziennej kartotece. Wszystkie rozmowy z odwiedzającymi mnie gośćmi będą odbywać się w obecności strażnika.

Spojrzałem na Forbesa.

— To są, rzecz jasna, postanowienia najogólniejsze — powiedział. — Są jesz-

cze inne. Będziecie bez ostrzeżenia przenoszeni z celi do celi, będziecie mieli kipisz za kipiszem, i tak dalej. Wszystko to razem mocno dokuczliwe.

— A panu właściwie co do tego?

Wzruszył ramionami.

— Właściwie nic. Tyle tylko, że mi was żal. Gdybyście nie byli tacy głupi,

moglibyście z tego jakoś wyjść.

— Zza kratek?

— Zza kratek to chyba nie — wyznał z żalem. — Ale gdybyście zechcieli z nami współpracować, Komisja Rewizyjna spojrzałaby na was o wiele łaskawszym okiem.

— Na czym ta współpraca miałaby polegać?

— Dajże już z tym spokój, Rearden — rzekł zmęczonym głosem. — Dobrze wiesz, czego chcemy. Chodzi o brylanty, człowieku, o brylanty!

Spojrzałem mu prosto w oczy.

— W życiu nie widziałem tych waszych brylantów — odparłem.

I była to najprawdziwsza prawda, od początku do samego końca. Przecież ja tych brylantów naprawdę nie widziałem!

— Posłuchaj, Rearden, my wiemy, że to ty je rąbnałeś. Zresztą wszystko ci odpowiednio udowodniliśmy, no nie? Po co się zgrywać na niewinnego? Wielki

Boże, człowieku, zapudłowali cię w tym pierdłu na jedną czwartą życia! Myślisz, że jak wyjdiesz, to będziesz się jeszcze do czegoś nadawał? Sędzia miał rację, ta gra nie warta jest świeczki.

— Czy muszę tu siedzieć i pana wysłuchiwać? — zapytałem. — Czy to jest część mojej kary?

— Nie, nie musisz mnie słuchać, Rearden. Nie chcesz, nie słuchaj. Muszę przyznać, że cię nie rozumiem, wiesz? Nie rozumiem, dlaczego przyjmujesz to tak spokojnie. No dobra, spróbujmy z innej beczki. Skąd wiedziałeś, że będzie dostawa? Skąd wiedziałeś, pod jaki adres wysłano brylanty? To też nas interesuje.

— Nic o tym nie wiedziałem.

— Nie wiedziałeś? — powtórzył. — A wiesz, może to i prawda? Tak, niewy-

kluczone, że mówisz prawdę. . . — Odchylił się na krześle, otworzył usta, znowu 44

je zamknął i gapił się na mnie. Po kilku chwilach zaczął się śmiać. — No nie! To nie może być aż takie proste! Chyba nie wystawili cię na odstrzał, Rearden, co?

No powiedz, brachu. . .

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

Forbes poklepał dłonią blat stołu.

— Zjawiasz się zniecka w Anglii. Cztery dni później robisz skok Musieli ci

nagrać tę robotę, bo sam w trzy dni byś tego nie zmontował. Zgarniamy cię, a brylantów już nie ma. Zatem gdzie są? Naturalnie, ma je ktoś inny. — Zachichotał.

— Czyżby to był ten sam człowiek, który zadzwonił do nas i wysłał anonimowy

list? Przekazałeś mu brylanty, a on cię sprzedał, Rearden, tak? Twój łąbski koleś, który to wszystko zaplanował, zrobił z ciebie frajera, zgadza się?

Siedziałem bez słowa.

— I co? — zawołał. — Kodeks honorowy złodziei? Nie zgrywaj aż takiego

durnia, Rearden. Twój kumpel sprzedał cię glinom za nędznych kilka tysięcy fun-tów, a ty go osłaniasz?! — W jego głosie dało się słyszeć zgorzienie. — Tylko sobie nie kombinuj, że jak stąd wyjdiesz, to go znajdziesz. To nie będzie takie łatwe. Widzisz, ja też mam napisać dla ministerstwa rekomendację w twojej sprawie. Zawiadomię ich, że stanowczo odmówiłeś współpracy, a to oznacza, że nie-

zależnie od tego, z jakim wnioskiem wystąpi naczelnik więzienia, przez cholernie długi czas pozostaniesz więźniem kategorii specjalnej. Możesz się tu sobie dobrze sprawować, możesz być nawet więźniem idealnym, ale kiedy Komisja Rewizyjna

przeczyta mój raport, nic ci to nie pomoże.

— Rozważę to — powiedziałem z wahaniem.

— Dobrze to sobie rozważ, Rearden — rzekł z naciskiem. — Jak będziesz

chciał mnie widzieć, wystarczy słówko do naczelnika. Tylko nie próbuj robić ze mnie głupka i nie marnuj mego czasu. Ty dostarczysz nam to, na czym nam zależy, a my przyskrzynimy twego koleśia i załatwimy go na amen. A ciebie przeniesiemy do zwykłej kategorii. Co więcej, osobiście dopilnuję, żeby Komisja Rewizyjna

łaskawie rozpatrzyła twoją sprawę. Więcej już chyba nie mogę dla ciebie zrobić, prawda?

W cichości ducha wątpiłem, czy może zrobić aż tyle. Taki inspektor to

w Scotland Yardzie diabelnie mała płotka i jeśli sądził, że nie wiem, o co mu szło, to musiał mnie brać za ostatniego idiotę. Wszystko, na czym Forbesowi zależało, to wyjaśnić sprawę, dorobić się pozytywnej adnotacji w arkuszu osiągnięć i zyskać opinię tego, który umie nawracać krnąbrnych przestępców. Uzyskawszy

to, czego chciał nawet by się w moją stronę nie obejrzał, bo ja już bym się wtedy nie liczył. Byłem przecież tylko spaczonym kryminalistą, a nie ma obowiązku dotrzymywania obietnic danych przestępcy. I mówić tu o złodziejskim honorze!

— Dwadzieścia lat to szmat czasu — zacząłem powoli. — Rozważę to bardzo starannie, panie Forbes.

— I nie pożałujesz tego, Rearden — zapewnił mnie wylewnie. — Masz, zapal

45

sobie. . .

Sądę, że człowiek może przywyknąć do wszystkiego. Słyszałem, że Żydzi przyzwyczaili się nawet do życia — i umierania — w Belsen i w Dachau. Cóż, chociażby nie wiem jak parszywe, było to jednak tylko więzienie, a nie Dachau.

Pod koniec pierwszego tygodnia nie brałem już jedzenia do celi, lecz dołączyłem do innych i jadłem w stołówce. Wtedy właśnie odkryłem, że jestem kimś.

W więzieniu obowiązuje bardzo silny system kastowy, w dużej mierze oparty na

wykazie przestępczych osiągnięć, jak i — o dziwo! — na ich braku. Osiągnięcia poznaje się po długości odsiadki. Z grubsza rzecz biorąc, długodystansowcy tacy jak ja znajdują się na samym szczycie więziennej piramidy, natomiast długodystansowcy kategorii specjalnej stanowią samą elitę. Podziwia się ich i szanuje, każdy z nich otacza się małą świtą i może domagać się przysług od

wszelkiego rodzaju padluchów, pacholków i innego, pomniejszego tałatajstwa.

To jeden typ klasyfikacji. Drugi dzieli więzienną społeczność w zależności od popełnionego przestępstwa. Łebskie chłopaki — nałogowi szalbieże i zawodowi

oszuści — zajmują górne szczeble drabiny. Tuż za nimi plasują się kasiarze. Na samym zaś dole tkwią przestępcy seksualni, których nikt nie lubi. Uczciwy włamywacz cieszy się szacunkiem bardziej za swoją fachowość i skromność niż za

cokolwiek innego.

Moja pozycja uprawniała mnie do tego, że gdybym tylko zechciał, mógłbym

wymagać od innych sporego respektu. Brało się to stąd, że byłem nie tylko długodystansowcem, ale i wykiwałem glińiarzy, nie sprzedając przy tym swego ta-

jemniczego kumpla. W więzieniu nie da się utrzymać żadnego sekretu i wszyscy

dobrze znali szczegóły mojej sprawy. Ponieważ trzymałem gębę na kłódkę co do

brylantów i ponieważ wszyscy wiedzieli, jak bardzo Forbes mnie naciskał, uznany zostałem za człowieka, za faceta w porządku, może za dziwaka, ale takiego, któremu należy się szacunek.

Trzymałem się jednak z dala od wszelkich powiązań i układzików Sprawowa-

łem się grzecznie, bo nie chciałem należeć do kategorii specjalnej dłużej niż trzeba. Nadejdzie kiedyś pora ucieczki, musiałem więc zwieść inwigilujących mnie

strażników i odwrócić od siebie uwagę. Nie byłem, rzecz jasna, jedynym więź-
niem specjalnego nadzoru, nie, byli i inni, zebrałaby się nas szóstka. Ale od nich 47
też trzymałem się z daleka.

Ponieważ należałem do kategorii specjalnej, przydzielono mi sprzątanie holu
C, gdzie dyżurny klawisz stale miał mnie na oku. Inaczej musieliby mi zapewnić osobistego strażnika,
który eskortowałby mnie do warsztatów, a do warsztatów

chodziło się grupowo, pod opieką więźnia funkcyjnego. Więzienie cierpiało na

braki kadrowe i taki układ, to znaczy porządkowanie holu C, okazał się najwy-

godniejszy. Nie sprzeciwiałem się i wziąłem się gorliwie do pracy. Myłem podłogi, szorowałem
stoły, robiłem wszystko, żeby im pokazać, jaki ze mnie grzeczny facet.

Zakałą więziennego życia są homoseksualiści. Jednemu z nich wyraźnie się

spodobałem. Mizdrzył się do mnie tak nachalnie, że nie sposób go było zniechę-

cić, chyba tylko dać w mordę. Tego jednak robić nie chciałem, bo zapaskudziłbym sobie reputację
więźnia nienaganego. Z opresji wybawił mnie Smeaton, klawisz z mojej galerii. Widział, co się
święci i odstraszył pedzia kilkoma soczystymi i jednoznacznymi obietnicami. Byłem mu za to bardzo
wdzięczny.

Smeaton nie różnił się w zasadzie od innych funkcjonariuszy więziennych.

Interweniował nie dlatego, że chciał mnie obronić przed zdeprawowaniem, nie.

Zrobił to dla świętego spokoju. Zazwyczaj strażnicy patrzyli na nas obojętnie, bo byliśmy dla nich
ledwie elementem ciężkiej służby. Z biegiem lat wypracowali

sobie następującą taktykę: zduś aferę w zarodku, nim się zacznie; nie dopuść do tego, by zrobiło się
zbyt gorąco; nie pozwól, by w awanturę wmieszali się inni.

Taktyka okazywała się nad wyraz skuteczna.

Zatem trzymałem się z dala od ludzi i od kłopotów. Jednak nie do tego stopnia, bym w ogóle z nikim
nie przestawał, bo gdyby dostrzeżono we mnie samotnika,

od razu wzięłby mnie pod lupę więzienny psychiatra. Dlatego w godzinach prze-

znaczonych na zajęcia świetlicowe grywałem w karty i znacznie podciągnąłem

się w szachach.

Prócz współwięźniów zdarzali się też inni rozmówcy. Byli to tak zwani goście

nieoficjalni. Dlaczego „nieoficjalni” -przecież każdy z nich musiał mieć podpisaną przez naczelnika przepustkę — nigdy się nie dowiedziałem. Do tej kategorii należeli dobroczyńcy z powołania i banda reformatorów prawa karnego. Ha! Cóż

to była za menażeria! Niektórzy z nich ubrdali sobie, że najlepszą drogą do nawró-

cenia kryminalisty są poważne, wielogodzinne i bardzo moralizatorskie kazania, tak jakby przeżuta papka religijności mogła zadławić to, co toczy duszę przestęp-cy. Inni byli bardziej strawni.

Na szczęście spotkania te nie były obowiązkowe i człowiek mógł sobie do

pewnego stopnia wybierać i przebierać. Kilku spławiłem, znalazłem kogoś przy-

zwoitego. Ten facet dość często mnie odwiedzał. Gadaliśmy wtedy o różnych rzeczach i ani razu nie próbował mi wciskać umoralniającego kitu i nigdy nie usiło-wał nawracać mnie na dobrą drogę. On też mieszkał kiedyś w Afryce Południowej zatem mieliśmy z sobą coś wspólnego. Naturalnie, wszystkie te rozmowy odby-48

wały się pod czujnym okiem i uchem strażnika, ponieważ zaszeregowano mnie

do więźniów kategorii specjalnej. Kiedyś wymsknęło mi się zdanie w afrikaans, na co mój facet odpowiedział w tym samym języku. Klawisz od razu to ukrócił,

a ja i mój „nieoficjalny” zostaliśmy przywołani do porządku przez naczelnika. Na szczęście obyło się bez minusa dla Reardena. I Bogu dzięki.

Clark, kapelan więzienny, też od czasu do czasu do mnie zaglądał. On również

nie należał do nawiedzonych i dogadywaliśmy się całkiem nieźle. Tak naprawdę

to był z niego głęboko wierzący człowiek, dlatego znalazł się w niezwykle trudnej sytuacji. Nie bardzo umiał pogodzić chrześcijańską zasadę, która nakazywała kochać swych wrogów, z zadaniem doglądania owczarni zamkniętej w dużej klatce.

Myślę, że cokolwiek go to wykańczało.

Najlepszym z całej tej ferajny okazał się Anderson, kaowiec. Wiele dla mnie

zdziałał i myślę, że raporty, jakie pisywał na mój temat dla naczelnika, były nader pozytywne. To właśnie przez niego załatwiłem sobie radio, rzecz, o którą wytrwa-le zabiegałem. Do biblioteki chodziłem raz w tygodniu, zgodnie z regulaminem, ale każda z tych eskapad wymagała obecności strażnika. Zwróciłem się więc do

Andersona z pytaniem, czy nie mógłbym dostawać podwójnej dawki książek, bo

liczba moich wycieczek zmniejszyłaby się tym samym o połowę, a przepracowany personel miałby ze mną mniej roboty. Argument trafił mu do przekonania i szybko na to przystał.

Chyba udało mi się przekonać do siebie Andersona i uwierzył, że jestem pełen dobrej woli i chcę być pomocny. Kiedy wystosowałem prośbę o zgodę na radio, nie napotkałem sprzeciwu, a niebawem dostałem też zezwolenie na rozpoczęcie kursów korespondencyjnych organizowanych przez system oświaty więziennej.

W końcu jeśli odsiadyje się dwudziestoletni wyrok, trzeba sobie jakoś wypełnić czas.

Wybrałem literaturę angielską i język rosyjski. Rosyjski budził z początku

niewielki wątpliwości, ale w końcu przeszedł. Jeśli chodzi o mnie, nie miałem zamiaru ukończyć żadnego z tych kursów. Robiłem to wszystko dla mydlenia oczu, tylko

i wyłącznie po to, aby myśleli, że Rearden pogodził się ze swym losem. Mimo to przysiadłem fałdów i zabrałem się ostro do dzieła. Musiałem być przekonujący.

Poza tym zabijałem czas.

Jedynym więźniem, do którego zbliżyłem się w owym czasie, był Johnny

Swift. Johnny odrabiał swego sznyta za włamanie. (W więziennym żargonie

„drzemka” oznacza wyrok od sześciu miesięcy do dwóch lat; „sznyt” — od dwóch

do czterech lat; wszystko powyżej lat czterech zwie się „gumą”.) Johnny’ego skazali na trzy lata za to, że dał się nakryć w jakimś biurówcu po godzinach pracy.

Tak więc Johnny odsiadywał sznyta, a ja gumę. I git.

Johnny był bardziej cwany niż inteligentny i stanowił dla mnie źródło cennych uwag na temat drobnych więziennych afer oraz wskazówek, jak się od tych afer

trzymać z daleka. Któregoś dnia, kiedy już po raz następnym przeniesiono mnie do

49

nowej celi i trochę na to utyskiwałem, Johnny roześmiał się.

— Kara za sławę — skomentował. — Wiem, do której celi nigdy nie trafisz.

— No?

— Do tej tam, w rogu. To cela Snooky'ego.

Snooky był małym, dziwacznym człowieczkiem o niegasnącym uśmiechu i też siedział za włam.

— A dlaczego tam nie? Johnny wyszczerzył zęby.

— Bo tamtędy biegnie pod podłogą główna rura ściekowa. Dokładnie pod tamtym rogiem, w holu. Jest na tyle duża, że można się w niej czołgać, jeśli się człowiek już do niej dokopie.

— Ach tak. . . — rzekłem w zamyśleniu. — Ale włamywaczowi Snooky 'emu najwyraźniej ufają.

— Włamywaczowi!?! — wykrzyknął Johnny z niesmakiem. — Taki z niego włamywacz, jak ze mnie Chińczyk. Ten facet ma świra na punkcie pierdła, ot co! Za każdym razem, kiedy go zwalnają, łzy cieką mu po gębie. Muszą go wypychać za bramę! No więc idzie na włam, specjalnie partaczy i znów tu jest.

— To jemu się tutaj podoba?

— Gdyby ciebie chowano tak jak Snooky'ego, też byś wolał ten dom od własnego — rzekł poważnie Johnny. — Ale fakt, on ma nierówno pod dachem.

Któregoś dnia Johnny ostrzegł mnie:

— Zawsze uważaj, z kim gadasz. Nie zawieraj tu nikomu.

— Nawet tobie?

— Zwłaszcza mnie, brachu — wychichotał. — Ale poważnie, uważaj na Simpsona. Ten to każdemu gotów wejść w tyłek. Jak zoczysz, że kręci się w pobliżu, od razu wal go w łeb.

Wymienił też innych, których miałem się strzec i niektóre nazwiska mnie zdumiały.

— Ta banda gotowa jest donieść na każdego, jeśli tylko da im to fory u naczelnego. Kapujesz, żeby naczelnny szepnął słówko Komisji Rewizyjnej. Ale marnują

tylko czas, chłopaki. Z niego za stary wróbel, żeby się nabrać na plewy. On i tak wie, co w trawie piszczy, bez tych szpicli.

Johnny do swej odsiadki podchodził filozoficznie. Dla niego robota — czyli skok — była pracą, a kratki ryzykiem zawodowym.

— Zaliczyłem już dwie drzemki, jednego sznyta — opowiadał. — Następnym razem jak nic będzie guma.

— Nie martwi cię to?

— Trochę — przyznał i niczym ekonomista rozważający skutki gospodarczej

polityki rządowej zaczął analizować sytuację. — To ci dopiero pieprzeni krzykacze, no! Wywalili karę śmierci i musieli coś w to miejsce wsadzić. Stąd te duże wyroki dla morderców. Ale facetowi, co dostał długą odsiadkę, to się nie może podobać, nie? Co robi? Daje nogę. Oni go łapią i już mamy kategorię specjalną!

50

— Błysnął zębami. — W dodatku muszą jeszcze gościowi znaleźć odpowiednie

zakwaterowanie, bo ciupy takie jak ta niczego nie załatwiają. Tak, tak, stąd można uciec za pomocą agrafki! Dlatego budują specjalne pudła dla specjalnych gości.

A jak już zbudują takie cudo, to okazuje się, że mają za mało morderców i miejsce im się, kurde, marnuje. Więc dawaj, zaczynają ładować coraz cięższe wyroki. Na własnej skórze to, chłopie, odczułeś.

— No to po kiego wsadzili mnie tutaj, skoro tak łatwo stąd dać nogę?

— Bo te specjalne pudła nie są jeszcze git wyrzutowane. Poczekaj, aż skoń-

czą taką ciupę na Isle of Wight. Ten Mountbatten o nią tak krzyczał. Jak ją skoń-

czą, zabiorą cię stąd tak szybko, że ino kurz. Tymczasem specjalnych rozrzucają, kapujesz? Jednego tu, drugiego tam, po kilku w każdym mamrze. Tak łatwiej was pilnować.

Rozejrzałem się po holu C.

— Jeśli tak łatwo stąd prysnąć, dlaczego jeszcze tu jesteś?

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Masz mnie za świra, stary? Ja odrabiam tylko sznyta. Wszystkie go razem

posiedzę tu sobie lekko ponad dwa lata i po krzyku. To jest, jeśli przedtem nie wyjdę z nerw i nie przyłożę czymś Hudsonowi. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak

to jest, kiedy przeskoczysz mur i wiesz, że każdy granatowy w Anglii za tobą wy-patruje. Nie warto, chłopie, nie warto. I jeszcze mają te cholerne psy. I helikoptery.

Radia też mają. Zupełnie jak jakieś pieprzone manewry wojskowe, kurde, no! —

Poklepał mnie po plecach. — Choć z tobą to inna sprawa. Nie masz wiele do

stracenia. Tobie za to przeskoczyć mur trudniej niż mnie, bo cały czas mają cię na oku. Wzięli cię pod lupę, stary, ot co. A gdybyś już nawet trafił za mur, bez organizacji ani kroku na wolności nie zrobisz.

To mnie zaciekawilo.

— Bez organizacji? Jakiej organizacji?

— Po drugiej stronie trzeba mieć coś nagrane, tak? -tłumaczył. — Nie chcesz chyba wylądować jak te czubki, co zapętłają się na bagnach, wsuwają surową rzepę i nasłuchują szczekania psów. — Przeszedł go lekki dreszcz. — Cholerne psy. Nie, stary, do tego, żeby stąd elegancko wyjść, potrzebna jest organizacja.

A jak myślisz, jakim sposobem udało się Wilsonowi, Biggsowi i innym?

— No dobra — zgodziłem się — kupuję. Jak to zrobili?

Potał nos z jednej strony.

— Jak już mówiłem, dzięki organizacji. Mieli zabezpieczone tyły i git było.

Ale na to trzeba oliwy, trzeba kupy szmalu. — Rozejrzał się, sprawdził, czy w pobliżu nikogo nie ma i ściszył głos. — Słyszałeś kiedy o Bractwie Wykałaczek?

— O Bractwie Wykałaczek!?! — Potrząsnąłem głową. — Nigdy w życiu.

— No wiesz, to tylko plotka, może coś składam, ale wieść niesie, że to grupa fachmanów, która skrzyknęła się specjalnie w jednym celu: żeby pomagać wam,

długodystansowcom. — Zachiochotał. — To coś nowego w naszej branży, kapujesz? Ale trzeba mieć czym oliwić, mówiłem.

Tego nie musiałem długo rozszyfrowywać. Sprawa jasna: kto nie smaruje, ten nie jedzie.

— Jak się z nimi skontaktować?

— Nijak — odparł głucho. — To oni się kontaktują. Mocno z nich eksklu-

zywne Bractwo. Bardzo są wybredni, kręcą nosem, ale fama głosi, że jak już się wezmą za robotę, dostajesz zabezpieczenie Gubisz obrączki, tracisz pieniądze, ka-pewu? W innym razie płacisz tylko operacyjne. Oczywiście, z takimi jak ja to oni się nie kumają, nie opłaca im się. Ale z tobą rzecz może wyglądać inaczej.

Zawahałem się.

— Johnny, to nie mój kraj i nie wiem, jak się tu poruszać. Byłem w Anglii

niecały tydzień, jak mnie zwinęli. Ale jakbyś tak nadał, że siedzi tu facet, który chętnie skorzystałby z pomocy, może by to coś dało. Tylko pamiętaj, bez nazwisk.

— Za kogo ty mnie masz? — oburzył się. — Ma się rozumieć, że bez na-

zwisk. — Przyjrzał mi się badawczo. — Nie powiem, że mnie to dziwi, chłopie.

Jakbym miał siedzieć w pierdłu dwadzieścia lat, to chyba bym dostał świra. Twój kłopot polega na tym, że nie wyplułeś grzecznie tego, o co prosili, tylko naplułeś im w twarz. Oni tego nie lubią, wiem. — Westchnął ciężko. — Jak mówiłem, następnym razem staję przed perukarzem i lecę w gumę. Kiedyś mogłem liczyć na

pięć do siedmiu kalendarzy, ale to było w czasach, zanim te przebierance nie stały się takie krwiożercze. Teraz nie mam pojęcia, ile bym oberwał. Może dziesięć, dwanaście, czy nawet piętnaście. . . Jak się nie wie, na jaką gumę można liczyć, to człowiek robi się nerwowy, jak słowo honoru.

— Może lepiej odpuść sobie i po wyjściu z mamra wycofaj się z interesu?

— A co innego mógłbym niby robić? — zapytał z przygnębieniem. — Nie

jestem dość bezczelny, żeby zostać dobrym naciągaczem, bo do tego trzeba nieźle nawijać i mieć dar przekonywania. Ja go nie mam i nawijać nie umiem. Wyszkolić się na doliniarza? Za stary już jestem. Gorylem miałbym niby zostać? Nie, mam za miękkie serce, a tam trzeba ludzi łomotać, jak się patrzy. Nie, nie. Ja jestem facet, co lubi robotę w ciepełku. Myk! I w górę po rynnie! To cały ja.

— Zawsze możesz wziąć się do uczciwej roboty.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— To dla wieśniaków. Widzisz mnie, jak siedzę w robocie od dziewiątej do piątej? Widzisz, jak haruję w jakimś warsztacie i tyłam sobie łapy po łokcie? —

Milczał chwilę. — Nie żebym chciał się dać zapuszkować, co to, to nie. W końcu nie jestem taki Snooky, nie? Ale wiem, co mi pisane i muszę się z tym pogodzić.

— Wpatrywał się nieruchomym wzrokiem gdzieś przed siebie, jakby zaglądając w ponurą przyszłość. — A Bractwo Wykałaczek nawet palcem w mojej sprawie nie kiwnie — powiedział cicho. — Nie mam szmalu. Nigdy nie miałem. . .

52

Ja zaś nie widziałem dużej różnicy między Snookym a Johnnym Swiftem.

Obydwóch czekał ten sam koniec.

II

Mijały miesiące.

Szorowałem, czyściłem i pastowałem hol C w nie kończącym się, na okrągło

ponawianym trudzie, jak gdyby hol C, za przyczyną świń, które w nim mieszkały, był stajnią Augiasza. Zaliczyłem z tego powodu jedną czy dwie sprzeczki, ale nie na tyle poważne, bym zarobił w aktach minusa.

Forbes usiłował mnie ze dwa razy naciągnąć na te brylanty, lecz kiedy zorien-

tował się, że nic ze mnie nie wydusi, poddał wreszcie sprawę. Chyba spisano mnie na straty jako jednostkę nie rokującą nadziei na poprawę.

Dwukrotnie zajrzał do mnie Maskell. Za pierwszym razem spytał, czy nie chcę

odwołać się od wyroku.

— A czy w ogóle warto? — zapytałem.

— Rzecz czysto techniczna — odparł. — Być może pamięta pan, jak sędzia

zwracając się do Rollinsa stwierdził, że praktycznie nie widzi możliwości, żeby dało się jeszcze bardziej zaszkodzić pańskiej sprawie. To była niefortunna uwaga, miała niewątpliwy wpływ na przysięgłych i można by ją wykorzystać jako podstawę do apelacji. Ale z drugiej strony pańska postawa w sprawie brylantów nie wróży niczego dobrego.

Uśmiechnąłem się.

— Panie mecenasie, skoro nic o tych brylantach nie wiem, nie mogę okazać

się pomocny tak, jak się tego ode mnie oczekuje, prawda?

Sprawy apelacji już nie ruszaliśmy.

Za drugim razem ujrzałem go w gabinecie naczelnika.

— Pański adwokat zwraca się do pana z prośbą o podpisanie pełnomocnictwa

— wyjaśnił naczelnik.

Maskell gładko włączył się do rozmowy.

— Pan Rearden posiada w Afryce Południowej aktywa, które uległy likwi-

dacji i przeniesieniu do Anglii. Jest rzeczą naturalną, że skoro pan Rearden nie może się tym zająć

osobiście, powinien mieć doradcę, który owe środki pieniężne odpowiednio zainwestuje.

— O jaką sumę chodzi? — spytał naczelnik.

— Nieco ponad czterysta funtów — odparł Maskell. — Ulokowanie tej sumy

w zawsze bezpiecznym funduszu powierniczym zaowocuje po dwudziestu latach

kwotą tysiąca funtów i mam nadzieję, że pan Rearden będzie tych pieniędzy z radością oczekiwał.

— Wyciągnął jakiś dokument. — Mam tutaj zgodę Minister-

stwa Spraw Wewnętrznych.

53

— Doskonale — rzekł naczelnik, więc bez szemrania podpisałem pełnomoc-

nictwo. Ktoś przecież musiał zapłacić za radio, na otrzymanie którego dostałem pozwolenie — w więzieniu radia nie dostaje się za darmo — no i dobrze było

wiedzieć, że ktoś jeszcze o mnie pamięta. Podziękowałem Maskellowi. Ciepło.

Nadeszła wreszcie pora, gdy mogłem już wyrwać trzysta sześć dziesiątą pią-

tą kartkę z kalendarza. Przede mną jeszcze tylko dziewiętnaście lat. Nie miałem żadnych wieści ani od Johnny'ego, ani od tak zwanego Bractwa Wykałaczek i zaczynałem widzieć przyszłość w czarnych kolorach.

W dalszym ciągu należałem do kategorii specjalnej, co łączyło się ze wszyst-

kimi dyżurnymi uciążliwościami. Zdążyłem się już przyzwyczajać do spania przy zapalonym świetle i z precyzją bezmyślnego automatu wykladałem przed celę

ubranie, nim Smeaton zamknął ją na noc. Zmieniałem też cele. Chociaż prowadzi-

łem skrupulatne notatki, chcąc wytropić jakąś prawidłowość tych przeprowadzek, nigdy nie umiałem jej dostrzec ani w odstępach czasu dzielących moje więzienne wędrówki, ani w systemie doboru cel. Myślę, że przypadkowość zmian regulowali albo wyciąganiem numerków z kapelusza, albo inną temu podobną metodą.

Taki system jest nie do rozgryzienia.

Mniej więcej wtedy ujrzałem pierwszy raz Slade'a. Facet był świeży, pierwszy

raz za kratkami i dostał czterdzieści dwa lata; nie sądzę, żeby Ustawa o Dotychczas Nie Karanych dotyczyła również szpiegostwa. O Siadzie słyszałem oczy-

wiecie wcześniej, bo w wiadomościach radiowych aż kipiało od relacji z jego

procesu. Ponieważ co bardziej pikantne kawałki toczyły się przy drzwiach za-

mkniętych, nikt tak naprawdę nie wiedział, co Slade nabroił. Mówili tylko, że od czasów Blake'a nie złowili grubszej ryby niż on.

Slade miał bladą cerę i wyglądał tak, jak gdyby kiedyś był większy, a potem

nagle się skurczył. Z tych dawniejszych czasów została mu skóra, która wisiała na nim jak u ogara. Chodząc wspierał się na dwóch kulach. Później dowiedzieli-

śmy się, że dostał postrzał w miednicę i że zanim stawił się na rozprawie, osiem miesięcy spędził w szpitalu. Tak, szpieg to ma dopiero ciekawe życie! Czasami nawet zbyt ciekawe.

Na procesie wyszło na jaw, że Slade jest Rosjaninem, choć nikt nigdy by na

to nie wpadł, bo posługiwał się bezbłędną angielszczyzną, która wręcz pachniała ekskluzywną prywatną szkołą. Jego czterdziestodwuletni wyrok powinien zagwarantować mu w więzieniu pozycję udzielnego księcia, jednak w tym przypadku

guma nie zadziałała. O dziwo, nawet najbardziej zatwardziały kryminalista umie być patriotą i Slade spotykał się na ogół z zimnym przyjęciem.

Nie będąc Anglikiem, nie bardzo się tym wszystkim przejmowałem. Slade

okazał się arcyciekawym rozmówcą, kulturalnym, o dużej wiedzy. Poza tym, kie-

dykolwiek go o to poprosiłem, zawsze był gotów Pomagać mi w nauce rosyjskie-

go.

Gdy się z tym do niego zwróciłem, spojrzał na mnie tak jakoś łagodnie.

54

— Naturalnie, że mówię po rosyjsku — odparł. — W tych okolicznościach

byłoby dziwne, gdybym nie mówił. — Na jego ustach wykwitł niewyraźny uśmie-
szek.

Odkąd zjawił się w więzieniu, mój rosyjski wyraźnie się poprawił.

Pod koniec odsiadki przenieśli Johnny'ego do więziennego hotelu. Oznaczało

to, że został zatrudniony przy pracach poza terenem zakładu karnego. Postępo-

wano tak w myśl teorii stopniowego przystosowywania się penitencjariuszy do realiów świata zewnętrznego.

Wątpię jednak, żeby akurat ten element procesu rehabilitacyjnego miał dla Johnny'ego Swifta istotne znaczenie.

Tyle, że nie widywałem go już tak często. Czasami zamienialiśmy na boisku

kilka zdań, lecz na tym się kończyło. Rozglądałem się za kimś innym z holu C, z kim mógłbym sobie pogadać i kto rokowałby nadzieje na kontakt z fachmanami organizującymi przerzuty przez — zakładając, że ci fachmani w ogóle istnie-li. W dodatku w każdej chwili, bez najmniejszego uprzedzenia, mogłem zostać

przeniesiony do innego więzienia — najprawdopodobniej takiego ze specjalnym nadzorem — a to mi kompletnie nie odpowiadało.

Minęło piętnaście miesięcy bez jednego dnia, zanim cokolwiek się zdarzyło.

Wdychałem właśnie przesycone smogiem powietrze boiska, kiedy spostrzegłem, jak Johnny Swift daje mi znaki, że chce ze mną gadać. Posunąłem w jego kierunku i niby to przypadkiem złapałem piłkę, którą do mnie rzucił. Odbiłem parę kozłów i oddałem mu ją.

— Dalej chcesz stąd prysnąć? — zapytał i wykopał piłkę na środek boiska.

Poczułem, jak kurczą mi się mięśnie brzucha.

— Miałeś propozycję?

— Nawiązali ze mną kontakt — przyznał. — Jeżeli dalej to cię interesuje, można nadać sprawie bieg.

— Cholernie mnie to interesuje! Mam już dość tego tutaj.

— Po piętnastu miesiącach! — prychnął. — To betka! Ale szmalec masz? Bez smarowania ani rusz.

— Ile?

— Pięć kół. To ledwie na początek. Trzeba wyłożyć pieniądze, zanim raczą

kiwnąć palcem, zanim w ogóle zaczną o tobie myśleć, brachu.

— Chryste! To kupa forsy!

— Kazali ci powiedzieć, że ta forsa idzie w kosza własne i nie podlega zwrotowi. Rzeczywista opłata będzie dużo wyższa.

— To znaczy?

— Nie wiem. Więcej mi nie powiedzieli. Chcą wiedzieć, jak szybko możesz załatwić pięć kół.

— Mogę. Mam co nieco odłożone w Afryce. Nikt o tym nie wie. — Rzuciłem okiem na boisko. Z przeciwległego końca szedł w naszą stronę Hudson. — Po-

55

trzebny mi będzie blankiet czekowy Standard Bank of South Africa filii Hospital Hill w Johannesburgu. Zapamiętasz?

Powtórzył wolno i skinął głową.

— Zapamiętam.

— Podpiszę, a oni go zrealizują. Trzeba to zrobić w RPA; to nie powinno być trudne.

— Trochę to potrwa, stary — rzucił Johnny.

Roześmiałem się ponuro.

— Co prawda mam dziewiętnaście lat przed sobą, ale każ im się pospieszyć.

Zaczynam się denerwować, że mnie stąd przeniosą.

— Uwaga! Hudson idzie! — szepnął. — Spiknę się z tobą. — Pobiegnął do przodu, przejął piłkę i obydwaj włączyliśmy się do gry.

Dziesięć dni później dostałem czek. Wcisnął mi go ukradkiem w rękę nowo przybyły więzień.

— Kazali mi to przekazać. Jak będziesz gotów, podaj Sherwinowi.

Sherwina znałem, niedługo wychodził.

— Chwila! — rzuciłem szybko. — Powiedzieli coś jeszcze?

— Nic więcej nie wiem — mruknął i odszedł.

Tego wieczoru jak zwykle rozłożyłem książki do kursów korespondencyjnych

i zabrałem się do roboty. Wkuwałem ostro rosyjski i myślę, że nieźle sobie z tym językiem radziłem. Odkąd zjawiał się Slade, ogromnie poprawiłem sobie wymowę, choć wymowa nie miała akurat wpływu na stopień, jaki miał mi wystawić na

odległość egzaminator. Zakuwałem pół godziny, wreszcie wyjąłem czek i rozprostowałem go.

Poczułem zapach kurzu niesionego wiatrem z hałd johannesburskich kopalń.

Od chwili, kiedy ostatni raz widziałem taki formularz, minął kawał czasu. . . Kwota została już wpisana: *R 10.000*. Dziesięć tysięcy randów! Pomyślałem sobie, że chłopaki nieco przesadzają, bo w końcu z powodu dewaluacji funt spadł w stosunku do randa tak, że czek opiewał na kwotę pięciu tysięcy sześciuset pięćdziesięciu funtów. Miejsce na nazwisko okaziciela było puste. Tego nie chcieli mi jeszcze zdradzić, a nawet gdybym zdołał się czegoś dowiedzieć, na jakiegokolwiek działania nie miałem już czasu.

Wpisałem datę, dołożyłem podpis — ale nie podpis J.A.Reardena, o nie! —

i wetknąłem blankiet między kartki rosyjskiej gramatyki zastanawiając się, czy zachowuję się jak facet z głową na karku, czy jak frajer nad frajerami. Ktoś mógł

mnie wykołować — nawet sam Johnny Swift — i to na ponad pięć patoli, wyko-

łować na czysto i bez mydła. Musiałem jednak liczyć na ludzką chciwość. Jeżeli do kogoś dotrze, że z więziennego źródelka można wyssać jeszcze więcej szmalu, facet, albo faceci, zjawią się po dalsze pieniądze. Tym razem jednak będę płacił

56

za konkretną robotę, w dodatku po jej wykonaniu.

Następnego ranka przekazałem czek Sherwinowi, który tak umiejętnie skrył

go we wnętrzu dłoni, że natychmiast wyzbyłem się wszelkich wątpliwości —

wyniesie czek za mur i absolutnie nikt tego nie zauważy. Ba! Bo też Sherwin to Sherwin, stary karciarz i nikt z mieszkańców holu C nigdy w życiu nie zagrałby z nim nawet w wojnę. Przy Sherwinie karty zdawały się przemawiać ludzkim

głosem i słuchać go jak generała, więc ukrycie niewielkiego czeku to dla niego fraszka.

Potem znów czekałem, dumając, na jakie to wydatki potrzeba tym Wykałaczkom aż pięciu tysięcy funtów.

Mijały dni. I nic się nie działo. Wyliczyłem sobie, że aby zrealizować czek i przesłać wiadomość do Anglii, potrzeba niewiele więcej niż tydzień. Kiedy mi-nęło pięć długich tygodni bez jednego znaku, zacząłem się denerwować.

I nagle bomba wybuchła.

Zdarzyło się to w czasie zajęć wolnych. Smeaton trochę mnie akurat objeżdżał za drobne niedociągnięcia. Nie sprzątałem już tak dobrze, jak trzeba, co było oznaką, że w zdenerwowaniu dopuszczałem się błędów. Tymczasem nadszedł Cosgrove, niosąc pudło z szafami. Wyczekał, aż Smeaton skończy i rzekł:

— Głowa do góry, Rearden. Zagramy partyjkę?

Znałem Cosgrove'a. Facet był swego czasu mózgiem bandy przeszmuglującej whisky i papierosy. Ktoś na niego doniósł, go i dostał dychę. Odsiadywał

właśnie szósty rok i przy odrobinie szczęścia mógł wyjść już za dwa lata. Poza tym Cosgrove trzymał berło szachowego króla holu C. Tak, to bardzo przebiegły i inteligentny gość ten Cosgrove.

— Nie dzisiaj, Cossie — palnąłem z roztargnieniem. Spojrzał z ukosa na Smeatona, który stał dwa kroki dalej.

— Nie chciałbyś wyrobić sobie dobrej pozycji wyjściowej?

— Jakiej pozycji wyjściowej? — rzuciłem ostro.

— W wielkim turnieju, Rearden! — Uniósł w górę pudełko z szacha mi. —

Pograsz ze mną i dam ci cynk na kilka dobrych ruchów, stary, zobaczysz.

Znaleźliśmy sobie stół na drugim końcu holu, z dala od Smeatona. Rozstawiliśmy figury.

— No dobra, o co chodzi, Cossie? — zapytałem.

— Jestem twoim łącznikiem. Będziesz rozmawiał tylko ze mną i z nikim innym. Jasne? — Kiwnąłem głową, a on mówił dalej. — Na początek będę gadał o forsie.

— No to możesz się już nie fatygować — powiedziałem. — Te Wykałaczkę, ta twoja ekipa, dostała ode mnie pięć kół, a nie widzę jeszcze żadnych rezultatów.

— Widzisz mnie, tak? — Rozejrzał się wokół. — Graj. Masz pierwszy ruch.

— Przesunąłem pionka na B3, a on roześmiał się cicho. — Ostrożny jesteś, Rearden! To cholernie delikatne otwarcie!

57

— Skończ z tymi subtelnościami, Cossie. Gadaj, co masz do powiedzenia.

— Nie mam ci za złe ostrożności. Powiadam tylko, że będziesz musiał jeszcze więcej wybulić i tyle.

— Póki stąd nie wyjdę, nic z tego — oznajmiłem. — Aż takim frajerem nie jestem.

— Nie dziwię ci się — odparł. — To jest jak skok w ciemność. Ale prawdą też jest, że albo pogadamy o forsie, albo sprawy nie było. Obydwaj musimy wiedzieć, na czym stoimy.

— No dobra. Ile?

Przesunął skoczka.

— Działamy trochę jak poborcy podatkowi, bierzemy stosownie do udziału.

Zrobiłeś skok na sto siedemdziesiąt trzy tysiące funciaków. Chcemy połowę, to jest osiemdziesiąt sześć tysięcy pięćset funtów.

— Chyba cię z rozumu obrało! Za dużo pawi w tych waszych rachunkach i dobrze o tym wiesz.

— Jakich pawi?

— W przesyłce miało być tylko sto dwadzieścia tysięcy. Właściciele trochę

przekłamali.

Skinął głową.

— Możliwe. Coś jeszcze?

— Owszem. Wyobrażasz sobie, że moglibyśmy upłynnić ten towar po cenie

wartości? To nie będzie sprzedaż legalna, do cholery. Ty powinieneś o tym wiedzieć lepiej od innych.

— Graj w szachy — powiedział spokojnie. — Klawisz na nas zezuje. Nie

szlifowane kamienie dałoby się przy odrobinie sprytu opchnąć po cenie wartości.

A myślę, że ty, Rearden, jesteś sprytny. Ten twój numer wcale nie był taki głupi.

Udałoby ci się, gdyby cię ktoś nie zrobił.

— To nie były nie szlifowane diamenty — sprostowałem. — Zostały oszlifo-

wane w Amsterdamie i ściągnęli je ponownie do Anglii, do opracowania. Brylanty tej wartości są przeświecane, obfotografowane i rejestrowane. Były szlifowane dwa razy, a to oznacza znaczny spadek ceny. I jeszcze jedno. Nie działałem sam.

Miałem kumpla, z którym dzielimy się po połowie. On obmyślił skok, ja ten skok zrobiłem.

— Chłopaki się właśnie nad tym zastanawiali — zaczął Cossie. — Nie bar-

dzo mogą cię rozszyfrować. Czy to twój kumpel cię załatwił? Bo jeśli tak, to nie śmierdzisz groszem, zgadza się? A wtedy nas nie interesujesz.

— To nie mój kumpel — zapewniłem go, mając nadzieję, że brzmię przekonująco.

— Wieść niesie, że to jednak on.

— Wieść niech sobie niesie. Plotkę puścił wścibol nazwiskiem Forbes, albo inny padalec, Brunskill. Oni mają ku temu swoje powody.

58

— Niewykluczone — odparł w zamyśleniu. — Kto to jest ten twój kumpel?

— O, kochany, nic z tego — stwierdziłem stanowczo. — Nie sprzedałem go

wścibolom, nie sprzedam też twoim chłopakom. Już samo to powinno wam udo-

wodnić, że nie on mnie sygnął. My z kumplem działamy po cichutku i nie chcemy, żeby nas ktoś w tym wyręczał.

— Dajmy sobie z tym chwilowo spokój — rzekł Cossie. — Przekażę chłopakom. Wracamy do forsy. Jaka była twoja dola?

— Szacowaliśmy na czterdzieści tysięcy funtów — poinformowałem go spokojnie. — Szmal jest odłożony w bezpiecznym miejscu. Dostaniecie go przeze mnie, nie przez mego kumpla.

Uśmiechnął się nieznacznie.

— Na szwajcarskim koncie numerycznym?

— Otóż to. Znasz jakiś bezpieczniejszy system?

— Git. Ale stawka się nie zmienia, Rearden. Połowa dla nas -powiedział. —

Dwadzieścia lat, po tysiącku za każdy roczek. To półdarmo. Przerzucamy cię przez mur i wywozimy poza Zjednoczone Królestwo. Jeśli wrócisz, to już twoje zmartwienie. Ale coś ci powiem: nie próbuj nas wykiwać. Lepiej przygotuj umówiony szmal, bo jeśli nie, nikt już o tobie więcej nie usłyszy. Mam nadzieję, że dobrze się rozumiemy.

— Bardzo dobrze. Wyciągacie mnie stąd i dostajecie forszę. Ja dotrzymuję słowa.

— Przekażę chłopakom — odrzekł. — Oni zadecydują, czy wezmą cię na klienta.

— Cossie, jeśli oni są tacy dobrzy, jak mówisz, to co ty tu, do cholery, jeszcze robisz? Nie mogę się nadziwić.

— Ja jestem tylko łącznikiem. Zwerbowali mnie tutaj, w mamrze. Poza tym, mam do odsiadki ledwie dwa kalendarze. Na diabła mam sobie utrudniać życie? Za bramą czeka na mnie dobry interes i nie mam zamiaru z niego rezygnować. —

Podniósł wzrok. — Byłbyś skończonym osłem, gdybyś wrócił do Anglii.

— Olewam Anglię. Na zewnątrz byłem tu raptem tydzień. Nic o Anglii nie wiem i nie muszę.

Cossie przesunął figurę.

— Szach. I jeszcze jedno. Ostatnio kumplowałeś się ze Siadem co nie? Dużo z sobą gadacie.

— Pomaga mi w rosyjskim — odparłem, przesuając króla.

— Z tym już koniec — oznajmił sucho. — Trzymasz się od niego z daleka, albo nie ma sprawy. I to bez względu na to, ile masz forsy.

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Co jest, do cholery. . .

— Tak ma być i kropka — stwierdził, nie podnosząc głosu. Przesunął laufra.

— Szach.

59

— Tylko mi nie wciskaj kitu, że chłopaki takie patriotyczne. — Roześmiałem się. — O co biega?

— Powinieneś mieć więcej rozumu i nie zadawać takich pytań. Rób, co ci mówię. — Odwrócił się do przechodzącego obok Smeatona.

— Wiesz pan co? Rearden prawie mnie wykończył — kłamał jak z nut

— Ma szansę w turnieju.

Smeaton popatrzył na niego pustym wzrokiem i poszedł dalej.

III

A więc gra się zaczęła. Czuję, jak rośnie we mnie napięcie, tym razem spowodowane nadzieją, a nie beznadziejnością. Przy szorowaniu stołów w holu zacząłem sobie nawet podśpiewywać i nigdzie niczego nie zawałałem. Smeaton spoglądał na mnie z aprobatą, bądź z czymś, co temu najbliższe. Stawałem się wzorowym więźniem.

Usłuchałem żądań Cosgrove'a i odsunąłem się od Slade'a, który od czasu do czasu posyłał mi pełne wyrzutu spojrzenia. Nie wiedziałem, dlaczego Cossiemu na tym zależało, ale nie była to odpowiednia pora, żeby się o cokolwiek wyklócać. Mimo wszystko w duchu żałowałem Slade'a, bo nie miał w tym mamrze za wielu przyjaciół.

Nie spuszczałem z Cossiego oka. Obserwowałem dyskretnie, z kim rozmawia i z kim się koleguje. Stwierdziłem, że jest jak zawsze luźny, zachowuje się swobodnie, ale ponieważ wcześniej dokładnie mu się nie przyglądałem, nie mogłem tego wiedzieć na pewno.

Po dwóch tygodniach podszedłem do niego w czasie zajęć dowolnych.

— Może byśmy zegrali partyjkę, Cossie?

Spojrzał na mnie obojętnie.

— Spadaj stąd, głupi palancie. Nie chcę się z tobą w nic wplątywać.

— Już się wplątałeś — warknąłem. — Dopiero co nagabywał mnie Smeaton.

Chciał wiedzieć, czy biorę udział w turnieju, czy nie. Ciekawiło go też, czy zrezygnowałem ze swoich lekcji i czy w ogóle odpuściłem rosyjski.

Zmrużył oczy.

— No dobra. Chodźmy tam — zdecydował.

Rozłożyliśmy szachownicę.

— Są jakieś wiadomości?

— Powiem ci, jak będą. — Był w kiepskim humorze.

— Słuchaj, Cossie, denerwuję się. Słyszałem, że skończyli już to specjalne więzienie, to na Isle of Wight. Boję się, że mnie tam przeniosą. Mogą mnie w każdej chwili załatwić. Rozejrzył się po holu.

60

— Takich spraw nie da się poganiać, tu trzeba skomplikowanych przygotowań.

Jak myślisz, za co zapłaciłeś tych pięć tysięcy? Tylko to żeby przeskoczyć mur?

Nie, tu trzeba zorganizować całą trasę przerzutu. — Przesunął figurę. — Nie za wiele ci umiem powiedzieć, ale o ile wiem, za każdym razem robią to inaczej.

Nie powtarzają schematów, kapujesz? Kto jak kto, ale ty, Rearden, powinienes to wiedzieć najlepiej.

Wbiłem w niego wzrok.

— Widzę, że ktoś mnie sprawdzał.

Przyglądał mi się zimno.

— A co myślałeś? Tak, część z tych pięciu patoli poszła na to, żeby cię sprawdzić. Chłopakom zależy na bezpiecznej robocie. Masz ciekawą przeszłość, Rear-

den, i nie wiem, dlaczego wpadłeś akurat teraz.

— Wszystkim się zdarza — odparłem. — Ktoś mnie sypnął glinom. Tak jak i ciebie, Cossie.

— Ale ja wiem, kto mnie sprzedał — rzucił dziko. — I ten sukinsyn zapamięta to do końca swoich dni. Niech no tylko stąd wyjdę!

— Lepiej załatw sprawę, zanim wyjdiesz — doradziłem. — Masz tu alibi doskonałe. Siedzisz w pudle, no i minęło już tyle czasu, że wścibole raczej o tobie nie pamiętają.

Uśmiechnął się niechętnie.

— Ciekawe pomysły miewasz, Rearden.

— I skąd wiesz, że ja nie wiem, kto mnie podprowadził? — spytałem. —

Problem w tym, że ja nie mam kontaktów na zewnątrz. Gdybym miał, to bym załatwił mały wypadek.

— To się da zrobić. Chcesz? — zaproponował.

— Daj spokój. Sam już niedługo będę po drugiej stronie, jeśli twoje Wyka-

łaczki się nie wycofają. Więc sprawdzaliście mnie w RPA, co? Mam nadzieję, że wyniki was zadowolili.

— Zostałeś zakwalifikowany. Masz tam kilku niezłych przyjaciół, Rearden.

— Niedaleko od nas przechodził Smeaton. — Nie tędy, głupku!- zawołał Cossie.

— Dam ci mata w trzech ruchach! — Spojrzał na Smeatona. — Nie, on nie jest

aż tak dobry, jak myślałem, wiesz pan? W życiu nie poradzi sobie w turnieju.

Smeaton uśmiechnął się do niego szyderczo, przy czym nie drgnął mu w twarzy ani jeden mięsień.

IV

Cossie miał rację — nie poradziłem sobie w turnieju, ale nie z powodu moich kiepskich umiejętności. Po dwóch dniach to on do mnie podszedł, nie ja do niego.

— Wszystko gotowe — oznajmił.

61

— Wczoraj przenieśli mnie do innej celi — powiedziałem.

— Bez znaczenia. Wyjmą cię stąd za dnia, z boiska. W sobotę. Dokładnie o trzeciej. Zapamiętaj sobie.

— Jak to polecisz?

— Widziałeś kiedy, jak się zakłada lampki świąteczne na Regent Street? —

zapytał i strzelił ze złości palcami. — No jasne, że nie widziałeś. Trudno. Mają taki ciężki wóz, no wiesz, z platformą na długim przegubowym wysięgniku, żeby podnosić w górę elektryków.

— Wiem, wiem. Używają takiego sprzętu na lotnisku Jana Smutsa w Johannesburgu do obsługi dużych samolotów. Nazywają to to długim ramieniem ogrod-
nika.

— Naprawdę? — spytał z zaciekawieniem. — No tak, domyślam się nawet

dłaczego. Jak zwał, tak zwał, jedna z tych maszyn przyjedzie tu pod mur w sobotę. Pokażę ci, gdzie masz stanąć i kiedy nadjedzie, szybko wskakuj do klatki. Na platformie będzie facet, który ci pomoże i w mgnieniu oka znajdziesz się po drugiej stronie. To się nazywa skok z klasą. — Odwrócił się, żeby nabadać sytuację w holu i szybko mówił dalej. — Kupę rzeczy będzie się tu wtedy działo, ale tym nie zwracaj sobie głowy. Masz myśleć wyłącznie o platformie.

— Dobra jest.

— Prosimi mnie, żebym ci przekazał coś jeszcze. Jeśli przerzucą cię, na drugą stronę, a tobie nie uda się znaleźć tych dwudziestu tysięcy, to niech cię Bóg ma w swojej opiece, bo nikt inny go nie wyręczy. Nawet nie zdążysz tego długo po-

żalować. To nie przejęzyczenie, Rearden. Podkreślali, żebym ci to powtórzył na wypadek, gdybyś chciał się rozmyślić.

— Dostaną swoją forszę — uciałem.

— No to git. Zatem do soboty. — Odwrócił się na pięcie, zatrzymał się w pół kroku i znów stanął ze mną twarz w twarz. — Aha, byłbym zapomniał — powiedział od niechcienia. — Ktoś jeszcze się z tobą wybiera. Będziesz musiał mu pomóc.

— Kto taki?

— Slade.

Gapilem się na niego z niedowierzaniem.

— Zglupiałeś, czy jak?

— Co jest? O co chodzi? Masz coś przeciwko wolności dla innych?

— On pyta, o co chodzi! — Podniosłem głos. — O chodzenie chodzi! Facet na kulach posuwa, Cossie! Przecież to kaleka pieprzony!

— Hamuj się, Rearden — ostrzegł.

Ścisząc głos, zapytałem z furją:

— No to jak, do cholery, ten Slade ma to niby zrobić, co? Slade nie biega.

— Będiesz na miejscu, żeby mu pomóc — zauważył gładko.

— Jak jasna cholera!

— Hm, coś ci powiem, Rearden. Te jego kule są trochę na pokaz. Od chwili,

kiedy wyszedł ze szpitala, urządza małe widowisko. Pobiegnie, da sobie radę. Nie mówię, że od razu będzie bił rekordy, ale posunie tak szybko, jak trzeba.

— No to równie dobrze może sobie posuwać beze mnie — oznajmiłem z całą

mocą. — Chryste! Jak on zawali skok i mnie złapią, to udupią mnie na pół roku w separacie, a potem wyślą do tego nowego mamra na Isle of Wight, albo do

pawilonu E w Durham. Zrobią to jak nic! W życiu się stamtąd nie wygrzebię!

— Tak samo sprawa ma się ze Sladem — Cosgrove ani się zająknął. — I nie

zapominaj, że on dostał ponad czterdzieści lat. — Jego głos stał się spięty i chrapliwy. — A teraz mnie posłuchaj. Slade jest dla nas sto razy cenniejszy niż ty.

Nie uwierzyłbyś, ile forsy z niego wydusimy. Więc lepiej rób, co ci każą. Jeśli zaś idzie o Durham, to i tak mają cię tam w sobotę przerosić.

— Niech to szlag! Nie gracie najuczciwiej, chłopaki.

— O co ci chodzi? Że Slade jest szpiegiem? Naszła cię nagła fala patriotyzmu?

— Idź do diabła! Gdyby nawet posadzili go za porwanie królowej, premiera

czy całego zasranego gabinetu, nic by mnie to nie obeszło. Rzecz w tym, że Slade będzie mi kulą u nogi.

— Hm, no cóż. . . — Cosgrove przybrał pojednawczy ton głosu. — Może będziemy mogli ci to zrekompensować. Umawialiśmy się, że jak cię stąd wyciągniemy, zapłacisz dwadzieścia tysięcy. Zgadza się?

Znużony, kiwnąłem głową.

63

— Zgadza .

— Załóżmy, że opuszczamy cenę do połowy i bierzemy dychę. Żywy Slade zrównoważy nam stratę drugiego dziesiątaka. Co ty na to?

— No. . . Widzę niejaki plusy. . . — przyznałem.

— To chyba niezłe rozwiązanie, nie? Zwłaszcza, że i tak przerzucą cię razem ze Sladem.

— Czy ty aby masz prawo składać takie oferty? — spytałem podejrzliwie.

— Oczywiście, że mam. — Uśmiechnął się blado. — Naturalnie, jest i druga

strona medalu. Jeśli ty przejdiesz przez mur, a Slade zosta nie na dole, wtedy obrywasz na amen. To po to, żebyś pamiętał, że on jest dla nas ważniejszy od

ciebie.

— Mam go tylko przerzucić przez mur?

— Tylko. Kiedy obydwaj wylądujecie po drugiej stronie, moi kumple już się wami zajmą. — Wzruszył ramionami. — Oczywiście, że Slade sam by sobie nie

poradził, dlatego tak to zorganizowaliśmy. Powiem ci prosto z mostu: on nie biega najlepiej. Ty też byś nie biegał, gdyby ci w obu stawach biodrowych wmontowali stalowe kołki.

— A jak sobie radzi ze wspinaczką?

— Ma silne ramiona, ale może go będziesz musiał podsadzić, jak ta platforma nadjedzie.

— Dobra — zgodziłem się. — Będę mu też chyba musiał powiedzieć kilka rzeczy, nie?

— Mowy nie ma! — zaprotestował Cosgrove. — W ogóle się do niego nie zbliżaj! To część umowy. Z nim już rozmawialiśmy i on wie, co robić. Ty dowia-dujesz się ode mnie. — Rozjazgotał się dzwonek obwieszczający koniec wolnych zajęć. Cossie pomachał mi ręką. — Do zobaczenia w sobotę na boisku!

Do soboty czas włókł się niemiłosiernie. Oblał mnie zimny pot, bo znów zmieni mi celę — dwie zmiany w ciągu trzech dni! — i zastanawiałem się, czy ktoś zwietrył, że szykuje się ucieczka. Całą siłę woli wykorzystywałem na to, żeby wieczorami nadal się uczyć. Nad rosyjskim nie mogłem się jakoś skupić. Przerzuciłem się więc na literaturę angielską, ale stwierdziłem, że *Finnegan's Wake* nie jest w tych okolicznościach lekturą wybitnie relaksującą.

Obserwowałem Slade'a i ponuro stwierdziłem, że nogi ma cholernie słabe.

Przerzucenie go przez mur, z platformą czy bez, nie zanosilo się wcale na zadanie łatwe, wprost przeciwnie. W którymś momencie zauważył, że mu się przyglądam

i jego wzrok najzwyczajniej w świecie się po mnie ześlizgnął! Nie widziałem, że-by Cosgrove z nim gadał, więc skonstatowałem, że musiał mieć innego łącznika.

Niewykluczone, że najemnikami tych pieprzonych Wykałaczek na szpikowane było całe to cholerne więzienie!

W ciągu dnia szorowałem stoły i zmywałem hol C i nie odstawiałem żadnej

lipy, nawet w sobotnie przedpołudnie. Nie chciałem żeby ktoś zauważył choć cień 64

czegoś nienormalnego. Jednak w porze obiadowej nie miałem apetytu i większość jedzenia zostawiłem.

Widziałem, jak siedzący po drugiej stronie holu Slade bierze kromkę chleba i do czysta poleruje swój cynowy talerz.

O drugiej trzydzieści wyprowadzili nas na boisko, na ćwiczenia wolne. Nie-

którzy kopali piłkę, lecz większość więźniów spacerowała tam i z powrotem, na-pawając się słońcem, niebem i powietrzem. Podryfowałem w stronę Cosgrove'a

i razem ruszyliśmy wzdłuż boiska.

— Pokażę ci, w którym miejscu ich zobaczysz. Przejdziemy obok, jak gdyby

nigdy nic, jasne? Później zaprowadzę cię tam, gdzie będziesz czekał. Będziesz sobie stał i patrzył na mnie i na mur. Tylko nie gap się tak, jakbyś liczył na to, że coś się zaraz wydarzy.

— Nie jestem durniem.

Odchrząknął.

— Może i nie. No dobra, zbliżamy się. Widzisz ten znak kredą?

— Widzę — odparłem i prawie się roześmiałem. Był to niechlujnie naba-

zgrany falliczny gryzmoł, takie coś, co można zobaczyć w zapuszczonym ustępie publicznym.

Cossie się jednak nie śmiał.

— Tu podjadą. Teraz dojdziemy do końca boiska.

Szliśmy dalej i niczym na komendę zrobiliśmy jednoczesny zwrot w tył, zu-

pełnie tak, jak robił to nauczyciel dyżurujący na boisku szkoły, do której chodzi-

łem jako dziecko.

— Może będziesz musiał wskakiwać do środka, ale tam zobaczysz faceta,

który ci pomoże.

— Będę musiał wskakiwać do środka?! — wysyczałem. — A co ze Sladem?!

— Najpierw dasz mu zdrowego kopa. Z platformy będą zwisały sznury. O ile

tylko się ich chwyci, da sobie radę, ma silne ramiona.

Odszukałem wzrokiem Slade'a i zobaczyłem, jak z wyraźnym upodobaniem

obserwuje mecz.

— Musi chyba zostawić kule.

— Jasne, że zostawi — potwierdził niecierpliwie Cossie.

Przeszliśmy spacerkiem na drugą stronę boiska do punktu leżącego naprze-

ciwko kredowego fallusa. Slade opierał się o mur niemal tuż obok znaku i z chwilą rozpoczęcia akcji będzie musiał pokonać zaledwie metr lub dwa.

Zostań tu i czekaj — powiedział Cossie. — Spojrzał na coś, co trzymał w palcach i wtedy zobaczyłem, że to maleńki damski zegarek. — Jeszcze prawie dwadzieścia minut. Zegarek zniknął.

— Skąd go masz? — zapytałem.

— Nieważne — odpowiedział z kwaśnym uśmiechem. — Za dwadzieścia pięć

65

minut to cacko zniknie. Jak się zacznie, klawisze będą latać jak opętani i wybebe-szą cały ten bajzel do góry nogami. Ale zegarka nie znajdą, o nie.

Oparłem się o ścianę i spoglądałem na niewyraźny bazgroł po przeciwległej

stronie boiska. Zza muru słychać było uliczny ruch, niezbyt duży, bo w sobotnie popołudnia hałaśliwe ciężarówki odpoczywały.

— Zaraz cię zostawię, ale przedtem nasz plan — odezwał się Cosgrove. —

Za dwie trzecia w tamtym rogu rozpęta się bójka. Narobią dużo hałasu. Jak tylko usłyszysz, co się święci, zaczniesz iść przez boisko. Tylko pomału, pamiętaj! Idź

w kierunku znaku. Nie rób żadnego zamieszania i na Chrystusa Pana nie biegnij!

Slade zobaczy że idziesz i przygotuje się.

— Lepiej bym się czuł, jakbym sam z nim pogadał — narzekałem -

— Zbyt ryzykowne — odparł Cosgrove. — Dalej. Nie dziw się niczemu mu,

co będzie się tu dziać, cokolwiek by to było. Ty myślisz tylko o swojej działce i walisz wprost na tego kredowego fiuta. Akurat jak dojdiesz, nadjedzie platforma. Podsadzasz Slade'a i sam wskakujesz. To nie powinno być trudne.

— Dam sobie radę, Cossie.

— Dobra jest. Powodzenia, Rearden. — Uśmiechnął się krzywo. — Nie bę-

dziemy tu teraz ścisnąć sobie łap. Spadam już. Pogadam sobie z Paddym Colqu-

hounem, aż to wszystko się skończy. — W jego ręku znów pojawił się zegarek.

— Dokładnie kwadrans.

— Czekaj, Cossie. — Zatrzymałem go. — A co z kamerami telewizyjnymi na

zewnątrz?

— I o to się zatroszczymy, nie bój nic — uspokajał. — No to bywaj, Rearden.

Odszedł przez boisko i zostałem sam. Oparłem się o chłodną ścianę. Spociły

mi się dłonie, a gdy spojrzałem na kolczasty drut wieńczący szczyt zewnętrznego muru, poczułem w ustach nagłą suchość. Tylko Bóg mi chyba pomoże, gdybym

na tym drucie wypruł sobie flaki. Wytarłem ręce o spodnie i przykucnąłem na piętach.

Slade stał w pobliżu oznakowanego miejsca i też nie miał towarzystwa. Prawdopodobnie uprzedzono wszystkich, żeby trzymali się od nas z daleka. Nie mu-

sieli wiedzieć dlaczego, a i tak by usłuchali, zwłaszcza jeśli rozkaz wydało kilku miejscowych osiłków. Bo wypadki się zdarzają, nawet w więzieniu, i cholernie tu łatwo skończyć ze złamanym ramieniem, albo jeszcze gorzej.

Cosgrove rozmawiał z Paddym. Udawali, że pękają ze śmiechu z jakiegoś kawału. Miałem nadzieję, że kawał ten nie dotyczy mnie. Zainwestowałem w Cos-

siego całe moje zaufanie, ale jeśli mnie nabrał, jeśli dla zabawy wystawił mnie do wiatru, gotów byłem skrócić mu kark. Więzienie okazałoby się dla nas obu

za małe. Ale patrząc na Slade'a po drugiej stronie boiska, czułem w kościach, że wszystko dzieje się naprawdę.

Na dziedzińcu znajdowało się czterech klawiszy. Chodzili tam i z powrotem z beznamiętnym wyrazem twarzy. Wiedziałem, że dwóch innych obserwuje nas

66

gdzieś z okien nad moją głową. Stamtąd mieli widok na ulicę, po drugiej stronie muru. Chryste! Pewnie jak tylko zobaczą, że nadjeżdża ta machina, natychmiast włączą alarm! Przecież nie mogą być aż tak tępi!

Mijały sekundy. Stwierdziłem, że tracę poczucie czasu. Upłynęło już piętna-

ście minut, czy może tylko pięć? Znow zwilgotniały mi dłonie i znow wytarłem

je o spodnie. Skoro miałem wspinać się po jakiejś linie, po co ryzykować upadek?

Jeszcze raz spojrzałem na Cosgrove'a. Stał sobie z przekrzywioną głową

i wsłuchiwał się w opowieść Paddy'ego. Zanim wybuchnął rubasznym śmiechem i huknął Paddy'ego w plecy, wyraźnie puścił do mnie oko. Nie zauważyłem, jak dawał sygnał, ale nagle z drugiego końca boiska usłyszałem podniesione głosy. Może więc sygnałem było to, że grzmotnął Paddy'ego w kark? Wstałem i zahipnotyzowany widniejącym w dali znakiem, zacząłem iść wolno przed siebie. Slade oderwał się od muru i kuśtykając na swoich kulach też zrobił parę kroków. Wszyscy odwracali głowy w stronę ogniska rozróby, która zdążyła już przybrać na sile.

Niektórzy więźniowie biegli w tamtym kierunku biegli tam i strażnicy. Zerknąłem w prawo i dostrzegłem Hudsona, komendanta. Pojawił się nie wiadomo skąd, wyskoczył jak diabeł z pudełka i nadchodził teraz z przeciwległego końca boiska.

Nie biegł, nie, szedł szparkim krokiem, w dodatku obrał taki kurs, że musieliśmy się zderzyć.

Nagle gdzieś z tyłu zaczęły się dziać jakieś przedziwne rzeczy. Rozległ się ostry huk, coś na kształt niewielkiej eksplozji, i z ziemi uniósł się tuman gęstego, białego dymu. Szedłem dalej, a Hudson odwrócił się i patrzył. Na dziedzińcu słyhać było teraz wybuch za wybuchem, a ciężki dym zaścielał coraz to większy i większy obszar. Ktoś stojący za murem nie certolił się i rzucał na boisko całe wiązki granatów dymnych.

Hudson znajdował się już za mną i usłyszałem jego zdenerwowany ryk:

— Ucieczka! Ucieczka! Włączyć alarm!

Dmuchał w swój gwizdek jak oszalały, ale ja twardo szedłem tam, gdzie czekał

Slade. Na jego twarzy rysowały się głębokie bruzdy napięcia i wysiłku, a kiedy zbliżyłem się do niego, rzucił niecierpliwie:

— Do cholery, gdzie jest ta zasrana machina?!

Podniosłem wzrok i przez kłęby dymu zobaczyłem, że nadjeżdża, że zawisa

nad murem niczym łeb jakiegoś prehistorycznego stwora, a z paszczy wystaje mu oślizgłe zielsko. Potwór schylił głowę i wtedy spostrzegłem, że zielsko to cztery liny z zawiązanymi w pewnych odstępach supłami. Liny dyndały z platformy, na

której stał facet i, jak mi Bóg miły, rozmawiał z kimś przez telefon!

Nachyliłem się.

— No dobra, Slade. Jedziemy w górę!

Odrzucił kule, podniosłem go i chwycił jedną z lin, tę, która weszła mu akurat w rękę. Nie był piórkiem i z trudem trzymałem go w górze. Złapał się w końcu

sznura, a ja dziękowałem Bogu, że uwolnił mnie wreszcie od ciężaru.

67

Facet na platformie nie spuszczał z nas oczu i widząc, że Slade ma już się

czego trzymać, nagłym głosem zagadał w telefon i platforma zaczęła się wzno-sić. Problem w tym, że wznosiła się beze mnie. Wykonałem szaleńczy podskok

i uczepliłem się ostatniego supła tej samej liny, po której wspinał się Slade. Podciągnąłem się szybko, ale jego nogi dyndały to tu, to tam, tak że czubkiem buta wyrznął mnie w szczękę. Zakręciło mi się we łbie i niemal rozluźniłem uchwyt, ale wytrzymałem, jakoś przecież wytrzymałem.

I wtedy ktoś złapał mnie za kostkę. Spojrzałem w dół i ujrzałem Hudsona.

Jego twarz wykrzywiała się z wysiłku. Ten to miał ścisk! Jak imadło! Podniosłem drugą nogę i dałem mu kopa w gębę; zaczynałem się uczyć od Slade'a. Puścił

mnie i spadł na ziemię, która w tym momencie znajdowała się już całkiem spory kawałek pod nami. Ruszyłem do góry, wciągałem się coraz wyżej i wyżej czując, że pękają mi mięśnie ramion, aż wreszcie uchwyciłem krawędź platformy.

Slade leżał jak długi na stalowej podłodze i ledwo dyszał po morderczym

wysiłku. Gość z telefonem nachylił się i powiedział:

— Nie wstawaj. Wszystko będzie dobrze. I znów zagadał w słuchawkę.

Spojrzałem w dół. Ogromny, zginający się w przegubach wysięgnik przeleciał

tuż nad kolczastym drutem, przerzucił nas przez mur i zaczął się szybko opuszczać.

Facet znów się nachylił i spokojnym głosem powiedział:

— Róbcie dokładnie to, co ja.

Jeden wywołujący zawrót głowy ruch żurawia i znaleźliśmy się po drugiej

stronie ulicy. Tu ramię nagle znieruchomiło. Nie wiadomo skąd wyjechała mała dostawcza ciężarówka i stanęła dokładnie pod platformą. Nasz facet przerzucił

ciało przez balustradkę i opuścił się lekko na skrzynię ciężarówki. Z wdzięczno-

ścią rozluźniłem uchwyt i poszedłem w jego ślady. Slade skoczył na końcu i sklą-

łem go, bo zleciał mi na kark. Zaraz się ze mnie sturlał, gdyż samochód ryknął, gwałtownie przyspieszył i z piskiem opon wszedł w pierwszy zakręt.

Rzuciłem okiem za siebie i zobaczyłem, jak ogromny żuraw prze suwa się

ociężale bliżej środka ulicy i opuszcza swe wielkie ramię, kompletnie blokując ruch. Z kabiny wyskoczyli jacyś mężczyźni i zaczęli uciekać, a potem znów skrę-

ciliśmy i tyle ich widziałem.

Slade wspierał się o ścianę skrzyni. Siedział z bezwładnie opuszczoną głową

i gapił się w jedną stronę. Zszarzał na twarzy i zdawał się być kompletnie wyczerpany. Przypomniało mi się, że nie tai dawno wrócił ze szpitala.

Nasz instruktor szturchnął mnie łokciem w bok.

— Uważaj — rzucił ostro. — Przenosisz się do czarnej mini-furgonetki. Zbieraj się.

Ciężarówka jechała szybko, ale tego popołudnia ruch był niewielki i kierowca

mógł sobie na to pozwolić. Nagle osadziło nas w miejscu. Zatrzymaliśmy się tuż za mini-furgonetką, która czekała przy krawężniku. Jej tylne drzwi otworzyły się 68

na oścież.

— Jest! Właż do środka! Szybko!

Wyskoczyłem z ciężarówki i głową naprzód rzuciłem się do wnętrza furgonetki.

Usłyszałem, jak ktoś z trzaskiem zamyka za mną drzwi. Uniosłem głowę

i zerkając w szybę między ramionami dwóch barczystych mężczyzn, zobaczyłem,

że moja ciężarówka już odjeżdża, a razem z nią Slade. Z dużą prędkością skręciła w prawo.

Furgonetka ruszyła spokojniej, dostosowując się do limitu szybkości. Skręci-

liśmy w lewo. Nie mogłem złapać tchu. Płuca mało mi nie pękły, a serce waliło tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Leżałem i dyszałem, aż wreszcie poczułem się trochę lepiej. Wsparłem się na łokciu i dziobnąłem palcem faceta siedzącego na miejscu się na łokciu i dziobnąłem palcem faceta siedzącego na miejscu dla pasażera. — Dlaczego nas rozdzieliliście? — spytałem.

Nic nie odpowiedział, więc spróbowałem jeszcze raz.

— Dokąd jedziemy?

— Zamknij gębę i leż — odrzekł, nie odwracając głowy. — Niedługo się dowiesz.

Odpoczywałem, o ile w ogóle da się odpocząć siedząc na twardej, metalowej podłodze. Z tego, co widziałem przez fragment tylnej szyby, wywnioskowałem, że jedziemy jakąś diabelnie skomplikowaną trasą. Zatrzymywaliśmy się na światłach, jak trzeba, i nie pruliśmy na tyle szybko, by zwracać na siebie uwagę.

Furgonetka skręciła w boczną ulicę i wjechała w ogrodową alejkę. Podparłem

się na łokciu i ostrożnie wyjrzałem, by sprawdzić, co się dzieje z przodu. Przed nami znajdowały się ogromne drewniane drzwi, a wewnątrz budynku stał wielki meblowóz z opuszczoną klapą. Bez chwili wahania kierowca zmierzał właśnie

tam. Włączył niski bieg, z podskokiem wpadł na kładkę, jaką tworzyła opuszczona klapa i wjechał do środka. Z dachu coś spadło, odcinając nas od świata zewnętrznego, usłyszałem trzask zamykanej klapy i zapanowały kompletne ciemności.

Wtedy otworzyły się tylne drzwi furgonetki.

— Możesz już wyjść — dobiegł mnie głos jakiejś kobiety.

Wygramoliłem się z wozu i natychmiast na nią wpadłem. Odzyskałem równowagę, wspierając się na jej miękkim ramieniu. Huknęły przednie drzwi furgonetki.

— Na litość boską! — krzyknęła. — Zapalcie światło!

Na suficie rozblęśtała lampa i rozejrzałem się ciekawie dookoła. Znajdowaliśmy

się w ciasnej komorze. Nasz wóz wypełniał ją tak, że wolnego miejsca było tyle, co kot napłakał. Kobieta okazała się wysoką blondynką ubraną w biały kombinezon. Wyglądała jak recepcjonistka w szpitalu. Jeden z facetów przepchnął się koło mnie, potem się schylił i do tylnego zderzaka furgonetki przymocował metalową klamrę.

Usłyszałem warkot ciężkiego dieslowskiego silnika i cały meblowóz zadrżał.

Mężczyzna wyprostował się, wyszczerzył do mnie zęby i poklepał bok furgonetki.

— Chyba nam się nie urwie, co?

Jeszcze jeden wstrząs, potem zgrzyt biegów. Ogromny wóz ruszył. Dokąd mnie zabierali?

Blondynka uśmiechnęła się.

— Nie mamy wiele czasu — zauważyła praktycznie. — Zdejmuj łachy. —

Musiałem wgapiać się w nią. z rozdziawioną gębą, bo rzuciła ostro: — Wyskakuj z ciuchów, człowieku! Nie bądź taki pruderyjny! Nie jesteś pierwszym, którego oglądam, jak go Pan Bóg stworzył.

Zdjąłem z siebie szary, flanelowy kabat — umundurowanie zniewolonych —

i patrzyłem, jak kobieta rozpakowuje walizkę. Wyciągnęła niej bieliznę, skarpetki, koszulę, garnitur i parę butów.

— Możesz się już zacząć ubierać — oznajmiła. — Ale nie wkładaj na razie koszuli.

Zdjąłem z siebie więzienny garniturek i włożyłem miękką bieliznę. Później, niezręcznie balansując ciałem w rytm podskoków meblowozu, wciągnąłem skarpetki.

— Jak to jest być znowu na wolności, chłopie? — zapytał i mężczyzn.

— Nie wiem. Nie jestem wcale pewien, czy to aby wolność

— Wolność, wolność, stary — zapewniał. — Spokojna głowa.

Włożyłem spodnie i buty. Wszystko pasowało jak ulał.

— Skąd znaliście moje wymiary? — zdziwiłem się.

— Wiemy o tobie wszystko — stwierdził ten sam facet. — No, może oprócz jednego.

— Mianowicie?

Zapalił papierosa, po czym puścił kłąb dymu prosto w mój nos.

— Gdzie trzymasz pieniądze. Ale ty nam powiesz, prawda?

Zasunąłem zamek od spodni.

— We właściwym czasie — odparłem.

— Chodź tutaj — odezwała się blondynka. Podciągnęła taboret pod stojak z miednicą. — Siadaj. Namydlę ci głowę.

Usiadłem, a ona szorowała mi włosy, wbijając się w nie palcami aż do skóry.

Splukala. Namydliła jeszcze raz, wreszcie splukala po raz ostatni. Potem ujęła mnie pod brodę i obróciła twarzą do siebie.

— Dobra jest. Teraz brwi. — Zajęła się moimi brwiami, a kiedy skończyła, rzuciła mi lusterko. — No i jak się sobie podobasz?

Spojrzałem na swoje odbicie. Moje czarne włosy gdzieś zniknęły i przeobraziłem się w ciemnego blondyna. Zdumiała mnie różnica w wyglądzie, jaką spowodowało przefarbowanie włosów. Nawet Mackintosh by mnie teraz nie rozpoznał.

Kobieta dotknęła mego policzka.

70

— Będziesz musiał golić się dwa razy dziennie. Ten ciemny zarost od razu by cię wydał. Dobrze zrobisz, goląc się od razu. W walizce są przybory.

Otworzyłem saszetkę i znalazłem w niej wszystko to, z czym podróżuje dobrze zaopatrzony mężczyzna. Znajdowała się tam nieduża maszynka do golenia na baterie, którą natychmiast wypróbowałem. Kiedy się goliłem, kobieta zaczęła wykladać na półkę różne przedmioty.

— Nazywasz się teraz Raymond Criuckshank — oznajmiła. — Tu masz spinki ze swoim monogramem.

— Czy muszę być facetem akurat tego typu? — spytałem lekko.

Nie rozbawiłem jej.

— Nie wygłupiaj się — przywołała mnie chłodno do porządku. — Ten sam

monogram jest na walizce. To wszystko to twoje zabezpieczenie, Rearden, żeby

nie dać się złapać. Potraktuj sprawy poważnie.

— Przepraszam.

— Byłeś kiedyś w Australii, Rearden. Kilka lat temu wpłatałeś się w coś

w Sydney, dlatego zrobiliśmy z ciebie Australijczyka. Anglicy nie widzą różnicy między akcentem południowoafrykańskim i australijskim. Z tym nie powinieneś

mieć kłopotów. Tu jest paszport. Wyciągnęła portfel i otworzyła go, żebym mógł sprawdzić zawartość.

— Wszystko należy do Cruickshanka. Zajrzyj do środka, żebyś wiedział co tam masz.

Zajrzałem i zdumiałem się niepomierne. Ekipa Wykałaczek była operatywna!

Tak, Cossie mówił, że potrzebują czasu na zorganizowanie przerzutu. I nie dziwota. Ujrzałem więc karty członkowskie klubów w Sidney, dziwny dwudolarowy

banknot australijski wśród waluty brytyjskiej, australijską kartę AA wraz z australijskim i międzynarodowym prawem jazdy oraz z tuzin wizytówek informu-

jących, gdzie mieszkam i co robię. Wyglądało na to, że jestem dyrektorem firmy sprowadzającej urządzenia biurowe. Słowo honoru ta ekipa była operatywna jak

diabli. Wyciągnąłem z portfela jakąś fotografię z pozaginanymi oślimi uszami.

— a to co takiego?

— Ty, twoja żona i dzieci — wyjaśniła spokojnie.

W przyćmionym świetle przyjrzałem się zdjęciu uważniej i. . . Na Boga! Rze-

czywiście miała rację! To istotnie byłem ja — blondyn opasujący ramieniem talię jakiejś brunetki, a przed nami stało dwoje dzieci! Niezły fotomontaż.

Włożyłem zdjęcie z powrotem do portfela i na dnie przegródki wyczułem jesz-

cze coś. Prędko to wyjąłem i okazało się, że trzymam w ręku bilet do teatru, bilet z datą sprzed dwóch miesięcy. Teatr, rzecz jasna, był w Sydney. Okazało się, że zaliczyłem „Skrzypka na dachu”.

Ostrożnie wsunąłem bilet na miejsce i z nie ukrywanym podziwem stwierdzi-
łem:

71

— Ślicznie, naprawdę bardzo ślicznie. — Odłożyłem portfel i zacząłem na-
kładać koszulę. Właśnie miałem zapiąć spinki w mankietach, gdy znów odezwała
się ta kobieta.

— Jak już mówiłam, to wszystko stanowi pańskie zabezpieczenie, Panie Cru-
ickshank.

Zastygłem w bezruchu.

— To znaczy?

— Trzymajcie go, chłopcy — rzuciła ostro.

Chwycili mnie od tyłu i boleśnie unieruchomili. ’

— Co to, do jasnej cholery, ma. . .

Panie Cruickshank, teraz chodzi o nasze zabezpieczenie — odparła dobitnie.

Wyciągnęła zza pleców rękę uzbrojną w strzykawkę. Uniosła strzykawkę na
wysokość oczu i fachowo wypuściła z niej parę kropel płynu. Jednym ruchem
odwinęła nie zapięty rękaw koszuli.

— Bez urazy — powiedziała i wbiła mi igłę w ramię.

Za diabła nie mogłem nic zrobić. Po prostu stałem jak sierota i patrzyłem na
babę, której twarz rozmazywała mi się przed oczami. przestałem widzieć cokol-
wiek.

II

Obudziłem się z uczuciem, że spałem Bóg wie jak długo. Nie wiedziałem, skąd się to wzięło, lecz zdawało mi się, że od chwili, gdy zasnąłem w swojej

nowej celi — w tej, do której mnie właśnie przenieśli — minęło chyba ze sto lat.

Z pewnością jednak nie czułem się tak, jak po normalnej nocy, bo zdążyłem się już przyzwycząić do snu przy zapalanej lampie.

I jaki kac mnie męczył!

Mogę przeżyć każdego kaca pod warunkiem, że kac będzie miał swoją przy-

czynę. Cóż, za każdą przyjemność trzeba ostatecznie płacić. Jednak płacić, gdy przyjemności jako takiej nie było?! O nie, stanowczo protestuję! Od osiemnastu miesięcy nie wychyliłem ani kielicha, więc cierpieć z powodu nie zawinionego

kaca to czysta ohyda!

Leżałem, nie otwierając klejących się powiek. Miałem wrażenie, że jakiś kowal owinał mi wokół głowy rozżarzoną obręcz, że stoi teraz obok, wali w nią młotem, i że za każdym uderzeniem ta cholerna obręcz podskakuje jak najęta.

Miałem też w ustach znajome uczucie suchości i jakiś absmak, który swego czasu mój znajomek przyrównał nieelegancko do smaku wnętrza przepaski greckiego

zapaśnika.

Obróciłem się wolno i chcąc nie chcąc jęknąłem, bo kowal łupnął mnie akurat szczególnie mocno. Rozwarłem powieki i bezmyślnie wpatrywałem się w sufit.

72

Delektowałem się pozłacanymi zawijasami gzymsu i bardzo uważałem, żeby się z oglądaniem zbytnio nie spieszyć w obawie, że oczy wyjdą mi na wierzch.

Śmieszne — pomyślałem. Tym razem dali mi bardzo ładną celę. . .

Oszczędzając maksymalnie ruchy, uniosłem się na łokciu i zdążyłem jeszcze zobaczyć, że ktoś właśnie wychodzi z mojej celi. Drzwi zamknęły się z cichym

stukotem i usłyszałem odgłos, jaki wydaje klucz przekręcany w zamku. Dźwięk ów wydał mi się w każdym razie o wiele bardziej znajomy niż sama cela.

Nic nie rozumiejąc patrzyłem na ściany w gołęsim kolorze, złotawą, rokokową boazerię, na toaletkę w stylu Dolly Varden i wygodny fotel na puszystym dywanie.

I raptem olśniło mnie. Chryste! Udało się! Wyrwałem się z mamra!

Spojrzałem na siebie. Leżałem w jedwabnej piżamie, a ostatnim razem widziałem ją na dnie walizki w... meblowozie!

Mebłowóz... ?

Powoli i nie bez bólu zacząłem sobie wszystko przypominać. Szaleńczy rzut na linę, wariacki przelot nad kolczastym drutem, zeskok na ciężarówkę, potem furgonetka, wreszcie meblowóz.

No właśnie! Meblowóz! O to szło! Tam była ta blondyna, która mi farbowała włosy i dała portfel. Mówiła, że nazywam się Cruickshank i jestem z Australii.

A później mnie uśpiła. Dziwka! Uniosłem dłoń do ramienia i roztarłem bolące miejsce. No dobrze, ale po jaką cholere to zrobiła?

Odrzuciłem pościel i spuściłem nogi. Ledwie stanąłem, a natychmiast mnie

zemdlilo. Zatoczyłem się w stronę najbliższych drzwi, pchnąłem je i znalazłem się w łazience. Meandrując jak pijany, dopadłem sedesu, nad którym omal nie wyrwało mi wnętrzości. Skończyło się jednak na niczym, jeśli nie liczyć odrobiny brązowego śluzu. Kiedy skończyłem, poczułem się mimo wszystko ociupinkę

lepiej, więc wstałem i chwiejnym krokiem dowlokłem się do umywalki. Uczepi-

łem się jej i spojrzałem w lustro na swoją gębę. Miała rację — pomyślałem. Ten ciemny zarost kładzie całą zabawę Blond czupryna przy ciemnym zaroście wyglądała idiotycznie, a oczy — podobne do dwóch wypalonych w kocu dziur —

też nie polepszały ogólnego wrażenia. Znów potarłem ramię i odruchowo podwinąłem rękaw. Ujrzałem tam pięć czerwonych śladów od ukłuć igłą.

Pięć! Więc jak długo byłem nieprzytomny? Potarłem palcami brodę. Zaskro-

bała. Skrobała tak, gdy nie goliłem się przez co najmniej trzydzieści sześć godzin.

Co najmniej! Chyba, że ktoś mnie w tak zwanym międzyczasie ogolił, choć ta

wersja wydała mi się bardzo mało prawdopodobna.

Odkręciłem kurek, napuściłem do umywalki trochę zimnej wody, po czym

solidnie ochlapałem sobie twarz, parszając przy tym i prychnając. Pod ręką miałem czysty ręcznik. Wytarłem się do sucha i właśnie zaczynałem się czuć dużo lepiej, gdy spojrzałem w łazienkowe okno i całe moje dobre samopoczucie odpłynęło

w siną dal. W oknie ujrzałem grube, stalowe kraty. Mimo że szyba była matowa, dostrzegłem zarys takich samych krat na zewnątrz.

73

To już przesada — pomyślałem. To gorzej niż w więzieniu, bo w więzieniu

była tylko jedna warstwa krat.

Rzuciłem ręcznik na posadzkę i wróciłem do sypialni. Jak się mogłem spo-

dziewać, okno w sypialni również zakratowali z dwóch stron, tyle że tu wstawili przezroczystą szybę. Wyjrzałem na zewnątrz, na podwórko otoczone ze wszystkich stron budynkami. Nic się tam nie ruszało poza jednym kosem tropiącym

zawzięcie robaka na schludnie wystrzyżonym trawniku.

Obserwowałem to podwórko z pięć minut, ale skoro nic się tam nie działo,

skoncentrowałem się na sypialni. Na toalecie pod oknem leżała moja saszetka

i maszynka do golenia, w którą zaopatrzyła mnie blondyna z meblowozu. Otwo-

rzyłem saszetkę, wyjąłem grzebień i uczesałem się. Z goleniem nie musiałem się spieszyć.

Spojrzałem w lustro na tego obcego faceta, który wybałuszał na mnie gały, i pokazałem mu język.

Facet zachował się identycznie. Ponieważ język miał

bardzo obłożony, czym prędzej wciągnął go z powrotem. Ja też.

Nagle zeszywniałem. Zajrzałem facetowi przez ramię i szybko obróciłem się

twarzą do pokoju. W pokoju znajdowały się dwa łóżka: jedno, na którym spałem, to ze zmiętą pościelą, i drugie, na którym ktoś leżał. Podeszedłem bliżej i znalazłem w nim kompletnie nieprzytomnego Slade'a; miał otwarte usta i ciężko oddychał.

Poklepałem go po twarzy i usiłowałem na siłę rozewrzeć mu powieki. Bez skutku.

Gdyby nie to, że oddychał, mógłby z powodzeniem odgrywać nieboszczyka.

Cóż, dałem mu w końcu spokój, a to głównie dlatego, że na podłodze obok

fotela dostrzegłem gazetę. Nie znany mi człowiek, który czekał, aż się wreszcie obudzę, zostawił w pokoju swego *Sunday Timesa*.

Pisali o nas na pierwszej stronie! Nagłówki krzyczały w sposób zupełnie dla

Sunday Timesa nietypowy, ale założyłbym się, że *News of the World* zrobiła wokół

nas jeszcze więcej zamieszania. Opublikowali nawet fotografię okolic więzienia, na której grubą, przerywaną linią zaznaczyli przebieg wypadków. Dali też i zdję-

cie żurawia ze złamaną szyją. Żuraw blokował wjazd na ulicę i wyglądał trochę jak martwy disnejowski dinozaur z Krainy Fantazji. Uwieczniono i kogoś, kogo

sanitariusze trągali na noszach do karetki pogotowia. Ha! *Komendant straży wię-*

ziennej Hudson złamał nogę w niewyjaśnionych okolicznościach.

Historia, jaką opisali, trzymała się w zasadzie faktów i według mnie nic tam

nie naknócili. Z zainteresowaniem przeczytałem na przykład, że kamery telewi-

zyjne strzegące więzienia od zewnątrz zostały unieszkodliwione, bo ich obiek-

tywy spryskano farbą! To mi się podobało. Z równym zaciekawieniem dowie-

działem się, że naszą ciężarówkę znaleźli niedaleko Colchester, a w okolicach Southhampton ktoś natknął się na porzuconą mini-furgonetkę. Wokół tych miejsc policja zarządziła blokadę.

Oczywiście, gwiazdą artykułu był Slade, bo w końcu czym jest nędzny zło-

dziej brylantów w porównaniu z superszpiegiem? Ale Brunskill nie darował

i mnie. *Ten człowiek jest niebezpiecznym przestępcą,*

a — oświadczył dziennika-

74

rzom, nie mrugnawszy nawet powieką. Został skazany za rozbój i ma na swoim koncie podobne wyczyny, których dopuszczał się od wielu lat. Mamy obowi ,

azek

poinformować o tym społeczeństwo i przestrzec, by nikt nie próbował rozprawić się z nim na własną rękę.

Było to najbardziej oszczercze oświadczenie, jakie kiedykolwiek czytałem.

Raptem dwa wyroki za rozbój w ciągu dwunastu lat, a tu z człowieka robią Kubę Rozpruwacza! Brunskillowi szło o to, aby utwierdzić ludzi w przekonaniu, że nie aresztowano mnie bez powodu. Miałem nadzieję, że za wygadywanie głupot jego szefowie przywołają go do porządku.

Insight nie miał na nasz temat nic do powiedzenia, ale niewątpliwie to nadrobią, i to jeszcze jak! Nadrobią już w przyszłym tygodniu, w następnym wydaniu, i zamieszczą w numerze szczegółową relację z naszej ucieczki. Tymczasem jakiego wstępniaka wywalili! Opisano w nim ucieczkę jako akt kolosalnej bezczelno-

ści i uznano, że skoro Kryminaliści mają się takich sposobów jak ostrzeliwanie więzienia owymi petardami, czas już najwyższy, by władze odpowiedzialne za

więziennictwo zdecydowały się na użycie wojska, żeby chronić nienaruszalność zakładów karnych.

Też byłem tego zdania.

Dziennikarzom nie udało się co prawda skontaktować z lordem Mountbatte-

nem, za to nakłonili do wypowiedzi wielu innych ludzi niezależnie od faktu, czy mieli coś istotnego do powiedzenia, czy nie. Jeden z nich, członek Parlamentu nazwiskiem Charles Wheeler zaplował się szczególnie mocno. Mówił — z wyraźną

goryczą- o bandytyzmie kwitującym na angielskich ulicach i zaklinał się, że przy pierwszej nadarzającej się okazji złoży w tej kwestii interpelację poselską. Życzy-

łem mu dużo szczęścia. Koła maszyny rządowej obracają się niezmiernie wolno

i ruszenie spraw choćby najbardziej oczywistych zabierze wiele czasu.

Tę gazetę przeczytałem z niemałą przyjemnością.

Właśnie skończyłem lekturę, gdy szcęknęły drzwi i mężczyzna ubrany w bia-

łą marynarkę wtoczył do środka wózek na kółkach. Na wózku stało kilka półmi-

sków pod srebrnymi pokrywami. Tuż za nim szedł wysoki facet z łysiejącą czaszką okoloną

szpakowatymi włosami.

— Ha! — zakrzyknął. — Na pewno ma pan chęć na lekki posiłek.

Rzuciłem okiem na wózek.

— Niewykluczone — rzekłem ostrożnie. — O ile mój żołądek wytrzyma.

Z całą powagą pokiwał głową.

— Czuje się pan trochę niezdrów. Doskonale rozumiem. Na stole ma pan dwie buteleczki. W jednej jest aspiryna, w drugiej środek na żołądek. Sądziłem, że sam je pan znajdzie.

— Nie szukałem — odparłem i uniosłem gazetę. — Pochłonięto mnie coś innego.

Uśmiechnął się.

75

— Owszem, bardzo interesująca lektura. — Klepnął w ramię gościa w białej marynarce. — Możesz już odejść. — Znow zwrócił się do mnie. — Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym został tu na herbatkę?

— Ależ skąd! Proszę się czuć jak u siebie w domu. — Elegancki byłem, że aż strach.

Biała Marynara nakrył stół, wytoczył wózek na korytarz, zamknął za sobą

drzwi i znow usłyszałem szcęk zamka. Nie chcieli ryzykować, chociaż w pokoju siedział przecież jeden z bandy Wykałaczek.

Przyjrzałem się z uwagą wysokiemu łysielcowi. Coś mi w nim nie pasowało,

tylko długo nie mogłem ustalić co. Wreszcie! Był wysoki i szczupły, ale miał

przedziwnie nalaną twarz, która zupełnie nie grała z całą resztą. Wyglądało to tak, jakby na chudzielca nasadzić gębę tłusciocha.

— Szlafrok znajdzie pan za drzwiami łazienki — wskazał machnięciem ręki.

Podszedłem do stołu, zabrałem zeń dwie małe buteleczki i dopiero wtedy skie-

rowałem się do łazienki. Preparatu na żołądek nie tknąłem, ale z wdzięcznym sercem powitałem aspirynę. Nałożyłem szlafrok i wróciłem do pokoju, by nakryć

Nalaną Gębę na tym, jak częstował się herbatą.

— Nie ma mi pan za złe, że czynię honory pana domu? — zapytał sardonicznie.

Usiadłem i wziąłem do ręki szklankę z zimnym sokiem pomidorowym. Nalaną Gęba pchnął w moją stronę sos Worcestershire; sos miał poprawić smak soku.

Skropiłem nim napój, dodałem pieprzu i szybko wypilem. Niemal natychmiast

zrobiło mi się lepiej, jednak nie na tyle, by stawić czoła śniadaniu, które ukaza-

ło się moim oczom, gdy zdjąłem z półmiska srebrną pokrywę. Ujrzałem nagle

dwa żółte jajeczne ślepia, parówkowe brwi, a u dołu suchy bekonowy wąs. Prze-

szedł mnie lekki dreszcz. Z niesmakiem odsunąłem od siebie talerz, sięgnąłem po grzankę i skąpo posmarowałem ją masłem.

— Jeśli już bawi się pan w gospodarza, poproszę o filiżankę herbaty — powiedziałem.

— Naturalnie. Wszystko, czego pan sobie zażyczy. — Zajął się czajniczkiem.

Wgryzłem się w chrupką grzankę.

— Wszystko? No to może zdradzi mi pan, gdzie ja właściwie jestem.

Z żalem pokręcił głową.

— Wtedy obydwaj wiedzielibyśmy równie dużo, a na to nie mogę się zgodzić.

Nie, panie Rearden, zadał pan jedno z pytań, na które nie wolno mi odpowiedzieć.

Oczywiście, zdaje pan sobie sprawę, że w związku z tym pańska przestrzeń życiowa jest nieco ograniczona i nie może się pan swobodnie poruszać.

Tyle sam zdążyłem już stwierdzić, bo podwójnie okratowane okna nie znalazły się tu przypadkiem. Głową wskazałem łóżko za plecami.

— Zdaje się, że Slade w ogóle nie może się poruszać.

76

— Nic mu nie będzie — zapewnił Nalana Gęba. — Slade jest starszy od pana

i dłużej wraca do siebie. — Podsunął mi filiżankę. — Będziecie panowie przebywać w tych dwóch pomieszczeniach do czasu, aż nadejdzie pora kolejnej przeprowadzki.

— A kiedy to nastąpi?

— To będzie zależało wyłącznie od panów. Mamy nadzieję uczynić wasz po-

byt tutaj jak najwygodniejszym. Jeśli ma pan jakieś szczególne upodobania je-

dzeniowe — na przykład sok grapefruitowy zamiast pomidorowego — zrobimy

wszystko, by je zaspokoić. — Wstał, pod szedł do szafki i otworzył ją. — Mają tu panowie niezły wybór trunków i w każdej chwili można zrobić sobie drinka.

A skoro o używkach mowa, jakie papierosy pan pali?

— Rothmansy z filtrem.

Niczym sumienny *mad're d'hôtel* wyciągnął notes i coś w nim zapisał.

— Z tym nie będzie żadnych kłopotów. Wyszczzerzyłem się do niego.

— Poza tym do południowego i wieczornego posiłku chciałbym dostawać pół

butelki wina. Białego, z tych bardziej wytrawnych. Najlepiej reńskiego albo mo-

zelskiego.

— Doskonale. — Znow coś tam sobie zanotował. — Naszym gościom stara-

my się zapewnić obsługę na najwyższym poziomie. Naturalnie, skoro ponosimy takie wydatki, musimy pobierać odpowiednie opłaty. W gruncie rzeczy należność jest znormalizowana i bez względu na to, jak długo pan tu zostanie, będzie ta-ka sama. Ustaliliście ją panowie na dwadzieścia tysięcy funtów, o ile pamiętam, zgadza się”

Uniosłem filiżankę.

— Nie zgadza się — stwierdziłem oszczędnie. — Dziesięć. Na tamtym łóżku

zalega ta druga dycha. Taki był układ.

— Ależ oczywiście! Zapomniałem.

— Nie zapomniał pan. Próbował mnie pan po prostu naciągnąć. Herbata panu wystygnie.

Usiadł.

— Sprawę rachunków chcielibyśmy załatwić jak najszybciej. Im szybciej to nastąpi, tym pręcej rozpocznie pan następny etap podróży.

— Dokąd?

— Pozwoli pan, że tym zajmiemy się my. Zapewniam pana, że wywędruje pan poza Zjednoczone Królestwo.

Zmarszczyłem czoło.

— Nie lubię kupować kota w worku. Chciałbym mieć jakieś mocniejsze gwarancje. Chcę wiedzieć, dokąd mam jechać.

Rozłożył ramiona.

— Przykro mi, panie Rearden, lecz nasz system bezpieczeństwa zabrania informować o tym przed czasem. Niechże pan zrozumie wagę sprawy. Nie możemy

77

ryzykować, że do naszej organizacji przenikną jakieś niepożądane elementy.

Zawahałem się, a on rzucił niecierpliwie:

— Panie Rearden, przecież z pana inteligentny człowiek. Z pewnością rozumie pan, że nasza reputacja zależy całkowicie od tego, jak dobrze zdołamy wywiązać się z powierzonych nam obowiązków. My, panie Rearden, handlujemy towarem. Tym towarem jest zaufanie, jakim darzą nas klienci. Wystarczy jedna skarga i poniesiemy niepowetowane straty. — Postukał łyżeczką o blat stołu. —

W każdym razie myślę, że informowano już pana, co może się zdarzyć, gdyby nie zechciał pan dotrzymać warunków umowy.

Znów mi grozili, w sposób zawoalowany, ale ponad wszelką wątpliwość gro-

zili. Musiałem grać na czas.

— Dobra. Załatwcie mi blankiet czekowy z *Züricher Ausführen Handelsbank*.

Nalana Gęba zdawał się być usatysfakcjonowany.

— A numer? Numer konta?

— Dowiedcie się z chwilą, gdy go wypiszę na czeku — odparłem. — Rozumie pan, ja też mam swoje środki ostrożności. — Przeprowadziłem błyskawiczny rachunek. — Wypiszcie czek na dwieście tysięcy franków szwajcarskich. Weźcie swoją działkę, a resztę oddacie mnie. W walucie tego kraju, w którym mnie wysadzicie. Skinął głową.

— Mądre zabezpieczenie. Rozsądny człowiek nigdy nie stawia się w sytuacji, w której nie dysponuje gotówką — powiedział sentencjonalnie.

Spojrzałem na siebie.

— Czy muszę od rana do nocy siedzieć w pizamie?

Miał wstrząśniętą minę.

— Ależ skąd! Proszę wybaczyć, że nie wspomniałem o tym wcześniej. Pańskie ubrania są w szafie.

— Dzięki.

Przeszedłem przez pokój i otworzyłem szafę. Wisiał w niej wyjściowy garnitur, a tuż obok komplet o mniej oficjalnym, bardziej sportowym charakterze.

Na półkach ułożyli mi schludnie bieliznę, a na specjalnych metalowych wspornikach postawili dwie pary wypastowanych na wysoki połysk butów. Jedna para była brązowa, druga czarna.

Szybko sprawdziłem kieszenie ubrań i stwierdziłem, że nic w nich nie ma.

Później szczerknąłem zamkami walizki stojącej na dnie szafy. Była pusta jak spi-

żarnia babci Czerwonego Kapturka.

Obróciłem się na pięcie i spojrzałem w twarz Nalanej Gęby.

— Nie ma paszportu — oświadczyłem. — Brak portfela i jakichkolwiek dokumentów stwierdzających moją tożsamość.

— Pozwoliliśmy panu rzucić na nie okiem, żeby przekonał się pan o naszych dobrych intencjach, panie Rearden. A może raczej panie Cruickshank? Chcieli-

78

śmy, żeby przekonał się pan, jakie podejmuje my starania, by zapewnić sukces całej operacji. W tej chwili nie istnieje żaden powód, żeby dostał je pan do ręki.

Dokumenty otrzyma pan przed kolejnym etapem podróży. — Pokiwał mi surowo palcem. — Bez-pie-czeństwo, panie Rearden, oto hasło dnia.

Akurat w to uwierzyłem mu na słowo. Ci fachmani brali pod uwagę wszystkie ewentualności.

— Gdyby pan sobie czegoś życzył, wystarczy nacisnąć ten guzik. O tak. —

Nacisnął guzik i pełen oczekiwania, wbił wzrok w drzwi. Nie upłynęły dwie minuty, a zjawił się Biała Marynara. — Taafe zaopiekuje się panem, panie Rearden.

Zaopiekujesz się panem, prawda, Taafe?

Biała Marynara kiwnął głową, ale milczał.

— Cóż, muszę już lecieć — oznajmił z żalem Nalana Gęba. Powiedział to

tak, jakby za nic w świecie nie miał ochoty iść, jakby marzył o tym, żeby tu

zostać i jeszcze ze mną pogwarzyć. — Trzeba zabrać się do roboty. — Przyjrzał

mi się uważniej. — Niech się pan lepiej ogoli. Wygląda pan tak, jakby pan z lasu wyszedł. Proponowałbym, by w czasie, kiedy zajmie się pan toaletą, Taafe ogarnął

niecokolwiek. — Skinął mi krótko głową i wyszedł.

Spojrzałem z zaciekawieniem na Taafego. Rzucił się w wir sprzątanego śniada-

niowych statków i do oglądu wystawił mi tylko szerokie plecy. Był dużym mężczyzną z pokiereszowanym obliczem drobnego zabijaki; musiał być kiepski, bo dobrzy bokserzy nie obrywają tak mocno po gębie. Wzruszyłem ramionami i udałem się do łazienki. Sam pomysł wydał mi się nie najgorszy niezależnie od tego, kto mi go podsunął. Napuściłem do wanny gorącej wody i zasiadłem w niej, żeby odmakać i myśleć. Drużyna Wykałaczek sprawdzała się doskonale, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Jeśli dostarczę im forszę, zapewne wywiozą mnie gdzieś za granicę, zaopatrzą w odpowiednie choćby sfalszowane — dokumenty i sumkę pieniędzy wystarczającą a to, bym dał sobie radę. Naturalnie, sytuacja odwrotna nie zapowiadała się zbyt różowo. Gdybym nie mógł wykazać się żądaną gotówką, znaleźliby gdzieś na uboczu dziurę w ziemi i starannie by ją wypełnili — ciałem niejakiego Reardena. W odległej przyszłości moje gnaty stanowiłyby niezłą zagadkę dla jakiegoś wiejskiego gliniarza. Potrząsnąłem głową. Nie. Ci faceci byli na to za sprytni. Oni nie zostawiliby po sobie żadnych śladów. Pewnie zamurowali by mnie w kawale solidnego betonu i wywalili za burtę w możliwie najgłębszym miejscu możliwie najgłębszego oceanu. Przy czym wykazaliby wielkie miłosierdzie, gdyby przed zamurowaniem raczyli mnie jeszcze ukatrupić. Mimo gorącej wody przeszedł mnie dreszcz. Zadumałem się ponuro nad *Züricher Ausführen Handelsbankiem* i nad tym wyrachowanym sukinsynem Mackintoshem. Powiniennem zacząć wreszcie układać plan. Jak uciec z tego luksusowego zakładu. . . ?

79

Co nasunęło mi kolejne pytanie: gdzie ja się, u diabła, znalazłem?! Nalana Gęba nabrał co prawda wody w usta, ale coś mu się niechcący wypsnęło. Goryl Taafe. Taafe. . . To nie brzmiało z angielska. Zupełnie nie. Może więc byłem już poza Anglią? Nalana Gęba popełnił błąd. Tak, nie powinien był używać tego imienia.

Rozmyślałem tak i przyszedł mi do głowy pewien wierszyk:

Taffy mieszkał w Walii,

Taffy to złodziejski chwyt.

Taffy raz przyszedł do mnie

i ukradł mi wołu zad.

Nauczyłem się tego, jeżdżąc na kolanach matki. Pomijając fakt, że wierszyk niesłusznie oczerniał Walińczyków, czy mogło to znaczyć, że znajdowałem się wciąż na terenie Zjednoczonego Królestwa?

Westchnąłem i zacząłem się chlapać. Czas pokaże. Tyle że czasu miałem akurat nie za wiele.

Dbali o nas tak, jak renomowany hotel dba o dwóch greckich armatorów. Nie było takiego życzenia panów Reardena i Slade'a, którego by natychmiast nie spełnili. Spełniali wszystkie prócz jednego: nie chcieli nam dać wolności. Chcieliśmy gazet, dostawaliśmy gazety. Zażyczyłem sobie południowoafrykańskiej brandy, dostałem południowoafrykańską brandy, w dodatku Oude Meester, coś, co w czasie mych kilku dni w Londynie okazało się zupełnie nieosiągalne. Slade patrzył na moją brandy niezbyt chętnym okiem i wybrał sobie piętnastoletnią Glenlivet, którą hojnie mu dostarczono.

Kiedy jednak zażądaliśmy telewizora czy radia, napotkaliśmy na niemy opór.

— No i dlaczego? — zapytałem Slade'a.

Obrócił ku mnie zmęczoną twarz i wykrzywił usta w pogardzie dla mojej ptasiej inteligencji.

— Bo programy informowałyby nas, gdzie jesteśmy — wyjaśnił cierpliwie.

Dalej rznąłem głupka.

— Ale gazety dostajemy regularnie.

— O Boże. . . -westchnął. Schylił się i wziął do ręki *The Timesa*. - Tu jest data. Ten egzemplarz jest z piątego. Wczoraj dostaliśmy gazetę z czwartego, jutro dadzą nam z szóstego, ale to nie znaczy, że dzisiaj jest naprawdę piąty. Możemy być na przykład we Francji, a prasę dowożą nam samolotem.

— Myślisz, że jesteśmy we Francji?

Spojrzał przez okno.

— Ani nie wygląda to na Francję, ani. . . — Pociągnął nosem. — Francją nie pachnie. — Wzruszył ramionami. — Nie wiem, gdzie jesteśmy.

— I nie sędzę, żebyś za bardzo się tym przejmował — zauważyłem.

Uśmiechnął się.

— Rzeczywiście, nie przejmuję się tym. Wiem tylko, że jadę do domu.

— Twoi muszą cię chyba uważać za kogoś ważnego, co?

— Za umiarkowanie ważnego — poprawił skromnie. — Chciałbym być już w domu. Nie widziałem Rosji od dwudziestu ośmiu lat!

— Nie, musisz być jakimś cholernym ważniakiem, skoro za to, że pomogłem cię wyciągnąć z mamra, zapłacili mi dziesięć patoli. — Obróciłem się twarzą do 81 niego i zapytałem poważnie: — Co sądzisz o tych fachmanach, o tych Wykałaczkach, Slade? Jesteś w końcu swego rodzaju zawodowcem, nie?

Był urażony.

— Swego rodzaju zawodowcem! Ja w swoim fachu jestem znakomity.

— Złapali cię — zauważyłem chłodno.

— Po dwudziestu ośmiu latach. I to przez czysty przypadek. Wątpię, czy ktoś inny radziłby sobie lepiej.

— W porządku, jesteś dobry. A teraz odpowiedz na pytanie. Co o nich myślisz?

— Są dobrzy — oddał Wykałaczkom sprawiedliwość. — Nawet więcej niż dobrzy, są bardzo dobrzy. Mają pierwszorzędny system zabezpieczenia, a pod względem organizacyjnym też nic im nie można zarzucić. — Zmarszczył brwi.

— Nie sądziłem, że zwykłych kryminalistów stać jest aż na taką spójność i konsekwencję działania. I mnie takie spostrzeżenie zdążyło przyjść do głowy i wcale mi się nie podobano.

— Czy sądzisz, że to ludzie z twojej branży?

— Mało prawdopodobne, ale nie do końca wykluczone — odrzekł. — Zor-

ganizowanie takiej siatki wymaga kupy pieniędzy. Zachodni Niemcy mieli tuż po wojnie *Apparat Gehlena*. Niby prywatna inicjatywa, ale wspierana amerykańskim dolarem.

— A kto wspierałby przedsięwzięcia tego rodzaju?

Uśmiechnął się.

— Moi na przykład.

Istotnie. Wyglądało na to, że Slade jest już jedną nogą w domu. Zamiast hodo-
wać w mamrze brodę, już niebawem zasiądzie na Kremlu, będzie popijał wódecz-
kę z szefem KGB i dyktował wspomnienia wysoko postawionego oficera wywia-
du brytyjskiego. Tak, bo tyle ujawniono podczas jego procesu. Slade przeniknął
do służb wywiadowczych i doszedł do całkiem wysokiego szczebla.

— Co ty właściwie o mnie myślisz? — zapytał.

— A co mam myśleć?

— Pracowałem przeciwko twojemu krajowi.

— Nie mojemu — sprostowałem. — Pochodzę z RPA. — Uśmiechnąłem się.

— W dodatku jestem z irlandzkiego pnia.

— Ach tak, zapomniałem.

Taafe zajmował się nami niczym Bunter lordem Peterem Wimseyem. Dosko-
nale przyrządzone posiłki zjawiały się zawsze na czas, sypialnia utrzymana była w nienagannym
porządku. Tyle że z Taafego nie dawało się nic wydusić. Sumien-
nie wykonywał wszelkie zlecenia, lecz kiedy usiłowałem wciągnąć go w rozmo-

wę, gapił się na mnie tymi swoimi dużymi, niebieskimi oczyma i trzymał usta

82

zamknięte na kłódkę. Odkąd nas tu uwięzili, nie słyszałem, żeby powiedział choć jedno słowo,
doszedłem więc do wniosku, że jest niemową.

Za drzwiami sypialni zawsze siedział jeszcze jeden człowiek. Czasami, kiedy

Taafe wchodził do pokoju, udawało mi się go dostrzec — niewyraźny cień posta-

ci na korytarzu. Nigdy nie ujrzałem jego twarzy. Dużo o tym kimś rozmyślałem

i wyciągnąłem jeden błyskotliwy wniosek. Ponieważ było niemożliwe, żeby jeden facet mógł trzymać
przy nas straż dwadzieścia cztery godziny na dobę, musiało ich zatem być co najmniej trzech.
Znaczyło to, że w domu znajduje się przynajmniej pięciu ludzi. Pięciu, a może i więcej.

Całe przedsięwzięcie miało czysto męski charakter, bo nie widziałem tam żadnej kobiety.

Sprawdziłem kraty w oknach zarówno w sypialni jak i w łazience. Slade przyglądał się temu z sardonicznym rozbawieniem, na co kompletnie nie zwracałem uwagi. Wyglądało na to, że nie tędy droga, gdyż kraty okazały się być przeszkodą nie do sforsowania. W tym tkwił szkopał. No i poza tym Taafe też je sprawdzał.

Tak, bo raz wychodząc z łazienki nakryłem go jak w skupieniu kontrolował, czy aby przypadkiem nikt do tych cholernych krat się nie dobierał.

Od czasu do czasu odwiedzał nas Nalana Gęba. Był uosobieniem chodzącej uprzejmości i godzinami rozprawiał o wydarzeniach na świecie, o sytuacji w komunistycznych Chinach i szansach Południowej Afryki w turnieju krykieta. Towarzyszyl nam i przy kielichu, ale zawsze dbał, żeby nie wypić za dużo.

To podsunęło mi pewien pomysł. Otóż zacząłem dokładać wszelkich starań, by sprawiać wrażenie tęgiego moczymordy. Chlałem i w jego obecności, i gdy go nie było. Obserwował, jak wlewam w siebie brandy i bez komentarzy znosił mój pijacko-płaczliwy bełkot. Na szczęście mam mocną głowę, mocniejszą, niż to okazywałem, a przy tym, kiedy Nalana Gęba zamykał za sobą drzwi, pilnowałem się jak cholera, żeby nie pić za dużo. Slade'a też udało mi się wykiwać, bo nie wiedziałem, czy można mu zaufać, jakby doszło co do czego. Nie raz i nie

dwa — z jakże wielkim żalem! — wylewałem wprost do sedesu po pół butelki znakomitego trunku, a później, niby to urznięty w trupa, waliłem się na łóżko.

Zawsze wyznawałem zasadę, że warto jest sprawiać wrażenie kogoś, kim się naprawdę nie jest i jeśli Nalana Gęba i jego gang brali mnie za pijacznę, to w odpowiedniej chwili będę z tego tytułu miał nad nimi choć niewielką przewagę.

Oczywiście, nikt nie próbował odwieść mnie od picia. Codziennie rano Taafe usuwał szwadron mdłych żołnierzy i zastępował nowymi odwodami pełnych butelek,

a przez jego kamienną twarz nie przemknął nawet cień uśmiechu. Tymczasem

Slade zaczął mnie traktować z nie ukrywaną pogardą.

Slade nie grał w szachy, tym niemniej prosiłem Nalaną Gębę, żeby zorganizowała mi szachownicę, bo niby to chciałem rozpracować jakieś zadanie.

— Więc grywa pan w szachy — zainteresował się. — Chętnie zagram partijkę, jeśli ma pan ochotę. Nie jestem złym graczem.

83

Był całkiem dobrym graczem, choć nie takim jak Cossie. Cóż, Cossie miał na treningi znacznie więcej czasu. Jednak Nalana Gęba zdecydowanie nade mną górował i po pierwszych dwóch partiach dał mi dwa pionki forów. Mimo to musiałem się dobrze natrudzić, żeby mu dołożyć. Któregoś razu po skończonej partii zauważył:

— Alkohol i rodzaj koncentracji potrzebny przy szachach zupełnie do siebie nie pasują, panie Rearden.

Nalałem sobie kielicha Oude Meester.

— Nie zamierzam parać się szachami zawodowo — oznajmiłem obojętnie. —

Pańskie zdrowie, panie. . . Uhm. . . Jakże się pan, do cholery, nazywa?

Miał niewzruszony wyraz twarzy.

— Nie sądzę, żeby mogło to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Zachichotałem pijackim śmiechem.

— W myślach nazywam pana Nalaną Gębą.

Żachnął się i poczuł urażony.

— No cóż, musiałem pana jakoś ochrzcić — stwierdziłem rezolutnie. —

A czego się pan właściwie spodziewał? Że będę gwizdać i krzyczeć: Hej! Ty tam!?

Ten drobny zgrzyt kosztował mnie utratę partnera do szachów.

Blankiet czeku z *Züricher Ausführen Handelsbanku* nadszedł równo w tydzień od dnia, kiedy po raz pierwszy obudziłem się w tej sypialni. Siedem dni okazało się być okresem na tyle długim, że

zaczynaliśmy sobie ze Sladem grać na ner-wach. Ja rozmyślałem o numerze szwajcarskiego konta i o marnych szansach na

ucieczkę. O czym dumał Slade, nie wiem, ale i on stawał się coraz bardziej nie-spokojny.

Któregoś dnia wyprowadzono go pod strażą z sypialni, a kiedy po godzinie

wrócił, spytałem:

— A cóż to takiego było?

— Narada w interesach — odparł enigmatycznie i pogрузzył się w milczeniu.

Moja kolej nadeszła następnego dnia. Sprowadzono mnie na dół, do bardzo przytulnego pokoju, w którym wykryłem tylko jeden mankament: miał zasłonięte

okna. Chłopcy byli aż nadto przezorni — a jakże, dla mojego własnego dobra!

— i nawet tu nie pozwolili sobie na najmniejsze ryzyko, bym przypadkiem nie

odgadł, gdzie się znaj dujemy.

Nalana Gęba położył czek na stole, odkręcił skuwkę wiecznego pióra i ułożył pióro przy czeku.

— Numer konta — rzucił krótko.

Usiadłem, wziąłem pióro do ręki i. . . zawahałem się. Konto numeryczne to sprytne rozwiązanie i takiego numeru strzeże się zazdrośnie jak kombinacji do własnego sejfu.

84

Musiałem dobrze odegrać swoją rolę, bo tego się właśnie spodziewał.

— No dobra, Nalana Gębo. Jakiekolwiek hocki-klocki z tym kontem i poza-

łujesz, żeś się w ogóle narodził. Wypłacie z rachunku dokładnie tę sumę, jaką wypiszę na czeku i ani centyma więcej. Dwieście tysięcy franków szwajcarskich.

Jeśli wyczyścisz mi konto, znajdę cię i skręcę ci kark.

— Może się okazać, że bardzo trudno mnie znaleźć — zauważył grzecznie.

— Nie bądź tego taki pewny, stary, oj, nie bądź. — Nie spuszczałem zeń oczu.

— Sprawdziłście mnie chyba dość dokładnie, to wiesz, kim jestem. Już niejeden chciał mnie wyrolować. Zdążyłeś nabadać, jaką reputacją się cieszę. Wieść gmin-na głosi, że Reardenowi nie opłaca się wchodzić w paradę. — Robiłem wszystko, żeby zabrzmiało to jak wyrok ostateczny. — Znajdę cię, stary, znajdę.

Jeśli Nalana Gęba się zdenerwował, zupełnie tego po sobie nie kazał. Może tylko przełknął zbyt głośno ślinę, nim otworzył usta.

— My też dbamy o swoją reputację — powiedział. — Nie będzie żadnych sztuczek z pańskim kontem.

— W porządku — burknąłem i raz jeszcze ująłem pióro. — Dobrze, że się rozumiemy. — Uważnie wypisałem numer, długą sekwencję cyfr i liter, którą wykulem na pamięć na wyraźne żądanie pani Smith, i na europejską modłę dodałem po kreseczce w połowie siódemek. — Jak długo to potrwa?

Wziął czek do ręki i rzucił nań okiem. Później zaczął się moim czekiem wachlować, żeby wysuszyć atrament.

— Tydzień.

Patrzyłem, jak blankiet trzepocze w powietrzu i nagle zrobiło mi się tak jakoś zimno. Teraz nie było już odwrotu.

Trzy dni później zabrali Slade'a i już nie wrócił. Brakowało mi go. Slade zrobił się irytujący, ale kiedy zniknął, poczułem się samotny i dziwnie załęczony.

Nie podobało mi się, że nas rozdzielili, bo zakładałem, że kolejny etap ucieczki pokonamy razem.

Nalana Gęba zniechęcił mnie i zarzucił towarzyskie wizyty. Spędzałem długie godziny przy oknie. Chowałem twarz za doniczkowymi kwiatkami i obserwowałem podwórze. W deszczu i w słońcu. Niewiele tam miałem do oglądania: nigdy nie używany podjazd wysypany żwirkiem i wystrzyżony trawnik, który gęsto obdziobywały kosy.

Natomiast codziennie rano, zawsze o tej samej porze, odbywał się pewien oso-

bliwy rytuał. Najpierw słyszałem *klik-klak* małych podkówek. Brzmiało to inaczej niż ciężki stukot końskich podków, ten dźwięk był o wiele delikatniejszy. Może to stukały kopytka jakiegoś osiołka? Towarzyszył temu melodyjny brzęk, po czym

85

zalegała cisza chwilę później, tym razem znacznie wyraźniej, znów coś zaczynało pobrzękiwać, a czasem słychać było gwizd zadowolonego z siebie człowieka. Potem *klik-klak* i znowu rozlegał się drobny stukot, który rozmywał się gdzieś w dali.

Pewnego razu o tej właśnie porze ujrzałem, jak w poprzek wejścia na dziedziniec kładzie się cień człowieka. Samego człowieka jednak nie widziałem.

Kiedyś, korzystając z okazji, że zawitał do mnie rzadki gość, Nalana Gęba, usiłowałem wypertraktować spacer na świeżym powietrzu.

— Chryste! Chciałbym mieć chociaż odrobinę ruchu! — zacząłem. — Może dalibyście mi trochę rozprostować nogi? Tam, na podwórku, co?

Potrząsnął głową.

— To wystaw przy mnie kilku swoich cyngli — parłem dalej, ale zaraz sobie

odpuściłem, bo nie robiło to na nim żadnego wrażenia. — Trzeba mi było zostać w pudle — mruknąłem. — Tam przynajmniej było boisko.

Roześmiał się.

— I zobacz tylko, co się stało, kiedy się na tym boisku znalazłeś — wytknął natychmiast. — Od razu zwiąłeś! Nie, Rearden, chcesz się gimnastykować, to skacz do woli tutaj.

Wzruszyłem ramionami i nalałem sobie kielicha. Nalana Gęba patrzył na mnie wzrokiem pełnym potępienia.

— Siądzie ci wątroba, Rearden. Fakt, poćwicz trochę, choćby tylko po to, żeby wypocić z siebie wodę.

— Cholernie dużo da się tu robić — zauważyłem markotnie i po ciągnąłem łyk brandy. — Nie pozostaje nic innego, jak się urznąć. . .

Cieszyłem się, że dał się nabrać na tę maskaradę, ale utrzymywanie go w tym przeświadczeniu stawało się dla mnie coraz bardziej uciążliwe. Oceniając moje pijaństwo po liczbie rozgromionych szwadronów, Nalana Gęba musiał sądzić, że

wypijam codziennie półtorej butelczyny, więc kiedy był ze mną w sypialni, musiałem tego złopać, żeby zachować pozory. Tego dnia wychyliłem ćwiartkę w niecałą godzinę i mimo że jestem niezłym zawodnikiem, zaczęło mi się kręcić w głowie.

— Co się dzieje, Rearden? Denerwujemy się? — Uśmiechnął się mało radośnie. — Czyżby konto miało okazać się puste? A może w ogóle nie mamy konta, co? — Wyciągnął przed siebie nogi i patrzył na mnie w zamyśleniu. — Wiemy,

że ktoś cię wsypał, Rearden, i wieść niesie, że zrobił to twój kumpel. Tak, tak, zaprzeczasz, ale jeśli twój wspólnik zmył się z całą forszą i zostawił cię na lodzie, na dobre ci to nie wyjdzie. Od razu miałem co do ciebie wątpliwości, od razu, jak tylko Cosgrove o tobie wspomniał.

— Dostaniesz swój szmal — mruknąłem. — Mój kumpel już o to zadba.

— Mam taką nadzieję, Rearden — odparł. — Dla twego własnego dobra.

A jednak Nalana Gęba miał rację — naprawdę się denerwowałem. Z irytacją burczałem na Taafego, kiedy przynosił mi jedzenie, ale niczego to nie zmieniało.

Nadal patrzył na mnie tymi swoimi szafirowymi oczyma niemowlęcia osadzony-

mi w pokierszowanej twarzy, nie odzywał się słowem i robił, co do niego należa-

ło. Potem wychodził, a ja przemierzałem sypialnię tam i z powrotem i nie tykałem jedzenia.

Mijały godziny i dni. Co rano słyszałem *klik-klak* osiołka i miły dla ucha melodyjny gwizd. Z każdym dniem moje szansę malały. Wreszcie, stało się. Do pokoju wszedł Nalana Gęba.

— Haaa! — rzucił jowialnie. — Zaskoczyłeś mnie, Rearden!

— Doprawdy?

— Owszem. Już byłem skłonny sadzić, że chciałeś nas nabrać, a tymczasem

czek jest w porządku. Zrealizowaliśmy go.

— Cieszę się. Mam nadzieję, że forsy starczyło.

— W zupełności — odparł. — Więc jak? Chciałeś mnie nabrać, co?

— O Boże, przecież mówiłem, że mam pieniądze! — Roześmiałem się, trochę

niepewnie. — Jesteś jak ten facet z Moskwy, który razu pewnego rzekł: „Szmulek,

ty mnie powiedziałeś, że jedziesz do Mińska, żebym ja sobie pomyślał, że ty jedziesz do Pińska. No i ty mnie, Szmulek, wykantowałeś, bo pojechałeś do

Mińska. Ja, Szmulek, już ci nigdy więcej nie uwierzę”.

— Niezwykle ciekawa przypowieść — stwierdził sucho. — Tak czy owak,

pieniędzy było tyle, ile trzeba.

— Świetnie! To kiedy ruszamy w drogę?

Zamachał ręką.

— Siadaj. Jest coś, o czym musimy pogadać.

Obszedłem go i przy barku nalałem sobie drinka. Tym razem rzeczywiście

czułem taką potrzebę, bo tak naprawdę nigdy do końca Mackintoshowi nie ufa-

łem. Dolałem do szklaneczki trochę wody i usiadłem.

— Z dziką radością się stąd wyprowadzę.

— Nie wątpię. — Przyglądał mi się i milczał. Długo. Wreszcie rzekł: — Jest

tylko jedno ale. To niby drobiazg, ale może się okazać przeszkodą nie do pokonania. Mimo to, jeśli wytłumaczysz się nam sensownie, ale sensownie, nie kupimy byle kitu, nie będzie powodu, żeby zmieniać plany.

— O czym ty, do cholery, gadasz?!

Uniósł brwi.

— Naprawdę nie wiesz? Wiesz, na pewno wiesz. Dobrze pomyśl.

— Nie odstawiaj komedii. Masz coś do powiedzenia, to wal prosto z mostu.

— No dobrze. Ale to nie ja odstawiam komedię. — Nachylił się w moją stronę.

— Posłuchaj, ja wiem, że nie jesteś żaden Rearden. Ale dla samej dokumentacji chciałbym wiedzieć, kim, do cholery, jesteś.

Miałem wrażenie, że chwycił mnie jakiś wielkolud. Chwycił mnie ścisnął

mocno za brzuch. Myślę, że nad twarzą jednak panowałem.

— Zwariowałeś?!

— Nie. I ty o tym dobrze wiesz. Wziąłem głęboki oddech.

87

— Chyba jednak zwariowałeś. Co to wszystko ma znaczyć?! Dostałeś szmal

i chcesz mnie teraz wykiwać!? — Podsunąłem mu palec pod los. — Nie robiłbym

tęgo, przyjacielu, oj, nie robiłbym.

— Znajdujesz się w bardzo mało korzystnej sytuacji — zauważył spokojnie

Nalana Gęba. — Teraz nikt już się ciebie nie przestraszy. Na twoim miejscu przestałbym udawać niewiniątko. Nie nazywasz się Rearden i my o tym wiemy.

— Skoro tak, to mi to udowodnijcie — rzuciłem oschłe.

— Nie bądź durniem. Już to udowodniliśmy. — Znow rozsiadł się na krze-

śle. — Nie sądzisz chyba, że wyciągnęlibyśmy faceta z pierdła, wcześniej go nie sprawdziliśmy, nie przeniecowaaliśmy go na wszystkie strony, co? Sprawdziliśmy

cię w RPA i ten test oblałeś. Nie ma nieprzekupnej policji, nie ma, ani w Anglii, ani w RPA. Jeśli

nazywasz się Rearden, musisz znać plac Johna Vorstera. Byłeś tam przecież częstym gościem.

— Ale nigdy niczego mi nie udowodnili.

— Tak, zgadza się, co do tego nie mam wątpliwości. Na placu Johna Vorstera

mieści się główna komenda johannesburskiej policji, co? O, tak, znasz topografię miasta, znasz, ale to jeszcze nie dowodzi, że jesteś Rearden.

— Jak dotąd nie udowodniłeś mi, że nim nie jestem.

— Mamy na placu Vorstera pewnego znajomka. To dzielny policjant, który

czasami oddaje nam różne przysługi. Zerknął do kartoteki i przysłał nam kopię odcisków palców prawdziwego Reardena. I już cię mamy, bratku, bo one zupełnie nie pasują do twoich. I nie myśl sobie, że nie sprawdzaliśmy ich kilkakrotnie.

Sprawdzaliśmy, chcieliśmy mieć pewność. — Wskazał szklanę, którą trzymałem

w ręce. — Sam wiesz, że mieliśmy ku temu mnóstwo okazji.

Wpatrywałem się w niego dłuższą chwilę.

— Wiem, jak wyglądają blankiety na odciski palców z placu Vorstera — od-

parłem. — Kto miałby wiedzieć lepiej niż ja? W końcu sporo ich w życiu wi-

działem. Dajcie mi tu ten wasz. Dla porównania przyłożę swoje palce, gdzie tylko chcecie.

Jego oczy zasnuło nieprzeniknione spojrzenie.

— Niech będzie — rzucił nagle. — Załatwione. Ale coś ci powiem: nie wyj-

dziesz stąd żywy, póki się nie dowiemy, kim jesteś i co tu robisz.

— Dobrze wiesz, co tu robię — odpowiedziałem znużonym głosem. — To wy,

dranie, mnie tutaj sprowadziliście. Nałapaliście forsy, to dotrzymajcie warunków umowy.

Wstał.

— Będę tu jutro z samego rana. Masz sporo czasu, żeby wymyśleć jakąś dobrą

historyjkę. — Nacisnął dzwonek. — Radzę ci, żeby była prawdziwa.

Zamek w drzwiach szczęknął i Nalana Gęba wyszedł.

Siedziałem i wpatrywałem się w szklanę bursztynowego płynu. Facet miał

nieźle pomysły. Może dobrze byłoby przygotować nie jedną, a od razu dwie histo-88

ryjki, tę autentyczną i tę zmyśloną, choć wiarygodną? Trudne zadanie. Zupełnie nieźle umiem kłamać na zawołanie, ale nigdy nie radziłem sobie z uprawianiem

beletrystyki.

III

Gdzie właściwie zaczęła się ta moja historia. . . ? Logicznie rzecz biorąc, chyba już w kołysce. Z logiką jest jednak pewien kłopot: logika prowadzi do głupich wniosków. Ktoś mógłby powiedzieć, że wszystko zaczęło się w Johannesburgu.

Fakt, ale zaczęło się w Johannesburgu tylko dlatego, że byłem tym, kim byłem, a może raczej czym byłem. Dlatego mnie wybrano, zatem rzecz musiała wziąć

swój początek jeszcze wcześniej. Tak czy owak, Johannesburg to najlepszy punkt wyjścia. Zacząłem więc myśleć o Johannesburgu, o tym przerośniętym obozie

kopaczy, gdzie ulice są brukowane złotem.

Tamten ranek był jasny i słoneczny, bez jednej chmurki na niebie. Taki ranek podniósłby na duchu każdego Anglika, ale nie mieszkańca RPA, bowiem w RPA większość dni tak właśnie wygląda, a chmury w porze zimowej są tak rzadkie jak kurze zęby. Mieszkałem na Hillbrow, w jednym z tych betonowych bloków górujących nad miastem, nad którym snuła się jak zwykle warstwa tłustawego smogu. Od dwudziestu lat ojcowie Johannesburga radzili nad wprowadzeniem systemu stref bezdymnych, ale jakoś nigdy się na serio do tego nie zabrali.

Mężczyzna na własnym gospodarstwie albo mieszka jak świnia w chlewie, albo wypracowuje sobie pewne sposoby oszczędzające wydatkowanie energii i usprawnienia typu jajko gotowane w maszynie do kawy. W dwadzieścia minut od chwili, gdy zwlokłem się z łóżka, byłem już w drodze na ulicę. W holu

otworzyłem skrzynkę na listy i wyjąłem z niej poranną korespondencję: trzy po-dłużne koperty z okienkiem w środku, które wsadziłem do kieszeni, nawet na nie niezerknąwszy i. . . list od Lucy.

Wpatrywałem się w ten list nieco tępym wzrokiem. Od Lucy nie miałem żad-

nej wiadomości od dobrych sześciu lat, od sześciu długich, monottonnych lat,

i z początku nie mogłem uwierzyć, że to naprawdę list od niej. Jeszcze raz przebiegłem go wzrokiem. Zielony atrament, drogi, zdobiony na brzegach papier, na chybcika naskrobana wiadomość.

Kochany,

Jestem przelotem w Johannesburgu. Czy przez wzgl

ad na daw-

ne czasy moglibyśmy się spotkać? Będę na ciebie czekać w południe

89

w restauracji w ogrodzie zoologicznym. Zmieniłam się, kochany, bar-

dzo się zmieniłam, dlatego przypnę sobie biały

a gardenię. Nie chcę,

byś zaczepił kogoś innego i poczuł się głupio.

Przyjdź, kochany, bardzo proszę. Nie mogę się doczekać chwili,

kiedy cię zobaczę.

Twoja na zawsze,

Lucy.

Powąchałem kartonik i wyłowiłem zeń delikatny zapach. Lucy znów stoso-

wała swoje dawne sztuczki. Schowałem list do wewnętrznej kieszeni marynarki

i wróciłem na górę, żeby zadzwonić do biura. Nie pamiętam, jakiej użyłem wy-

mówki, ale naprawdę nie mogłem powiedzieć szefowi, że chcę wziąć wolny dzień, żeby się spotkać z byłą narzeczoną. Później zabrałem samochód na przegląd. Mo-gło się okazać, że będzie mi na gwałt potrzebny, wołałem więc, aby był sprawny.

Za kwadrans dwunasta zmierzałem w stronę restauracji nad jeziorkiem w zoo.

Na wielkich połaciach pożółkłej, zimowej trawy pasły się czarne kozy z małymi, a w oddali, w gorącym słońcu lśniły wody jeziorka. Zostawiłem samochód na

restauracyjnym parkingu i wolnym krokiem przeszedłem nad wodę, gdzie ludzie

karmili ptaki.

Nie zauważyłem nikogo podobnego do Lucy. W każdym razie nikogo z gar-

denią. Rzuciłem okiem na jezioro, na raczkujących wioślarzy, i odwróciłem się, by wrócić do restauracji. Przed restauracją, na ławce, siedział sobie facet. Kolor jego skóry kojarzył mi się nieodparcie z kolorem piasku. Siedział i wachlował się kapeluszem. W klapie miał białą gardenię.

Podszedłem do ławki i usiadłem obok niego.

— Lucy. . . ?

Obrócił się i spojrzał na mnie zadziwiająco nagimi oczami.

— Lucy! Lucy! — zawołał jadowicie. — Od czasu tej ruskiej operacji w Szwajcarii, podczas wojny, naszej bezpiece odbiło na punkcie imienia Lucy.

— Nałożył kapelusz. — Wiem, kim pan jest. Ja nazywam się Mackintosh.

— Miło mi pana poznać — powiedziałem oficjalnie. Obrzucił jeziorko taksującym spojrzeniem.

— Gdybym był jakimś stukniętym agentem służb specjalnych, zaproponowałbym łódkę i wypłynęlibyśmy na środek jeziora, żeby sobie pogadać na osobności. Ale to oczywiście bzdura. Proponuję zatem, żebyśmy zjedli tu wczesny obiad. W restauracji jest równie bezpiecznie — o ile nie zaczniemy wrzeszczeć — a przy tym będzie nam o wiele wygodniej. Tym sposobem nie zrobię z siebie durnia w łódce.

90

— Pasuje — odparłem. — Zjadłem dzisiaj kiepskie śniadanie.

Wstał, wyjął z klapy gardenię i wyrzucił ją do najbliższego kosza na śmiecie.

— Nigdy nie pojmem, skąd bierze się to fetyszyzowanie organów płciowych tych biednych warzyw — powiedział. — Chodźmy już.

Znaleźliśmy sobie stolik w rogu odkrytego tarasu, gdzie opleciona winem altanka chroniła nas przed rozpalonym słońcem. Mackintosh rozejrzał się wokół i powiedział z uznaniem:

— Sympatyczne miejsce. Wy, Afrykanerzy, wiecie, jak żyć wygodnie.

— Jeśli wie pan, kim jestem, wie pan również, że nie jestem Afrykanerem.

— Oczywiście — przyznał i wyjął z kieszeni notes. — Zobaczmy no. . . Jest,

proszę. . . Owen Edward Stannard. Urodzony w roku 1934 w Hongkongu. Kształ-

cił się w Australii. . . — Tu wyrecytował całą litanię szkół. — Na uniwersytecie specjalizował się w językach orientalnych. Jeszcze w czasie studiów zwerbowa-ny do pracy w komórce, której nazwy lepiej głośno nie wymieniać. Jako agent

działał w Kambodży, Wietnamie, Malezji i Indonezji, pod różnymi nazwiskami,

oczywiście. W Indonezji, podczas przewrotu, który obalił Sukarna, schwytyany

i zdemaskowany. — Oderwał wzrok od notatek. — Domyślam się, że przeżył pan

tam istne piekło.

Uśmiechnąłem się.

— Nie mam żadnych blizn. — To była prawda, bo widocznych blizn nie mam.

— Uff! — westchnął i wrócił do zapisków. — Uznano, że na Dalekim Wscho-

dzie jest pan skończony. Wyciągnięto pana stamtąd i siedem lat temu przeniesiono do RPA, na przeczekanie. — Zamknął z trzaskiem notes i włożył go do kieszeni. — W każdym razie było to jeszcze wtedy, gdy RPA należała do Wspólnoty

Brytyjskiej.

— Zgadza się — przyznałem.

— Nasi szefowie nie należą do ludzi nazbyt ufnych, co? W każdym razie zna-

lazł się pan czasowo w odstawce. Nic pan nie mówi, nic pan nie robi, dopóki pana nie zawezwą, tak? Tak. — Pokiwał palcem. — Pan daruje tę małą powtórkę, ale

ja jestem z innego wydziału. Wiesz pan, robota służb specjalnych przypomina mi operę komiczną, więc chciałem się upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiałem.

— Dobrze pan zrozumiał.

W tym miejscu przerwaliśmy poważne debaty, bowiem zjawił się kelner. Za-

zyczyłem sobie langustę, bo w końcu nieczęsto ktoś stawiał mi obiad. Mackintosh zamówił coś z sałatką. Zgodziliśmy się na wspólną butelkę wina.

Gdy dania wjechały na stół i można już było spokojnie rozmawiać, Mackin-

tosh powiedział:

— Teraz mam bardzo ważne pytanie. Czy jest pan tu znany policji, bądź organom bezpieczeństwa?

— Nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo — oświadczyłem. —

Myślę, że dobrze się tu zadekowałem.

91

— A więc nie miał pan żadnego wyroku sądowego?

— Nie.

— A jakieś sprawy cywilne? Zastanowiłem się.

— Czy ja wiem. . . Takie zupełnie zwykłe. Kilka mandatów za parkowanie. . .

Aha, i parę lat temu miałem prawną utarczkę z facetem, który był mi winien pieniądze. Skończyło się na rozprawie w sądzie.

— Kto wygrał?

— On, niech go szlag trafi! — Poniosło mnie.

Mackintosh uśmiechnął się.

— Czytałem pański życiorys, więc o większości tych spraw wiem. Chciałem

tylko sprawdzić pańską reakcję. Zatem można uznać, że jeśli idzie o miejscowe gliny, pana konto jest czyste, tak?

— Tak. — Kiwnąłem głową.

— Dobra nasza — stwierdził. — Bo wie pan, będzie pan współpracował z tu-

tejszą policją, a gdyby zwęszyli, że przywieźli tu pana w teczce z Anglii, w życiu nam by się to nie udało. Jakoś mi się nie wydaje, żeby w takiej sytuacji chcieli z nami współdziałać. — Skubnął liść sałaty. — Czy pan był kiedyś w Anglii?

— Nigdy — odparłem i zawahałem się. — Powinien pan wiedzieć że w swo-

ją nową tożsamość wmontowałem trochę akcentów antybrytyjskich. Tutaj to zu-

pełnie normalne, nawet wśród ludzi posługujących się angielskim. Ta tendencja nasiliła się zwłaszcza po tym, co stało się w Rodezji. W tych okolicznościach spędzanie wakacji w Anglii uznałem za rzecz nierozważną.

— Zapomnijmy na chwilę o pańskiej przykrywce — rzekł Mackintosh. —

Jeśli uznam za konieczne, zmienimy ją panu. Tak, mam takie pełnomocnictwa.

Robotę, jaką panu przeznaczyłem, trzeba wykonać w Anglii.

To dziwne. Całe dorosłe życie spędziłem w służbie dla Wielkiej Brytanii, a nigdy tam nie byłem.

— To mi się podoba — oznajmiłem.

— Niewykluczone, że zmieni pan zdanie, kiedy się pan dowie, na czym ta robota ma polegać — rzekł ponuro i skosztował wina. — Bardzo dobre — stwierdził z uznaniem — choć odrobinę kwaśne. — Odstawił kieliszek. — Co pan wie o brytyjskim więziennictwie?

— Nic.

— Dam panu do poczytania kopię Raportu Mountbattena. Przekona się pan, że to fascynująca lektura. Ale już teraz powiem panu w czym rzecz. Lord Mountbatten stwierdził, że w naszych więzieniach jest tyle dziur, co w szwajcarskim serze. Czy wie pan, ile mamy ucieczek rocznie?

— Nie. Kilka lat temu pisali o tym w gazetach, ale nie czytałem uważnie.

— Ponad pięćset. Jeśli wypadnie ich mniej, uznaje się, że rok był dobry. Naturalnie, większość uciekinierów wkrótce znów wpada w sidła, ale niewielki procent więźniów znika na dobre. I ten właśnie procent rośnie. Dość kłopotliwa sytuacja.

92

— Hmm, no chyba tak. — Nie chwyciłem, do czego zmierza, bo to, o czym mówił, nie miało żadnego związku ze mną.

Mackintosh nie należał do ludzi, którzy by przeoczyli najdrobniejszą zmianę tonu w głosie rozmówcy. Spojrzał mi prosto w oczy i rzekł cicho — Mam w nosie, ilu morderców, gwałcicieli, maniakalnych zabójców czy zwykłych złodziejasków nawiewa z mamra. To zmartwienie służb więziennych i policji. Moja działka to bezpieczeństwo państwowe i według mnie sytuacja wymyka się nam

z ręk. Premier jest tego samego zdania i zlecił mi podjęcie odpowiednich kroków.

— O — bąknąłem niewyraźnie.

— O — powtórzył z niesmakiem. — Spójrzmy na to z innej strony. Wsadza-

my Blake'a na czterdzieści dwa lata. Wsadzamy go wcale nie za karę, ale po to, żeby trzymać faceta z dala od Rosjan. Po pięciu latach Blake daje nogę i wypływa w Moskwie, gdzie gęba mu się nie zamyka. — Pośepnie zajrzał do kieliszka. —

Wyobraźmy sobie, że Blake nie wsiąka na dobre. Założmy, że zgarniamy go po

miesiącu. Policja byłaby uradowana, straż więzienna także. Ale niech ich wszystkich szlag trafi! Bo ja bym się wcale nie cieszył. Ja bym chciał wiedzieć, o on przez ten miesiąc wyrabiał, z kim rozmawiał! Rozumie pan? Skinąłem głową.

— Nie byłoby już po co go zamykać — powiedziałem. — To tak, jak zamy-

kanie wrót stajni, gdy konia już nie ma.

— Tak, i tym koniem jest oczywiście nie Blake, a informacje, które ma we

łbie. — Mackintosh kręcił się niespokojnie. — Na wyspie Wight buduje się wię-

zienie specjalnego nadzoru. Mountbatten chce je nazwać *Vectis*, co znaczy, że nasz lord odebrał, między innymi, klasyczne wykształcenie. Bardzo zdolny gość z tego Mountabattena. Wystarczył mu jeden rzut oka na to specjalnie strzeżone pudło dla specjalnie strzeżonych ptaszków i od razu zademonstrował, jak takiego ptaszka można stamtąd łatwo wyciągnąć.

Spojrzał na mnie z wyczekiwaniem, jak gdyby chciał, żebym coś powiedział.

Zmuszony jego wzrokiem, spytałem:

— Wyciągnąć?! Uśmiechnął się.

— Cieszę się, że rzeczywistość potwierdza superlatywy, jakie zawiera pańskie dossier, panie Stannard. — Wyciągnął przed siebie kieliszek. — Nawet smakuje mi to wino. . .

Nalałem mu do pełna.

— Miło wiedzieć, że człowieka doceniają — powiedziałem.

— Czytając Raport Mountbattena, zwłaszcza jego końcowe partie omawiają-

ce nowe typy więzień, będzie się pan pewnie zastanawiał, czy nie jest to przypadkiem dzieło z

gatunku science-fiction. Mountbatten opisuje tam na przykład telewizję wewnętrzną z liniami opóźniającymi i elektronicznymi obwodami logicznymi, które włączają alarm, jeśli cokolwiek wejdzie w ich pole widzenia.

Tak, to ładny pomysł i ma, rzecz jasna, służyć obronie. Jeśli zaś idzie o atak, mamy tam helikoptery, a dla skoczków spadochronowych kombinezony z napę-

93

dem odrzutowym. Chryste, to jak w filmie z Jamesem Bondem! Rozumie pan, o co tutaj chodzi?

— Chyba tak. — odparłem wolno. — Zaczęła działać jakaś organizacja. . .

— Tak jest! — zawołał Mackintosh. — Po raz pierwszy od lat ktoś wymy-

ślił nowy rodzaj przestępstwa. Przestępstwo, jak każdy interes, popełniane jest dla zysku i ktoś wpadł na pomysł, że można zarobić kupę forsy wyciągając ludzi z więzienia! Zdaje mi się, że cała sprawa zaczęła się od skoku stulecia, od te-go napadu na pociąg. Ci chłopcy dostali wtedy wyjątkowo ciężkie wyroki; Biggs i Wilson po trzydzieści lat. . . Ale mieli pieniądze i mogli sobie kupić całą organizację. — Westchnął. — Czasami zastanawiam się, czy sędziowie w ogóle wiedzą,

co tak naprawdę robią. Morderca może wyjść już po dziesięciu latach, czasami

siedzi nawet krócej, ale uważaj, bratku, jeśli zgrzeszyłeś przeciw czyjejś własno-

ści! Tak czy owak, zawiązała się organizacja, która wyciąga z ciupy odpowiednio nadzianych więźniów. Zdziwiłby się pan słysząc, ilu takich mamy. A gdy taka

organizacja zacznie już działać, to, jak każdy interes, zaczyna się coraz bardziej rozrastać i ludzie, którzy jej przewodzą, zaczynają uganiać się za klientelą, przestając dociekać, skąd pochodzą pieniądze.

— Rosjanie?

— A któż by inny? — rzucił cierpko Mackintosh. — Gwiżdżę na to, jeśli taki

rabuś zwiewa z mamra i żyje sobie na Riwierze jak choćby Riley. Ale jeśli w grę wchodzi bezpieczeństwo państwa, aaa, to co innego, bo wtedy trzeba działać. —

Zmarszczył brwi. — Gdyby rzecz zależała ode mnie, wszystkich zagrażających

bezpieczeństwu państwa zebrałbym do kupy w jednym specjalnym więzieniu,

a więzienie obstawiłbym wojskową żandarmerią. Żandarmerii zaś przyznałbym

prawo, by w razie konieczności strzelała i tych drani zabijała. Ale nasi szefowie wolą inne rozwiązania.

— A gdzie jest w tym wszystkim robota dla mnie? — zapytałem z ciekawością.

— Jeszcze do tego nie doszedłem — stwierdził nie bez irytacji. — Premier

chciałby w tej sprawie jakoś zadziałać, a więc działamy. I policja usiłowała coś z tym zrobić, i wydział śledczy, i jeszcze bardziej cichociemne i ezoteryczne jednostki kontrwywiadu. I nikt do niczego nie doszedł. Raz, zdawało się, byli już blisko. Jakiś więzień chciał sypać. Niech pan zgadnie, co się z nim stało.

Jestem realistą, więc odparłem sucho:

— Zmarł nagłą śmiercią.

— O tak, zabili go, to oczywiste — powiedział Mackintosh. — Ale żeby go

zabić, ta banda wywlokła go z więzienia! Czy dostrzega pan tę szczytową bez-

czelność? Oni są tak diabelnie pewni siebie, że z zakładu karnego Jej Królewskiej Mości wyciągają faceta wbrew jego woli! Wystarczyłoby, żeby choć pisnął, a żył-

by po dziś dzień, a mimo to udało im się go wyjąć. Trzy dni później znaleziono jego ciało. Z kulą w potylicy.

94

— Nic na ten temat nie czytałem.

— Bo ze względu na bezpieczeństwo całej sprawie natychmiast ukręcono łeb

— wyjaśnił zmęczonym głosem. — Czegoś takiego nikt nie chciał publicznie na-

głaśniać. W Raporcie Mountbattena, w punkcie dwieście sześćdziesiątym, znaj-

dzie pan na ten temat zawołowaną wzmiankę.

— Ale gdzie tu miejsce dla mnie?

— Spokojnie, wszystko we właściwym momencie. Jak wspomniałem, moją

działką jest bezpieczeństwo kraju i może pan sobie od razu wybić z głowy wszelkie kontrwywiadowo-skrytobójcze bzdury. Ja działam na zupełnie innej płasz-

czyźnie, pracuję na szczeblu rządowym. W istocie rzeczy jestem odpowiedzialny tylko przed

premierem i tylko jemu składałam sprawozdania. Ponieważ wszyscy

inni zawiedli, premier oddał sprawę wyłącznie w moje ręce. Tylko ja ponoszę za nią odpowiedzialność i załatwiam rzecz w dowolny i sobie tylko właściwy sposób.

Ale niestety, nie w dowolnym czasie. — Potarł dłonią czubek głowy. — Natural-

nie, czas jest kategorią względną. Wyjaśniłem to premierowi i przyznał mi rację.

Miejmy jednak nadzieję, że kiedy będę się tym zajmował, żaden szpieg z więzienia nie pryśnie, bo jeżeli tak, to kładę głowę pod topór. — Rozejrzał się i skinął na kelnera. — Zamówmy sobie kawę. I chciałbym jeszcze kieliszek Van der Hum.

Lubię próbować wino kraju, w którym akurat przebywam. Czy zechce mi pan towarzyszyć?

— Napiję się Drambuie.

Zamówił kawę i napitki, a potem nagle spytał:

— Czy słyszał pan kiedyś o człowieku nazwiskiem Rearden? Joseph Rearden?

Zastanowiłem się przez chwilę.

— Nie.

— Tak myślałem. Rearden jest — a właściwie był — kryminalistą. I to fachmanem pełną gębą. Był sprytny, inteligentny, pomysłowy, trochę pod tym względem przypominał pana.

— Dzięki za komplement. On nie żyje?

— Trzy tygodnie temu zginął w południowo-wschodniej Afryce. Nie, nie podejrzewamy niczego zdożnego. Rearden miał najzwyczajniejszy w świecie wypadek samochodowy. Bóg automobilistów zabiera jednakowo i dobrych, i złych.

Rzecz w tym, że o śmierci Reardena — poza panem, mną i kilkoma wysoko postawionymi gliniarzami z Johannesburga — nie wie nikt. Kiedy premier zlecił

mi tę — Boże, miej mnie w opiece! — robotę, udostępniono mi pewne środki,

i ja natychmiast zacząłem rozglądać się za kimś takim jak Rearden, za taką czarną, niedawno co padła

owcą, której śmierć można ukryć, wyciszyć. Kandydatów

mogłem szukać w Kanadzie, w Australii, w Nowej Zelandii, w Stanach, nawet w Południowej Afryce. Najbardziej odpowiedniego znalazłem w RPA. Mam tu jego zdjęcie.

95

Położyłem je na stole rewersem do góry, bo akurat kelner serwował nam kawę.

Odczekałem, aż skończy i kiedy odszedł, odwróciłem je do siebie, jak należy.

Mackintosh obserwował mnie z aprobatą.

— Jak tylko trafiłem na Reardena, zacząłem szukać kogoś, kto jest do niego podobny i kto mógłby uchodzić za Afrykanera. Komputery to wspaniałe urządzenia. Jeden z takich komputerów po dwudziestu minutach wskazał pana.

— Zatem co, robimy podmiankę — stwierdziłem. — Kiedyś już się w coś takiego bawiłem, ale to ryzykowne. Łatwo będzie mnie rozpoznać.

— Nie sądzę — zaproponował, pewny siebie. — Przede wszystkim znajdzie się pan w Anglii, gdzie noga Reardena nigdy nie powstała. Co więcej, nie będzie się pan tam zanadto kręcił, więc istnieją małe szanse na spotkanie jego kumpli.

— Co się stało z ciałem Reardena?

— Pochowano go pod innym nazwiskiem. Uruchomiłem specjalne kanały.

— Biedna jego rodzina. Miał żonę?

— Nie. Rodzice też się bez niego obejdą.

Spojrzałem na tego szczupłego mężczyznę o bezbarwnych rzęsach, o rzednących włosach koloru piasku, i pomyślałem sobie, że z niego kawał zimnego

sukinsyna. Zastanawiałem się też, jak się będzie nam układała współpraca przy tym szczególnym zadaniu, jakie zaplanował.

— Dobra. Nazywam się Rearden i przyjechałem do Anglii. Co dalej?

— Zaraz, zaraz, wolnego — przystopował mnie Mackintosh. — Chociaż z te-

go Reardena był tęgi spryciarz, to jednak wpadł. Tylko raz. Jakiś czas temu odsiadywał wyrok w Pretorii. Czy wie pan coś o południowoafrykańskich więzieniach?

— Zupełnie nic. I dzięki Bogu.

— To lepiej niech się pan dowie. Załatwię panu człowieka, który pana prze-

szkoli. Opowie panu o warunkach panujących w tutejszych mamrach, wyuczy

slangu. . . Tak, zwłaszcza slangu. — Uśmiechnął się do mnie krzywo. — Nie by-

łoby głupio, gdyby posiedział pan z miesiąc w pudle, dla lepszego rozpoznania.

Mógłbym to załatwić. — Widziałem, jak obraca ten pomysł w myślach i wreszcie

odrzuca. Potrząsnął głową. — Nie, nic z tego. To zbyt ryzykowne.

Ucieszyłem się, bo jakoś nie przepadam za widokiem kratki. Mackintosh wy-

sączył kawę do dna.

— Chodźmy stąd — powiedział. — Robi się coraz gęściej. O dalszych spra-

wach wolałbym jednak rozmawiać na osobności.

Zapłacił rachunek i wyszliśmy z restauracji. Spory kawałek dalej usiedliśmy

pod eukaliptusem, skąd w promieniu pięćdziesięciu metrów nie było widać ani

jednej pary uszu.

Mackintosh wyjął fajkę i zaczął ją nabijać.

— Jak dotąd organizacja opiera się wszelkim próbom penetracji. Nasi próbo-

wali rozgryźć ją od zewnątrz — kłapa. Usiłowali przeniknąć od środka — bez

96

skutku. Podstawiali fałszywych więźniów — gorzej niż dno. Oni muszą mieć fan-

tastycznie rozbudowana sieć zabezpieczenia, bo dzisiaj wiemy dokładnie tyle, ile wiedzieliśmy na początku. No tak, jedno zdołaliśmy z nich wyrwać — nazwę.

W podziemnym światku znani są jako Bractwo Wykałaczek. Ba! Ale to nas do

niczego nie prowadzi. — Zapalił zapalną. — Stannard, to robota dla ochotnika

i chcę, żeby się pan już teraz zdecydował. Nie mogę nic więcej powiedzieć. I tak powiedziałem za dużo. Powinienem chyba jeszcze dodać, że jeśli coś pójdzie nie tak, skończy się to dla pana bardzo źle. I nie chodzi o to, że pana zabiją, nie.

Śmierć niekoniecznie musi być tym najgorszym, co może się panu przytrafić.

W każdym razie ja tak sędzę. Zadanie jest cholernie śliskie i niebezpieczne. Owszem, to też panu powiem: ja bym się tego nie podjął. Cóż, staram się grać z panem najuczciwiej, jak umiem.

Położyłem się plecami na trawie i wbiłem wzrok w niebo prześwitujące między konarami eukaliptusa; było nakrapiane liśćmi. Życie w RPA płynęło mi spokojnie, bez żadnych wydarzeń. Siedem lat temu byłem w dość kiepskiej formie

i przysięgałem sobie nigdy więcej w nic się nie pakować. Sędzę, że moi szefowie odgadli mój stan ducha i dali mi w RPA fuchę wyczekiwacza jako rodzaj syneku-ry, jako nagrodę za dawne zasługi. Jeden Pan Bóg wie, że nie zrobiłem nic, czym można by wytłumaczyć ową zaliczkę, która tak ładnie i systematycznie pęczniała na koncie angielskiego banku, i której jeszcze nie tknąłem.

Czas jednak wszystko leczy. Ostatnio zaczęło mi czegoś brakować i chciałem,

żeby wreszcie coś się stało, coś, jakieś trzęsienie ziemi, cokolwiek, byle co. No i miałem to swoje trzęsienie ziemi. Nadeszło Pod postacią niepozornego mężczyzny, człowieka, który bratał się z rządem, a z premierem debatował nad stanem bezpieczeństwa kraju. Miałem już niejaki wyobrażenie w czym rzecz i zadanie

nie wydawało mi się specjalnie trudne. Ryzykowne, owszem, ale niezbyt trudne.

Nie obawiałem się bandy angielskich przestępców, bo nie mogli okazać się gor-

si od tych, z którymi przyszło mi się mierzyć w Indonezji. Tam widziałem całe miasta zasłane trupami. Usiadłem.

— Dobra. Wchodzę w to.

Mackintosh spojrział na mnie trochę smutno i dał mi łagodnego kuksańca w ramię.

— Szaleniec z pana — stwierdził. — Ale cieszę się, że pana mam. Bo ja

wiem, może w tej robocie potrzebna jest odrobina szaleństwa? Skoro rutynowe metody nigdzie nas nie doprowadziły. . . — Ustnikiem fajki wymierzył w moją

stronę. — Sprawa jest ściśle tajna. Od tej chwili będą ją znać tylko trzy osoby: pan, ja i jeszcze ktoś. Nawet premier jest z tego wyłączony. — Prychnął sardo-nicznie. — Usiłowałem mu coś opowiedzieć, ale zaprotestował. Zna moje metody

i twierdzi, że chce zachować czyste ręce. Mówi, że jeśli przyjdzie mu odpowiadać na interpelacje w Parlamencie, nie chciałby stanąć w sytuacji, w której musiałby kłamać.

97

— A co z tutejszą policją?

— Nic nie wiedzą — odparł Mackintosh. — To taki rewanż za wyświadczoną przysługę. Natomiast mogą zacząć grzebać w pańskim życiorysie. Wytrzyma?

— Powinien. W końcu układali go eksperci.

Mackintosh pyknął delikatnie z fajki i wypuścił obłoczek dymu.

— Jak wspominałem, byli już tacy, którzy usiłowali przeniknąć do tej cholernej organizacji. Bez rezultatu. Zaczniemy więc od tego miejsca i zapytajmy: dlaczego? Jednym z bardziej obiecujących manewrów zdawało się być podstawienie

falszywego więźnia i oczekiwanie na kontakt. Był taki moment, kiedy wystawialiśmy na wabia aż ośmiu agentów. Rezultat? Nikt się z nimi nie skontaktował.

O czym to według pana świadczy?

— O tym, że organizacja ma dobry wywiad — odparłem. — Zanim wystąpią z ofertą, zasięgają języka.

— Tak jest. Znaczy to ni mniej, ni więcej tyle, że nasza przynęta, czyli Rearden, musi wytrzymać najbardziej wnikliwy sprawdzian, że jego przykrywka musi

być wyjątkowo szczelna. Co jeszcze?

— Tak od razu nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

— No to ruszże łepetyną, człowieku! — rzucił Mackintosh z wyraźnym nie-

smakiem. — Samo przestępstwo, Stannard! Przestępstwo! Rearden, a raczej pan,

popelni w Anglii przestępstwo. Zostanie pan ujęty — osobiście tego dopilnuję —

osądzony i zapudłowany. I musi to być przestępstwo szczególnego rodzaju, takie, gdzie w grę

wchodzą duże pieniądze i gdzie pieniędzy tych organa śledcze nie

odzyskają. Organizacja musi być przeświadczona, że jest pan w stanie za swoją ucieczkę zapłacić, i to ciężkie pieniądze. I co pan teraz sugeruje, Stannard? To jest, w świetle faktów, które dotychczas przedstawiłem?

— Nic specjalnego — odparłem. — Można to przeprowadzić i nie widzę z tym większych kłopotów.

— Nie, większych kłopotów nie będzie — przyznał Mackintosh trochę dziwnym głosem. — No, Stannard, zorganizujemy prawdziwe przestępstwo, rozumie pan? Nic innego nie zadziała. Ja to przestępstwo zaplanuję, a pan go dokona. I bę-

dzie to przestępstwo, które narobi szumu, że hej! Zwiniemy kupę szmalu jakiemuś porządnemu, Bogu ducha winnemu Anglikowi, a on podniesie natychmiast okropny wrzask. Nie będzie w tym żadnej lipy, bo. . . — Tu zaczął wyraźnie oddzielać słowo od słowa. — Bo nie zamierzam ryzykować i wtajemniczać w akcję nikogo.

Ni-ko-go. — Odwrócił się do mnie i tłumaczył żarliwie: — A skoro nie zamie-

rzam tego robić, to kiedy już pana osądzą i wsadzą za kratki, będzie pan siedział

w mamrze za najprawdziwsze pod słońcem przestępstwo i jeżeli się coś omsknie, ani ja, ani nikt inny panu nie pomoże. Dostanie pan czternaście lat i przez czterna-

ście lat będzie pan gnił w ciupie, chyba że Bractwo Wykałaczek wystąpi z ofertą.

A ja nawet palcem nie kiwnę, bo nie wolno mi będzie zdradzić żadnych szczegó-

łów, nikomu. Czy jest pan gotów podjąć takie ryzyko?

98

Wzięłem głęboki oddech.

— O Chryste, diabelnie dużo pan żąda, panie Mackintosh — powie działałem.

— Tak musi być — odparł zawzięcie. — Facet z pańskim wyszkoleniem z każ-

dego angielskiego więzienia wydobędzie się spacerkiem, prawda? Ale nie, pan te-go nie może zrobić, bo pan będzie siedział na tyłku i czekał na te Wykałaczki tak długo, jak będzie trzeba. Czekać, czekać, i jeszcze raz czekać, słyszy mnie pan, Stannard?

Spojrzałem w te jego fanatyczne oczy i spokojnie oświadczyłem:

— Słyszę. Niech się pan nie martwi, nie wycofam się. Dałem panu słowo.

Odetchnął głęboko i wyraźnie się rozluźnił.

— Dzięki, Stannard. — Uśmiechnął się. — Prawdę mówiąc nie martwiłem się, że pan odmówi, w każdym razie nie za bardzo.

— Zastanawiam się nad czymś. . . — powiedziałem. — Mountbatten zajął się więziennictwem po ucieczce Blake'a, prawda? A to spory kawał czasu. Skąd to całe zamieszanie akurat teraz?

Mackintosh wyciągnął rękę przed siebie, postukał fajką o pień drzewa i wytrząsnął z niej tytoń.

— Dobre pytanie — przyznał. — No cóż, w pewnym sensie efekty jego pracy

niewiele już przygasają. Kiedy ukazał się jego Raport i więzienia zaostrzyły dyscyplinę, wszyscy socjologowie i reformatorzy systemu jak jeden mąż zaczęli bić na alarm. Nie twierdzą, że nie bez racji. Na więzienie można spojrzeć dwojako: jest to albo miejsce odbywania kary, albo miejsce resocjalizacji. Środki bezpieczeń-

stwa, które tak nagle zaostrozono, natychmiast załatwiły odmownie aspekt resocjalizacyjny, a reformatorzy twierdzą, że w ciągu sześciu miesięcy wyrządzono na tym polu takie szkody, że nie da się ich odrobić w ciągu dziesięciu lat. — Wzruszył ramionami. — Pewnie mają rację, ale to nie moja sprawa. Nie interesują mnie zwykli przestępcy. Ja zajmuję się wyłącznie Blake'ami i Lonsdalesami tego świata. Gdy wpadną w sieci, istnieją tylko dwa wyjścia. Można ich albo postawić pod ścianą rozwalić, albo wsadzić za kratki. Ale więzi się ich nie po to, żeby ukarać, czy resocjalizować. Wsadza się ich do pudła po to, żeby wyłączyć z obiegu, bo wiedzą, co wiedzą.

W tym, co powiedział, nie znalazłem odpowiedzi na swoje pytanie, więc ponagliłem go.

— A teraz co?

— A teraz wpadła nam w ręce gruba ryba. Największa, jaką dotychczas udało

nam się złapać. Sam Bóg na niebie wie, że już Blake był niezłą sztuką, ale ten gość to przy Blake'u istny rekin. I nie możemy pozwolić mu zwiać. Usiłowałem

wymóc na premierze utworzenie specjalnego zakładu dla takich więźniów, ale on twierdzi, że to wbrew linii politycznej. Tak więc Slade podlegać będzie rygorom powszechnego systemu więziennictwa. Owszem, jako więzień kategorii specjalnej.

— Slade. . . — zamyśliłem się. — Nic o nim nie słyszałem.

— Teraz jest w szpitalu — wyjaśnił Mackintosh. — Gdy go łapali, dostał

postrzał w biodro. Jak już stanie na nogi, czeka go proces i gdybyśmy dawali

wyroki jak w Teksasie, dostałby z pięć tysięcy lat, to pewne. Tymczasem musimy trzymać go w odosobnieniu przez następnych dwadzieścia lat, bo po dwudziestu

latach cała rzecz nie będzie już miała takiego znaczenia.

— Dwadzieścia lat!? Facet musi cholernie dużo wiedzieć!

Mackintosh odwrócił do mnie zdeglustowaną twarz.

— Czy mieści się panu w głowie, żeby Rosjanin, bo Slade to Rosjanin, mógł

zostać wiceszefem ważnego departamentu brytyjskiego wywiadu? Departamen-

tu związanego z działalnością kontrwywiadowczą na Skandynawię? Tak właśnie

było! A sir David Taggart, skończony osioł, który go tam wprowadził, dostał ko-pa w górę, jest teraz lordem Taggartem i dzierży dożywotnią godność para! —

Prychnął. — Ale przynajmniej nie będzie już wygłaszał żadnych przemówień,

nie będzie organizował akcji wyborczych, bo jeśli ma odrobinę rozumu, do koń-

ca życia powinien trzymać dziób na kłódkę. — Zamrugął bezbarwnymi rzęsami

i z trudem powstrzymując wzburzenie, rzucił: — Człowiek, który nakrył Slade'a, został wcześniej przez Taggarta zwolniony za nieudolność! Ludzie, litości! — Za-stukał fajką w pień drzewa z taką mocą, że omal jej nie złamał. — To amatorzy!

-stwierdził jadowicie. — To banda cholernych amatorów ze śmieszny mi, prywat-

nyimi armiami! Rzygać mi się chce, jak o tym myślę.

— Więc Slade i ja. Jak?

— Spróbuję pana wetknąć tuż koło niego — odrzekł. — Co znaczy, że zła-

mię prawo. Ale to, co Slade ma w głowie, to czysty dynamit i gotów jestem zła-mać każde prawo, od kary za sodomie wzwyż, żeby tylko zatrzymać tego drania

w pudle. Bo tam jego miejsce. — Zachichotał i rąbnął mnie w ramię. — My nie

będziemy naginać angielskiego prawa, Stannard. My je rozpiżymy w pył!

— Chyba rozumiem już, dlaczego premier nie chciał o niczym wiedzieć - skonstatowałem cokolwiek niepewnie.

— A tak — przyznał rzeczowo. — Stałby się współsprawcą przestępstwa a za wielki z niego dżentelmen, żeby sobie uwałać ręce. Poza tym miałby nieczyste sumienie. — Spojrzał w niebo i rzekł w zadumie: — Dziwne zwierzęta, ci politycy. . .

— Czy pan wie, że siedzimy pod drzewem? — zapytałem.

— Bo?

— Bo jeśli ta nasza akcja nie wypali, nie chciałbym zawisnąć ani na nim, ani na niczym innym. Niech się pan temu eukaliptusowi dobrze przyjrzy, Mackintosh. . .

IV

Sądzę, że Mackintosha można by nazwać swego rodzaju patriotą. W dzisiej-

szych czasach nie ma już chyba zbyt wielu zaprzysięgłych patriotów. Z patriotyzmu się teraz pokpiwa, bo to modne. Tak, nabijają się z niego nawet w telewizji, a dla największych modnisiów patriotyzm jest pojęciem kompletnie martwym.

Dlatego trudno przebierać, jeśli ma się do dyspozycji tak małą rzeszę prawdziwie ojczyzną miłujących. Postronny obserwator stwierdziłby niewątpliwie, że Mackintosh to wypisz wymaluj farbowany dla niepoznaki faszysta. Jego Bogiem była Brytania, lecz nie Brytania zielonych łąk i miłych wiejskich ścieżynek, nie Brytania statecznych domów i ruchliwych miast, nie. Jego Bogiem była sama idea Brytanii, idea ucieleśniona w państwowości. Poglądy Mackintosha wyrastały wprost z koncepcji Platona, Machiavellego i Cromwella, którzy-jak się nad tym dobrze zastanowić — nie różnią się bardzo od Mussoliniego, Hitlera czy Stalina.

Jeśli jednak chodzi o Mackintosha, na podobieństwach sprawa się nie kończyła. Ale o tym miałem się przekonać później, dużo później.

Miałem mnóstwo roboty i niewiele czasu. Przeobraziwszy się chwilowo w socjologa, studiowałem warunki panujące w południowoafrykańskich zakładach karnych, w czym pomagał mi oficer służb więziennych. Jako lekturę polecił mi książki Hermana Charlesa Bosmana, co było całkiem zbyteczne, bo Hermana Charlesa Bosmana dawno już przeczytałem. Bosman — prawdopodobnie najlepiej piszący po angielsku autor, jakiego wydała RPA — o więzieniach wiedział wszystko. Odsiedział „gumę” za zabójstwo swego przyrodniego brata i olśniewająco opisał swe przeżycia z Więzienia Centralnego potocznie zwanego Pretoryjskim Dołkiem. Dla mnie to była gratka, bo właśnie tam swój wyrok odsiadywał Rearden.

Przewertowałem również akta Reardena, które wyrwaliśmy z archiwów na placu Johna Vorstera. Faktów znalazłem w nich nie wiele, za to mnóstwo domniemywań. Rearden siedział tylko raz, w dodatku za przewinienie stosunkowo małego kalibru, ale owe domniemanie okazały się prawdziwą bombą. Posądza-

no go o wszelkie możliwe przestępstwa ujęte kodeksem, poczynając od włamań

i szmuglu narkotyków, poprzez napady z bronią w rękę, skończywszy na nielegalnym skupie złota. Był więc Rearden facetem o wielu obliczach, miał niesłychaną odporność psychiczną oraz inteligencję. Kapryśnie i nieoczekiwanie przerzucał

się z jednej branży w drugą, dzięki czemu unikał większych kłopotów. Tak, byłby z niego znakomity agent wywiadu.

Uśmiechnąłem się. Może więc Mackintosh miał jednak rację twierdząc, że

Rearden jest do mnie podobny. . . Nie miałem złudzeń ani co do siebie, ani co do swojej roboty. Ten interes śmierdział, dopuszczał wszystkie chwytły, honoru znaleźć tam można tyle co brudu pod paznokciami, a mnie pracowało się w tym

bagnie całkiem znośnie, tak samo, jak znośnie pracowałoby się Reardenowi, gdy-101

by ktoś miał na tyle rozumu, żeby go do tej roboty zwerbować. Tak więc oto nasza trójca: Mackintosh, Rearden i ja — wszyscy ulepieni z jednej gliny.

W RPA Mackintosh zajmował się sprawą odgórnie — pociągał za odpowied-

nie sznurki. Sądząc po tym, jak wszyscy wokół niego tańczyli, jak skakali niczym posłuszne marionetki, wyglądało na to, że premier istotnie dał mu do ręki „pewne środki”. Mackintosh zajmował się więc robotą kontrwywiadowczą na szczeblu

dypłomatycznym, a ja zastanawiałem się, co to była, u diabła, za przysługa ja-ką wyświadczyliśmy Afrykanerom, że traktowali nas z rewerencją i nie zadawali żadnych pytań.

Stopniowo przeobrażałem się w Reardena. Zmieniłem uczesanie — nowe

uczesanie to nowy człowiek — no i zadałem sobie wiele trudu, by podchwy-

cić ten charakterystyczny transwalski akcent, akcent górniczych miast i osiedli.

Przyglądałem się też bacznie fotografiom Reardena, usiłując naśladować jego styl ubierania się i postawę. Szkoda, że nie mieliśmy choć jednego filmu pokazujące-go Reardena na żywo, bo sposób poruszania się człowieka wiele znaczy. W tym

punkcie musiałem więc zdać się na własną inwencję.

Któregoś dnia powiedziałem Mackintoshowi:

— Mówi pan, że to mało prawdopodobne, bym natknął się w Anglii na kogoś,

kogo Rearden znał, na jego kumpli. Bo długo tam na wolności nie zabawię, tak?

Bardzo pięknie, ale mam o wiele większe szansę natknąć się na któregoś z nich w więzieniu niż podczas spaceru po Oxford Street, zgadza się?

Zamyślił się.

— To prawda. Zrobimy tak: sprawdzę penitencjariuszy więzienia, do którego

ma pan trafić i jeżeli znajdę takich, co byli w RPA, przeniosę ich w inne miejsce.

Nie przypuszczam, bym znalazł ich wielu, ale taki zabieg zmniejszy pańskie ryzyko do minimum. A samo przeniesienie? Normalka, bo więźniowie ciągle zmie-

niają zakłady.

Mackintosh ćwiczył mnie bezlitośnie.

— Imię i nazwisko ojca?

— Joseph Rearden.

— Zawód?

— Górnik. Emerytowany.

— Imię matki?

— Magrit.

— Nazwisko panięskie?

— Van der Oosthuizen.

— Gdzie pan się urodził?

— W Brakpan.

— Kiedy?

— Dwudziestego ósmego maja 1934 roku.

— Gdzie pan był w czerwcu sześćdziesiątego ósmego?

102

— . . . Hmm, w Cape Town.

— W którym hotelu pan się zatrzymał?

— W Arthur's Seat.

Podetknął mi palec pod nos.

— Źle! Tam się pan zatrzymał w listopadzie tego samego roku! Musisz to lepiej opanować, Stannard.

— Gdyby było trzeba, jakoś bym sobie z tym błędem poradził.

— Możliwe, ale ja nie chcę żadnej nawalanki, Stannard, żadnych dziur, które musiałbyś na gwałt łątać, jasne? Siadaj i wkuwaj dalej.

I znów — nie powiem, że chętnie — wetknąłem nos w akta. Boże, czyżby człowiek musiał umieć rozliczyć się z każdej minuty swego życia?! Wiedziałem jednak, że Mackintosh ma rację. Im więcej wiedziałem o Reardenie, tym byłem bezpieczniejszy.

Nareszcie wszystko się skończyło i Mackintosh miał wracać do Anglii.

— Tutejsi gliniarze trochę się niepokoją — oznajmił. — Zastanawia ją się, dlaczego do tej roboty wybrałem właśnie pana. Nie mogą dociec, jakim cudem udało mi się nakłonić australijskiego imigranta, żeby odgrywał Reardena. Nie sądzę, żeby pozwolili panu tu wrócić.

— Będą gadać?

— Nikt nic nie będzie gadał — odparł z całą mocą. — Wie o panu tylko

parę osób, w dodatku bardzo wysoko postawionych osób. Ale nawet ci nie mają

pojęcia, dlaczego to akurat pan i cholernie ich to ciekawi. Sprawa jest ściśle tajna, rozgrywa się ją na szczeblu dyplomatycznym — cicho-sza, a w tym Afrykanerzy

są dobrzy. Bo oni wiedzą, jak dbać o bezpieczeństwo tajnych operacji. Jeśli zaś idzie o struktury policyjne niższego szczebla. . . No cóż, trochę się zdziwią, jak Reardena zapudłują w Anglii. Odetchną z ulgą i na kilka lat wykreślą go ze swoich rejestrów.

— Jeśli nie myli się pan co do tego Bractwa Wykałaczek, to pewnie będą chcieli mnie rozpracować i sprawdzą wszystko tutaj, w RPA.

— I niczego nie znajduję — odrzekł z przekonaniem. — Dobrze się pan spisał, Stannard. — Uśmiechnął się. — Kiedy już będzie po wszystkim, dostanie pan medal. Weźmiemy na stronę osoby zainteresowane, to jest ludzi z towarzystwa ubezpieczeniowego, tych, których obrabuje my i całą resztę, i szepniemy im do ucha kilka słów. Minister spraw wewnętrznych skorzysta z prawa łaski, zostanie pan zrehabilitowany i oczyszczony z wszelkich zarzutów. Będzie pan czysty jak łąza, Stannard!

— Tak, pod warunkiem, że operacja wypali — zauważyłem. — Bo jak nie, to nic tylko się powiesić. — Spojrzałem mu prosto w oczy. — Mackintosh, chciałbym mieć choć drobne zabezpieczenie. Wiem, że ma pan świra na punkcie maksymalnego ograniczenia kręgu wtajemniczonych. I słusznie. Zorganizował pan wszystko w taki sposób, że o całym przedsięwzięciu wiedzą tylko trzy osoby:

103

pan, ja i ten trzeci. Właśnie, ten trzeci. Chcę wiedzieć, kim on jest. Na wszelki wypadek, gdyby panu się coś przytrafiło. Bo jak, na przykład, przejedzie pana autobus, znajdę się w piekielnie trudnej sytuacji.

Dumał nad tym przez chwilę.

— Dobrze, zgoda. Ten trzeci to moja sekretarka.

— Pańska sekretarka — powtórzyłem głucho.

— Ooo, pani Smith jest doskonałą sekretarką — zapewniał — niezwykle sprawną. Siedzi w sprawie po uszy.

Pokiwałem głową.

— Jest jeszcze coś. Rozważałem rozmaite ewentualności. Co się stanie, jeśli mnie wyciągną, a Slade'a nie?

— No to, oczywiście, dobierzesz się pan tym Wykałaczkom do skóry.

— A jeśli jego wyciągną, a mnie nie? Wzruszył ramionami.

— Nie będzie w tym pańskiej winy. Musielibyśmy zostawić całą sprawę

przedstawicielom organów oficjalnych. Nie powiem, żeby taka perspektywa mi się zbytnio podobała.

— No i niech pan rozpatrzy jeszcze jedną możliwość — powiedziałem. —

Wyobraźmy sobie, że wyciągają i mnie, i jego. Co wtedy?

— Ha! Rozumiem, o co panu chodzi.

— Tak też myślałem. Co jest ważniejsze? Rozpracowanie organizacji, czy doprowadzenie Slade'a z powrotem za kratki?

Milczał przez chwilę.

— Slade jest oczywiście ważniejszy, chociaż ideałem by było, gdy by udało

się panu załatwić jedno i drugie. Natomiast co do Slade'a, może go pan ściągnąć do pudła wedle własnego uznania. Gdyby się, na przykład, miało okazać, że facet nagle wykorkował, nie roniłbym z tego powodu łez. Sprawą zasadniczą jest to,

żeby się nam nie urwał i nie przekazał nikomu informacji. — Na moment obrócił

swe blado niebieskie oczy w moją stronę. — Martwi nie mówią.

No i kropka. Gdybym musiał, miałem Slade'a po prostu zabić. Zacząłem ro-

zumieć zastrzeżenia, jakie premier miał do Mackintosha. Obłaskawiony oprawca, który płacze się po domu, to raczej niezbyt wygodny nabytek.

Następnego dnia Mackintosh wyjechał do Anglii. Dwa miesiące później do-

stałem od Lucy następny list i poszedłem w ślady Mackintosha.

Tam, w Anglii, wszystko już było przygotowane. Nadszedł czas działania.

Wpatrywałem się w kieliszek brandy. Rozmyślałem już od dłuższego czasu

i nie tknąłem ani kropli. Minął czas picia. Nadszedł czas myślenia. Bóg mi świadkiem, że myśleć miałem o czym.

Wszystko poszło tak, jak zaplanował Mackintosh. Napad, proces, więzienie,

Slade i Bractwo Wykałaczek. I nagle krewa. Ten gang składał się z bystrych facetów, którzy na punkcie zabezpieczenia operacyjnego mieli hopla jak zawodowa siatka szpiegowska. I w tym wszystkim ja, niczym mały, nieszkodliwy robak, bo ani na milimetr nie wgryzłem się w ich struktury i wiedziałem dokładnie tyle sa-mo, ile przed rozpoczęciem akcji.

Ten piekielny zastrzyk w meblowozie obrócił sprawy na ich korzyść. Nie spo-

dziewałem się bowiem ani zastrzyku, ani obecnego ubezwłasnowolnienia. A prze-

cież dobrze ich rozumiałem. Oni musieli wiedzieć o uciekinierze wszystko, natomiast uciekinier nie musiał wiedzieć nic ponadto, że uciekł. Ta ekipa była tak cholernie fachowa, że aż nie do uwierzenia.

No i zgubiłem Slade'a.

To rzecz bez wątpienia najgorsza i jeśli tylko uda mi się pokonać zaporę, jaką stwarzał Nalana Gęba, Mackintosh wypruje mi za to flaki. Bo Mackintosh wydał

mi rozkaz. Zrobił to nie wprost, za to wystarczająco jasno: jeżeli zaistnieje oba-wa, że Slade może się gdzieś zawieruszyć, należy go zabić. Gdy spał, mogłem,

na przykład, chwycić tępy, stołowy nóż i poderznąć mu gardło. Albo zadusić go kawałkiem elektrycznego sznura od lampki. Nie zrobiłem ani tego, ani tego. Nie zrobiłem niczego.

Oczywiście, gdybym którejs nocy ukatrupił Slade'a, następnego ranka był-

bym już nieboszczykiem, ale nie to mnie powstrzymywało. Ważyłem różne za

i przeciw, rozpatrywałem najróżniejsze warianty i wyszło mi, że Slade i ja nadal będziemy podróżować razem, że wciąż istnieje szansa ucieczki i uprowadzenia

Slade'a, że moja przykrywka wciąż zapewnia mi względne bezpieczeństwo. Żad-

ne z tych jakże pięknych założeń nie sprawdziło się i wyszedł z tego diabelski galimatias.

Leżałem na łóżku z dłońmi splecionymi pod głową i zastanawiałem się, jak

oni wpadli na trop reardenowskiej podmianki. Nalana Gęba usiłował mi wmó-

wić, że o podmiance wiedział, że sprawa się wydała dzięki odciskom palców,

które jakoby wyciągnęli z kartoteki na placu Vorstera. Ja zaś wiedziałem, że to wierutna bzdura, bo sam, osobiście, wstawiałem swoje odciski palców w miejsce reardenowskich, czemu przyglądał się Mackintosh. Tak więc wszelkie odciski pochodzące z tamtejszych archiwów musiały się zgadzać z moimi.

Skoro Nalana Gęba wiedział, że nie jestem Reardenem, to nie mógł na to

wpaść dzięki odciskom palców. Dlaczego więc chciał mnie wpuścić w maliny?!

Zmóżdżałem się ostro, rozważając jedną hipotezę po drugiej. Na przykład:

jedyne, co podejrzewa Nalana Gęba to to, że nie jestem facetem, za którego się podaję. Błefuje więc w nadziei, że pęknę. Nic z tego! Co więcej, zmusiłem go, by mi te odciski palców pokazał, bo miałem pewność, że ich nie ma. Jeśli nawet miał, wiedziałem, że będą się zgadzać z moimi.

Tak się przedstawiała jedna z moich hipotez, ale wszystkie pozo stałe sprowa-

dzały się do jednego: albo Nalana Gęba na sto procent wiedział, że nie nazywam się Rearden, albo tylko podejrzewał. W obydwu przypadkach dręczyło mnie pytanie, jak, u diabła, na to wpadł. Gdzie zrobiłem błąd?

Przeanalizowałem swoje poczynania od chwili, gdy stanąłem na angielskiej

ziemi i nie znalazłem w nich żadnego potknięcia. Nie zgrzeszyłem niczym, ani

słowem, ani uczynkiem — nic nie mogło naruszyć mojej przykrywki. To z kolei

podsunęło mi ohydną myśl, że w naszym systemie zabezpieczenia jest przeciek.

Mackintosh. . . Twardy, pozbawiony skrupułów współnik, sukinsyn, gotów

sprzedać własną babkę i przetopić ją na mydło, o ile tylko dałoby się tym mydłem wysmarować pochylnię tak, by spłynął po niej Okręt Państwowości. Zirytowany

potrzęsnałem głową. Nie, rozdałem tę metaforę zbyt mocno, co mówiło, jak bar-

dzo jestem zmęczony. Niemniej jednak tak wyglądała prawda. Gdyby Mackintosh

z jakichś powodów uznał, że opłaca mu się naruszyć moją przykrywkę, zrobiłby

to bez chwili wahania.

Rozpatrywałem ten wariant dość intensywnie, po czym go chwilowo odrzu-

ciem, bo nie umiałem dla niego znaleźć żadnego uzasadnienia. Pozostawała mi

jedynie nad wyraz sprawna Lucy Smith, którą Mackintosh darzył pełnym zaufa-

niem, a o której ja nie wie działem zupełnie nic. Rzecz jasna, istniały jeszcze inne możliwości. Każde z nich mogło mnie na przykład nieumyślnie wsypać, ktoś za-interesowany mógł założyć podsłuch w ich biurze, i tak dalej, i tak dalej.

Wszedłem do łazienki i ochlapałem twarz zimną wodą. Niech szlag trafi Mac-

kintosha i te jego chytre sztuczki! Nie pozostawało mi teraz nic innego, jak wydostać się z pułapki. Musiałem skupić się nie tyle na tym, jak w nią wpadłem, ile na tym, jak się z niej uwolnić.

Wytarłem twarz do sucha, wróciłem do sypialni i zasiadłem przy stole, żeby

zrobić przegląd w moim arsenale broni. Dobry agent, któremu zdarzyło się popaść w tarapaty, oragnizuje sobie broń jak może i gdzie może, wykorzystując to, co ma akurat pod ręką. Na przykład, trzy razy dziennie podawano mi do posiłków pieprz, 106

dzięki czemu miałem w kieszeni tutkę z papieru zawierającą dosyć pieprzu, by

w razie potrzeby człowieka skutecznie oślepić.

Po kilku minutach namysłu podszedłem do szafy, wyjąłem z niej skarpetkę

i napełniłem ją do połowy ziemią wybraną z rzędu doniczek na parapecie; z każ-

dego kwiatka uszczknąłem po trochu. Zważyłem skarpetę w ręku, zatoczyłem nią

kilka szybkich kół i uderzyłem o dłoń. Plasnęła, jak trzeba. Skarpetka nie stanowiła broni tak znakomitej jak woreczek z piaskiem — nie była wystarczająco ciężka

— ale dostatecznie, by spełnić swoje zadanie.

Jak wydostać się z zamkniętego pokoju? Istnieje wiele sposobów. Drogę na

wolność można sobie choćby wystrzelać pod warunkiem, że się ma broń. Można

też wzniecić pożar, choć to trochę ryzykowne, bo nie ma gwarancji, że się z płoną-

cego pokoju na czas wyjdzie. Jeśli nie, skutki mogą okazać się katastrofalne i po dziś dzień tkwi mi w pamięci opowiadanie Charlesa Lamba o pieczonej śwince.

Jak widać, można stosować najprzeróżniejsze podstępny, lecz nie sądziłem, żeby ci chłopcy dali się łatwo nabrać; usiłowałem namówić Nalaną Gębę, żeby pozwolił

mi pospacerować na dziedzińcu, ale nic z tego nie wyszło.

To nasunęło mi pewną myśl. Nalana Gęba. . . Gdy wchodził do pokoju, zachowywał się bardzo ostrożnie. Trzask zamka, Nalana Gęba wsuwa się do środka i zawsze ustawia tak, by za plecami mieć wejście, a przed sobą wnętrze sypialni. Facet w korytarzu zamyka drzwi na klucz, a Nalana Gęba staje do mnie przodem. Zawsze przodem. Trochę sobie kiedyś eksperymentowałem i usiłowałem go zejść od tyłu, ale nigdy mi się to nie udało. Nalana Gęba ma przy sobie broń. Na pewno ją ma, bo chociaż jego krawiec bardzo się starał, dostrzegłem pod marynarką znajome wybrzuszenie. Gdy spostrzegawczość decyduje o życiu, człowiek zauważa najdrobniejsze szczegóły.

Wynikało z tego, że musiałem znaleźć się za plecami Nalanej Gęby i zdzielić go w łeb skarpetą, którą napełniłem wilgotną ziemią spod kwiatków. To zaś wymagało iście magicznej sztuczki, ponieważ facet musiałby sądzić, że stoję przed nim, gdy w rzeczywistości będę stał za nim. Poza hipnozą nie widziałem innego sposobu, ale mimo to zacząłem sprawę przemyśliwać.

Wszedłem do łazienki i spuściłem w sedesie wodę. Urządzenie nie miało łańcuszka z uchwytem i należało do tych, które wyposażone są w nisko osadzony zbiornik z króciutką dźwigenką. Rozejrzałem się za jakimś kawałkiem sznura.

Tak naprawdę to przydałby mi się cały kłębek, ale ponieważ go nie miałem, trzeba było improwizować.

Światło w łazience włączało się — zgodnie z przepisami bhq — za pomocą sznurka. Sznurek zwisał tak, żeby go można było wygodnie chwycić ręką, a kiedy się zań pociągnęło, wajcha umocowana pod sufitem włączała światło. Dzięki temu gadżetowi uzyskałem półtora metra cennego materiału. Lampa nocna. Podłączyli ją do kontaktu umieszczonego w boazerii za łóżkiem. Miała pleciony, dwużyłowy kabel w plastikowej izolacji. Gdy przewody rozdzieliłem, materiału mi przybyło.

107

Na toaletce stała jeszcze jedna lampa i z niej też skorzystałem, a jakże. Lecz wszystko to było mało i musiałem rozejrzeć się za czymś jeszcze. Mój szlafrok z frotte miał pasek, który dał się podzielić na kilka wystrzępionych kawałków.

Kiedy je związałem, okazało się, że materiału mi wystarczy. Tak naprawdę to

mógłbym już z tego sznurka sporządzić pętlę do garoty. Fakt, nie tak skuteczną jak fortepianowa struna, ale czyż mogłem narzekać?

Na końcu mojego powroza związałem pętlę. Pętlę wsunąłem na dźwignię

rezerwuaru, sznur wyprowadziłem z łazienki i wzdłuż ścian sypialni dotarłem

z nim aż do samych drzwi. Przydałoby mi się kilka niewielkich bloczków, ale

ponieważ ich nie miałem, zmuszony byłem wykorzystać izolowane klamerki mo-

cujące przewody elektryczne. Pozostawało mi tylko wierzyć, że wytrzymają. Nie wytrzymały.

Pociągnąłem delikatnie za sznurek i . . . nic. Pociągnąłem silniej i . . . nic.

Szarpnąłem i . . . klamerki powyskakiwały z boazerii. Mój system okazał się kompletnym niewypałem. Wróciłem do łazienki i spuściłem wodę, naciskając dźwi-

gnię najlżej, jak się tylko dało. Dźwignia rezerwuaru chodziła po prostu za ciężko, by moja prymitywnie sztukowana linka mogła ją zwolnić. Musiałem zatem wy-myślić coś innego. Przez chwilę przyglądałem się rezerwuarowi. Potem zdjąłem

z niego górę i odsłoniłem to, co stworzył genialny umysł niejakiego Thomasa

Crappera — zawór kulkowy oraz całą skomplikowaną resztę. Zatyczka odkor-

kowowała spust wody wówczas, gdy nacisnęło się dźwignię. Wykombinowałem

sobie, że któryś z elementów mechanizmu musi wytwarzać tarcie, a to tarcie z kolei usztywniało dźwignię. Sądziłem, że gdyby udało mi się tę dźwignię odłączyć i zadziałać bezpośrednio na zatyczkę, wszystko zagrałoby jak trzeba.

Pół godziny później gotów byłem do następnej próby. Wydłużyłem sznur do-

datkowym paskiem z prześcieradła — to, oczywiście, rzucało się w oczy, ale w łazience było bez znaczenia — drzwi zostawiłem otwarte na oścież i wróciłem na

swoje stanowisko przy drugim końcu sznura. Wziąłem sznur do ręki, chuchnąłem

na szczęście i pociągnąłem go jednym płynnym ruchem.

Woda zagulgotała radośnie i popłynęła z jakże wyczekiwany przeze mnie szumem.

Rzuciłem sznur i pedantycznie sprawdziłem wygląd sypialni, upewniając się,

czy wszystko jest na swoim miejscu i czy nic nie zdradzi mnie przed Nalaną Gębą.

W pokoju panował schludny ład. Tylko łóżko było rozbebeszone. Ściągnąłem zeń prześcieradło i podarłem je na długie kawałki. Wiedziałem, że mi się przydadzą.

Łóżko prześcieliłem.

Roboty nie ubywało. Otworzyłem szafę i zamyśliłem się nad jej zawartością.

Wisiał tam bardzo dystyngowany, ciemnoszary garnitur oraz sportowa kurtka i nie pasujące do niej spodnie; na dnie stały brązowe buty. Nie wiedziałem, gdzie jestem, w mieście czy na wsi. Gdyby okazało się, że w mieście, bardziej pasowałby garnitur. Z drugiej jednak strony gdybym w garniturze pojawił się w sercu głu-108

chej prowincji, widać by mnie było na milę. Tak, sportowe ubranie w mieście nie razi. . . Tym sposobem zwyciężyła kurtka i stowarzyszone z nią dodatki. Postanowiłem wziąć też kapelusz i płaszcz od deszczu.

Uciekałem już nieraz i wiedziałem, że podczas ucieczki jedną z najtrudniej-

szych do zrealizowania rzeczy jest prosty, zdawałoby się, akt umycia się. Najogólniej mówiąc, sprawa utrzymania czystości jest wtedy koszmarnie ważna. (Gdyby

nagle urosła mi broda w kolorze innym niż włosy, stałbym się od razu obiektem powszechnego zainteresowania; blondyna z meblowozu ostrzegала mnie, bym go-lił się dwa razy dziennie.) Wiedzą o tym gliniarze ścigający uciekinierów i dlatego rutynowo sprawdzają wszystkie publiczne umywalnie na stacjach i w dużych ho-telach.

Postanowiłem więc zabrać ze sobą maszynkę do golenia, kostkę mydła, myjkę

do twarzy i mały ręcznik. Wszystko zmieściło się zgrabnie w kieszeniach płaszcza i nawet zanadto nie sterczało. Linkę do garoty zwinąłem i wetknąłem za we-wnętrzną opaskę kapelusza. Każdy prawdziwy gliniarz od razu by poznał coś ta-

kiego i wolałem toto dobrze schować na wypadek, gdyby mieli mnie przeszuki-

wać. Bo jak znajdą, natychmiast zapudłują.

Tak samo zareagują, jeśli znajdą przy mnie pistolet, myślałem -zakładając, że uda mi się przejąć armatę Nalaney Gęby. I kolejny problem: na ile usprawiedli-wione byłoby użycie broni, gdyby sytuacja tego ode mnie wymagała?

Kult Jamesa Bonda przyczynił się do powstania szeregu wierutnych bzdur.

Nie ma agentów oznaczonych kryptonimem złożonym z dwóch zer, nie istnieje

je „licencja na zabijanie”. O ile mi wiadomo, nie miałem żadnego numeru poza numerem w kartotece, jak każdy szeregowy pracownik. Nikt też nie zwracał się do mnie per „pięć dziesiąty szósty”, ani per „zero zero pięćdziesiąty szósty”. No i agenci wcale nie mordują jak leci. Co nie znaczy, że nie robią tego nigdy. Tak, zabijają, lecz wyłącznie na rozkaz, w ściśle określonych warunkach. Eliminacja poprzez śmierć traktowana jest z niesmakiem, jest kłopotliwa i nieodwracalna. Na ogół istnieją inne, niemal równie skuteczne sposoby uciszania człowieka.

Czasami jednak trzeba zabić i agent dostaje wtedy stosowne instrukcje. Czy owe instrukcje to „licencja na zabijanie”? Nie wiem. Wiem tylko, że nikt nie udziela nikomu pozwolenia na okrutne jatki. Jeśli są jatki, są i trupy, dużo trupów niewiadomego pochodzenia, i tajne służby natychmiast przestają być tajne.

Cóż, poza Sladem Mackintosh nie kazał mi nikogo zabijać, co oznaczało, że, najogólniej rzecz ujmując, mam nie zabijać wcale. Nie zlecane zabójstwa znane są w branży jako „przypadkowe”, natomiast agent, który miał nieszczęście taką przypadkową śmierć spowodować, szybko dorabia się etykiетки faceta nieodpowiedzialnego i nieudolnego. Gdyby jakiś agent zostawił za sobą sznurek nieboszczyków, wywołałby olbrzymią konsternację w owych maleńkich biurowych kłitkach Whitehallu, których drzwi zdobią oszukańczo niewinne tabliczki.

Tak naprawdę cała rzecz sprowadzała się do odwiecznego problemu moralnego:

109

go: kiedy człowiekowi wolno jest zabić drugiego człowieka? Ja problem rozwią-

załem za pomocą następującego cytatu: „Nie zabijesz ty, zabiją ciebie”. Gdybym znalazł się w sytuacji, w której groziłaby mi śmierć, zabiłbym w samoobronie, nie wcześniej. Tylko raz w życiu zabiłem człowieka i odchorowywałem to — do-słownie! — przez całe dwa dni.

Ze stoickim spokojem zacząłem więc planować podpalenie. Inspekcja barku

wykazała, że jest w nim półtorej butelki południowoafrykańskiej brandy, więcej niż połówka szkockiej whisky, połówka ginu oraz pół butelki Drambuie. Kilka

eksperymentów udowodniło, że najbardziej palne pośród nich to brandy i Dram-

buie, choć nie paliły się tak, jak bym sobie tego życzył. Szkoda, że nie rozbudzi-
łem w sobie zamiłowania do rumu. Na rynku można było dostać sympatyczną,
bo stuprocentową odmianę tego trunku, co by mi akurat świetnie odpowiadało.
Choć z drugiej strony Bóg jeden raczy wiedzieć, co taki rum wyrabia ze śluzówką żołądka.
Potem poszedłem do łóżka i usnąłem snem sprawiedliwych.

II

Następnego ranka nie dostałem śniadania. Taafe zjawił się bez wózka, z pustymi rękami, i kiwnął mi palcem zza drzwi. Wzruszyłem ramionami i udałem się za nim. Wyglądało na to, że zabawa się skończyła.

Sprowadzono mnie na dół. Przeszliśmy przez hol i dotarliśmy do pokoju ze szczelnie zasłoniętymi oknami, gdzie wcześniej podpisywałem czek. W holu miałem dwoje starszych ludzi. Przycupnęli nerwowo na brzegu krzeseł, jak gdyby myśleli, że są w poczekalni u dentysty. Spojrzeli na mnie bez żadnego zainteresowania. Wszedłem do pokoju, gdzie oczekiwał mnie Nalana Gęba.

Nalana Gęba miał lodowaty wyraz twarzy.

— No, mogłeś myśleć przez całą noc — zaczął. — Radzę, żeby twoja historyjka trzymała się kupy, panie Pseudorearden..

Ruszyłem do ataku.

— Gdzie karta z odciskami?

— Nie trzymamy jej tutaj — odparł krótko. — Tak czy owak, nie jest już nam potrzebna.

— Nadal nie wiem, o czym mówisz — oznajmiłem. — I jeśli sądzisz że całą noc strawiłem na wymyślaniu jakichś bzdur, żeby ciebie zadowolić, to chyba zwariowałeś. Nie cierpię na brak czasu, ale i tak mam lepsze zajęcia od tego. —

Mówiłem prawdę i tylko prawdę.

Wydał z siebie jakiś odgłos, który był, jak mi się zdawało, oznaka niesmaku.

— Kłamiesz. Czy do twego zakutego łba nie może dotrzeć fakt, że wszystko już się wydało?! Brakuje ledwie jednego szczegółu: twoje go prawdziwego nazwi-110

ska. — Potrząsnął z ubolewaniem głową. — Potrząsnął z ubolewaniem głową —

Wiemy, że nie jesteś Rearden. Chcemy tylko wiedzieć, kim, do cholery, jesteś?!

Hmm. . . Po co mu ta informacja? Chyba domyślałem się po co i wcale mi

się to nie podobało. Jeśli nie jestem Reardenem, Nalana Gęba będzie chciał natychmiast wiedzieć, czy ktoś się mną zainteresuje, jeśli naprawdę przypadnę. To piekielnie istotne, kiedy planuje się kogoś zaciukać. Czy jestem kimś ważnym?

Czy mam koneksje? Dla kogo pracuję i dlaczego pracuję? Nalana Gęba chciał odpowiedzi na te właśnie pytania.

No, a poza tym był zbyt pewny siebie, zbyt pewnie twierdził, że nie nazywam się Rearden. Przyznaję, trochę mnie to niepokoiło.

Westchnąłem głęboko.

— Nazywam się Joseph Rearden. Z tego, co mówił Cosgrove, wiem, że przeciwaliście mnie na wylot, kiedy jeszcze kiblowałem. Skąd taka nagła zmiana, Nalana Gębo? Usiłujesz wykręcić się ze swoich zobowiązań?

— Nie nazywaj mnie Nalaną Gębą — warknął. — I na dowód, że nie jesteś

Rearden, nie potrzeba mi odcisków twoich paluchów. Dopiero co sam to udowodniłeś. Tam, w holu, mijales parę starszych ludzi. Ci ludzie to państwo Reardenowie z Brakpanu w RPA. To co, spotykasz w holu swego kochanego tatuśka i najdroższą mamuszkę i nie rozpoznajesz ich, skurwysynu?! Co więcej, oni ciebie też nie rozpoznają?! No to jak to z wami jest?!

Niewiele mogłem tu wymyślić, więc milczałem, ale żołądek prze wracał mi się do góry nogami.

Nalana Gęba wyszczerzył zęby w krwiożerczym uśmiechu.

— Powiedziałem, że wszystko się wydało i tak naprawdę jest. Wiemy o Mackintoshu i nie upieraj się, że go nie znasz. Wiemy o waszym chytrym planie, więc lepiej będzie, jak dla odmiany powiesz nam prawdę.

Tym razem przeżyłem wstrząs. I to dość paskudny. Czuję się tak, jakbym nagle chwycił w rękę drut pod napięciem. Miałem nadzieję, że twarz mnie nie zdradziła. To, że szlag trafił moją przykrywkę, mogło oznaczać wiele rzeczy, ale że wsypa sięgnęła aż Mackintosha. . . ? Sprawa zaczynała wyglądać diabelnie serio.

— Na litość Boską! — zawołałem. — A kim jest ten Mackintosh?

— Strasznie śmieszne — rzekł lodowato Nalana Gęba. Spojrzał na zegarek. —

Widzę, że będziemy musieli sięgnąć po mocniejsze środki. Niestety, teraz jestem umówiony i nie mam czasu. Daję ci jeszcze dwie godziny. Pomyśl sobie o tych

środkach. Zapewniam cię, będą okropnie nieprzyjemne.

Mimo całego przygnębienia omal nie roześmiałem mu się w twarz. Nalana

Gęba zachowywał się jak czarny charakter z kiepskie go filmu. Nigdzie nie był

umówiony, a dwie godziny dawał mi na to, bym się załamał, rozmyślając o czeka-jących mnie torturach. I wcale nie zamierzał wychodzić. Zjawi się u mnie już za godzinę, albo lepiej za trzy — zabieg obliczony na spotęgowanie mojej niepew-

ności. Nalana Gęba okazał się być amatorem, amatorem czerpiącym pomysły z

telewizji! Myślę, że miał za miękkie serduszko, by mnie torturować, że w cicho-

ści ducha żywił nadzieję, iż poddam się mniej czy bardziej dobrowolnie.

— Dobra jest — rzuciłem. — Jeśli chcesz, żebym ci wymyślił jakąś bajeczkę,

to ją wymyślę. Zajmie mi to ze dwie godziny.

— Nie chcemy bajeczek. Chcemy prawdy.

— Cholera jasna, przecież ją macie!

Wzruszył tylko ramionami i kiwnął na faceta za mną. Facet zaprowadził mnie

na górę. Państwo Reardenowie — jeśli to naprawdę byli oni — zdążyli już zniknąć z holu. Przyszło mi do głowy, że w tym punkcie Nalana Gęba może spokojnie

blefować. W sprawie Reardenów tak, ale wiedział i o Mackintoshu. . .

Zamknięty na klucz w pokoju, zabrałem się do swojej roboty. Ogoliłem się

szybko, a maszynkę wraz z resztą rzeczy schowałem do kieszeni płaszcza. Ubra-

łem się, nałożyłem tweedową sportową kurtkę, chwyciłem nabitą skarpetę i trzymając w ręku koniec zaimprovizowanego sznurka, zająłem pozycję za drzwiami.

Czekałem długo, zdawało mi się, że całe godziny, ale musiałem wytrwać na

posterunku, bowiem w rozgrywce tego typu trafić we właściwy moment to prze-

sądzić sprawę na swoją korzyść. Rozejrzałem się po sypialni i sprawdziłem, czy wszystko gra.

Grało. Drzwi do łazienki były uchylone, lecz wyglądały, jakby były zamknięte. Sznur pod ścianami pokoju nie rzucał się w oczy i trudno go było dostrzec. Pozostało mi tylko sterczeć za drzwiami i czekać.

Choć zdawało się, że minęły wieki, zjawił się już po godzinie. Moje przewidywania się sprawdziły. Za drzwiami usłyszałem pomruk głosów i zacisnąłem palce na sznurze. Z chwilą, gdy usłyszałem w zamku klucz, począłem ciągnąć, wywierając stale rosnący nacisk na zatyczkę w rezerwuarze.

W momencie, gdy drzwi się otworzyły, w sedesie głośno spłynęła woda.

Nalana Gęba wszedł do pokoju sam. Wszedł bardzo ostrożnie, ale kiedy usłyszał w łazience charakterystyczne bulgotanie, wyraźnie się rozluźnił. Zrobił krok w przód, wyciągnął rękę, domknął za sobą drzwi i usłyszałem, jak stojący na korytarzu strażnik przekręca w zamku klucz. Nalana Gęba zrobił jeszcze jeden krok naprzód. Wciąż nie oglądał się za siebie, a gdyby choć trochę obrócił głowę, dojrzał by mnie bez trudu. Ale jej nie odwrócił, po prostu na to nie wpadł. Cóż, byłem przecież w łazience. . .

A wcale że nie! Huknąłem go przez łeb skarpetą tak mocno, że wciągnął ze świstem powietrze. Huknąłem go o wiele mocniej niż listonosza przed biuram

Kiddykar. Kolana się pod nim ugięły, ale wciąż trzymał się na nogach. Obrócił

niedużo głowę i zobaczyłem jego otwarte usta, którymi z trudem łapał oddech, usta, którymi chciał wrzasnąć! Wiedziałem już, że moja skarpetka nie jest dość skuteczna — daleko jej było do przyzwoitego woreczka z piaskiem — więc łupnąłem go

jeszcze silniej, i jeszcze raz, aż wystukałem mu z czaszki przytomność.

Złapałem go, gdy padał. Nie chciałem, żeby lecąc na podłogę narobił huk, bo

112

ktoś czatujący za drzwiami mógł ten huk usłyszeć. Głuchy łomot, jaki towarzyszył uderzeniom skarpety, zdawał się odbijać w sypialni donośnym echem, tak że na chwilę zamarłem. Trzymałem faceta w ramionach i czekałem, co będzie dalej.

Nie wydarzyło się nic, więc z westchnieniem ulgi złożyłem jego cielsko na podłodze. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było odebranie mu broni. Miał przy

sobie zgrabny, płaski pistolet z dziewięcioma nabojami w magazynku i pustą komorą. Miałem rację, ten gość to w gruncie rzeczy amator. Nosić broń z pustą lufą to tak, jak nosić kawał żelastwa! Jaki jest pożytek z pistoletu, który nie może wystrzelić w ułamku sekundy?

Wcisnąłem magazynek, wprowadziłem kulę do lufy, sprawdziłem, czy skrzydełko bezpiecznika jest opuszczone i schowałem broń do kieszeni. Cały czas coś głośno bredziłem, bo nie chciałem, żeby strażnik w korytarzu słyszał głuchą ciszę.

Zdjąłem z Nalanej Gęby marynarkę, a potem szelki na broń. Związałem go jak kurczaka, wykorzystując w tym celu podarte kawałki prześcieradła. Nie zapomniałem też go zakneblować. Oddychał ustami, ciężko i głośno, i zastanawiałem się przez chwilę, czy knebel go nie zadusi. Zaczął jednak oddychać chrapliwie przez nos i już wiedziałem, że w sumie nie stuknąłem go zbyt mocno. Pomijając moralny aspekt morderstwa, potrzebowałem go żywego, miałem określony plan.

Błyskawicznie sprawdziłem kieszenie jego marynarki. Znalazłem portfel.

Otworzyłem go na mgnienie oka i ujrzałem brzegi licznych banknotów. Świetnie! Wiedziałem, że pieniądze mi się przydadzą. Dalej portfela już nie badałem.

Wraz z małym notesem schowałem go do swojej tym razem kieszeni. Trafiłem jeszcze na garść bilonu i dwa zapasowe magazynki. Skonfiskowałem i to, i to.

Całą resztę zostawiłem — z wyjątkiem scyzoryka i wiecznego pióra, bo obie te rzeczy mogły okazać się bardzo przydatne.

Potem zabrałem się do wprowadzania w życie dalszej części mojego planu.

Chwyciłem materac, rzuciłem go na podłogę koło drzwi i za pomocą zdobycznego scyzoryka rozprułem płóciennę po szycie. W środku była bawełniana watolina, całe mnóstwo cudownie palnej bawełnianej watoliny, którą zgarnąłem na kupkę, przygotowując pożogę. Obok, pod ręką, umieściłem butelkę brandy i Drambuie.

Dopiero wtedy zerknąłem na Nalaną Gębę, który właśnie odzyskiwał przy-

tomność. Ruszył się lekko, a nosem wydał ciężki, chrapliwy dźwięk — jęknął, ale knebel skutecznie ów jęk zniekształcił. Skoczyłem do łazienki, chwyciłem szklankę do mycia zębów, napełniłem ją zimną wodą, wróciłem do sypialni i zawartością szklanki chlusnąłem mu w twarz. Znów chrapnął i otworzył oczy.

Musiał chyba przeżyć niezły szok, widząc przed nosem czarny otwór lufy

swego własnego pistoletu. Zaczekałem, aż wróci mu pełna zdolność rozumienia

i spokojnie oznajmiłem: — Jeżeli myślisz, że w lufie nie ma naboju, to się grubo mylisz. Wystarczy, że naciśnę lekko spust i rozwalę ci łeb.

Drgnął, wygiął kark, usiłując cofnąć głowę, a zza knebla doszły mnie jakieś stłumione odgłosy.

113

— Spokojnie — radziłem — tylko spokojnie, a nic ci się nie stanie.

Widziałem, jak napina mięśnie ramion, żeby zbadać siłę sznura krępującego

nadgarstki, które związałem mu na plecach. Kiedy przestał się mocować, oświadczyłem:

— Zabieram się stąd, a ty mi w tym pomożesz. Możesz to zrobić dobrowolnie

albo pod przymusem, wybieraj. Muszę cię tylko ostrzec, że jeden błędny ruch

z twojej strony może kosztować cię życie. Będiesz moją tarczą i jeśli zacnie się strzelanina, najprawdopodobniej właśnie ty zatrzymasz sobą jakąś kulkę.

Nie czekałem, by sprawdzić jego reakcję, była w końcu bez znaczenia. Wzią-

łem płaszcz, kapelusz, ubrałem się i sprawdziłem, czy w kieszeniach jest wszystko, co trzeba. Później oblałem watolinę alkoholem. Wylałem na nią tyle wody, że pokój zaczął cuchnąć jak gorzelnia.

Wróciłem do Nalanej Gęby i rozciąłem mu pęta na kostkach.

— Wstawaj. Tylko powoli.

Podnosił się niepewnie, bo krępowały go więzy na rękach. Wreszcie stanął

i stał bezwolnie, wpatrując się we mnie. Jego oczy były puste, nic nie umiałem z nich wyczytać. Uniosłem lufę pistoletu.

— Idź — powiedziałem. — Zatrzymaj się metr przed drzwiami. Ale raczej

w nie nie kop, bo skutki będą fatalne. Dla ciebie.

Posłusznie wypełnił rozkaz. Wziąłem jego marynarkę i narzuciłem mu ją na

ramiona tak, że po bokach zwisały puste rękawy. Wyjąwszy brak rąk i knebel

w ustach, wyglądał zupełnie normalnie, a przynajmniej na tyle normalnie, by

z chwilą, gdy otworzą się drzwi, dać mi ułamek sekundy przewagi. Sztuka po-

lega na tym, żeby przeciwnika zaskoczyć, a gdy przystąpię do działania, strażnik będzie miał na co patrzeć.

Zapaliłem zapalną i upuściłem ją na kupkę watoliny. Buchnął nikły, błękit-

nawy płomyk, który się szybko rozprzestrzenił. Fakt, nie był to duży pożar,

ale w tych warunkach lepszego nie umiałem zorganizować. Nie spuszczałem zeń

oczu, dopóki nie ujrzałem dziarskich, żółtych języków ognia. Wtedy nacisnąłem dzwonek, którym Nalana Gęba sygnalizował zwykle, że chce już wyjść z sypialni.

Gdy szczęknął zamek, czailem się tuż za Nalaną Gębą. Szturchałem go od

czasu do czasu lufą pistoletu, bo nie chciałem, by zapomniał, w jakim znajdu-

je się położeniu. Drzwi otworzyły się. Grzmotnąłem go w kręgosłup pistoletem, wypchnąłem z pokoju i wrzasnąłem donośnie:

— Pożar! Pali się!

Nalana Gęba zatoczył się na korytarzu, a ja schowałem się błyskawicznie tuż

za nim. Nad jego ramieniem dostrzegłem zdumioną minę strażnika. Facet miał

zwolnione reakcje. Trzymał w łapie jakąś broń, ale gdy ujrzał w sypialni migotliwą poświatę ognia, gdy zobaczył, że w jego stronę kuśtyka Nalana Gęba, zaczął

się trząść ze strachu. Wraz z otwarciem drzwi do pokoju wpadł silny podmuch

powietrza i ogień rozbuchał się na dobre. Nie sądzę, by strażnik mnie w ogóle 114

zauważył.

Jeszcze raz pchnąłem Nalaną Gębę tak, że wpadł na strażnika, po czym oby-

dwaj znaleźli się na podłodze w kotłowaniu rąk i nóg. Wypaliła czyjaś broń, ktoś krzyknął; z całą pewnością strażnik, bo Nalana Gęba miał w ustach knebel.

Przeskoczyłem splecione ciała i z odbezpieczonym pistoletem w garści runąłem

w korytarz. Korytarz był wykładany boazerią. Po obu stronach znajdowały się jakieś drzwi, ale nie zwracałem na nie uwagi. Dotarłem na podest schodów. Jedne prowadziły w górę, drugie w dół.

Ruszyłem w górę. Tak, w górę, w tej sprawie decyzję podjąłem już minionego wieczoru. Dziwna

rzecz, ale ludzie, którzy uciekają z jakiegoś budynku, biegną zawsze na parter, dlatego na ogół zostają schwytani.

Przypuszczam, że postępują tak instynktownie, jednak tam, gdzie byłem szkolony, uczyniono wszystko, żeby instynkt ten wykorzystać.

Piętro nie wyglądało już tak elegancko i świeciło nagimi ścianami. Domyśli-

łem się, że to zaplecze dla służby. Musiałem więc wystrzegać się Taafego, o ile Taafe — w co wątpiłem — był rzeczywiście tego rodzaju służącym. Poruszałem się

szybko, usiłując nie robić hałasu. Z dołu dobiegały mnie coraz głośniejsze krzyki.

Przebywanie na korytarzu stawało się z każdą chwilą bardziej niebezpieczne, zatem wyciągnąłem przed siebie pistolet i wpadłem do najbliższego pomieszczenia.

Dzięki Bogu, na nikogo się tam nie nadziałem. Ledwo zamknąłem za sobą

drzwi, usłyszałem czyjeś ciężkie tupanie. Zasuwałem zasuwkę i podszedłem do

okna. Stwierdziłem, że znajduję się z drugiej strony domu, i że dziedziniec mam za plecami. Pierwszy raz zobaczyłem otaczający mnie krajobraz. Widok był miły: bezkresne pola, łąty leśnego zagajnika, a w oddali niebieskozielone góry. W odległości kilkuset metrów od domu szosą pędził samochód. Tam czekała wolność.

Od ponad półtora roku nie widziałem niczego prócz kamiennych ścian, a mój

wzrok biegł ledwie na kilka metrów przed siebie. Rzut oka na wiejski krajobraz sprawił, że gardło mi się ścisnęło, a serce zaczęło walić jak młotem. Że chmury stały nisko? Że nagłe uderzenie wiatru bryznęło w szybę kroplami deszczu? To

nie miało żadnego znaczenia. Tam, na zewnątrz, znajdę się znów na swobodzie

i nikt nie był w stanie mi przeszkodzić.

Wróciłem pod drzwi i chwilę nasłuchiwałem. Na dole panował drobny chaos

i sądząc po odgłosach, wywołany przeze mnie pożar wymknął się im spod kon-

troli. Odsunąłem zasuwę i ociupinkę uchyliłem drzwi.

— Pieprzyć ogień! — darł się Nalana Gęba. — Chcę mieć Reardena! Taafe,

na dół do głównego wejścia! Dillon, ty obstawisz tylne wejście, jasne? Reszta przeszukuje dom.

— Na górze go nie ma. Dopiero co tam byłem — odezwał się jakiś niski głos.

— Dobra — rzucił niecierpliwie Nalana Gęba. — Zostaje parter. Taafe był na dole i nikogo nie widział. Ruszać się! Szybko!

— O Matko Przenajświętsza! — zawołał ktoś inny. — Spójrzcie tylko! Chałupa nam się sfajczy!

115

— Niech się sfajczy! I tak nic tu po nas, jak nie złapiemy Reardena!

Wyszedłem na korytarz i szybkim krokiem oddaliłem się od głównych schodów. Skręciłem za róg i znalazłem się przed kuchennymi. Zbiegłem spiesznie na dół, chcąc znaleźć się na parterze, zanim myśliwi rozbiegną się po całym domu.

Udało się. Prawie. Wejście było otwarte na oścież, tyle że stał w nim jakiś facet.

To musiał być Dillon.

Na szczęście nie patrzył w moją stronę. Gdy schodziłem po schodach, gapił się w szeroki korytarz prowadzący do frontowych drzwi domu. Wślizgnąłem się w boczne przejście i zszedłem mu z pola widzenia. Tu odetchnąłem. Bezgłośnie.

Z Dillonem bym chyba wygrał, ale nie bez hałasu, a hałas sprowadziłby mi na głowę całą resztę.

Pierwsze drzwi, które otworzyłem, odsłoniły przede mną schowek na szczotki.

Do niczego, bo nie miał okna. Za to drugie wiodły do niezłe zaopatrzonej spiżarni z oknem o pionowo przesuwanych skrzydłach. Delikatnie zamknąłem drzwi

i spróbowałem to okno otworzyć. Najwyraźniej od lat nikt tego nie robił, bo początkowo ani drgnęło. Kiedy natężyłem wszystkie siły, jęknęło i zagrzechotało tak alarmująco, że zamarłem, by sprawdzić czy Dillon niczego nie słyszał. Nie. Poza kilkoma ciężkimi tąpnięciami na górze nie dobiegł mnie żaden dźwięk.

Jeszcze raz zaatakowałem ramę i w końcu okno ustąpiło. Ustąpiło na dwadzie-

ścia parę centymetrów, ale to wystarczyło, żebym się w nim zmieścił. Wydostałem się głową naprzód i wpadłem w kępę pokrzyw. Znajdowałem się teraz od strony

kuchennego wejścia i na szczęście utkwilem za dużą beczką na deszczówkę. Roz-

cierając swędzące dłonie, rozejrzałem się dookoła i, przyznaję, upadłem trochę na duchu. Spostrzegłem wysoki kamienny mur, który zdawał się otaczać cały dom.

W zasięgu wzroku miałem tylko jedną furtkę, ale furtka mieściła się naprzeciwko otwartych drzwi do kuchni i gdybym spróbował wyjść tamtędy, Dillon na pewno

by mnie zauważył.

Po karku spłynął mi strumyczek wody. Deszcz wyraźnie się rozpadał, co akurat było mi na rękę. Wiał silny wiatr i od strony kuchni zacinały mokre strugi.

Gdybym tylko wyrwał się na otwartą przestrzeń, miałem szansę zwać na dobre,

bo sprzyjała mi słaba widzialność. Szaruga nie była jednak na tyle szarugą, by stojący u drzwi Dillon natychmiast mnie przy furtce nie dostrzegł.

W beczce i tak nie zebrałoby się nazbyt dużo deszczówki. Była przegniła,

jedna klepka wypadła z obręczy, tak że beczka nadawała się już do wyrzucenia.

Wziąłem klepkę i w zamyśleniu zważyłem w rękach. Nikt, a już najmniej Dillon, nie spodziewał się, bym mógł wrócić do środka, zaś jedną z największych sztuk wojennego rzemiosła jest atak z niespodziewanego kierunku. Chwyciłem klepkę

w obie ręce, podsunąłem się bokiem do kuchennego wejścia i śmiało wszedłem w drzwi.

Dillon z pewnością słyszał, że ktoś idzie. Musiał też chyba zauważyć, jak

ściemnia się w przejściu światło, gdy za nim stanąłem. Mimo to dziwnie powoli 116

odwracał głowę.

— Znaleźliście go? — spytał i wybałuszył oczy, gdy spostrzegł, kto za nim stoi.

Nie miał za wiele czasu, by zareagować, bo zamierzyłem się i huknąłem go

z boku w głowę. Jego łeb okazał się twardszy od przeprzgniętego drewna. Klepka rozszczepiła się na dwie, ale swoje zadanie i tak spełniła.

Jeszcze nie zdążył upaść, a ja już gnałem do furtki, rozrzucając po drodze

resztki mego oręża. Furtka była otwarta. W ciągu kilku sekund znalazłem się za murem i pomaszerowałem błotnistą wiejską drogą. To nie stanowiło najlepszego

rozwiązania, bo tkwiłem tam jak na widelcu. Puściłem się więc biegiem na lewo, aż dopadłem bramy wychodzącej na pole, które widziałem z okna na piętrze domu. Przeskoczyłem ją i schowałem się za żywopłotem.

Rozejrzałem się, usiłując odtworzyć w pamięci szczegóły ukształtowania terenu. Gdybym przeciął pole, doszedłbym do lasu. Za lasiem była droga. Szparkim krokiem ruszyłem przed siebie. Nie obejrzałem się wstecz.

Zatrzymałem się dopiero pod osłoną drzew i zerknąłem do tyłu. Nie dostrzegłem śladów pogoni, natomiast zdawało mi się, że nad domem widzę warkocz czarnego dymu. Mogłem się jednak mylić, bo deszcz mocno zacinał.

Dotarłem na drugi kraniec zagajnika, wyszedłem przez furtkę i znalazłem się na drodze. Zanim jednak doszedłem do furtki, jeszcze raz usłyszałem delikatne *klik-klak* podkówek, towarzyszące mu pobrzękiwanie i ten miły, melodyjny gwizd. Otworzyłem bramkę i wyjrzałem na drogę. Właśnie mijał mnie odkryty

wózek ciągnięty przez osiołka, a na wózku siedział mężczyzna. Mężczyzna trzymał bat i lejce i gwizdał jak kos. Z tyłu, na skrzyni, pobrzękiwały dwie bańki, chyba na mleko.

Obserwowałem faceta i usiłowałem wydumać, w jakim też jestem kraju. Osiołek zaprzężony do wózka. . . Hiszpania!? Jak Bóg na niebie, w Hiszpanii nigdy tak nie leje! Chyba że na równinach, jak twierdzi G.B.Shaw. Patrzyłem, jak wó-

zek niknie w deszczu i stwierdziłem, że nie wiem nawet, czy obowiązuje tu ruch prawo czy lewostronny, bo osiołek kroczył dokładnie środkiem drogi.

Obróciłem się i spojrzałem w przeciwnym kierunku. W oddali ujrzałem nadjeżdżający autobus, a po przeciwnej stronie jakiegoś mężczyznę na przystanku.

Zauważyłem, że autobus jedzie lewym pasem drogi i dzięki temu nabrałem sporej pewności, że wciąż jestem w Anglii. Upewniłem się w tym jeszcze bardziej, kiedy przeciąłem jezdnię, a mężczyzna zwrócił ku mnie czerwoną, błyszczącą twarz wieśniaka i zagadał:

— Ładny dzionek nam dziś nastał.

Kiwnąłem głową. Z ronda kapelusza spłynął mi deszcz.

— Owszem.

Po czym moja pewność siebie nieco się zachwiała. Spojrzałem w górę na napis nad głową i stwierdziłem, że wymalowano go w dwóch językach: angielskim i . .

117

jeszcze jakimś! W dodatku ten drugi składał się z jakichś dziwacznych, wcale nie łacińskich liter, których nigdy przedtem nie widziałem, choć zdawały mi się skądś znajome.

Autobus nadjeżdżał bardzo wolno. Z miejsca, gdzie stałem, widziałem dach

i górne piętro domu, z którego bił w górę słup czarnego dymu. Przeniosłem wzrok na autobus i modliłem się w duchu, żeby to cholerstwo dostało wreszcie jakiegoś popędu. Czuję się okropnie bezbronny.

Odruchowo włożyłem rękę do kieszeni i wyłowiłem garść bilonu, który zwi-

nałem Nalanej Gębie. Pierwszą monetą, jaką zacząłem oglądać, okazał się pens.

Tylko że wcale nie był to pens angielski. Wytłoczono na nim kurę z kurczętami, a pod spodem — tymi samymi dziwaczными literami — dodano jedno słowo, sło-wo, którego za Boga nie umiałem odczytać. Obróciłem monetę w palcach i niemal upuściłem ją ze zdumienia.

Na drugiej stronie zobaczyłem harfę i jakiś napis. Ten napis był względnie

czytelny: *Eire 1964*.

Chryste Panie, znalazłem się w Irlandii!

Nadjechał autobus i swym cielskiem zasłonił dom. Napięcie trochę zelżało,

ale najnowsze odkrycie tak mnie pochłonęło, że zapomniałem spojrzeć na tabliczkę informującą o przystanku docelowym. Durne przeoczenia tego rodzaju mogą

się okazać ostatnimi w życiu. Siadając w fotelu, czułem się jak głupiec. Z we-wnętrznej kieszeni marynarki wyjąłem portfel Nalanej Gęby i szybko przerzuci-

łem banknoty. Były to przeważnie, pięciofuntówki Banku Anglii, ale znalazłem

i funty irlandzkie. Wyjąłem jeden irlandzki, bo nie wiedziałem, czy w Irlandii przyjmują walutę brytyjską.

Podszedł konduktor. Wyciągnąłem do niego mojego funta.

— Do końca trasy — rzuciłem jak gdyby nigdy nic.

— Się robi — odparł. — To będzie dwa szylingi i dwa pensy. Podał mi bilet

i włożył odliczoną resztę do ręki. Nie drgnąłem, póki sobie nie poszedł, a wtedy zacząłem przyglądać się temu, co trzymałem w dłoni. Poczyniłem ciekawe spostrzeżenie. Otóż połowę reszty dostałem w walucie angielskiej, zatem wyglądało na to, że cała forsa z portfela będzie się łatwo wydawać.

No i proszę, jechałem sobie „do końca trasy”, nie mając zielonego pojęcia,

gdzie ten koniec jest! Absurd, niewiarygodny absurd! Wpatrywałem się w mijany krajobraz, ale nie znajdowałem tam niczego, Co mogłoby mi zdradzić, gdzie, do cholery, jestem! Irlandia! Cóż ja wiem o Irlandii?

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast: praktycznie nic. Irlandia to stronica

z atlasu, której się nigdy nie przyglądałem, a Irlandczycy byli śmiesznym narodem lubiącym się bić. Chodziło mi po głowie coś jeszcze, coś o jakiejś rewolucji, o wojnie domowej, o zbrojnym powstaniu, lecz to wszystko zdarzyło się chyba

w dość zamierzchłych czasach. Ale tak, owszem, czytałem też coś i o bieżących kłopotach Irlandii Północnej.

Autobus zatrzymał się, by zabrać pasażerów. Wtedy minął nas wóz strażacki.

Dzwonił szaleńczo dzwonkiem i pędził na złamanie karku w przeciwną stronę.

Ludzie wykręcali szyje, by śledzić jego przejazd, a ja się uśmiechałem. W trakcie mojej ucieczki wypalił pistolet i ktoś wrzasnął, zatem w domu znajdował się człowiek z raną postrzałową. Z tego

Nalana Gęba tak łatwo się nie wytłumaczy.

Autobus toczył się przed siebie i Bóg jeden wie, dokąd jechał. Minęliśmy

119

miejscość o nazwie Cratloe, co nie brzmiało specjalnie z irlandzka, ale był tam też drogowskaz do Bunratty, a to już brzmiało, a jakże. Nie wiadomo skąd nadleciał nagle duży odrzutowiec — pasażerski, nie wojskowy — i począł nad nami zataczać szerokie kręgi. Wytracał wysokość, najwyraźniej z zamiarem lądowania. W głowie otworzyła mi się naraz jakaś szufladka i wyskoczyła z niej nazwa: *Shannon*. Tak nazywało się międzynarodowe lotnisko irlandzkie, tyle że nie miałem pojęcia, w jakiej części Irlandii znajduje się to lotnisko.

Do listy pilnych sprawunków dodałem w myślach jeszcze jedną rzecz: mapę.

Sunęliśmy dalej, tymczasem zza chmur wyszło słońce i przeświecając przez deszcz, namalowało na niebie tęczę. Wokół wyrastało coraz więcej domów — zjawiał się nawet tor wyścigowy — i nagle. . . Limerick! Magiczne słowo Limerick! Zatem byłem w Limerick! No i co z tego? Limerick kojarzył mi się tylko i wyłącznie z limerykiem o dziewczynce z Chartumu, z niczym więcej. Ale ten Limerick okazał się być dużym, ruchliwym miastem, za co dziękowałem Bogu, bo w mieście tej wielkości mogłem zniknąć bez śladu.

Wysiadłem z autobusu, zanim dojechał do centrum. Konduktor spojrzał na

mnie ze zdumieniem, choć możliwe, że tylko tak mi się wydawało. Wysiadłem,

ponieważ zobaczyłem sporą księgarnię, gdzie miałem szansę zdobyć to, czego teraz najbardziej potrzebowałem — informację. Cofnąłem się ze sto metrów i jak

gdyby nigdy nic wszedłem do środka. Wędrowałem od stoiska do stoiska, aż

wreszcie dotarłem tam, gdzie chciałem.

Czego tam nie było! Znalazłem stos przewodników, do wyboru do koloru,

i niebywałą ilość map: od składanych w arkusze po wydania książkowe. Odrzu-
ciłem przewodniki literackie i antykwaryczne i zdecydowałem się na treściwe,
zwarne kompendium. Kupiłem również składaną mapę drogową, która z powo-
dzeniem mieściła się w kieszeni, oraz papier listowy, paczkę kopert i gazetę. Za-
płaciłem za wszystko jedną z przywłaszczonych piątek. Zabrałem swój łup do
pobliskiej herbaciarni i znalazłem czajniczka słabego naparu i znalazłem kilku czerstwych bułeczek — taka to
właśnie była herbaciarnia — zacząłem mu się dokładnie przyglądać.
Dowiedziałem się z mapy, że Limerick leży przy ujściu rzeki Shannon i —
jak podejrzewałem — koło lotniska. Dom, z którego zwiąłem, znajdował się na
północ od Limerick, gdzieś między Sixmilebridge a Cratloe. Dla Nalanej Gęby
i jego ludzi usytuowanie kryjówki było niezwykle zręczne, bo dom leżał zaledwie o piętnaście minut
jazdy samochodem od lotniska.

Nalałem sobie kolejną filiżankę letniej herbaty i rozłożyłem gazetę, by stwierdzić, że Slade i Rearden
nadal zajmują sporo miejsca w prasie. Ba! Pisali o nas na pierwszej stronie! Fakt, mogło to być
spowodowane przyjazdem inspektora

Brunskilla do Dublina, co na nowo rozbudziło zainteresowanie lokalnej prasy.

W gazecie zamieszczono fotografię, na której widać było, jak Brunskill wysiada z samochodu. Kiedy
spytano go, czego spodziewa się po wizycie w Irlandii —

120

uciał krótko:

Zadnych komentarzy. Inspektor Forbes wrócił właśnie z Brukseli do

Londynu, skąd donosił:

Zadnych postępów w sprawie.

Oczywiście, prasa o wiele więcej uwagi poświęcała Slade'owi niż mnie, bo

szpieg jest znacznie atrakcyjniejszy od jakiegoś tam złodzieja biżuterii. A jednak z tego, jak
rozpisywali się o Forbesie i Brunskillu, mogłem wnosić, że i o mnie nie zapomniano. Wybrano ich
dwóch, bowiem oni umieli mnie zidentyfikować.

Wyglądało jednak na to, że Forbesa i Brunskilla czeka długa droga, bowiem Re-

ardena widziano i na Isle of Man, i na Jersey, i na Cote d'Azur, i w Ostendzie, i w Manchesterze, i w Wolverhampton, i na Regent Street, i w Bergen, i w Middle Wallop. Zastanawiałem się, czy sierżant Jervis ma też tyle roboty.

Herbaciarnia ziała pustką, zatem wyciągnąłem portfel i otworzyłem go. Najpierw przeliczyłem pieniądze. To ważne, bo bez pieniędzy daleko bym nie ujechał. Doliczyłem się siedemdziesięciu ośmiu funtów — głównie w brytyjskich pięciofuntówkach — co bardzo mnie ucieszyło. Znalazłem tam również angielskie prawo jazdy, z czego ucieszyłem się jeszcze bardziej. Chciałem poruszać się po kraju w miarę swobodnie, a to oznaczało konieczność wynajęcia samochodu, czego bez prawa jazdy uczynić bym nie mógł. Prawo jazdy zostało wystawione na nazwisko Richarda Allena Jonesa, co brzmiało z gruntu podpadająco, choć samo nazwisko mogło być najprawdziwsze w świecie. W końcu jacyś Jonesowie gdzieś istnieją, choćby tylko po to, byśmy my, ci pozostali, mieli do kogo równać w górę. W portfelu odkryłem też list, którego zupełnie nie rozumiałem, ponieważ napisano go w jakimś obcym języku. Smakowałem słowa i zdawało mi się, że brzmią nieco ze słowiańska, ale mogłem się mylić, gdyż specjalizowałem się przecież w językach Wschodu. Dumałem jakiś czas nad tym listem, w końcu starannie odłożyłem go na miejsce, nie czując się ani odrobinę mądrzejszy.

Cienki notesik okazał się bardziej interesujący, albowiem zawierał adresy. Były tam adresy różnych miejsc w Irlandii, w Anglii, były też adresy francuskie, włoskie i hiszpańskie. Aż podskoczyłem, ujrawszy w notesiku adres *Anglo-Scottish Holding Ltd*, w Londynie. Tak, przykrywka Mackintosha została rozpirzona w pył.

Trafiłem na dwa adresy irlandzkie: jeden w Republice, w miejscowości o nazwie Clonglass, w Connemarze, drugi zaś w Belfaście, Po drugiej stronie granicy.

Oba miejsca diabelnie odległe od Limerick. Nić, której chciałem się uczepić, była okrutnie cienka, ale jedyna jaką miałem. Musiała wystarczyć.

Zapłaciłem za herbatę i poprosiłem o garść drobnych. Dostałem. Potem zacząłem rozglądać się za budką telefoniczną. Długo żadnej nie mogłem znaleźć, aż wreszcie

zorientowałem się, że w Irlandii malują je na zielono. Nie zadzwoniłem z pierwszej, na którą natrafiłem, nie. Zanotowałem jej numer i ruszyłem na poszukiwanie następnej. Dopiero z tej zatelefonowałem do *Anglo-Scottish Holdings Ltd* w Londynie. Minęło ledwie parę minut, a usłyszałem panią Smith.

— *Anglo-Scottish Holdings*. Słucham?

121

Jej głos brzmiał ciepło i przyjaźnie. Zresztą mogło mi się tylko tak wydawać, gdyż pomijając dziewczynę z meblowozu, która nafaszerowałała mnie narko-tykiem, od ponad półtora roku nie rozmawiałem z kobietą.

— Wasz telefon może być na podsłuchu i myślę, że jest. Niech pani znaj-

dzie bezpieczny aparat i jak najszybciej zadzwoni pod ten numer. — Podałem jej numer pierwszej budki i odwiesiłem słuchawkę, nim usłyszałem odpowiedź.

Superostrożność? Być może, ale wciąż jeszcze chodząc po tej ziemi, stanowią

namacalny dowód, że to najskuteczniejsza z metod. Poza tym, jeżeli to pani Smith do mnie zadzwoni, nie będę musiał wpychać do automatu coraz to nowych monet,

a zanosilo się na dłuższą rozmowę.

Dowlokłem się do tej pierwszej budki, by stwierdzić, że jest zajęta. Wykrzy-

wiałem się więc do stojącej w środku kobiety tak długo, aż sobie poszła i zająłem jej miejsce. Czekaając na dzwonek, udawałem, że sprawdzam coś w książce telefonicznej.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, dziewczyna, to jest pani Smith, by-

ła szybka. Telefon odezwał się w ciągu dziesięciu minut. Podniosłem słuchawkę.

— Stannard.

— Co pan robi w Limerick? — Jej głos nie brzmiał już tak ciepło jak przedtem.

— A jak się pani, do diabła, wydaje? — odparłem opryskliwie. — Chcę mówić z Mackintoshem.

— Mackintosh jest nieosiągalny.

— To niech się pani postara, żeby był osiągalny — warknąłem.

Na chwilę zamilkła.

— Jest w szpitalu — odrzekła. — Miał wypadek.

— O! Poważny?

— Lekarze nie dają mu szans — powiedziała głucho.

Czułem, jak gdzieś w żołądku rozwiera mi się przepastna jama.

— Chryste! To fatalnie. Kiedy to się stało?

— Przedwczoraj. Ktoś go potrącił i uciekł.

Kawałki śmiertelnej układanki zaczęły pasować do siebie. Właśnie mniej więcej wtedy Nalana Gęba nabrał raptem pewności, że nie nazywam się Rearden. No i w notesie miał adres Mackintosha.

— To nie był wypadek — oświadczyłem. — Rozszyfrowano go.

— Wykluczone! — Aż się zachnęła.

— Dlaczego wykluczone?

— Tylko nas troje znało prawdę.

— Nie — zaprzeczyłem. — Dopiero co dałem w łeb takiemu jednemu z ichniejszego gangu i w jego notesie znalazłem wasz adres. Dlatego pomyślałem sobie, że możecie mieć w biurze podsłuch. — Wzięłem głęboki oddech. — Niech pani dobrze na siebie uważa, pani Smith.

122

Pomijając już czysto ludzką troskliwość, miałem wszelkie powody, żeby to powiedzieć. Gdyby Mackintosh umarł, a Bractwo Wykałaczek zlikwidowało również panią Smith, znalazłbym się w nie lada kłopotcie. Najlepsze, co mnie wtedy mogło czekać, to powrót do więzienia i odsiadka reszty wyroku.

Ale nie, to mało. Przyłożyliby mi jeszcze za napaść na więziennego funkcjonariusza. Przecież kopnąłem w twarz Głównego Klawisza i to przeze mnie zламаł

sobie nogę. Dołożyliby mi za to kolejne pięć lat.

Bez Mackintosha i pani Smith nie miałbym szans, żeby cokolwiek komukolwiek udowodnić. Hermetyczny system zabezpieczenia operacyjnego stworzony przez Mackintosha rozsypywał się na moich oczach w proch.

Rozmyślając, nieświadomie opuściłem słuchawkę i dobiegały z niej teraz skrzeczące dźwięki. Podniosłem ją na powrót do ucha i spytałem:

— Co takiego?

— Skąd mogliby zdobyć nasz adres?

— To już bez znaczenia — uciałem. — Operacja spaliła na panewce. Jedyne, co nam pozostało, to ograniczyć straty do minimum.

— Co się stało ze Sladem? — spytała ostro.

— Zniknął — odparłem ze znużeniem. — Pan Bóg raczy wiedzieć, gdzie on jest. Najpewniej siedzi w ładowni jakiegoś ruskiego frachtowca płynącego do Leningradu. Wielka wsypa, pani Smith.

— Chwileczkę — rzekła. Chwileczka trwała całe pięć minut. Zreflektowałem

się, że przed budką stoi jakiś gość i nie spuszczając ze mnie wzroku, niecierpliwie tupie nogą. Obrzuciłem go lodowatym spojrzeniem i pokazałem mu plecy.

Wreszcie pani Smith się odezwała.

— W ciągu trzech godzin mogę być na lotnisku Shannon. Czy pan czegoś potrzebuje?

— A jakże! Potrzebne mi są pieniądze, góra pieniędzy. I nowe papiery.

— Nie widzę powodu, żeby nie mógł pan wrócić do swoich prawdziwych personaliów — stwierdziła. — Mam tu pana walizkę z ubraniami i paszportem.

Przywiozę ją z sobą.

— Niech się pani trzyma z dala od biura *Anglo-Scottish*. I radzę się rozglądać, czy nie śledzą pani jacyś faceci. Czy umie pani zgubić ogon?

— Nie mam dwóch lat — odparła zimno. — Za trzy godziny niech pan po mnie wyjedzie na lotnisko.

— Co to, to nie. Lotnisko nie jest miejscem dla zbiegów. Na lotnisku aż się kłębi od ludzi z mojej branży. Niech pani nie zapomina, że ściga mnie policja, i że dopiero co wylądował tu Brunskill. — Odwróciłem się i spojrzałem na ro-snącą kolejkę. — Niech pani weźmie taksówkę do hotelu St George. Tam panią spotkam, przed wejściem. Może nawet będę miał samochód.

— Dobrze. Ja zorganizuję pieniądze. Ile panu trzeba?

123

— Tyle, ile może pani bez kłopotów przewieźć. Czy naprawdę załatwi to pani w trzy godziny?

— Tak, jeśli nie będzie mnie pan trzymał przy telefonie — odparła lodowato i wyłączyła się.

Odwiesiłem słuchawkę i pchnąłem drzwi.

— No i dokąd pan tak wydzwaniał? Do Australii? — zapytał sarkastycznie mężczyzna stojący w kolejce jako pierwszy.

— Nie — zapewniłem go łagodnie. — Do Pekinu.

Przepchnąłem się obok niego i pomaszerowałem przed siebie.

II

Brytyjskie prawo jazdy wystarczyło i załatwienie samochodu okazało się sprawą prostą. Wynajęte wozy nie słyną na ogół z prędkości, ale udało mi się zdobyć cortinę 1500, która z równą łatwością mogła mnie z tarapatów wyciągnąć, jak i w tarapaty wpakować.

Pod hotel St George podjechałem wcześniej i zaparkowałem po drugiej stronie ulicy, jakieś sto jardów dalej. Zajeżdżały liczne taksówki, lecz z żadnej z nich nie wysiadła pani Smith. Wreszcie się zjawiła, spóźniona tylko kwadrans. Po odjeździe taksówki stanęła na chodniku. Obok siebie postawiła dwie walizki. Hotelowy portier rzucił się jej w sukurs. Zobaczyłem, jak pani Smith potrząsa głową i za-wiedziony portier wrócił na posterunek. Zaczęła rozglądać się niepewnie dookoła.

Dałem jej tak trochę postać, bo mocno mnie ciekawiło, czy nikt nie wykaże nie-zdrowego zainteresowania jej osobą.

Po kilku minutach doszedłem do wniosku, że jeśli ja jej stamtąd nie zabiorę, zrobi to za mnie jakiś inny facet, bo w obcisłych spodniach, rozpiętej pod szyją koszuli i w krótkiej marynarce wyglądała cholernie kusząco. Włączyłem się więc w strumień pojazdów i za wróciłem, żeby podjechać pod hotel.

Opuściłem szybę od jej strony i zapytałem:

— Podrzucić panią?

Nachyliła się i zajrzała w głąb samochodu. Z jej zielonych oczu tryskały błyskawice.

— Gdzie się pan podziewał? — spytała krótko. — Tkwie tutaj jak kretyńka.

Musiałam spławić już trzech facetów.

— Tacy są Irlandczycy — odrzekłem. — Nie potrafią spokojnie przejść obok ładnej dziewczyny. Niech pani wsiada. Walizki schowam do bagażnika.

Trzy minuty później toczyliśmy się po drodze z Limerick do Cratloe.

— Szybko się pani uwinęła. Musiała się pani wstrzelić w dobry samolot.

Patrzyła przed siebie.

— Nigdzie się nie wstrzełam. Przyleciałam tu własnym samolotem.

124

— Coś takiego! Nieustraszona lwica przestworzy! To się może nam jeszcze przydać. Co prawda nie wiem po co, ale może.

— Nie spodobała mi się jedna rzecz, o której wspomniał pan przez telefon.

— Co takiego?

— Mówił pan o ograniczeniu strat do minimum. To mi się właśnie nie podoba.

— Mnie też niespecjalnie — przyznałem. — Ale mam ledwie kilka istotniejszych śladów i żadnych większych nadziei.

— Dlaczego pozwolił pan uciec Slade'owi?

— Nie pozwoliłem. Zabrali go i już.

— Jednak mógł pan chyba coś zrobić. . . Zerknąłem na nią z ukosa.

— Czy sprawiłoby to pani radość, gdyby miała mu pani poderżnąć gardło?

W dodatku kiedy spał?

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Co? Ja przecież. . . — I zamilkła.

— Łatwo jest krytykować, kiedy się stoi z boku — powiedziałem. — Ci ludzie

to prawdziwi fachowcy, to więksi eksperci, niż się nam w ogóle śniło. Slade są-

dził, że to mogą być Rosjanie. W każdym razie ktoś subsydiowany przez Rosjan, prawdopodobnie przez nich szkolony. Jedno wiem na pewno: to nie jest banda

zwykłych kryminalistów.

— Dobrze by było, gdyby mi pan o tym opowiedział, ale najpierw chciałabym wiedzieć, dokąd my właściwie jedziemy.

— Chcę rzucić okiem na dom, gdzie nas trzymali. Może trafimy na jakiś ślad?

Choć wątpię. Kiedy ostatni raz słyszałem ich szefa, nawoływał do opuszczenia okrętu. No cóż, tak to jakoś wyszło. . .

Jedno, co da się powiedzieć o irlandzkich drogach to to, że nie ma na nich ruchu, zatem jechaliśmy w dobrym tempie. Nawet w bardzo dobrym. Byłem raptem

w połowie mojej smętnej opowieści, kiedy dojrzałem pierwszy wóz strażacki.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiłem i zjechałem na pobocze, zatrzymując się daleko od miejsca akcji.

Z domu zostały zgliszcza. Pani Smith spojrzała na dymiący szkielet budynku i rzekła:

— Nie wiem, czy to szef opuścił okręt, czy raczej okręt opuścił szefa. Po co go właściwie spalił?

— To nie on — zaprotestowałem skromnie. — To ja. — Wystawiłem głowę przez okno i zatrzymałem rowerzystę nadjeżdżającego z przeciwnej strony. — Co tam się stało?

Cyklista, sękaty staruszek, zatańczył na rowerze w poprzek jezdni i nagłym przechyłem w bok osadził swój wehikuł w miejscu.

— A ciutkę się paliło, ot co — odparł i obdarzył mnie szczerbatym uśmiechem. — Powstanie mi się przypomina, jak słowo.

— Są ranni?

125

— O jednym można chyba tak powiedzieć. Znaleźli bidaka w samym środku ogniska. Zesmażony, panie, na skwarce.

— Okropieństwo — skomentowałem.

Staruszek nachylił się do przodu i przyjrzał mi się uważniej.

— A może to pana znajomy, co?

— Skąd! — obruszyłem się. — Akurat tędy jechałem i zobaczyłem wozy

strażackie.

— Ciekawość, to normalne — zgodził się ze mną. — Ale tam działo się coś

dziwnego, jak słowo. W domu byli jeszcze inni ludzie i wszyscy puciekali. *Garda* zastanawiają się teraz dlaczego.

— *Garda*?

— Naturalni wrogowie porządnych ludzi — wyjaśnił starzec. — Niebiescy.

— Wskazał ręką za siebie. — W Anglii nazywacie ich policją.

W odległości stu metrów od nas stał policyjny samochód — nie sposób ich pomylić z innymi — do którego zbliżał się jakiś mundurowy.

Spojrzałem na panią Smith.

— Chyba powinniśmy już jechać, kochanie. Wieczorem mamy być w Roscommon.

— W Roscommon? — zaciekawił się cyklista. — Ale to nie ta droga!

— Zajedziemy jeszcze do znajomych w Ennis — wyjaśniłem; staruszek był bystry jak górski potok.

— A skoro tak, to jedźcie prosto. — Zdjął rękę z boku samochodu. — Szczęść wam Boże w Irlandii. Wam i waszej pięknej pani.

Uśmiechnąłem się do niego i wcisnąłem sprzęgło. Wolno minęliśmy wóz policyjny. Rzuciłem okiem w lusterko i sprawdziłem, czy nie zamierzają przypadkiem jechać za nami.

— Jeśli zrobią dokładną sekcję tych spalonych zwłok — powiedziałem — mają szansę znaleźć w nich kulę.

— To pan go zabił? — Jej głos zabrzmiał tak chłodno, tak obojętnie, jakby pytała mnie, czy dobrze w nocy spałem.

— Nie. To był wypadek. Powiedzmy. Sam się zastrzelił w szamotaninie. —

Znów zerknąłem w lusterko. — Wie pani, on miał rację.

— Kto?

— Staruszek. Pani jest naprawdę piękna. — Nie dałem jej czasu na dumanie i od razu spytałem: — Jak się czuje Mackintosh?

— Tuż przed odlotem z Londynu dzwoniłam do szpitala — odrzekła. — Bez zmian. — Obróciła się do mnie. — Pan nie uważa tego za wypadek?

— Jak to się stało?

— Przedwczoraj wieczorem przechodził przez ulicę w City. Jakiś mężczyzna znalazł go przy krawężniku. Ktoś go potrącił i nie zatrzymał się.

126

— Mniej więcej w tym samym czasie człowiek nazwiskiem Jones dowiedział się, że nie jestem tym, za kogo się podaję — stwierdziłem.

— Nie, to nie był wypadek.

— Ale skąd oni mogli się dowiedzieć?

— Ja ich nie informowałem, więc musiała to zrobić albo pani, albo Mackintosh.

— Ja nie — zastrzegła się szybko. — Dlaczego miałby to robić Mackintosh?

Wzruszyłem ramionami.

Nie odzywała się chwilę, a później wolno powiedziała:

— Zawsze świetnie umiał oceniać ludzi, ale. . .

— Ale co?

— Ale na numerycznym koncie w Szwajcarii było czterdzieści tysięcy funtów, a pan ten numer zna.

Popatrzyłem na nią. Siedziała sztywno i wbijała wzrok w szybę. Na jej policzku wykwitł rumieniec.

— No tak, tego nam właśnie trzeba — stwierdziłem. — Więc pani myśli, że sprzedałem się tym Wykałaczkom, zgadza się?

— Czy przychodzi panu do głowy jakieś inne wytłumaczenie?

— Nie bardzo — przyznałem. — Ale skoro o pieniądzach mowa. Ile pani przywiozła?

— Pan jest aż nadto opanowany. — W jej głosie usłyszałem rozdrażnienie.

Westchnąłem i zjechałem na pobocze. Zatrzymałem wóz. Wsunąłem rękę pod marynarkę i wyciągnąłem pistolet odebrany Jonesowi. Ułożyłem spluwę na dłoni i, kolbą w jej stronę, podałem pani Smith.

— Jeżeli jest pani aż tak przekonana, że to ja sypnąłem, możemy to szybko załatwić. Proszę to wziąć i nacisnąć spust. Będzie po mnie.

Widząc pistolet, najpierw pobladła, później zaczerwieniła się i spuściła oczy, by uniknąć mego wzroku.

— Przepraszam — odezwała się cicho. — Nie powinnam była tego mówić.

— I bardzo dobrze, że pani powiedziała — skonstatowałem. — Inaczej nadal

by pani tak myślała. Jest nas tylko dwoje i jeśli nie będziemy sobie wzajemnie ufać, nie zajedziemy daleko. A teraz do rzeczy. Czy jest pani absolutnie pewna, że niczym, nawet najmniejszą aluzją, nie zdradziła pani nikomu naszej tajemnicy?

— Absolutnie pewna.

Odłożyłem broń.

— I ja tego nie zrobiłem. Zostaje Mackintosh.

— Nie wierzę — oświadczyła.

— Z kim widział się tuż przed. . . nazwijmy to wypadkiem?

Zastanowiła się.

— Z premierem i przywódcą opozycji. Obydwaj niepokoiłi się brakiem wia-

domości na temat Slade'a. Zbliżają się wybory i premier uznał, że szef opozycji 127

powinien być poinformowany o postępach w sprawie.

— Albo o ich braku — dopowiedziałem. — Myślę, że tak właśnie mógł zrobić, tak, to nie jest sprawa partii. . . Widział się jeszcze z kimś?

— Tak, z lordem Taggartem i Charlesem Wheelerem. Wheeler jest członkiem Parlamentu.

— O Taggarcie słyszałem. Swego czasu szefował Slade'owi. — Wheeler. . .

Skąd ja znam to nazwisko? — O czym rozmawiał z Wheelerem?

— Nie wiem — odparła.

— Gdyby Mackintosh miał zamiar informować kogoś o naszej operacji, czy prawdopodobne jest, że pani by o tym nie wiedziała?

— Nigdy niczego przede mną nie ukrywał. . . — Urwała i dodała po chwili:

— Ale miał ten wypadek, zanim mógł się ze mną skontaktować.

Przeżuwałem to tam i z powrotem. Bez skutku. Westchnąłem.

— Niech mnie diabli, jeśli będę ci mówił „pani Smith”, czy „Lucy”. Jak ci naprawdę na imię?

— No dobrze — odparła z rezygnacją. — Możesz mi mówić Alison.

— No to co teraz robimy, Alison?

— Sprawdzimy te irlandzkie adresy, które znalazłeś w notesie Jonesa — rzekła zdecydowanie. — Zaczniemy od Clonglass. Potem, zajdzie potrzeba, pojedziemy do Belfastu.

— Co może okazać się zadaniem dość trudnym. Wzmianka o Clonglass to nie adres, to notatka nagryzmołona „ku pamięci”. *Wysłać Taafego do Domu w Clonglass.*

— Mimo wszystko spróbujemy — oznajmiła. — To niedaleko.

Zarezerwowaliśmy nocleg w hotelu w Galway, ale natychmiast popruliśmy do Clonglass usytuowanego nad brzegiem morza, jakieś czterdzieści kilometrów dalej na zachód. Woleliśmy się ubezpieczyć, bo sądząc po mapie, nie wydawało się nam, że zdołamy tam znaleźć jakiś hotel, zwłaszcza nocą.

Okazało się, że Clonglas to po prostu nieco szersza droga wychodząca na małą odnogę głównej zatoki. To tu, to tam stały domki przykryte solidnie wiązaną strzechą — na wypadek zachodnich wichrów — a przed każdym domkiem piętrzyła się sterta torfu ułożona w zasięgu ręki, pod drzwiami. Clonglass nie wyglądało zbyt obiecująco. Zatrzymałem samochód.

— I co dalej? Nie mam pojęcia, od czego zacząć w takiej dziurze.

Uśmiechnęła się.

— Ja wiem — powiedziała i wysiadła z auta.

128

Drogą dreptała staruszka od stóp do głowy spowita w czerń. Jej twarz przypominała jabłko ścięte mrozem. Alison pozdrowiła ją i niech mnie szlag! zaczęła dziamgotać w jakimś dziwnym dialekcie!

Jak zwykle, kiedy człowiek przysłuchuje się rozmowie w obcym języku, wydaje mu się, że konwersujący poruszają wszystkie możliwe tematy, od aktualnych cen ziemniaków począwszy, po bieżące działania wojenne w Wietnamie. Rozmawiały i rozmawiały, myślałem, że nigdy nie skończą, gdy wtem Alison cofnęła się o krok, a staruszka podjęła swój mozolny spacer przed siebie.

— Nie wiedziałem, że mówisz po irlandzku.

— Tak, znam gaelicki — odparła krótko. — Chodźmy.

Zrównałem z nią krok.

— Dokąd?

— Do jaskini plotek, do miejscowego sklepu — wyjaśniła.

W sklepie poczułem się od razu jak u siebie w domu. Widywałem wiele ta-

kich miejsc w bocznych uliczkach australijskich miast i w co bardziej odległych częściach afrykańskiego stepu. Był to sklep z rodzaju tych, jakie w dzieciństwie nazywaliśmy „szare mydło i powidło”, a w którym okoliczni mieszkańcy mogli

kupić wszystkiego po trochu. Ten sklep miał dodatkową atrakcję: bar.

Alison znów przerzuciła się na irlandzki, a obce słowa i dźwięki przepływały

mi gdzieś obok uszu, nie docierając do wnętrza. Nagle odwróciła się do mnie

i spytała:

— Pijasz whiskey?

— Pijam, owszem.

Zauroczony, obserwowałem, jak barman bierze szklanę, po czym usiłuje

w niej zmieścić zawartość całej, jak mi się zdawało, butelki. W Irlandii szklaneczka whiskey równa się dziesiątej części butelki, a Irlandczycy pija w sposób doprawdy godny podziwu.

— Jedna porcja jest dla niego — wyjaśniła Alison. — Nazywa się Sean

O'Donovan. Porozmawiajcie sobie, a ja dołączę do pań po drugiej stronie skle-

pu. Nad szklaneczką trunku mężczyznom gada się lepiej.

— Porozmawiajcie sobie! — zawołałem. — W jedną stronę pójdzie łatwo, ale

co mam zrobić, kiedy on coś odpowie?!

— Och, Sean O'Donovan mówi po angielsku — odparła i odpłynęła.

— Tak — powiedział cicho O'Donovan — znam angielski. W czasie wojny

służyłem w armii brytyjskiej. — Postawił szklanki na ladzie. — Jesteście tu na wakacjach?

— Tak — odrzekłem. — Rozglądamy się po okolicy. Takie wakacje za kół-

kiem. Piękny jest ten wasz kraj, panie O'Donovan.

Uniósł w uśmiechu kąciki ust.

— Wy, Anglicy, zawsze wykazywaliście do niego upodobanie — zauważył

sarkastycznie. — Uniósł szklaneczkę i wymamrotał po irlandzku coś, czego nie

129

rozumiałem, ale gest był tak oczywisty, że odwzajemniłem się toastem angielskim.

Gadaliśmy chwilę o rzeczach, o których gada się w barze z barmanem, aż wreszcie przeszedłem do sedna sprawy.

— Jeżdżę sobie po Irlandii i cały czas natykam się na ślady swego znajomego

— zacząłem jak gdyby nigdy nic. — Ale nie mogę go dopaść. Ciekawi mnie,

czy tu go nie było. Nazywa się Jones. — Zabrzmiało to głupio, ale powiedziałem swoje i już.

— Czy on może jest z Walii? — zapytał O'Donovan.

Uśmiechnąłem się.

— Wątpię. To Anglik.

O'Donovan potrząsnął głową.

— Nie słyszałem o takim. Może jest w Dużym Domu, ale oni tam trzymają

się razem. — Jeszcze jeden przeczący ruch głową. — Zaopatrują się w Dublinie

i nawet nie mrugną w stronę miejscowego kupca. Ale mój ojciec, na przykład,

który prowadził interes przede mną, był ich dostawcą przez całe życie.

To zabrzmiało obiecująco.

— Tacy nadęci, co? — zapytałem współczująco.

Wzruszył ramionami.

— On sam nie bywa tu często. Zagląda raz, dwa razy na rok. Przyjeżdża

z Tamtej Wyspy, rozumiesz pan.

Minęło dobre dwadzieścia sekund, zanim zorientowałem się, że O'Donovan

mówi o Anglii.

— To właściciel jest Anglikiem?

O'Donovan spojrzał na mnie spod oka.

— Zdaje się, że to kolejny Anglik, któremu spodobała się Irlandia.

Patrzyłem na jego grubo ciosaną twarz i zastanawiałem się, czy O'Donovan

nie jest przypadkiem członkiem IRA. Miałem wrażenie, że choć rozmawiał ze

mną całkiem sympatycznie, Anglików lubi tylko wtedy, kiedy trzymają się swojej Anglii. Podniósł rękę.

— Powiedziałem „zdaje się” i dokładnie to miałem na myśli. Tak, bo nie dalej jak wczoraj czytałem w gazetach, że on wcale nie jest Anglikiem.

— To aż w gazetach o nim piszą?

— A dlaczego by nie? Przemawia w Parlamencie na Tamtej Wyspie, to i piszą.

Nie sądzi pan, że to dziwne? To, że on nie jest Anglikiem.

— Rzeczywiście dziwne — przyznałem. Moją znajomość z członkami Bry-

tyjskiego Parlamentu można by w najlepszym razie uznać za mocno ograniczoną

i nie wiedziałem, jak i kto może zostać posłem. — A skąd on jest, jeśli to nie Anglik?

— No właśnie, tego nie pamiętam. Z jakiegoś małego kraju w Europie. . . Ale

130

jaki to dziany facet! Cała forsa, na której nie zdążyła położyć łapy rodzina

Kennedych, jest jego! Przypływa tu tym swoim ogromnym jachtem. Cumuje aku-

rat w zatoce. Ta łódź jest tak duża, jak angielski jacht królewski, a może jeszcze większa, tak. Nigdy w życiu nie oglądałem takiej bajeranckiej krypy.

A więc członek Parlamentu! W dodatku cudzoziemskiego pochodzenia! Nie

było to aż tak obiecujące, jak uprzednio myślałem, ale fakt, jako ciekawostka miało swoją wartość.

O'Donovan pokręcił głową.

— Całkiem możliwe, że pan Wheeler jest nawet bogatszy od Kennedych.

Wheeler!

Wszystkie nerwy w moim mózgu stanęły na baczność. To właśnie z nim spotkał się Mackintosh w przededniu swojego wypadku! Wolno postawiłem szklankę.

— Myślę, że wypijemy jeszcze po jednym, panie O'Donovan.

— A to i owszem, zacna propozycja. Zaczynam podejrzewać, że pan to jest z gazet.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale on szybko do mnie mrugnął.

— Cicho sza, niech się pan nie obawia, nie wydam pana. Mieliśmy tu już takich różnych z gazet, z Londynu, taaa. . . Nawet jednego Amerykanina tu mieliśmy. Wszyscy chcieli się wywiedzieć o panu Wheelerze i coś o nim napisać, taaa.

Ale żaden nie miał pańskiego pomysłu, żeby ściągnąć tu irlandzką dziewczynę, co by gadała po gaelicku.

— Pomyślałem sobie, że to mi może ułatwić zadanie — odparłem wymijająco.

Nachylił się nad ladą i spojrzał w głąb sklepu, gdzie Alison rozmawiała z ożywieniem z grupką owiniętych czarnymi szalami kobiet.

— Ale ona nie jest chyba z zachodu — stwierdził. — Może z Waterford. . .

— Tak, mówiła mi, że kiedyś tam mieszkała — potwierdziłem ostrożnie. —

Ale teraz mieszka w Dublinie.

Usatysfakcjonowany, pokiwał głową. Był wyraźnie zadowolony z tego, że miał rację. Wziął szklanki i raptem znieruchomiał, wpatrzony w jakiś punkt ponad moim ramieniem.

— Niech pan spojrzy, to Seamas Lynch z Dużego Domu. Nie powiem mu, kim pan jest.

Obróciłem się i zobaczyłem, że w naszą stronę zmierza jakiś mężczyzna. Był to duży Irlandczyk, ciemny niczym Hiszpan, szczupły i muskularny.

O'Donovan postawił nasze szklanki na ladzie.

— A ty czego się napijesz, Seamas?

— Połoweczkę — rzekł Lynch.

O'Donovan wziął szklanekę i odwrócił się, żeby ją napelnić.

— Seamas, kiedy Jaśnie Pan odpływa tą swoją wielką łódką? -rzucił przez ramię.

Lynch wzruszył ramionami.

131

— Kiedy mu przyjdzie ochota, Sean O'Donovan.

O'Donovan postawił szklaneczkę przed Lynchem. Zauważyłem, że irlandzka „połoweczka” jest mniej więcej wielkości angielskiej podwójnej.

— Aaa, miło być bogatym — rzucił barman. — I mieć tyle czasu, ile dusza zapragnie.

— Może Izba Gmin ma akurat przerwę w posiedzeniach — zauważyłem.

— No to powinien się teraz spotykać ze swoimi wyborcami, a tu ich nie ma

— powiedział O'Donovan i zwrócił się do Lyncha. — Ten dżentelmen jest na wakacjach i zwiedza naszą piękną Irlandię.

Lynch spojrzał na mnie.

— Więc uważa pan, że Irlandia to piękny kraj, co?

Nie tyle co, ile jak to powiedział spowodowało, że zacząłem mieć się na baczności. W jego głosie usłyszałem prawie nie skrywaną pogardę.

— Tak — odrzekłem. — Myślę, że to bardzo piękny kraj.

— A dokąd się pan teraz wybiera? — zapytał O'Donovan.

Ogarnęło mnie natchnienie i opowiedziałem im prawdziwą historię.

— O ile wiem, mój dziadek ze strony matki wiele lat temu pełnił funkcję

kapitana portu w Sligo. Właśnie się tam wybieram. Chcę sprawdzić, czy uda mi

się odszukać rodzinę.

— Ha! — rzucił Lynch. — Wszyscy Anglicy, których spotkałem, twierdzili, że

mają irlandzkich przodków. — Teraz-już nie ukrywał swojej pogardy. — I jeszcze mówią, że są z tego dumni! Z tego, co gadają, można by sądzić, że Brytyjski

Parlament powinien mieć siedzibę w Dublinie!

Omal mnie nie poniosło, ale udało mi się nie podnieść głosu.

— Może to i prawda. Może wszystko bierze się stąd, że wasze dziewczyny nie

mogą na miejscu znaleźć dobrych mężów i muszą ich szukać po drugiej stronie

Morza Irlandzkiego — powiedziałem chłodno.

Twarz Lyncha pociemniała i mocniej zacisnął dłoń na szklance. wyprostował

się znad baru, O'Donovan rzucił ostro:

— Dość tego, Seamas. Masz, na coś sobie zasłużył. Rzadko ci się to trafia. Pij tą whiskey, albo odstaw szklaneczkę na ladę. Nie ścierpię tu żadnej bijatyki i jak zaczniesz, sam ci przyłożę w łeb butelką.

Lynch wykrzywił się do mnie szyderczo i odwrócił plecami.

— Sam pan rozumie, Anglicy nie są tu szczególnie lubiani -powie dział

O'Donovan niezbyt przepaszająco.

Kiwnąłem głową.

— I o ile wiem, są ku temu powody. Ale tak się akurat składa, że nie jestem

Anglikiem. Pochodzę z Australii.

Oblicze barmana rozjaśniło się.

— Naprawdę? Coś takiego! Mogłem się tego domyśleć widząc, jak ładnie

i z jakim szykiem zachował się pan w obliczu prowokacji. Australia to wspaniały 132

kraj, naprawdę wspaniały.

Dopiłem whiskey, bo zauważyłem, że Alison przywołuje mnie wzrokiem.

O'Donovan przyglądał się z aprobatą, jak w zaledwie cztery sekundy opróżniłem irlandzką miarkę trunku. Odstawiłem pustą szklaneczkę.

— Miło się z panem gadało, panie O'Donovan. Jeszcze tu wrócę.

— I będzie pan miłym gościem — odwzajemnił się układnie.

Ruszyłem, by dołączyć do stojącej przy drzwiach Alison. Lynch wystawił do

tyłu nogę, kiedy go mijałem, ale nie, nie szukałem zaczepki. Zręcznie ominąłem przeszkodę i poszedłem dalej.

Alison była już przed sklepem. Właśnie miałem do niej dołączyć, ale odstąpi-

łem od drzwi, chcąc zrobić przejście dużemu facetowi, który akurat pakował się do środka. Minął mnie i raptem zatrzymał się niezdecydowanie.

Dałem chodu. To był Taafe i jeśli nawet jego procesy myślowe uległy zwol-

nieniu, to przecież całkowicie nie ustały. Podczas gdy jego ptasi mózdzek po-

dejmował decyzję, jak zachować się w takiej sytuacji, ja wypadłem na zewnątrz i chwyciłem Alison za ramię.

— Pędź do samochodu! — rzuciłem w pośpiechu. — Mamy kłopoty.

To, co mi się podobało w Alison, to jej lotny umysł. Nie traciła czasu i nie obstawała przy wyjaśnieniach, ale natychmiast co sił w nogach ruszyła przed siebie.

Musiała być w doskonałej formie, bo gnała szybciej ode mnie i na dystansie stu metrów wyprzedziła mnie o dziesięć.

Za sobą słyszałem ciężki łomot buciorów i podejrzewałem, że ich właści-

ciem jest nie kto inny tylko Taafe. Zapadał już zmierzch, od zachodu sączyły się promyki anemicznego światła, dlatego nie zauważyłem, że jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie zostawiliśmy samochód, suszy się rybacka sieć. Nogi

zaplątały mi się w oczka i jak długi runąłem na ziemię.

To ułatwiło Taafemu zadanie. Słyszałem, jak nadbiegał, słyszałem skrzyp jego

butów, słyszałem też ryk uruchamianego przez Alison silnika. Następne wrażenie, jakie odebrałem, sprowadzało się do jednego: do bardzo solidnego, potężnego ko-pa, jakiego podarował mi niemy Walińczyk. Miał buty a la skinhead, najprawdopodobniej z noskami okutymi blachą i jeden z tych buciorów wbił mi się z niebywałą siłą w bok. Taafe, oczywiście, nie wydał z siebie żadnego dźwięku, tylko ciężko dyszał.

Przetoczyłem się na plecy, desperacko szarpiąc zaplątaną stopę, tymczasem

noga chwackiego Walijczyka minęła moją głowę ledwie o włos, tak blisko, że

poczułem podmuch wiatru. Gdyby trafił, wszystkie światła tej ziemi by dla mnie zgasły, kto wie, może i na zawsze. Silnik samochodu ryknął na pełnych obrotach i nagle oblał nas jaskrawy blask — Alison włączyła reflektory.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem Taafego. Ustawiał się do następnego kopnię-

cia, nachylał się nade mną, obnażając zęby w zwierzęcym grymasie. Jak oszalały przetoczyłem się w bok i kątem oka dostrzegłem krótki błysk światła w samocho-133

dzie. Błyskowi towarzyszył głuchy, urwany trzask, jak gdyby ktoś strzelił raptem z kapiszona. Taafemu coś zablokowało w gardle i nagle zwalił się na mnie. Wy-czołgałem się spod jego cielska, a on skręcał się na ziemi, ściskając lewe kolano i wydawał z siebie jakieś straszliwe odgłosy

Wyrwałem stopę z sieci i pobiegłem do samochodu. Drzwi od strony pasażera

były otwarte, a Alison dusiła niecierpliwie pedał gazu. Wgramoliłem się do środka. Alison wrzuciła do schowka nie wielki pistolet i zanim zdążyłem zamknąć

drzwi, ruszyła. Zawróciła samochód i ocierając się niemal o zwijającego się na ziemi Taafego, pomknęliśmy przed siebie.

— Gdzie go postrzeliłaś? — spytałem, nie mogąc złapać tchu.

— W kolano — odparła. Miała tak chłodny i opanowany głos, jakbyśmy oma-

wiali wyniki ćwiczeń na strzelnicy. — Pomyślałam sobie, że to jedyne wyjście.

Byłby cię zabił.

Obróciłem się, żeby spojrzeć za siebie. Mimo ciemności zobaczyłem, jak ktoś

pochyla się nad Taafem, ktoś wysoki i szczupły. Mógł to być z powodzeniem

Seamas Lynch.

IV

— Wheeler. . . mruknąłem w zamyśleniu. — Co mi możesz o nim Powiedzieć?

Był ranek następnego dnia i jedliśmy śniadanie w moim pokoju; nie miałem

ochoty wystawiać się na odstrzał w publicznej jadalni, zwłaszcza w świetle wydarzeń poprzedniego wieczoru. Jeśli dyrektor hotelu uznała, że to zachowanie nie-typowe, nie dała nam tego odczuć.

Alison rozsmarowała marmoladę na grzance.

— Członek Parlamentu z okręgu Harlingsdon East. Niezwykle majątny. I o ile mi wiadomo, niezbyt popularny w swojej Izbie.

— Cudzoziemiec?

— Chyba tak, ale do Anglii musiał ściągnąć kawał czasu temu. Naturalizowany, to pewne.

— Czy cudzoziemiec może zostać członkiem Parlamentu?

— O tak. Miewaliśmy już takich — odparła, żując grzankę.

— Amerykański prezydent musi urodzić się w Stanach — wyjaśniłem. — Jak jest w przypadku brytyjskiego premiera?

— Myślę, że w tej kwestii nie ma żadnych prawnych regulacji. Ale trzeba by to sprawdzić w leksykonie *Erskine May*.

— Jaką ten Wheeler pełni funkcję? Idzie mi o politykę, rzecz jasna. Jest ministrem? Kimś w tym rodzaju?

— Nie. Siedzi z tyłu Izby i głośno wrzeszczy.

Pstryknąłem palcami.

134

— Już wiem, gdzie widziałem to nazwisko! Po naszej ucieczce ze Sładem

mocno sobie używał. Wykrzykiwał coś o gangsterach na angielskich ulicach, tak.

Czytałem o nim w *Sunday Times*.

— Zgadza się — przyznała Alison. — Robił wokół tego sporo szumu. Premier szybko go uciszył.

— Jeśli to, co sobie wymyśliłem, jest prawdą, to facet ma nieziemski tupet.

Zastanów się tylko przez chwilę. Mackintosh spotyka się z Wheelerem i zaraz wpada pod samochód. Wypadek z cyklu „kierowca zbiegł”. Ja zabieram Jonesowi notes, w którym znajduję wzmiankę o Clonglass. W Clonglass natykamy się na Wheelera. Wpadamy też na Taafego i to aż nazbyt mocno, że tak powiem. A wiemy, że Taafe należy do Bractwa Wykałaczek. Nie uważasz, że jeśli Wheeler nie jest w to wszystko zamieszany, byłby to niesamowity zbieg okoliczności?

Alison smarowała masłem kolejną grzankę. Ależ ona miała apetyt!

— Uważam, że siedzi w tym po uszy — odparła zwięźle i zamilkła. — Nie rozumiem jednego. Dlaczego Taafe nie krzyczał? Kiedy go postrzeliłam, nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

— Myślę, że Taafe nie może krzyczeć. Moim zdaniem to niemowa. Nigdy nie słyszałem, żeby cokolwiek powiedział. Pokaż no ten swój pistolecik.

Przechyliła się, podniosła torebkę i wyjęła pistolet. Była to zręczna, mała broń kalibru 0.22 o długości niespełna dziesięciu centymetrów. Trudno sobie wyobrazić, żeby na odległość dwudziestu metrów — i w kiepskim świetle — mogła

bić skutecznie i celnie.

— Chciałaś go trafić w kolano? — zapytałem.

— Jedną nogę miał uniesioną, a te pociski są tak małe, że gdybym trafiła

gdziekolwiek indziej, nie udałoby mi się go powalić. Mogłam naturalnie celować w głowę, ale nie chciałam go zabijać.

Spojrzałem na nią z szacunkiem. Tak, rzeczywiście, Mackintosh gromadził wokół siebie niezwykle utalentowanych ludzi.

— Więc naprawdę trafiłaś go tam, gdzie chciałaś?

— Ależ tak — odparła i odłożyła swój absurdalny pistolecik.

— Wróćmy jeszcze do pana Wheelera — zaproponowałem. — Skąd on jest?

A raczej był? Skąd pochodzi?

— Nie wiem, nie interesowałam się nim. Ale szczegóły powinny być w *Who's Who*.

— Weźmy teraz Slade'a. Cztery dni temu zabrano go z domu niedaleko Lime-

rick. Jacht jest piekielnie wygodnym rozwiązaniem. Jeśli ponad cztery dni cumuje w Conglass, jeśli tego lata Wheeler zdecyduje się na bałtycką wyprawę, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że na pokładzie tego jachtu jest Slade. Zastrzegam, to tylko hipoteza.

— Podoba mi się.

135

— Mam jeszcze parę innych. Co myślisz o takiej, posłuchaj. Powiedzmy, że

jest jakiś facet, X. Albo Rosjanin, albo ktoś o prosowieckich poglądach. Powiedzmy, że ten X zajmuje się wyciąganiem z więzień rosyjskich szpiegów. Musi zorganizować sobie kogoś do pomocy. Gdzie będzie szukał? — Alison otworzyła usta,

ale ja ciągnąłem swój wątek. — W Irlandii panują wyraźnie antyangielskie na-

stroje. Nasiliły się zwłaszcza teraz, kiedy znów zaczęło wrzeć na Północy i kiedy IRA nadal aktywnie działa. Wczoraj wieczorem odczułem część tych nastrojów

na własnej skórze.

— Mówisz o człowieku, z którym rozmawiałeś w barze?

— Nazywa się Seamas Lynch i wyglądało na to, że nienawidzi mnie dla za-

sady. Co więcej, pracuje dla Wheelera i myślę, że to on pomagał Taafemu, kiedy stamtąd zwiewaliśmy. Ale odbiegam od tematu. Przypuśćmy, że pan X tworzy

organizację z członków IRA. Ma forszę, żeby rozkręcić interes, ale już wkrótce organizacja finansuje się sama, bo nie ogranicza działalności tylko do szpiegów.

IRA potrzebuje pieniędzy, a to jest lepszy sposób niż napady na banki. Więc się cieszą. Cieszy się też pan X, bo IRA robi mu dobrą robotę. Jak to ci się podoba?

Uniosła brwi.

— I pan X to właśnie nasz Wheeler? — Potrząsnęła smutno głową. — Milionerzy z pierwszego pokolenia rzadko bywają zwolennikami komunizmu.

— Jak on doszedł do takich pieniędzy?

— Myślę, że dorobił się ich w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, na handlu nieruchomościami. Później wszedł na rynek amerykański i zrobił fortunę, też na nieruchomościach. *Time* zamieścił o nim artykuł na pierwszej stronie, w którym nazwali go Wheeler-Pośrednik. Od tamtej pory wchodzi niemal w każ-

dy interes, który może przynieść pieniądze.

— A mimo to ciągle ma czas na posłowanie! Facet musi być cholernie zajęty!

— Aż za bardzo, żeby zajmować się jeszcze szpiegowaniem dla Rosjan — dodała Alison.

— Być może, nie wiem. — W tej sprawie miałem swoje własne zastrzeżenia.

— Chciałbym się dowiedzieć, co z Mackintoshem. Zadzwońisz?

— Właśnie miałam zamiar. Myślę, że powinniśmy się pozbyć samochodu.

Widzieli go w Clonglass. — Zawahała się. — Wyjdę i sprowadzę inny. Będzie lepiej, jak posiedzisz sobie w hotelu.

— Ale. . .

— Małe szansę, żeby się o mnie już zwiedzieli. Wczoraj zbytnio się nie afiszowaliśmy.

— Nie zwiedzieli się pod warunkiem, że Sean O'Donovan trzyma na kłódkę

— zauważyłem.

— Muszę zaryzykować — odparła i podniosła słuchawkę telefonu.

Zamówiła rozmowę z Londynem i rozmawiała z kimś ze szpitala. Mówiła

krótkimi zdaniami i bardziej słuchała niż się odzywała. Po jej wyrazie twarzy 136 wiedziałem, co się dzieje.

Odłożyła słuchawkę i powiedziała bezbarwnie:

— Nadal bez zmian. Walczy. To było do przewidzenia.

Zapaliłem papierosa.

— Od dawna go znasz?

— Od zawsze. To mój ojciec.

V

To doprowadziło do sprzeczki. Natychmiast oznajmiłem, że dam sobie ze wszystkim radę sam, a ona musi wracać do Londynu.

— Do diabła! — zawołałem. — Powinnaś być tam! Nigdy sobie nie darujesz, jeśli on umrze pod twoją nieobecność!

— A on by mi nigdy nie darował, że Slade dał nogę, bo ja okazałam się tak diabelnie sentymentalna. Jeśli sądzisz, że on by tego chciał, to nie znasz mego ojca, Owen. To człowiek ze stali.

— Ty też — stwierdziłem. — Nieodrodna córka swego ojca.

— A co? Dziwne to u córek? — spytała spiętym głosem.

— Uważam, że powinnaś wrócić — powtórzyłem z uporem.

— A ja zostaję — odparła równie stanowczo. — Mam tu do załatwienia dwie sprawy. Jedna, to pomóc ci dopaść Slade'a. Nie możesz z tym gangiem walczyć sam.

— A ta druga sprawa?

— Muszę pilnować, żebyś nie dał się im zabić, ty cholerny głupcze!

Właśnie to sobie przemyślałem, gdy Alison otworzyła walizkę i niecierpliwie rozerwała szary papier jakiegoś zawiniątka. Zobaczyłem przed sobą więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek dane mi było poza bankiem oglądać. To na moment rozproszyło moją uwagę.

— Ile tego jest, na litość boską?!

— Pięć tysięcy funtów — oświadczyła i rzuciła mi paczkę pięciofuntówek. —

Tu masz pięćset. Może się zdarzyć, że nas rozdziela, a ty będziesz potrzebował forsy.

— Skarbnik Jej Królewskiej Mości staje się nierozsądnie rozrzutny. Mam pokwitować odbiór?

— Idę wyszperać coś o Wheelerze — oznajmiła. — Nie ruszaj się z pokoju.

Wepchnęła resztę pieniędzy do jednej z tych przepastnych — ale modnych!

— torebek i zanim zdążyłem odezwać się słowem, wybiegła z sypialni.

Opadłem na łóżko z wdziękiem worka ziemniaków i wpatrywałem się w plik

banknotów. W głowie kołatała mi tylko jedna myśl, myśl mało ważna dla sprawy: Alison po raz pierwszy użyła mego imienia.

137

Po dwóch godzinach wróciła z wiadomością, że jacht Wheelera rzucił cumy

i płynie na południe. Nie wiedziała, czy z Wheelerem na pokładzie, czy nie. Z kieszeni wyciągnęła kawałek papieru. To była zadrukowana stronica z jakiejś książki.

Kupiłam stare wydanie *Who's Who*. Trochę duże, żeby się z tym włóczyć po mieście, więc wyrwałam interesującą nas stronę. — Podała mi ją i wskazała palcem akapit.

Charles George Wheeler, lat 46, urodzony w Argyrokastro, w Albanii. —

W Albanii!!! — Poseł do Parlamentu, odznaczony trzema doktoratami honoris

causa, członek tego i tamtego, członek różnych towarzystw naukowych. Miesz-

kanie w Londynie, wiejska posiadłość w Herefordshire. Kluby taki to, a taki to, i jeszcze taki. . .

Przeleciałem do końca strony, aż nagle moją uwagę przykuło hasło: zaintere-

sowania. Wheeler interesował się reformą więziennictwa. Chryste Panie!

— Jakim cudem on występuje pod nazwiskiem Charlesa George'a Wheelera?

— Pewnie zmienił je sobie sądownie.

— Czy wiesz, kiedy tu ściągnął z Albanii?

— Ja nic o nim nie wiem — odparła Alison. — Nie miałam okazji, żeby się

mu z bliska przyjrzeć.

— A jacht odpłynął na południe. Spodziewałem się raczej, że popłynie na

północ, w stronę Bałtyku.

— Cały czas zakładasz, że na jachcie siedzi Slade.

— Muszę — przyznałem ponuro.

Zmarszczyła czoło.

— Może płynąć na Morze Śródziemne. Jeśli tak, to gdzieś na południu musi uzupełnić paliwo. Może w Cork. . . Mam tam przyjaciółkę, pewną staruszkę, taką przyszywaną ciotkę. Do Cork możemy pole cięć z Shannon.

— Na lotnisku Shannon jest więcej glin niż turystów — zauważyłem. — Nie mogę tak ryzykować.

— Lotniska są duże. Przeprowadzę cię — oznajmiła Alison, bardzo pewna siebie.

— A jak wytłumaczysz moją obecność starej ciotce?

Uśmiechnęła się.

— Maeve O'Sullivan zawsze umiałam owinać sobie wokół małego palca.

VI

Na lotnisko Shannon wślizgnęliśmy się bez trudu i niezauważenie. Pomyśla-

łem sobie, że mają tam fatalną ochronę, ale pomieszczenia są tak olbrzymie, grani-ce lotniska tak rozległe, że gdyby mieli tego wszystkiego dokładnie przypilnować, ochrona połknęłaby całe dochody.

138

W ciągu kwadransa, po krótkiej wymianie zdań przez radio, byliśmy w po-

wietrzu, w drodze do Cork. Obserwowałem, jak Alison steruje maszyną. To był

Piper Apache i pilotowała go tak, jak robiła wszystko inne: oszczędnymi rucha-mi, daleka od jakichkolwiek popisów. Zastanawiałem się, jak to jest, kiedy za ojca ma się takiego Mackintosha. Dla niektórych dziewcząt mogłoby się to okazać do świadczeniem pozostawiającym trwałe uraz.

Maeve O'Sullivan mieszkała w Glanmire na obrzeżach Cork. Była bardzo sta-

ra, lecz nie zatraciła ani szybkiego, bystrego spojrzenia, ani przebiegłości lisa.

Zagruchała z radości na widok Alison, a mnie obcięła z góry na dół i w ciągu dwóch sekund przenicowała na wylot.

— Długo tu nie zagładałaś, Alison Mackintosh.

Alison uśmiechnęła się.

— Smith — poprawiła.

— Ależ tak, oczywiście, oczywiście. Żeby taka celtycka dziewczyna nosiła to obskurne angielskie nazwisko! Tym większa szkoda.

— To jest Owen Stannard. Pracuje dla mego ojca — przedstawiła mnie Alison.

Stare mądre oczy spoczęły na mnie z nowym zainteresowaniem.

— Naprawdę? Pracuje dla Aleca? A jakąż to diabelską strawę ten młody za-bijaka warzy tym razem?

Pomysł, żeby faceta twardego jak Mackintosh nazywać młodym zabijaką wy-

dał mi się zabawny, ale mężnie stłumiłem uśmiech. Alison rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie.

— Nie robi niczego, co by mogło ciebie obchodzić, ciociu Maeve — odparła cierpko. — Przesyła ci ucałowania.

W myślach zgodziłem się z Alison. Byłoby okrucieństwem opowiadać starym o jego prawdziwym stanie.

— Zdążyliście akurat na przekąskę — oznajmiła pani O’Sullivan i zakrzętała się w kuchni. Alison dreptała jej po piętach.

Zapadłem się wygodnie w dużym fotelu i zerknąłem na zegarek. Od chwili, gdy Alison przestreliliła Taafemu kolano, nie upłynęła jeszcze doba.

„Przekąska” okazała się być ogromną kolacją, którą, wedle pani O’Sullivan, musieliśmy zjeść. Składała się z wielu dań przeplatanych dziarskimi i mało pochlebnymi komentarzami na temat kiepskich apetytów dzisiejszej młodzieży.

Kiedy do damy, która mogła być moją prababką, zwróciłem się per „pani O’Sullivan”, roześmiała się i rzekła:

— Mów mi po imieniu, młodzieńcze, a będę się raźniej czuła. Więc mówiłem jej Maeve, natomiast Alison nazywała ją ciocią.

— Muszę ci coś wyznać, ciociu Maeve — rzekła. — Naszego Owena poszukuje *garda*, więc nikt nie może się dowiedzieć, że on tu jest.

— *Garda*, powiadasz?! — zakrzyknęła Maeve. — Owen to porządny człowiek, wiem, ale czy to aby nie robota Aleca?

139

— W pewnym sensie, ciociu — odpowiedziała Alison. — Rzecz jest bardzo, ale to bardzo ważna.

— Milczałam w życiu częściej, niż najbardziej gadatliwa ryba, dziewczyno

— odparła Maeve. — Nawet nie wiesz, co się tu wyrabiało w dawnych czasach.

Teraz ci szaleńcy znów zaczynają to samo na Północy. — Spojrzała na nas swymi przenikliwymi

oczyma, które czerniły się jak dwa guziki. — To nie ma z tymi

sprawami nic wspólnego, co? Tylko mówić mi prawdę!

— Nie, nic. To nie ma nic wspólnego z Irlandią — odrzekłem.

— Będę więc spać spokojnie. Owenie Stannard, jesteś w moim domu miłym gościem.

Po jedzeniu zmywaliśmy. Maeve stwierdziła:

— Jestem starą kobietą i ciągnie mnie już do łóżka. Wy, młodzi, czujcie się swobodnie.

— Chciałabym skorzystać z telefonu, ciociu.

— W każdej chwili. Sześciopensówki włóż do pudełka obok. Oszczędzam na stare lata. — Wybuchnęła śmiechem.

— Sześciopensówki nie wystarczą, ciociu Maeve. Będę dzwonić do Anglii, i to nie raz.

— Uspokój się, dziewczyno. Jeśli będziesz rozmawiać z Alekiem, spytaj go, czemu ostatnio w ogóle do mnie nie zagląda.

— Ojciec jest bardzo zajęty, ciociu.

— Tak, tak. A kiedy mężczyźni tacy jak Alec Mackintosh stają się bardzo

zajęci, to już ostatni dzwonek, żeby zwykli ludzie zaszyli się gdzieś w mysiej dziurze. Ale uściskaj go ode mnie i powiedz, że wcale na to nie zasługuje.

Kiedy poszła do siebie, zauważyłem:

— No, no, ale z niej kobieta!

— Mogłabym ci o niej opowiedzieć takie rzeczy, że włos by ci się zjeżył

na głowie. Walczyła w Powstaniu. — Ujęła słuchawkę. — Zobaczymy, co nam powiedzą w kapitanacie portu.

Kapitan portu był niezwykle uprzejmy. Tak, spodziewali się *Artiny*. Pan Wheeler zamówił

tankowanie. Nie, doprawdy, kiedy wpłyną do portu, tego kapitan

nie wiedział, ale sądząc po wcześniejszych wizytach pana Wheelera, należało się spodziewać, że *Artina* spędzi w Cork jakieś dwa dni.

Gdy Alison odłożyła słuchawkę, powiedziałem:

— Muszę teraz wymyślić, jak dostać się na pokład. Szkoda, że tak mało wiem o tej jego łajbie.

— Daj mi kilka godzin, a dowiem się wszystkiego, czego trzeba — odrzekła.

— Telefon to cudowny wynalazek. Ale najpierw muszę zadzwonić do szpitala.

Nastał nam czas radości, bo Alec Mackintosh mozolnie wracał do życia.

Alison promieniała.

140

— Jego stan się polepszył! Lekarz mówi, że z nim lepiej i twierdzi, że teraz ma jeszcze szansę!

— Jest przytomny? Może mówić?

— Nie, nadal nie odzyskał przytomności.

Zamyśliłem się. Jeśli Mackintosh dotychczas nie odzyskał przytomności, mi-
nie sporo czasu, nim lekarze zezwolą mu na jakiegokolwiek rozmowy. Nie pozwolą
mu gadać nawet wówczas, kiedy sam gadać zechce. Dałbym wiele, żeby usłyszeć
to, co powiedział Wheelerowi w przeddzień „wypadku”.

— Cieszę się, że z nim lepiej — powiedziałem szczerze.

Alison znów chwyciła za słuchawkę i znieuważa przybrała swój oficjalny i rzeczowy sposób bycia.

— No, a teraz do roboty — rzuciła.

Nie przeszkadzałem jej, tylko od czasu do czasu odpowiadałem na pytania.

Byłem zajęty budowaniem swoich hipotez i zajęcie to zaowocowało nieoczekiwa-

nie bardzo dziwnymi wnioskami. Jeśli się nie myliłem, pan Wheeler był niezwy-

kle dziwną i niezwykle niebezpieczną postacią. Mało tego, dla bezpieczeństwa państwa Wheeler stanowił większe zagrożenie niż sam Slade!

Tonąłem właśnie w myślach, kiedy usłyszałem głos Alison.

— Na dziś zrobiłam, co mogłam. Reszta musi poczekać do jutra. — Jednym ruchem otworzyła notes wypełniony szczerze stenogramami notatek. — O czym najpierw? O Wheelerze, czy o jachcie?

— Zaczniemy do jachtu.

Przerzuciła kilka stron.

— Bardzo proszę. Nazywa się *Artina*. Łódź zbudowana przez Clelands w Ty-neside według projektu Parkera. Kiedy Wheeler ją kupił, miała dwa lata. To łódź

standardowa, znana pod nazwą Parker-Clelands, co jest ważną informacją z po-

wodów, o których za chwilę. Długość całkowita wynosi trzydzieści trzy metry,

szerokość pokładu sześć i pół metra. Prędkość marszowa — dwanaście węzłów,

na pełnym morzu rozwija trzynaście. Jest wyposażona w dwa dieslowskie silniki Rolls-Royce'a o mocy trzystu pięćdziesięciu koni mechanicznych każdy. Czy o to ci chodziło?

— Tak jest. — Zaczynałem stwarzać sobie pewien obraz. — Jaki ma zasięg?

— Jeszcze do tego nie doszłam, ale wkrótce się dowiem. Załoga składa się

z siedmiu osób: z szypra, mechanika, kucharza, stewarda i trzech marynarzy. Na łodzi jest też miejsce dla maksymalnie ośmiu pasażerów.

— Jak rozmieszczone są kabiny pasażerskie?

— Tego dowiemy się jutro. Kilka lat temu opublikowano plany bliźniaczego

jachtu. Właśnie są fotografowane. Jutro wyślą je telegraficznie do redakcji miejscowego *Examinera* razem ze zdjęciem samej łajby.

Przyjrzałem się Alison z podziwem.

— Haa! To jest coś, na co sam nigdy bym nie wpadł!

— Każda dobra gazeta powinna sprawnie i szybko wyszukiwać tudzież przekazywać informacje, mój drogi. Mówiłam ci, że umiem pociągać za sznurki.

— A co mamy o samym Wheelerze?

— Szczegółowy raport nadejdzie do *Examinera* teleksem, ale zdobyłam już rzeczy najistotniejsze. Wheeler walczył przeciwko Włochom, kiedy przed wojną

weszli do Albanii. — Oderwała wzrok od notatek. — Musiał mieć wtedy jakieś

czternaście lat. Razem z rodziną uciekł do Jugosławii i do końca wojny tłukł tam Niemców i Włochów do kupy. W Jugosławii i w Albanii. Z Albanii wyjechał

w 1946 mając ledwie dwadzieścia kilka lat i na stałe osiedlił się w Anglii. Naturalizował się w 1950. Mniej więcej w tym samym czasie zaczął pośredniczyć

w handlu nieruchomościami i od tej chwili jego fortuna rośnie.

— Jakiego rodzaju nieruchomościami się zajmował?

— Biurami. Zaczęto wtedy stawiać pierwsze biurowce. — Zmarszczyła czo-

ło. — Rozmawiałam z redaktorem od spraw gospodarczych i on powiedział, że

w tych pierwszych transakcjach Wheelera było coś dziwnego.

— To ciekawe. No i?

— Ten redaktor twierdzi, że początki jego kariery są niejasne, że tak naprawdę to nie wiadomo, jak Wheeler dorobił się dużych pieniędzy. Ale musiał się jakoś dorobić, bo nagle pieniądze miał, i przeznaczał je na coraz większe i korzystniejsze interesy. I nigdy nie oglądał się za siebie.

— Zastanawiam się, jak sobie radził z podatkami — mruknąłem. — Szkoda,

że nie możemy tu zawezwać jego poborcy podatkowego. Sytuacja zaczyna mi się

trochę przejaśniać. Powiedz, wtedy, pod czas wojny, po czyjej stronie walczył?

Był z partyzantami czy z czetnikami? Z komunistami czy z nacjonalistami?

— W tej sprawie brak danych — odparła. — Ale to będzie w teleksie, o ile na

ten temat w ogóle coś wiadomo.

— Kiedy zajął się polityką?

Zajrzała do notatek.

— Startował w kampanii do wyborów uzupełniających w sześćdziesiątym drugim i przegrał. Walczył w wyborach powszechnych w sześćdziesiątym czwartym i zdobył mandat zupełnie przyzwoitą liczbą głosów.

— No i zapewne hojną ręką zasilił fundusz partyjny. Jasne, to byłoby w jego stylu. Czy wiadomo coś o jego obecnych związkach z Albanią?

— Zupełnie nic.

— Z Rosją? Z jakimkolwiek krajem komunistycznym?

Potrząsnęła głową.

— To urodzony kapitalista, kochany. To, co mówisz, kompletnie mi nie gra, Owen. Na posiedzeniach Izby ten facet co chwilę wyskakuje z jakąś antykomunistyczną mówką.

— Tak samo, jak jest zawziętym przeciwnikiem systemu, który pozwala więźniom nawiewać z pudła. Już zapomniałaś? A propos, co masz o tych jego zainte-

142

resowaniach reformą?

— Kiedyś nawet odwiedzał zakłady karne, ale teraz zaszedł już chyba za wysoko, żeby się tym zajmować. Hojnie dofinansowuje rozmaite reformatorskie towarzystwa i jest członkiem parlamentarnej komisji do spraw reformy więziennictwa.

— Boże ty mój, przecież to niezwykle korzystny układ! — zauważyłem. —

Czy odwiedzał więzienia jako członek komisji? Bywał tam jako poseł?

— Prawdopodobnie tak. — Odłożyła notatnik. — Owen, budujesz gmach bez fundamentów.

Wiem — odparłem, niespokojnie przemierzając pokój. — Dorzucę jednak kolejną warstwę do mojej hipotezy. Rozmawiałem kiedyś z pewnym multimilione-

rem, z tych południowoamerykańskich. Wyznał mi, że najtrudniej zdobyć pierw-

sze ćwierć miliona. Zarobienie tu pięćdziesięciu tysięcy funtów zajęło mu aż pięć-naście lat. W trzy lata zaokrąglił je do miliona, a sześć lat później miał już pięć.

Matematycy nazwaliby to wycieczką po krzywej wykładowej.

To co? — Alison zaczynała się niecierpliwić.

— Pierwsze ćwierć miliona idzie najtrudniej, bo nasz potencjalny krezus

wszystkie decyzje musi podejmować sam, i sam musi badać rynek. Z chwilą gdy

ma już pieniądze, stać go, żeby zatrudnić całe oddziały księgowych, sztab prawników, a to już znacznie ułatwia podejmowanie decyzji. Początek to droga pod

górkę. Wróć no jeszcze na chwilę do tego redaktora, tego, który wywęszył coś dziwnego w pierwszych kontraktach Wheelera.

Alison wzięła do ręki notatnik.

— Już nic więcej od niego nie mam. Wszystko ci powiedziałam.

— Weźmy sobie naszego pana X. Nie jest Rosjaninem, nazwijmy go Albań-

czykiem, ale ten Albańczyk popiera Rosjan, W czterdziestym szóstym zjawia się w Anglii, w pięćdziesiątym się naturalizuje. W tym samym czasie zaczyna zawierać pierwsze transakcje jako pośrednik handlu nieruchomościami i robi na

tym ciężkie pieniądze. Pozornie wszystko gra, ale znaleźliśmy człowieka, który nie rozumie, jak ten facet do tego doszedł. Załóżmy, że nasz pan X dostał zastrzyk finansowy z zewnątrz. Powiedzmy, że dostał z pół miliona. Pan X nie jest w ciemny bity, ma łeb na karku jak każdy potencjalny milioner i wie, że pieniądz robi pieniądz. No, a dalej to już wszystko się toczy prastarym kapitalistycznym zwyczajem. — Okręciłem się na pięcie. — W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym

czwartym pan X rozpoczyna życie polityczne i zdobywa mandat do Izby Gmin,

gdzie dzisiaj oddaje się z wigorem posłowaniu. Pan X ma lat czterdzieści sześć i jeszcze ćwierć wieku kariery politycznej przed sobą. — Wpatrywałem się w Alison. — Co by się stało, gdyby zdobył wysoką pozycję w rządzie? Powiedzmy sta-

nowisko lorda kanclerza. Albo ministra obrony, a nawet premiera? Dajmy na to, że stałoby się to w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Data wydaje się całkiem prawdopodobna. Co wtedy? Wtedy chłopaki z Kremla umarliby

ze śmiechu!

Tamtej nocy źle spałem. Nocną porą moja hipoteza zaczęła mi się wydawać cholernie głupia i z każdą chwilą coraz mniej prawdopodobna. Milioner, w dodatku poseł do Parlamentu, w żadnym razie nie mógł być przecież związany z Rosjanami, to sprzeczność w samym założeniu. No jasne, że Alison nie mogła kupić takiej wersji. Ale jednak Wheeler musiał mieć coś wspólnego z Bractwem Wykałaczek, chyba że cała seria domniemanych powiązań miałyby się okazać kompletnie przypadkowa. Tej możliwości również nie wykluczałem, bo za wiele naoglądałem się spraw, gdzie na pierwszy rzut oka widać było motywy i skutki, a potem okazywało się, że to tylko zbieg okoliczności.

Przewracałem się niespokojnie z boku na bok. Mimo wszystko załóżmy, że Wheeler szefuje gangowi. Po cóż miałby to robić? Na pewno nie dla szmalu, bo tego to Wheeler miał pod dostatkiem. I znów do głowy przychodziła tylko jedna odpowiedź: ze względów politycznych. To zaś prowadziło nieuchronnie do rozważań o Wheelerze jako o członku Parlamentu i o niebezpieczeństwach wmontowanych w ten układ.

Wreszcie usnąłem i dręczyły mnie jakieś nocne zmory.

Przy śniadaniu nadal czułem się zmęczony i miałem kiepski nastrój. Kiedy Alison wykonała pierwszy tego dnia telefon, mój humor gwałtownie się pogorszył. W kapitanacie powiedzieli jej, że *Artina* zjawiła się nocą, zatankowała i we wczesnych godzinach rannych wypłynęła w kierunku Gibraltaru.

— I znów drań się nam wymknął — stwierdziłem.

— Wiemy gdzie jest — pocieszała mnie Alison. — I wiemy, gdzie się objawi za cztery dni.

— Za wiele w tym słabych punktów — odparłem ponuro. — Fakt, że zgłosił trasę do Gibraltaru, wcale nie oznacza, że tam naprawdę płynie. To po pierwsze.

Po drugie: kto mu zabroni przekazać Slade'a na ruski trawler płynący na Morze Bałtyckie? Jak tylko *Artina* zniknęła za widnokretem, Wheeler może to z łatwo-

ścią zrobić. No i tak naprawdę to nie wiemy, czy Slade tam jest, czy nie. Póki co, tylko to sobie zakładamy.

Po śniadaniu Alison wyszła, żeby odebrać materiały, które nadeszły do *Examinera*. Nie towarzyszyłem jej, bo nie miałem najmniejszego zamiaru płać się 145

w pobliżu redakcji, żadnej redakcji. Dziennikarze zbyt dobrze znali Reardena —

ileż to moich zdjęć zamieścili w gazetach! — zbyt dużo się o nim rozpisywali, by go natychmiast nie rozpoznać. Nie, bystrooki reporter był ostatnią osobą, z którą miałem ochotę się spotkać.

Zostałem więc w domu. Maeve zajęła się taktownie kuchnią i nie zakłócała

moich ponurych rozmyślań.

Alison wróciła po półtorej godzinie. Z dużą kopertą.

— Fotografie i materiały z teleksu — oznajmiła, rzucając mi koper tę przed nos.

Najpierw przyjrzałem się zdjęciom. W kopercie znajdowały się trzy fotografie

Wheeler: jedna przeznaczona na użytek publiczny i dwa reporterskie ujęcia „na gorąco” — uwielbiany przez dziennikarzy sposób uwieczniania polityków — na

których Wheeler zastygł z szeroko otwartymi ustami. Na jednej z fotografii wyglądał jak rekin i szedłem o zakład, że jakiś redaktorek rechotał nad nią ze śmiechu.

Wheeler okazał się być dużym, barczystym mężczyzną o jasnych włosach.

Tak, powiedziałbym, że włosy miał popielatoblond, chociaż zdjęcia były czarno-

-białe i nie mogłem dać za to głowy. Nos wydatny i nieco skrzywiony, jakby

weń kiedyś oberwał — gdyby Wheeler zdobył w przyszłości jakieś liczące się

w polityce stanowisko, karykaturzyści szaleliby z uciechy. Odłożyłem zdjęcia na bok. Teraz rozpoznałbym Wheelera już na pierwszy rzut oka.

Kolejne fotografie dotyczyły *Artiny*, a jedna przedstawiała reprodukcję planów bliźniaczego jachtu. Sean O'Donovan przesadził. *Artina* nie dorównywała wielkością jachtowi królewskiemu, lecz i tak była łodzią na tyle pokaźną, że na jej kupno i utrzymanie mógł sobie pozwolić tylko i wyłącznie milioner. Przed

maszynownią znajdowała się podwójna kabina właściciela jednostki, na rufie rozmieszczono trzy podwójne kabiny gościnne dla sześciu osób. Załoga zajmowała

pomieszczenia na dziobie, z wyjątkiem szypra, któremu przypisano kajutę kapi-
tańską, tuż za sterówką.

Tak długo przyglądałem się temu planowi, aż zapamiętałem dokładnie wszyst-

ko, każde przejście i każde drzwi. Gdyby mi przyszło wejść na pokład, wiedział-

bym, jak się tam poruszać i gdzie szukać najlepszych kryjówek. Szczególną uwa-
gę zwróciłem na skrajnik rufowy i na pomieszczenie z urządzeniami wentyla-

cyjnymi, zakładałem bowiem, że miejsca te zapewnią mi w razie czego idealne
schronienie.

Alison pogрузыła się w lekturze materiałów z teleksu.

— Coś nowego? — spytałem.

Oderwała wzrok od kartki.

— Niewiele więcej od tego, o czym mówiłam ci wczoraj. Trochę szczegółów
i tyle. W Jugosławii Wheeler walczył po stronie partyzantów.

— Czyli komunistów. Jeszcze jedna nić w pajęczynie.

146

Zacząłem sam czytać i stwierdziłem, że Alison miała rację, ponieważ całkiem

nowych informacji nie udało mi się znaleźć. Z przedstawionego obrazu wyłaniał

się młody, bystry mężczyzna który o swój obecny status milionera walczył pazurami, i który
zajmował dziś ugruntowaną pozycję społeczną dzięki temu, że mówił

właściwe rzeczy we właściwym czasie i zabierał głos we właściwych sprawach.

Tworzył się obraz człowieka sukcesu, człowieka ruszającego na podbój nowych
światów, stąd jego zainteresowania polityczne.

— Jest kawalerem — zauważyłem. — To chyba najlepsza partia w całej An-
glii, co?

Uśmiechnęła się cierpko.

— Słyszałam różne ploteczki. Miewa kochanki, które regularnie zmienia, no i mówi się, że Wheeler to biseksualista. Rzecz jasna, nikt przy zdrowych zmysłach nie zamieści takiej informacji w teleksie. To by się równało z rozpowszechnianiem pomówień.

— Gdyby Wheeler wiedział, co mi chodzi po głowie, o pomówienia martwiłby się najmniej.

Wzruszyła bez entuzjazmu ramionami.

— To co robimy? — spytała.

— Jak to co? Ruszamy do Gibraltaru! — zawołałem. — Czy twój samolot tam doleci?

— Doleci.

— No to hajda w drogę z motyką na słońce! Nic innego nam nie pozostało.

II

Czasu wolnego mieliśmy aż w nadmiarze. Przystudiowaliśmy plan bliźniaczej

siostry *Artiny*, wczytaliśmy się w dołączony do niego opis i przekonaliśmy się niezbitcie, że *Artina* nie należy do łodzi szybkich, i że podróż do Gibraltaru musi jej zająć co najmniej cztery dni. Postanowiliśmy nie ryzykować i zjawić się w Gibraltarze za trzy dni, żeby być na miejscu, kiedy *Artina* zawinie do portu.

To dawało Alison czas na powrót do Londynu, by mogła sprawdzić, jak Mackintosh walczy z niemocą i wykopać trochę więcej brudów na temat Wheelera.

Stwierdziliśmy, że moja wyprawa do Londynu byłaby szczytową głupotą. Prze-

mykanie się tam i z powrotem przez lotnisko Cork to nie to samo, co identyczny manewr na Gatwick czy Heathrow. Za każdym razem, kiedy przedzierałem się

incognito przez lotniskowe barierki, podejmowałem dodatkowe ryzyko.

Dwa dni siedziałem więc uwięzany w domku na przedmieściach Cork, gdzie

jedyną osobą, do której mogłem otworzyć usta, była stara Irlandka. Muszę przyznać, że Maeve zachowywała się nad wyraz taktownie. Na nic nie napierała, nie wypytywała i szanowała moje chwilowe zamyślenia.

147

— Och, wiem, jak się czujesz, chłopcze — oznajmiła któregoś razu. — Sama

przez to przeszłam w dziewięćset osiemnastym. Okropna rzecz, kiedy wszyscy są przeciwko tobie, a ty musisz się ukrywać jak zaszczute zwierzę. Ale w tym domu możesz spać spokojnie.

— Więc i ty, Maeve, przeżyłaś swoje w Czasach Niepokoju.

— Ano przeżyłam — odparła. — I nie byłam tym zachwycona. Ale ciągle

dzieje się coś złego, jak nie tu, to gdzie indziej. I ciągle są ci, co uciekają i ci, co ich gonią. — Spojrzała na mnie z ukosa. — A wśród nich nie może zabraknąć

Aleca Mackintosha i tych, którzy się z nim związali.

Uśmiechnąłem się.

— Nie pochwalasz jego działalności?

Uniosła twarz.

— A kimże ja jestem, żeby to pochwalać czy ganić? O jego robocie wiem

tylko tyle, że jest ciężka i niebezpieczna. I myślę sobie, że bardziej niebezpieczna dla tych, którymi Alec kieruje niż dla niego samego.

Pomyślałem o Mackintoshu leżącym w szpitalu. Już samo to wy starczało, by zadać kłam jej twierdzeniu.

— A co powiesz o kobietach, którymi kieruje? — zapytałem.

— Masz na myśli Alison — zauważyła bez emocji. — Źle się stało. Chciał mieć syna, a dostał Alison, więc stawał na głowie, żeby urobić ją na własną modłę.

Wymagał od niej takiej nieugiętości i takiej siły, że każda inna dziewczyna by się na jej miejscu załamała.

— On sam jest twardym człowiekiem. A co na to matka Alison? Nic nie miała do powiedzenia?

W głosie Maeve dało się słyszeć lekką naganę, choć nie współczucie.

— Biedna kobieta. . . Wyszła za niewłaściwego człowieka. Nie rozumiała mężczyzn pokroju Mackintosha. Małżeństwo od początku kulało. Odeszła od Aleca przed urodzeniem Alison i osiedliła się w Irlandii. Zmarła w Waterford, gdy Alison miała dziesięć lat.

— I wtedy Mackintosh wziął edukację córki w swoje ręce.

— Otóż to.

— A kim był ten Smith?

— Alison nie mówiła ci o nim?

— Nie.

— To i ja nic ci nie powiem — odrzekła stanowczo Maeve. — I tak już się dość

naplotkowałam. Kiedy Alison zechce, żebyś się o tym dowiedział, jeśli w ogóle zechce, sama ci o nim opowie. — Odwróciła się, urwała i zerkając na mnie przez ramię powiedziała: — Myślę, że ty też jesteś twardym człowiekiem, Owenie Stannard. I wątpię, czy nadajesz się dla Alison.

I zostawiła mnie, bym to sobie rozgryzł, jak zechcę.

Pierwszego dnia Alison zadzwoniła późnym wieczorem.

— Zaraz po starcie wypuściłam się nad morze — oznajmiła. — *Artina* trzymała kurs na Gibraltar.

— Mam nadzieję, że nie przyglądałaś się im zbyt nachalnie.

— Minęłam jacht lecąc na wysokości pięciu tysięcy stóp, wchodziłam na wyższy pułap. Zawróciłam dopiero wtedy, gdy zniknęli mi z oczu.

— Jak Mackintosh? — W rozmowach z Alison nadal go tak nazywałam.

— Ogólny stan się poprawił, ale ojciec jest wciąż nieprzytomny. Byłam przy nim tylko dwie minuty. Tyle mi dali czasu.

Kiepsko. Gdyby odzyskał przytomność, gdyby mógł mówić, miał bym z niego pożytek. Jak na moje potrzeby, Mackintosh był wciąż za mało żywy. To zaś nasunęło mi na myśl kolejną delikatną sprawę.

— W Londynie mogą cię obserwować, Alison.

— Nikt mnie nie śledził. Nie widziałam się też z nikim znajomym prócz jednego człowieka.

— Kto to taki?

— Premier przysłał do szpitala swego sekretarza. Rozmawiałam z nim. Mówił, że premier bardzo się niepokoi.

Pomyślałem o Wheelerze i o człowieku, którego wyciągnął z więzienia i zabił, a później o Mackintoshu, który leżał bezradnie na szpitalnym łóżku.

— Musisz coś zrobić, Alison. Zadzwon do tego sekretarza i poproś go, żeby zaczął rozpowiadać, że Mackintosh umiera, że z nim koniec.

Chwyciła w lot.

— Myślisz, że mogą zaatakować ojca w szpitalu?

— Niewykluczone, jeśli dowiedzą się, że wraca do zdrowia. Poproś tego sekretarza, żeby bąknął o tym mimochodem jakiemuś posłowi, który uchodzi za kumpla Wheelera. Jeśli Wheeler zadzwoni do Londynu, żeby sobie pogadać z kolegami, jest szansa, że wiadomość do niego dotrze. A to może uratować twójemu ojcu życie.

— Dobrze, zrobię tak.

— Masz coś nowego o Wheelerze?

— Jeszcze nie. W każdym razie nie to, czego szukamy. Prowadzi nieskazitelne życie publiczne.

— Nie chodzi o jego życie publiczne — powiedziałem. — Ale rób, co się tylko da.

Alison wróciła dwa dni później; wczesnym wieczorem zajęła przed dom taksówką. Sprawiała wrażenie zmęczonej, jakby nie spała za wiele. Maeve aż zacmokała na jej widok, lecz uspokoiła się, gdy Alison powiedziała:

149

— To nocne wyprawy. Za dużo włączyłam się po rozmaitych klubach.

Irlandka odeszła, a ja uniosłam brwi.

— Używało się życia, co? Wzruszyła ramionami.

— Musiałam rozmawiać z ludźmi, a ten gatunek ludzi, z którymi chciałam pogadać, przesiaduje w nocnych klubach. — Westchnęła. — Ale to była czysta strata czasu.

— Niczego się nie dokopałaś?

— Niczego, co miałoby znaczenie. Może z wyjątkiem jednego. Nabadałam sytuację na froncie służących.

— Na jakim froncie?!

Posłała mi zmęczony uśmiech.

— Sprawdziłam służących Wheelera. Dawno minęły już dni świetności i o słu-

żących dziś trudno. A jednak Wheeler świetnie sobie radzi, chociaż musi zatrudniać sporo ludzi. — Wyjęła z kieszeni notes — Wszyscy zatrudniani przez niego służący to Brytyjczycy, wszyscy mają brytyjskie paszporty, z wyjątkiem szofera, bo ten jest Irlandczykiem. Czy nie wydaje ci się to ciekawe?

— Jego łącznik z Irlandią — stwierdziłem. — Tak, nawet bardzo ciekawe.

— Będzie jeszcze ciekawsze. Jak już mówiłam, cały personel Wheelera jest

brytyjski, ale wszyscy są naturalizowani i wszyscy mają sądownie zmienione nazwiska. No i jak sądzisz, z jakiego kraju ci ludzie się wywodzą?

Wyszczrzyłem się w uśmiechu.

— Z Albanii.

— Wygrał pan cygaro. Ale i tu mamy wyjątek. Jeden z nich nie przyjął angielskiego nazwiska, bo gdyby to zrobił, nieco by się ośmieszył. Wheeler rozmiłował

się w chińskiej kuchni i trzyma w domu Chińczyka. Nazywa się Chang Pi-wu.

— No tak, gdyby zmienił nazwisko na McTavish, można by pęknać ze śmie-

chu. Skąd jest ten Chińczyk?

— Z Hongkongu.

Chińczyk z Hongkongu. . . Niewiele mi to mówiło. To, że multimilioner roz-

miłowany w chińskiej kuchni sprawia sobie chińskiego kucharza, wydawało mi

się rzeczą całkiem naturalną. Superbogacze rozumują troszkę inaczej niż zwykli śmiertelnicy i taki

kucharz mógł po prostu stanowić maleńką odmianę w nużącej monotonii luksusowego życia. Może i tak, ale gdzieś w mrocznych zakamarkach

mózgu odezwał mi się alarmowy buczonek.

— Może Wheeler prowadzi działalność charytatywną — rozważałem ostroż-

nie. — Może wszyscy ci albańscy Brytyjczycy są jego kuzynami i kuzynami jego

kuzynów, siostrzenicami i siostrzeńcami, których w ten sposób wspomaga?

Alison utkwiała wzrok w suficie.

— Problem ze służącymi polega na tym, żeby ich przy sobie zatrzymać. Żąda-
ją czterech wieczorów tygodniowo dla siebie, telewizorów w służbówkach, chcą

150

wylegiwać się rano w łóżkach. Jak się im tego nie zapewni, zbierają manatki i odchodzą. Rotacja jest
duża, a u Wheelera tak duża, jak wszędzie indziej.

— Chryste! Naprawdę?! — Pochyliłem się w przód i z napięciem wpatrywa-
łem w Alison. — Znalazłaś coś! A jednak! Do diabła! Wal dalej!

Uśmiechnęła się radośnie i otworzyła notes.

— Pracuje u niego trzynaścioro brytyjskich Albańczyków. To ogrodnicy, lo-

kaj, zarządzający domu, pokojówki i tak dalej. Nikt nie siedzi u niego dłużej niż trzy lata. Na
przykład w zeszłym miesiącu znów zatrudnił kogoś nowego. Przychodzą i odchodzą jak najzwyczajsi
w świecie służący.

— A na wakacje jeżdżą do Albanii — wpadłem jej w słowo. Zorganizował
sobie siatkę kurierów!

— Mało tego — dodała Alison. — Jest ktoś, kto dba o to, żeby miał regular-
ne dostawy nowych ludzi. — Znów zajrzała do notesu. — Sprawdziłam to i owo

w filii Ministerstwa do Spraw Opieki Społecznej w Herefordshire. W ciągu ostatnich dziesięciu lat
przez dom Wheelera przewinęło się pięćdziesięciu ludzi. Nie jestem w stanie udowodnić, że
wszyscy z nich to Albańczycy — zostali zapisani pod angielskimi nazwiskami — ale idę o zakład, że
tak właśnie było.

— Rany Boskie! — zawołałem. — Czy nikt na to nie wpadł?! Co, do cholery,
robią nasze służby specjalne?!

Alison rozłożyła ręce.

— Ci wszyscy służący mają brytyjskie obywatelstwo. Jeżeli komukolwiek

wydało się to podejrzane, w co bardzo wątpię, to, jak sam powiedziałaś, Wheeler prowadzi akcję
dobroczynną i już. Wyzwała swych ziomków z rąk komunistycznych oprawców.

— Pięćdziesięciu ludzi! I dokąd idą, jak już Wheeler z nimi skończy?

— Nie mogę mówić o całej pięćdziesiątce. Miałam czas, żeby sprawdzić tylko dwoje z nich. Ta dwójka trafiła na służbę do innych członków Parlamentu.

Zacząłem się mimo woli śmiać.

— Co za tupet! Co za bezczelność! Czy ty widzisz, co ten facet wyrabia?

Przyjmuje ludzi na szybki kurs angielskich manier i tradycji, instruuje ich, na czym polegają subtelności bycia dżentelmenem u dżentelmena, po czym roz-mieszcza w charakterze szpiegów. Wyobraź tylko sobie, jak rozmawia ze swoim

kumplem z Izby: „Kłopoty ze służbą, stary? Tak się akurat składa, że jeden z moich odchodzi. Nie, nie, nie miałem z nim żadnych problemów. On po prostu chce mieszkać w mieście. Może go jakoś namówię. . .” No nie, to bije na łeb wszystko, o czym do tej pory słyszałem!

— I z całą pewnością udowadnia jego dzisiejsze związki z Albanią — zgodziła się Alison. — Nie byłam o tym dotąd przekonana. Teraz wierzę.

— Czy pamiętasz sprawę Cicero z czasów wojny? — spytałem. — Niemiec-

ki szpieg, pracował jako lokaj brytyjskiego ambasadora w Turcji. Wheeler siedzi w tym interesie już od dwudziestu lat i mógł tu umieścić tysiące takich Cicerów.

151

Nie tylko w światku politycznym, nie. Ciekawe, ilu naszych potentatów przemysłowych trzyma u siebie byłych służących Wheelera?

— Wszyscy mają angielskie nazwiska i mówią bezbłędną angielszczyzną —

dorzuciła Alison. — Wheeler o to na pewno zadbał. — wyciągnęła dłoń i zaczęła odliczać na palcach. — Raz: przyjeżdżają do Anglii i czekając na obywatelstwo, pieczołowicie uczą się języka. Poznają też zwyczaje Brytyjczyków w ich naturalnym środowisku. Dwa: dostają brytyjskie papiery i zjawiają się u Wheelera

po ostateczny szlif. Trzy: Wheeler umieszcza ich na właściwym przyczółku. —

Pokręciła z powątpiewaniem głową. — To bardzo dalekosiężny plan.

— Sam Wheeler jest elementem planu zakrojonego na lata. Jakoś nie wyobra-

zam sobie, żeby miał teraz pakować walizki i wracać do ojczyzny. Na litość Bo-ską, przypomnij sobie Slade'a! On się tu wgryzał przez dwadzieścia osiem lat! Ci ludzie, Alison, patrzą daleko w przyszłość. — Zamilkłem. — Kiedy wylatujemy?

— Jutro rano.

— Dobra. Chcę wreszcie dostać tego nieprawdopodobnego sukinsyna.

Przez lotnisko w Cork przedarłem się jak zwykle, opłótkami. Z wolna zaczy-

nałem już zapominać, jak to jest, kiedy się wchodzi Frontowymi drzwiami. Maeve O'Sullivan, choć to do niej niepodobne, była naszym wyjazdem kompletnie roztrzęsiona.

— Wracaj mi szybko, dziewczyno — powiedziała żegnając się z Alison. —

Jestem już starą kobietą, nie ma co gadać. — Miała łzy w oczach; wytarła je, nim odwróciła się do mnie. — A ty, Owenie Stannard, uważaj na siebie i na córkę

Aleca Mackintosha.

Rozciągnąłem twarz w uśmiechu.

— Jak dotąd to ona się mną opiekowała.

— Jeśli jej na to pozwalasz, nie jesteś takim mężczyzną, za jakiego się miałam

— odparła cierpko. — Uważajcie na siebie, dzieci, i miejcie się na baczności

przed *gard*,

a.

Zatem uważaliśmy do chwili, gdy miasto umknęło nam pod skrzydłami apa-

che'a. Okrążyliśmy Cork, weszliśmy na kurs południowy i dopiero wtedy mi ulżyło. Alison pstryknęła jakimiś przełącznikami, ustawiła tajemnicze pokrętła, w końcu oderwała ręce od deski rozdzielczej.

— Lot zajmie nam prawie sześć godzin — oznajmiła. — Zależnie od wiatru

i deszczu.

— Spodziewasz się na trasie złej pogody? Uśmiechnęła się.

— Tak mi się powiedziało. Prawdę mówiąc, prognoza meteo jest dobra. Na

wysokości siedmiu tysięcy metrów wieje północny wiatr.

152

— Polecimy aż tak wysoko?! Nie sądziłem, że ta maszyna może osiągnąć taki

pułap.

— Silniki mają turbodoładowanie, dlatego opłaca się latać wysoko, bo to eko-

nomiczne. Ale kabina nie jest hermetyzowana i zaraz, na jakichś trzech tysiącach metrów, będziemy musieli przejść na tlen. Maskę masz obok fotela.

Ostatnim razem, kiedy lecieliśmy z Alison, apache był samolotem sześciomiejscowym. Kiedy była w Londynie, dwa fotele od strony ogona zostały usunięte, a w ich miejsce wstawiono duży plastikowy pojemnik.

Machnąłem ręką za siebie i zapytałem:

— Co to takiego?

— Dodatkowy zbiornik paliwa, trzysta litrów ekstra. Przy najekonomiczniejszej prędkości przelotowej zasięg wzrasta do pięciu tysięcy kilometrów. Pomyślałam sobie, że może się nam to przydać.

Genialna Alison Mackintosh pomyślała o wszystkim! Znów usłyszałem słowa

Maeve: „Wymagał od niej takiej nieugiętości i takiej siły, że każda inna dziewczyna by się na jej miejscu załamała”. Popatrzyłem na Alison. Kiedy sprawdzała instrumenty pokładowe i badała przepływ tlenu ze zbiorników, na jej twarzy nie widać było ani śladu napięcia, które uzasadniałoby uwagę ciotki Maeve. Zerknęła na mnie i przechwyciła moje spojrzenie.

— O co chodzi? — spytała.

— Skoro poddanemu wolno jest spojrzeć w oblicze króla i ja mogę patrzeć na królową. Właśnie sobie myślałem, że jesteś śliczna, ot co.

Uśmiechnęła się i pokazała kciukiem w tył.

— Za nami jest Blarney Stone, mekka pochlebców. Z całą pewnością wiem, że nigdy w tej okolicy nie byłeś, musisz więc mieć w sobie iralndzką krew.

— I walijską. Stąd imię Owen. Celt ze mnie wyłazi.

— Włóż maskę — poleciła. — Od razu staniesz się tak śliczny jak ja.

Lot był długi i nudny. Chociaż maski miały wbudowane mikrofony, nie rozmawialiśmy dużo i w końcu opuściłem oparcie fotela do pozycji półleżącej. Le-

cieliśmy na południe z szybkością trzystu kilo metrów na godzinę — piętnaście razy szybciej niż Wheeler płynął *Artin*,

a — a ja spałem, a raczej drzemałem.

Budziłem się od czasu do czasu i za każdym razem widziałem Alison w pełnej gotowości bojowej: kontrolowała niebo, sprawdzała instrumenty pokładowe, lekko wyrównywała kurs. Dotykałem jej ramienia, a ona odwracała się w moją stronę z uśmiechem w oczach, po czym znów zajmowała swoją robotą.

Minęły niemal cztery godziny lotu, aż wreszcie dała mi kuksańca w bok i wyciągnęła przed siebie rękę.

— Hiszpański brzeg. — Pod nami, za mgiełką rozgrzanego powietrza, wid-

niało morze, a w oddali majaczyła biała linia przyboju. — Jeśli chcemy lądować w Gibraltarze, nie możemy lecieć nad Hiszpanią — powiedziała. — Byłoby nie-politycznie. Dotrzemy tam od strony portugalskiej, od wybrzeża.

153

Rozłożyła na pulpicie mapę i posługując się z wprawą kątomierzem, wykreśliła nowy kurs. Później wyłączyła autopilota i położyła samolot w łagodnym skręcie.

— To jest przylądek Ortegal. Kiedy zobaczymy Finisterre, znów zmienię kurs.

— Kiedy nauczyłaś się latać? — zapytałem.

— Jak miałam szesnaście lat.

— A strzelać z pistoletu?

Namyśliła się i odpowiedziała:

— W wieku czternastu lat strzelałam z pistoletu, z karabinu i ze strzelby. Bo?

— Nic, tak sobie zapytałem. . .

Najwyraźniej Mackintosh uważał, że uczyć się należy za młodu. Trudno mi

było sobie wyobrazić, jak czternastoletnia Alison wpatruje się w celownik karabinu. Szedłem o

zakład, że znała też Morse'a i cały kod flagowy, nie wspominając już o takich drobnostkach, jak programowanie komputera i rozpalanie ognia bez zapalek.

— Należałaś do harcerstwa?

Potrząsnęła głową.

— Nie miałam czasu.

Nie miała czasu na harcerstwo! Kiedy nie fruwała albo nie ćwiczyła na strzel-

nicy, siedziała na pewno nad książkami, wkuwając języki obce. Znajac Mackintosha, dałbym głowę, że i w łodzi podwodnej czuła się jak u siebie w domu. Co za piekielne życie wiodła ta dziewczyna!

— Miałaś wtedy jakieś towarzystwo? — zapytałem. — Spotykałaś się z rówieśniczkami?

— Nie za często. — Poruszyła się niespokojnie w fotelu. — Owen, do czego ty zmierzasz?

Wzruszyłem ramionami.

— Do niczego. Chodzą mi po głowie puste myśli rozleniwionego faceta i tyle.

— Maeve O'Sullivan naopowiadała ci pewnie jakichś makabrycznych historii, co? O to chodzi? No tak, mogłam się tego spodziewać.

— Nie powiedziała ani jednego słowa za dużo — zaprotestowałem. — Ale człowiekowi trudno nie myśleć.

— No to lepiej zatrzymaj swoje myśli dla siebie. — Odwróciła się do pulpitu

i pogrzyżyła w milczeniu. Doszedłem do wniosku, że dobrze zrobię, jeśli przestanę w końcu kłapać dziobem.

Kiedy skręciliśmy i wlecieliśmy w przestrzeń powietrzną nad Cieśniną Gi-

braltarską, Alison przejęła stery i zaczęliśmy schodzić niżej. Na wysokości trzech tysięcy metrów zdjęła maskę, a ja poszedłem z zadowoleniem w jej ślady. I wtedy, w oddali, po raz pierwszy ujrzałem Skalę wynurzającą się z niebieskiej toni morza. Zawróciliśmy i spostrzegłem sztuczny port oraz pas startowy wgryzający 154

się w Zatokę Algeciras niczym pokład gigantycznego lotniskowca. Wyglądało na

to, że Alison, która rozmawiała akurat przez radio, bywała tu już nieraz.

Lądowaliśmy od wschodu i nasz małeńki samolocik nie potrzebował aż tak

długiego pasa. Sunęliśmy po nim ledwie chwilę, a później pokołowaliśmy w stronę zabudowań lotniska.

Spojrzałem na wojskowe samoloty, od których się tam roiło i zauważyłem ponuro:

— I oto mamy lotnisko dobrze strzeżone. . . Niby jak miałem się przez nie prześlizgnąć?!

— Mam dla ciebie prezent — oświadczyła i z kieszeni na mapy wyjęła paszport. Otworzyłem go jednym ruchem i zobaczyłem, że z wnętrza okładki wyziera na mnie moja własna twarz. Trzymałem w ręku paszport dyplomatyczny.

— Pomoże nam szybko przejść przez odprawę, ale nic nie wskóramy, jeśli rozpoznają w tobie Reardena — ostrzegła.

— Dobra jest. — Nawet jeśliby mnie rozpoznano, sam widok paszportu dyplomatycznego dałby mojemu przeciwnikowi powód do zastanowienia się, czy aby się jednak nie myli. — A swoją drogą, jakie ty musisz mieć koneksje!

— Nieźle — odparła spokojnie.

Oficer wziął do ręki paszport, uśmiechnął się, a cywil o nieprzyjemnej gębie, który stał przy nim, spuścił parę i przestał mi się przyglądać. W ciągu trzech minut było po odprawie i wyszliśmy przed główny terminal lotniska.

— Zatrzymamy się w Rock Hotel — uświadomiła mnie Alison. — Bądź tak dobry i zorganizuj taksówkę.

Jeśli wyszkoleni przez Wheelera Albańczycy stawali się idealny mi służącymi, Alison Smith była sekretarką daną od samego Boga. Ani przez sekundę nie zastanawiałem się, gdzie przyjdzie nam tej nocy przyłożyć głowy, a ona rzecz całą dokładnie przemyślała. Alec Mackintosh miał szczęście. A może to w sumie

żadne szczęście? Po prostu dobrze ją wyszkolił.

W hotelu sąsiadowaliśmy przez ścianę i umówiliśmy się, że jak już się trochę ogarniemy, spotkamy się w barze. Strojenie się zajmuje kobiecie o połowę więcej czasu niż mężczyźnie; stwierdziłem z zadowoleniem, że pod tym względem

Alison Smith nie różni się zbyt od innych kobiet. Połowa to raptem pięćdziesiąt procent, ale pięćdziesiąt procent w wykonaniu Alison trwało jakby dwa razy dłużej. Zanim znalazła się obok mnie, zdążyłem wysączyć swoje pierwsze piwo.

Zamówiłem jej wytrawne martini. Sobie wziąłem następne piwo.

— Co robimy, jak zjawi się Wheeler? — spytała.

— Będę musiał sprawdzić, czy na *Artinie* jest Slade, więc czeka mnie drobna piracka robótka. — Uśmiechnąłem się. — Obiecuję nie ganiać po falochronie

z nożem w zębach.

— A jeśli jest?

— Wtedy zrobię, co się da, żeby go stamtąd wyciągnąć.

155

— A co zrobisz, jak ci się z nim nie uda?

Wzruszyłem ramionami.

— Mam swoje rozkazy na taką ewentualność.

Skinęła chłodno głową, a ja zastanawiałem się przez chwilę, czy Mackintosh również i jej wydał podobne polecenia.

— Ze swoją pozycją Wheeler przycumuje zapewne w Jachtklubie Królewskim. Często tutaj bywa, nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że jest jego członkiem.

— Gdzie ten klub?

— Niecały kilometr stąd.

— Nie zaszkodzi przyjrzeć mu się z bliska.

Dopiliśmy drinki i wyszliśmy na słońce. Basen jachtowy zapełniony był roz-

maitymi żaglówkami, motorówkami, łodziami dużymi i małymi. Stałem i przyglądałem się im chwilę.

— Tam jest wygodny taras, gdzie można napić się czegoś zimnego.

— Miło będzie zabijać czas — powiedziałem.

— Najpierw muszę zatelefonować — oznajmiła Alison i odpłynęła w dal.

Patrzyłem na jachty i na morze i usiłowałem wykombinować, jak też mógłbym

zakraść się na pokład *Artiny*. Jednak nic z tych rozmyślań nie wyszło, bo nie wiedziałem, gdzie Wheeler rzuci kotwice.

Wróciła Alison.

— *Artiny* spodziewają się jutro o jedenastej rano. Wheeler kontaktował się przez radio.

— Świetnie. — Wystawiłem twarz do słońca. — Co robimy do jedenastej?

— Może popływamy? — zaproponowała nieoczekiwanie.

— Zapomniałem wziąć kąpielówki. Nie spodziewałem się wakacji pod półtropikalnym niebem.

— Na tym świecie są jeszcze sklepy. . . — zauważyła łagodnie.

Zatem wyruszyliśmy na zakupy. Kupiłem kąpielówki, ręcznik i niemiecką lornetkę. Nie musiałem płacić za nią cła, a instrument był nad wyraz sprawny i o dużej mocy.

Przenieśliśmy się na drugą stronę półwyspu i pływaliśmy w Zatoce Katalońskiej. Było bardzo przyjemnie. Tej nocy wybraliśmy się do nocnego klubu i to

okazało się jeszcze przyjemniejsze. Wyglądało na to, że pani Smith jest jednak człowiekiem ulepionym z tej samej gliny co my, reszta śmiertelników.

IV

Następnego ranka o dziesiątej siedzieliśmy na tarasie, który wy chodził na basen jachtowy i sączyliśmy jakiś napój z wysokich szklanek. Napój był zimny

156

i prawie bez alkoholu. Oboje mieliśmy na nosie ciemne okulary nie tyle po to, by chronić oczy przed słońcem, ile by na podobieństwo gwiazd filmowych zapewnić sobie incognito. Lornetka znajdowała się tuż pod ręką i brakowało nam tylko *Artiny*, Wheelera i — co bardzo prawdopodobne — Slade'a.

Nie rozmawialiśmy wiele. Nie było o czym rozmawiać, ponieważ nie mogli-

śmy niczego ustalać ani planować pod nieobecność *Artiny*. Tymczasem ubiegłej nocy Alison, która — dając za to głowę — w życiu niczego nie zapomniała, sama

się nieco zapomniała i teraz czuła się chyba trochę nieswojo. Nie, nie, nie dopu-

ściła mnie zbyt blisko siebie. Ja zrobiłem, co należało w tej sytuacji zrobić — to znaczy usiłowałem ją poderwać — ona zaś z łatwością stosowała zręczne uniki.

Rano zostały mi już tylko wspomnienia, bo Alison znów opancerzyła się swoją zawodową czujnością. Pracowaliśmy i nasze prywatne układy nie miały żadnego znaczenia.

Wchłaniałem w siebie słońce. Tego mi właśnie brakowało w Anglii, zwłaszcza w więzieniu, i wreszcie mogłem wygrzać sobie kości. Czas mijał.

W pewnej chwili Alison wzięła do ręki lornetkę i skierowała ją między ramiona falochronów, na łódź, która wchodziła do portu.

— Myślę, że to *Artina*. . .

Akurat trzymałem szklankę przy ustach. Połknąłem nie tak jak trzeba i, z trudem łapiąc powietrze, dławiłem się i krztusiłem. Alison spojrzała na mnie zaniepokojona.

— Co się stało?

— Cóż za bezczelność! — wydusiłem z siebie ze śmiechem. — *Artina* to

anagram Tirany, a Tirana to stolica Albanii! Ten sukinsyn naśmiewa się z nas

w żywe oczy. Dotarło to do mnie, jak usłyszałem, co mówisz.

Uśmiechnęła się i podała mi lornetkę.

Obserwowałem łódź, która wchodziła do portu, widziałem zamierającą falę

dziobową przy burcie i w myślach porównywałem *Artinę* ze szkicem i zdjęciami jej bliźniaczej siostry.

— Tak, to może być *Artina*. . . W ciągu najbliższych pięciu minut będziemy wiedzieć na pewno.

Łódź podpłynęła jeszcze bliżej i na jej rufie zobaczyłem dużego blondyna.

— Zgadza się. To jest *Artina* i Wheeler. — Przeszukałem wzrokiem cały pokład. — Ani śladu Slade'a, ale tego należało się spodziewać. Nie wystawiłby go ostentacyjnie na widok publiczny.

Jacht rzucił kotwicę z dala od brzegu i kołysał się łagodnie na wodzie. Wbi-

jałem wzrok w każdego, kto zjawiał się na pokładzie. Poza Wheelerem ziden-

tyfikowałem pięciu facetów. Na łodzi znajdowała się siedmioosobowa załoga i nie znana mi bliżej liczba gości, lecz ci, których tam ujrzałem, na gości nie wygląda-li. Dwóch stało na dziobie przy windzie kotwicznej, a trzeci obserwował łańcuch kotwicy. Kolejnych dwóch opuszczało na wodę niewielką łódkę.

157

— Policz, ilu ludzi zejdzie na brzeg — rzuciłem cicho. — Taka informacja może się nam przydać.

Dwóch od windy kotwicznej przeszło na śródokręcie. Odwiązali składany trap

i przerzucili przez burtę *Artiny*. Jeden z nich opuścił się w dół i przymocował do trapu łódkę. Wreszcie zjawił się sam Wheeler w towarzystwie faceta w szpiczastej czapce i obydwaj zeszli po schodkach do łódki. Zawarczał silnik. Motorówka

zatoczyła najpierw szeroki łuk, a potem wyprostowała kurs, sterując na jacht klub.

— To chyba Wheeler z szyprem — odezwała się Alison. — Facet za sterem

to zwykły marynarz.

Wheeler i szyper wyszli na brzeg, a motorówka wróciła do *Artiny*. Tam marynarz przymocował ją do trapu i wspiął się na pokład. Alison stuknęła mnie łokciem.

— Spójrz tylko.

Obróciłem głowę w kierunku, który wskazywała palcem. W stronę *Artiny* su-nęła duża barka.

— No tak. . . — mruknąłem.

— To jest portowy zbiornikowiec — mówiła Alison. — *Artina* zaraz zatankuje wodę i ropę. Wygląda na to, że Wheeler nie będzie tu długo popasał.

— Cholera jasna! Miałem nadzieję, że zostaną na noc. Wolałbym wdrapywać się tam po ciemku.

— Na pokładzie chyba nie ma gości. I okropnie mu się spieszy — zauważyła

Alison. — Z naszego punktu widzenia to dobry znak. Bardzo możliwe, że na łodzi jest Slade.

— No i dużo nam z tego przyjdzie, skoro nie mogę wejść na pokład i go dopaść. Jak długo, twoim zdaniem, potrwa tankowanie?

— Myślę, że z godzinę.

— Mamy więc dość czasu, żeby wynająć łódkę. Idziemy.

Wyklóciliśmy się z gościem od motorówek i w końcu stanęło na tym, że zapłacimy mu tylko dwa razy więcej, niż wynosiła normalna stawka. Wsiedliśmy i wypuściliśmy się na portowe wody.

Portowy zbiornikowiec i *Artina* stykały się lewymi burtami, przez które biegły jakieś rury i przewody. Tankowania doglądał jeszcze jeden marynarz w szpiczastej czapce — to musiał być mechanik. Podpływając pod prawą burtę zmniejszyłem

obroty silnika i jakieś pięćdziesiąt metrów od jachtu zaczęliśmy dryfować w jego kierunku. Ktoś pojawił się na pokładzie, obrzucił nas obojętnym spojrzeniem, po czym uniósł głowę, żeby spojrzeć na Skałę. Chińczyk!

— Prawdopodobnie mamy przed sobą Changa Pi-wu. Wheeler musi naprawdę przepadać za chińską kuchnią, jeśli zabiera w morze swego kucharza. Mam nadzieję, że i załoga podziela te gusta.

— Może załoga ma osobnego kuchcika?

— Może. . .

Ukradkiem przyglądałem się Chińczykowi. Wielu białych twierdzi, że wszyscy Chińczycy wyglądają tak samo. To nieprawda. Chińskie twarze różnią się dokładnie tak samo, jak fizjonomie europejskie i wiedziałem, że tego gościa zawsze już rozpoznam. Ale ja miałem w tym wprawę, bo kiedyś mieszkałem na Wschodzie.

Podpłynęliśmy do rufy. Chociaż słońce stało wysoko, bulaje skrajnej kabiny gościnnej były zasłonięte firankami. Wiedziałem już, gdzie przywarował Slade.

Rozwścieczała mnie myśl, że jestem o krok od niego i nie mogę nic zrobić.

Zwiększyłem obroty silnika i zawróciłem do brzegu. Zdążyłem jeszcze zoba-

czyć, jak jakiś marynarz opuszcza się do łódki i gmera przy trapie. Kiedy oddawaliśmy nasz wehikuł właścicielowi, obejrzałem się i zobaczyłem, że motorówka z Wheelerem i szyprem na okładzie płynie już z powrotem do jachtu. Wheeler,

szyper i marynarz weszli na pokład, trap wciągnięto na górę i gdzieś schowano.

Godzinę później *Artina* wypłynęła z portu i skierowała się na pełne morze.

Ogarnęło mnie poczucie kompletnej bezradności.

— Gdzie oni teraz płyną, do ciężkiej cholery?

— Jeśli udadzą się na wschód, na Morze Śródziemne, w stronę wysp greckich,

będą tankować na Malcie — stwierdziła Alison. — To byłoby logiczne. Chodźmy sprawdzić, jaką podał trasę.

I poszliśmy. Miała rację. Nie mogę jednak powiedzieć, by to poprawiło moje samopoczucie.

— Kolejne cztery dni? — spytałem załamany.

— Kolejne cztery dni — zgodziła się. — Ale może w Valletcie bardziej dopisze nam szczęście.

— Chciałbym, żeby mieli wypadek. Wystarczyłaby jakaś mała awaria, która zatrzymałaby ich na jedną noc, cholera. Nie masz czasem pod ręką kilku min magnetycznych?

— Przykro mi, Owen, nie mam.

Wpatrywałem się ponuro w białą plamkę znikającą w oddali.

— Niepokoi mnie ten Chińczyk — wyznałem. — A jeszcze bardziej powinien się nim martwić Slade.

— A to niby dlaczego?

— Komunistyczna Albania przestała naginać się do politycznej linii Moskwy.

Enver Hodża, szef albańskiej partii, przeczytał Czerwoną Książeczkę i zaczął myśleć jak Mao. Ciekawe, czy Slade wie, że znalazł się w albańskich rękach. . .

Alison uśmiechnęła się półgębkiem.

— Zastanawiałam się, kiedy do tego dojdiesz.

— Doszedłem już dawno temu, prawdopodobnie jeszcze przed tobą. Chiń-

czycy mieliby radochę, gdyby udało im się przejąć Slade'a. To przecież czołowy agent brytyjskiego i sowieckiego wywiadu w jednej osobie! W ciągu miesiąca wycisnęliby go jak cytrynę. — Wzruszyłem ramionami. — A ten cholerny głupiec

159

sądzi, że wraca do Moskwy, do domu. . .

Min magnetycznych nie mieliśmy, ale zamiast tego zdobyłem coś równie skutecznego, przy czym o wiele prostszego w obsłudze. Było to już w Grand Harbour, w Wielkim Porcie w Valletcie, cztery dni później.

Cztery dni wcześniej zapłaciliśmy rachunek w hotelu Rock i poleciliśmy na Maltę. Na lotnisku Luqa mój paszport dyplomatyczny zadziałał identycznie jak w Gibraltarze i wszystkie celne barierki pokonaliśmy bez kłopotów.

Mieliśmy przed sobą cztery dni czekania i nagle ogarnął nas wspaniały, wakacyjny nastrój. Niebo było błękitne, słońce gorące, a morze kusiło lazurem. Za dnia liczne knajpki i kawiarenki zapraszały na chłodne wino i potrawy z owoców morza, nocą zaś można było pójść na dancing do kilku niezłych restauracji. Alison rozluźniła się jak nigdy przedtem.

No i poza tym odkryłem, że istnieje coś, co potrafię robić lepiej niż ona, dzięki czemu moje koszmarne zmalretowane ego zostało nieco podbudowane. Pewnego

dnia wypożyczyliśmy butle, maski i płetwy i kiedy zanurkowaliśmy w przejrzystych wodach Morza Śródziemnego, stwierdziłem, że na tym polu jestem lepszy

od Alison. Byłem od niej lepszy najpewniej dlatego, że mieszkałem w Australii i w RPA, gdzie okoliczne wody są ciepłe i czyste, i gdzie nurkowanie bez piankowego skafandra jest rozkosznym luksusem, a nie pokuta za grzechy, jak w Anglii.

Przez trzy dni i trzy noce leniuchowaliśmy, pływaliśmy i tańczyliśmy, aż przyszła noc ostatnia, bo rano zjawić się miał Wheeler.

Dochodziła prawie północ, kiedy poruszyłem delikatny temat pana Smitha.

Tym razem Alison nie obraziła się i nie zamknęła w sobie; może dlatego, że wlałem w nią od groma alkoholu. Gdyby toasty wznosił przeciwnik, zachowałaby

czujność, ale kieliszki napełniała przecież ręka przyjaciela i tym sposobem Alison dała się zaskoczyć. Spryciula jesteś, Stannard!

Uniosła kieliszek na wysokość oczu i uśmiechnęła się do mnie przez bursztynowy płyn.

— Co chcesz o nim wiedzieć? — zapytała.

— Widujesz się z nim?

Postawiła kieliszek, rozlewając trochę wina.

— Nie, już się z nim nie widuję. — Powiedziała to chyba ze smutkiem.

161

Zapaliłem papierosa i poprzez kłąb dymu spytałem:

— Rozwód?

Potrząsnęła głową, a jej długie włosy zafalowały niespokojnie.

— Nic z tych rzeczy, Owen. Daj papierosa.

Podąłem jej ogień.

— Wyszłam za męża za człowieka nazwiskiem John Smith. Może nie uwierysz, ale ludzie o takich nazwiskach naprawdę istnieją. Czy był agentem wywiadu? Nie. Policjantem? Nie. Był księgowym. Tak, księgowym, a poza tym był bardzo dobrym i miłym człowiekiem. Alec wpadł w przerażenie. Jego program nie zakładał, że wyjdę za księgowego, nie po to mnie stworzył — rzuciła gorzko.

— Mów dalej — powiedziałem łagodnie.

— Ale i tak za niego wyszłam. I byliśmy bardzo szczęśliwi.

— Przedtem mieszkałaś z ojcem?

— Z ojcem? Z Alekiem? No jasne, a z kimże innym miałabym mieszkać? Ale wyprowadziłam się, nie mogłam już dłużej. Zamieszkaliśmy z Johnem w pobliżu Maidenhead i żyliśmy sobie szczęśliwie. Byłam szczęśliwa, bo byłam po prostu żoną Johna, zwyczajną kurą domową, bo jak większość mężatek mogłam zajmować się kuchnią i nie musiałam myśleć o rzeczach, o których myśleć nie chciałam.

Alec był, oczywiście, rozczarowany, bo stracił swego robota, swoją idealną sekretarkę.

Pomyślałem o Johnie Smithsie, o księgowym Smithsie, który zaczynał pracę

o dziewiątej rano, kończył ją o piątej, a potem wracał do ukochanej żony. Zastanawiałem się, jak on to wszystko widział i czy znał prawdę o Alison Mackintosh.

Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, by Alison siadła mu kiedyś na kolana, przy-

tuliła się i wyznała: „Kochanie, poślubiłeś dziewczynę, która po ciemku potrafi przestrzelić facetowi rzepkę w kolanie, która umie prowadzić samochód, ma licencję pilota, i która jak zechce, to jednym ciosem karate ukatrupi każdego osiłka.

Czy nie sądzisz, że kroi się nam wspaniałe małżeństwo? Pomyśl tylko o wychowaniu dzieci! Czyż moje umiejętności nie okażą się wtedy przydatne?”

— A potem?

— A potem. . . Potem nie było już nic — odparła. — Po prostu beznadziej-

nie głupi wypadek samochodowy na szosie M4. — Twarz miała nieruchomą, nie uśmiechała się, mówiła przez zaciśnięte usta. Myślałam, że też umrę, naprawdę.

Widzisz, ja kochałam Johna.

— Przykro mi. . . — powiedziałem chyba ciut nieszczerze.

Potrząsnęła głową i podsunęła kieliszek po następną porcję wina.

— To, że chciałam umrzeć, w niczym mi, rzecz jasna, nie pomogło. Przez jakiś czas miewałam czarne myśli, godzinami pograżałam się w rozpacz, aż w końcu wróciłam do Aleca. Nic innego stało. — Upiła łyk wina. — Prawda?

— Może. — Powiedziałem to ostrożnie, bez przekonania.

Posłała mi cierpkie spojrzenie.

162

— Chodzisz przy mnie na paluszkach, Owen, co? — rzuciła. — Nie chcesz

mnie zranić, dlatego własne zdanie zachowujesz dla siebie. Cóż, bardzo to chwalne z twojej strony. . .

— Nigdy nie wydaje powierzchownych osądów, Alison.

— To znaczy, że zawsze musisz znać fakty, tak? Dobrze, podam ci kilka fak-

tów. Alec i moja matka nigdy nie umieli się dogadać, ich małżeństwo kulało.

Chyba po prostu do siebie nie pasowali, w dodatku Alec musiał często wyjeżdżać, a matka nie rozumiała, co on w tej swojej pracy widzi.

— Pracował wtedy tam, gdzie teraz?

— On tam pracował od zawsze, Owen, od zawsze. No i zanim się urodziłam,

byli już w separacji. Urodziłam się w Waterford i mieszkałam tam aż do śmierci matki. Matka zmarła, kiedy miałam dziesięć lat.

— Tam, w Waterford, byłaś szczęśliwa?

Alison zamyśliła się.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Chyba niezbyt wiele pamiętam z tamtych

czasów. Potem wydarzyło się tyle rzeczy, że dzieciństwo gdzieś się w tym wszystkim rozmyło. — Zgasiła papierosa. — Nie wiem, czy Aleca można nazwać ideal-

nym ojcem, raczej nietypowym, ale nie idealnym. Jako dziecko byłam niezdolna.

Rozrabiałam i nigdy mnie nie ciągnęły lalki i plisowane sukieneczki. Alec chyba to wykorzystał.

— Teraz jesteś kobietą — powiedziałem wolno.

— Czasami w to wątpię. — Skubała palcami obrus. — No i Alec zaczął mnie

szkolić. Szkolił, szkolił, aż wyszkolił. Nie wiem, na kogo. Ale wtedy świetnie się bawiłam. Uczyłam się jeździć konno, trenowałam jazdę na nartach, na nartach

wodnych, uczyłam się strzelać, latać. Wiesz, że mam licencję pilota samolotów odrzutowych?

Pokręciłem głową.

— Fajnie było, cholernie fajnie i wszystko mi się podobało. Nawet wkuwanie

matematyki i języków mi się podobało. Do czasu. Do czasu, kiedy Alec zabrał

mnie do biura i powiedział, po co to wszystko robiłam. Wtedy już nie było fajnie.

— Wysyłał cię na jakieś akcje?

— Brałam udział w trzech — odparła sucho. — Powiodły się, bardzo się po-

wiodły. Prawie cały czas rzygać mi się chciało. Ale nie to było najgorsze. Najgorzej było w biurze,

kiedy wysyłałam na akcję innych i widziałam, co się z nimi działo. Zaplanowałam zbyt wiele operacji, Owen. Twoją też opracowywałam.

— Wiem. Mackintosh. . . Alec mi mówił.

— Stałam się jedyną osobą, której mógł bezgranicznie zaufać. W tym zawodzie to bardzo cenna rzecz.

Wziąłem ją za rękę.

— Alison, co naprawdę czujesz do Aleca? — spytałem.

163

— Kocham go — odparła — i nienawidzę. Po prostu. — Zaciśnęła palce na

moich. — Zatańczmy, Owen. — W jej głosie zabrzmiała nuta jakiejś rozpaczliwej determinacji. — Zatańczmy.

I wyszliśmy na ciemny parkiet i tańczyliśmy w takt muzyki, jaką grają na dancinгах nad ranem. Przytuliła się i złożyła głowę na moim ramieniu.

— Wiesz, kim naprawdę jestem, Owen? — zaszepotała mi do ucha.

— Jesteś wspaniałą kobietą, Alison.

— Nie, jestem drapieżną muchołówką. Utało się, że rośliny, tak jak kobiety,

to stworzenia łagodne. Rośliny nie mogą mieć okrutnych szczęk wyposażonych

w ostre zęby. Czy obserwowałeś kiedy, jak zachowuje się owad, któremu zdarzy

się przysiąc na muchołówce? Myśli, biedak, że to taka sobie zwyczajna roślinka, roślinka jak każda inna, a tu *klaap*, szczęki się zatrząskują i koniec. To chyba wypaczenie natury, prawda?

Przytuliłem ją mocniej.

— Uspokój się, Alison, uspokój. . .

Przetańczyliśmy ze dwa takty, gdy przeszył ją silny dreszcz.

— O Boże. . . — szepnęła. — Wracajmy do hotelu, Owen.

Zapłaciłem rachunek, spotkaliśmy się przy drzwiach i ruszyliśmy na piechotę

do hotelu oddalonego o dwieście metrów od restauracji. Wsiedliśmy do windy

i milczeliśmy, kiedy wiozła nas na górę. Milczeliśmy i w korytarzu, ale wciąż trzymała mnie za rękę, a gdy podeszliśmy pod jej drzwi, poczułem, jak zaciska swoją dłoń na mojej. Wyjęła klucze. Lekko drżała.

Kochała się ze mną, jakby ją coś opętało, jak szalona, jak dzikuska; zostawiła mi na plecach głębokie zadrapania, bym rano miał o czym pamiętać. Kochała

się nieprzytomnie, by dać upust napięciu, jakie narastało w niej całymi latami, by choć na chwilę zapomnieć o zwichrowanym życiu, jakie dotychczas wiodła.

I kiedy skończyliśmy, Alison wyraźnie się uspokoiła, odprężyła, i rozmawialiśmy długo w noc. Nie pamiętam, o czym, pewnie o rzeczach zupełnie bez znaczenia,

o czymś, czego w sumie nie warto pamiętać, ale dla Alison nasza rozmowa była niezwykle ważna, bo przecież dotychczas rzadko kiedy miała okazję rozmawiać o niczym.

Potem kochaliśmy się znowu i tym razem poszło dużo lepiej. Alison była na

wskroś kobietą, była sobą, a później zasnęła. Miałem jeszcze na tyle rozsądku, by wrócić do swego pokoju, nim się zbudziła. Pomyślałem sobie, że w orzeźwiają-

cym świetle dnia Alison nie będzie z siebie zbyt zadowolona.

II

Tego ranka przyплыwał Wheeler i mieliśmy opracować plan działania. Kiedy Alison zeszła na śniadanie, piłem pierwszą filiżankę kawy. Wstałem, żeby się

164

z nią przywitać. Była lekko zażenowana i unikała mego wzroku.

Usiedliśmy i spytałem:

— Czego użyjemy zamiast tych cholernych min magnetycznych?

Odchyliłem się do tyłu, oparłem o zagłówek fotela i poczułem, jak fałdy ko-

szuli wpijają mi się boleśnie w zadrapania na plecach. Nachyliłem się pospiesznie nad stolikiem i wziąłem grzanekę.

Zerknąłem na Alison i stwierdziłem, że znów jest sobą, że znów siedzi przede

mną profesjonalistka. Rozgryzała problem i reszta się nie liczyła. Sprawy osobiste i zawodowe nie mają ze sobą nic wspólnego.

— Zadzwońię do kapitanatu — powiedziała. — Trzeba sprawdzić, kiedy przy-
pływają.

— Nie możemy sobie pozwolić na drugi Gibraltar — oświadczyłem zdecy-
dowanie. — Jeden skok przez morze i znajdą się w Albanii, cali i zdrowi. Co
zrobimy, jeśli *Artina* wpłynie do portu za dnia i za dnia odbije?

— Nie mam pojęcia — odparła.

— Jedno jest pewne. Za dnia, kiedy będzie stała na kotwicy po środku basenu
portowego, w życiu się na nią nie dostanę i nie dopadnę Slade'a. Co nam pozos-
taje? — Sam sobie odpowiedziałem. — Musimy zrobić wszystko, żeby *Artinę*
zatrzymać tu na noc.

— Ale jak?

— Obmyśliłem pewien sposób. Po śniadaniu idziemy na zakupy. Czy mogę ci

posmarować grzanek?

Tak więc zjedliśmy obfite śniadanie i wyruszyliśmy na ulice Valletty, gdzie

upał stał okrutny i gdzie ciepły, złotawy wapien, z którego budowano tu domy, upał ten niebywale powiększał. W kapitanacie powiedzieli nam, że spodziewają

się *Artiny* w południe i to nas zasmuciło. Zrobiło się nam jeszcze smutniej, kiedy poinformowano nas, że Wheeler zamówił już tankowanie, i że kiedy tylko *Artina* rzuci kotwicę, podpłynie do niej portowy zbiornikowiec.

Odeszliśmy na bok i powiedziałem:

— To przesądza sprawę. Kupujemy, co mamy kupić. Znaleźliśmy sklep skut-

niczy i weszliśmy do środka, by ujrzeć na półkach najprzeróżniejszy — i bardzo drogi — osprzęt niezbędny do utrzymania każdego jachtu. Szybko znalazłem to,

czego szukałem — lekką i bardzo wytrzymałą linę z nylonu. Kupiłem sześćdziesiąt metrów, kazałem zwinąć i zapakować.

— Na pewno wiesz, co robisz? — spytała Alison.

— Wpadłem na ten pomysł, kiedy nurkowaliśmy z aparatami. — Machnąłem ręką w stronę portu. — Jak byś się dostała na środek basenu, żeby cię nie widzieli?

Skinęła głową.

— Pod wodą. No dobrze, ale nie wiem jeszcze, jak ta lina pomoże ci wejść na pokład?

165

— Pomoże, pomoże, zobaczysz. Przecież bierzesz w tej operacji aktywny udział. Teraz idziemy po sprzęt. Kiedy *Artina* przybędzie, musimy już być na miejscu.

Poszliśmy do wypożyczalni aparatów do nurkowania i zanim odebrałem

sprzęt, dokładnie sprawdziłem, czy wydają nam pełne butle. Potem, po krótkim

teście w hotelowym basenie, ruszyliśmy z powrotem do portu.

Kiedy siedzieliśmy jeszcze w basenie, Alison wydała z siebie jakiś dziwny

dźwięk i wciągnęła głęboko powietrze. Odwróciłem się przez ramię, by ujrzeć,

jak się czerwieni. Patrzyła na moje plecy.

Zachichotałem.

— Powinnaś chodzić do łóżka z butelką środka dezynfekującego, Alison —

powiedziałem. — Wspaniała z ciebie dziewczyna.

Bez widocznej przyczyny nagle się rozżłościła.

— Stannard, jesteś. . . Jesteś. . .

— Weź się w garść — uciałem ostro. — Mamy robotę.

To podziałało i od razu rozładowało niezręczne napięcie. Poszliśmy do portu

i zaczęliśmy czekać na *Artinę*.

— Jaki masz plan? — spytała.

— Jeśli przestudiowałaś mój życiorys, to wiesz, że swego czasu bawiłem w In-

donezji. Jedną z najbardziej niebezpiecznych przygód, jakie tam przeżyłem, była ucieczka na małej łodzi. Ścigał mnie patrol. Gnali za mną jak wariaci i strzelali z dwudziestomilimetrowego działka. Było tam trzęsawisko mangrowe, więc szybko w nie skręciłem w poszukiwaniu schronienia. Popełniłem duży błąd. Dookoła

pływały wodorosty, od groma wodorostów, i oplatały się wokół śruby, wokół wału napędowego, rozumiesz? Te wodorosty omal nie skazały mnie na śmierć.

— Co było potem?

— To bez znaczenia, Alison. — Kiwnąłem głową w stronę portu. — *Artina*

jest łodzią znacznie większą od tej, którą uciekałem w Indonezji, ale i nasza lina jest nieporównanie wytrzymalsza od wodorostów. Kiedy Wheeler rzuci kotwicę,

podpłyniemy do *Artiny* i owiniemy jej liną śruby i wał. Albo ją to zastopuje, albo nie, choć idę o zakład, że nam się uda. A najwspanialsze w tym wszystkim jest to, że kiedy odkryją, co ich unieruchomiło, nie będą niczego podejrzewali, bo coś takiego może się przytrafić każdej łodzi. Tak czy siak, czeka ich od cholery roboty. Będą musieli cały ten kociokwik rozplatać, a pamiętaj, że silniki zacisną linę na amen. Mam nadzieję, że zejdzie im na tym cała noc.

— To może wypalić — zgodziła się Alison i dodała bez zająknięcia: — Zde-

zynfekując ci te zadrapania. Woda w porcie jest brudna, może wdać się infekcja.

Spojrzałem jej prosto w oczy. Wytrzymała mój wzrok bez mrugnięcia powieką.

— Dobra — odparłem, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

166

Odeszła na chwilę, wróciła z buteleczką jakiegoś płynu i polała nim moje plecy. Potem usiedliśmy i cierpliwie czekaliśmy na *Artinę*.

Dzień był gorący i cholernie długi. *Artina* się spóźniała i zaczynałem się niepokoić, czy aby nie ominęła Malty i nie popłynęła wprost do Albanii. Weszła do portu o drugiej trzydzieści i rzuciła kotwicę daleko od brzegu. Znow opuścili na wodę łódź, ale tym razem zasiadł w niej tylko szyper. Wheeler się nie pokazał.

Zgasilem papierosa.

— No to do dzieła. — Zacisnąłem pasy mocujące butle z powie trzem. — To kawał drogi. Dasz radę tam dopłynąć?

Rozprowadziła trochę wody po wnętrzu maski.

— Bez wysiłku-odpowiedziała.

— Trzymaj się blisko mnie. Nie popłyniemy do niej bezpośrednio. Zboczymy

niedużo z kursu, opłyniemy rufę w odległości jakichś dwudziestu metrów i zajdziemy ich z drugiej strony, kapujesz? Tam będzie ten portowy zbiornikowiec, to jest mam nadzieję, że będzie, więc uważaj jak cholera.

Zwój liny przymocowałem do uda. Sprawdziłem, czy się dobrze trzyma

i wszedłem do wody. Wątpię, czy w basenie Wielkiego Portu Valletty widuje się płetwonurków. I nie dlatego, że nie wolno w nim pływać, nie, proszę bardzo, mogą. Tyle tylko, że woda jest tu koszmar nie brudna i w każdej chwili grozi człowiekowi zgilotynowanie. Ruch w porcie jest duży, a rozdygotane śruby co i raz przemykające nad głową stanowią wielkie niebezpieczeństwo.

Na zejście do wody wybrałem zaciszne miejsce, by nikt się nam zbytnio nie przyglądał. Zanurzyliśmy się głęboko, na jakieś osiem metrów i dopiero wtedy obraliśmy właściwy kurs. Wiedziałem, z jaką szybkością będę płynął, zna-

łem dzielącą nas od celu odległość dlatego starannie odliczałem mijający czas.

W tego rodzaju ćwiczeniach rzeczą niezwykle trudną jest płynąć prosto, utrzymać względnie równy kurs. Od czasu do czasu oglądałem się do tyłu, by sprawdzić, co z Alison. Płynęła nieco z boku, z lewej, i nie traciła mnie z oczu.

Kiedy wyszło mi, że dotarliśmy już do ustalonego przeze mnie punktu, da-

łem Alison znak, by się zatrzymała i pływalismy chwilę w koło. Rozglądałem się.

W górze usłyszałem wzmagający się hałas. Uniosłem głowę i ujrzałem cień pły-

ącego nad nami statku. Jego śruby cięły z impetem wodę, tworząc silne prądy, które szarpały nami tam i z powrotem. Potem śruby zamarły i dobiegł nas głośny, głuchy odgłos. Portowy zbiornikowiec przycumował do burty jachtu Wheelera.

Dałem znak Alison i ruszyliśmy nowym kursem. Zbliżaliśmy się coraz bar-

dziej do celu i miałem nadzieję, że akurat teraz nikt nie wyjrzy przez burtę i nie zauważy łańcuszka bąbelków wytryskujące-go spod powierzchni wody. Nadpływalismy od strony zbiornikowca i wszyscy powinni znajdować się na przeciwnej

burcie, bo tam odbywało się cumowanie i tam odbywać się będzie za chwilę tan-

kowanie ropy i wody. Jeśli więc ktoś wychylił się za burtę od naszej strony, będzie to znaczyć, że na zbiornikowcu zatrudniają zbyt wielu robotników.

167

Gdy wpłynęliśmy pod barkę i jacht, ich cielska zasłoniły nam światło i zrobiło się nieco ciemniej. Zatrzymaliśmy się na moment i wymacałem ręką kil *Artiny*.

Później, wciąż trzymając się kilu jak poręczy, ruszyliśmy w stronę rufy. Dotarliśmy na miejsce i uchwyciłem się dłonią brązowego płata śruby. Modliłem się

jednocześnie, żeby jakiś idiota z maszynowni nie trącił nagle nie tego guzika i nie uruchomił silników. Gdyby te trzy płaty zaczęły się raptem obracać, poszatkowa-

łyby mnie jak mięso na mielony kotlet.

Alison przepłynęła na prawą burtę, a ja szarpałem się chwilę z nylonową liną

na moim udzie. Wreszcie ją odwiązałem i zacząłem starannie rozwijać. Śruba

miała ponad metr średnicy. Wał wchodził, oczywiście, w łożysko kadłubowe i był

w tym miejscu zabezpieczony grubymi sponami. Wetknąłem koniec liny między

sponę a łożysko i okręciłem dookoła wału. Potem zrobiłem pętlę, zarzuciłem ją na płat śruby i znów wróciłem do spony. Pociągnąłem, żeby sprawdzić, czy trzyma.

Trzymało. Tyle na początek.

Najgorsze, że ta diabelska lina ciągle się splątywała. Momentami czuliśmy

się tak, jakbyśmy walczyli z jakimś morskim wężem, bo jej zwoje unosiły się

niebezpiecznie dokoła i w każdej chwili mogły nam spętać nogi, albo, co gorsza, owinąć się wokół szyi. Alison i ja musieliśmy wówczas do złudzenia przypominać słynną Grupę Laokoona.

Ale w końcu nam się udało. Opletliśmy obie śruby tak pogmatwaną siecią, że

gdy silniki ruszą i lina zacznie się napinać, rozpęta się tu istne piekło. Najpewniej

— myślałem, cała maszyna nagle się zatrzyma, ale zawsze jest szansa, że wygnie się przy okazji wał napędowy, albo, jeszcze lepiej, jeden z tłoków przebije na wylot cylinder. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

Odplynęliśmy chyłkiem i wzięliśmy kurs na ląd: Na brzeg wyszliśmy w zu-

pełnie innym miejscu, w każdym razie nie tam, gdzie czekaliśmy na rozpoczę-

cie operacji. Pod wodą zatraciłem poczucie kierunku, ale ten problem znany jest wszystkim pletwonurkom. Przy relingu kotwiczącego w pobliżu trampa stał jakiś nie ogolony typ i spoglądał na nas z wyraźnym zdziwieniem. Wdrapywaliśmy się

akurat na nabrzeże i mieliśmy to gdzieś. Odeszliśmy stamtąd. Butle z powietrzem obijały się nam ciężko o plecy.

Dotarliśmy do naszej pozycji wyjściowej. Zapaliłem papierosa i zerknąłem

w stronę *Artiny*. Zbiornikowiec skończył już tankowanie, właśnie odbijał od jej burty, a z prawej pokazała się łódź wracającego na pokład szypra. Wyglądało na to, że chcą tu wszystko załatwić jeszcze szybciej niż w Gibraltarze. Ciekawe —

myślałem, jaki kurs podali w kapitanacie. Na pewno nie Durres, nie port obsługujący Tiranę, chociaż gotów byłem przysiąc, że tam właśnie zamierzają płynąć.

Szyper wszedł na pokład, za nim natychmiast wskoczył marynarz. Na jachcie

zapanował gorączkowy ruch i nie zdążyli jeszcze wciągnąć łodzi i trapu, kiedy jakiś załogant stanął przy windzie kotwicznej, gotów wybierać łańcuch.

— Bardzo się spieszą — odezwała się Alison.

— Na to wygląda.

— Ciekawe dlaczego.

— Nie wiem, ale za parę minut będą się wściekać jak diabli.

Kotwica poszła w górę i *Artina* zaczęła wolno odpływać. Kompletnie się tego nie spodziewałem i przeżyłem potężny szok. Wyglądało na to, że siedemset koni mechanicznych z łatwością zjadło naszą nędzną linkę.

Alison wstrzymała oddech.

— Nic z tego! — zawołała po chwili.

Artina obróciła się, wzięła kurs na otwarte morze i z każdą sekundą zwiększała prędkość. Za jej rufą bielił się wzburzony kilwater. Opuściłem lornetkę.

— Przynajmniej próbowaliśmy. . . — mruknąłem.

Ogarnęło mnie przygnębienie. Albania była ledwie czterysta pięćdziesiąt mil

stąd i *Artina* znajdzie się tam najpóźniej za dwa dni. Jedyne, co mogłem teraz zrobić, to wsiąść w samolot Alison, wystartować i rozpirzyć jacht samobójczym atakiem z powietrza.

Alison nie odrywała lornetki od oczu.

— Czekaj! — zawołała z napięciem. — Spójrz teraz!

Artina nieoczekiwanie skręciła, raptownie i bez sensu, jak gdyby ktoś szarpnął

mocno kołem sterowym. Jacht walił teraz prosto na brzeg! Po chwili gwałtownie zwolnił, a za rufą zabełtała się woda — włączyli całą wstecz. Zaraz potem wszystko się uspokoiło i *Artina* wpadła w niekontrolowany dryf, zmierzając wprost pod dziób olbrzymiego włoskiego liniowca, który właśnie wychodził z portu.

Buuuuuu! — zahuczał głębokim basem, domagając się, by jacht ustąpił mu z drogi, ale *Artina* nie zareagowała. W ostatniej chwili liniowiec zmienił rozpaczliwie kurs i przeszedł tak blisko jednostki Wheelera, że mógł się o nią nawet otrzeć bokiem. Z kapitańskiego mostka wychylał się jakiś oficer ubrany na białą i domyśliłem się, że akurat w tym momencie na niefortunnego szypra *Artiny* lecą soczyste, włoskie wiązanki.

Liniowiec popłynął dalej, a jacht miotał się bezładnie na fali odboju. Po jakimś czasie od nabrzeża odbił mały stateczek, wziął *Artinę* na hol i odstawił ją tam, skąd odpływała. Kotwica poszła w dół.

Uśmiechnąłem się do Alison.

— A przez chwilę myślałem, że. . . No dobra, sprawa załatwiona. Wheeler tu nocuje. Kiedy odkryją, co się stało, będą wieszać psy na idiocie, który rzucił w wodę nylonową linę.

— Nie pomyślą, że to nie przypadek? — spytała.

— Nie powinni. — Spojrzałem w stronę jachtu. Na rufie stał szyper i gapił

się w wodę. — Zaraz odkryją, co to jest i wyślą na dół nurka, żeby to wszystko poprzecinał. A to zabierze mu znacznie więcej czasu, niż my stawiliśmy na naszą wyprawę. Nie zapominaj, że silniki zrobiły swoje i lina jest zaciśnięta, jak się patrzy. — Roześmiałem się. — To tak, jakby z jajecznicy usiłować zrobić jajko!

169

Alison podniosła z ziemi swój sprzęt.

— I co teraz? — zapytała.

— Teraz czekamy, aż się ściemni. Pójdę tam nocą.

III

Z Ta' Xbiex udaliśmy się do portu w Marsamxett, gdzie w zatoczce Lazzaretto

Creek kotwiczyła *Artina*. Doholowano ją tam po południu ustawiono obok innych jachtów. Wyruszyliśmy w jednej z tych nowoczesnych łodzi z włókna szklanego,

która wyglądała raczej jak wanna niż łódka, lecz Alison radziła sobie z nią znakomicie, a wiosłowała tak, jakby trenowała z osadą regatową Oxfordu. Znow kłaniał

się nam Alec Mackintosh.

Noc była bezksiężycowa, ale niebo czyste, więc nie płynęliśmy zupełnie na

ślepo. Przed nami majaczyła wyspa Manoel, a dalej błyskały światła latarni na cyplu Dragutt Point. Po lewej, niczym stroma, niezdojta skała, rozciągała się spowita w jasność Valletta. *Artina* tonęła w ciemności; dostrzegłem jedynie obowiązkowe światła pozycyjne. Nie dziwiłem się temu. Dochodziła druga trzydzie-

ści i miałem nadzieję, że nikt na jej pokładzie nie cierpi na bezsenność.

Kiedy podpłynęliśmy bliżej, Alison przestała wiosłować i zdryfowaliśmy wol-

no ku rufie *Artiny*. Drabinki sznurowej, której używał pracujący na jachcie nurek, już tam nie było, ale wcale nie liczyłem na to, że mi ją zostawią w prezencie. Do relingu było ponad dwa i pół metra i przydałby mi się drapak, taka mała kotwica.

Ponieważ go nie miałem, musiałem improwizować. Zdobyłem mianowicie hak na

rekiny. Hak na rekiny wygląda prawie dokładnie tak jak oryginalny drapak; składa się z trzech dużych haków zespawanych ze sobą. Owinąłem te paskudne haki

taśmą izolacyjną po to, żeby się na nie nie nadziać, ale też, żeby mój sprzęt nie robił hałasu.

Zadarłem głowę, na tle nieba dostrzegłem zarys drzewca bandery i w ten spo-

sób określiłem w przybliżeniu położenie relingu. Chwyciłem zwój liny w jedną

rękę, a drugą rzuciłem drapak tak, żeby poszybował nad barierką. Usłyszałem

przytłumiony stukot na pokładzie. Ściągnąłem linę, modląc się, żeby hak chwy-

cił. Chwycił. Zaczepił się o reling i kiedy szarpnąłem mocniej, stawiał silny opór.

Teraz można było się wspinać.

Nachyliłem się i szepnąłem:

— To by było na tyle, Alison. Wrócę ze Sladem, albo i nie wrócę. Może będę

musiał szybko stamtąd zwiewać przez burzę, więc kręć się w pobliżu, żeby mnie z tej zupki wyłowić, dobra? — Zawahałem się. — Gdybym nie wrócił, działaj

dalej sama i życzę ci dużo najbardziej angielskiego szczęścia.

Wspiąłem się do góry i zdołałem zahaczyć ramieniem o drzewce bandery, odciążając tym samym linę drapak. Pistolet tkwiący za paskiem spodni wcale

170

mi nie pomagał, bo kiedy niczym człowiek-guma prężyłem się i wyginałem, by

sięgnąć nogą pokładu, jego lufa wbijała mi się boleśnie w pachwinę i dziękowałem Najwyższemu, że tuż przed eskapadą coś mnie tknęło i usunąłem pocisk z komory nabojoyej.

W końcu wdrapałem się na pokład, i to cicho. Chyba mnie nie zauważyli,

bo kiedy zerkąłem za rufę, nikt do mnie nie strzelał. Alison zniknęła, a jedynym śladem, jaki po sobie zostawiła, była lekko zmarszczona powierzchnia wody tam, gdzie winna lśnić nieskazitelna tafla. Zastygłem w bezruchu na dłuższą chwilę, wsłuchując się intensywnie w dźwięczną ciszę.

Jeżeli ktoś w ogóle trzymał na jachcie wachtę, trzymał ją bezgłośnie jak duch.

Założyłem — może i ryzykownie — że czuwający tej nocy facet jest gdzieś na

dziobie, może w sterówce albo w komfortowej jadalni. Aby dostać się do kabin

rufowych, nie musiałem zapuszczać się w tamte rejony. Do kabin tych wchodziło się z holu, schodkami, i jeśli plany jachtu, które tak dokładnie studiowałem, były aktualne, drzwi do holu powinny znajdować się na wprost mnie.

Zaryzykowałem jeszcze raz. Wyjąłem małą latarkę i na sekundę ją włączy-

łem. Na szczęście. Tuż przede mną walał się sprzęt nurka i gdybym go nie zauwa-

żył, narobiłbym potwornego hałasu. Lawirowałem chwilę między żelastwem, aż

wreszcie dotarłem bezpiecznie do przeszklonych drzwi. Dzięki Bogu, drzwi były otwarte. Właściwie się tego spodziewałem, bo kto, u licha, zamykałby na jachcie drzwi?

Hol tonął w ciemnościach, ale zza szyby z prawej burty sączyło się mgliste

światło. Sączyło się go na tyle dużo, że mogłem dostrzec zarys mebli w środku.

Nie chciałem się na nie po ciemku nadziać, więc przytknąłem nos do szybki,

żeby zaplanować sobie w miarę bezkolizyjną trasę. Przytknąłem go i zamarłem z przerażenia. Z drzwi prowadzących do jadalni wyszedł jakiś mężczyzna. Na szczęście od razu skręcił i zniknął w kuchni. Delikatnie nacisnąłem klamkę i znów zastygłem w bezruchu. Nasłuchiwałem. Z głębi holu, najpewniej z kuchni, dobiegł mnie odgłos ciężkiego uderzenia, a później brzęk roztrzaskujących się talerzy. Gość trzymający wachtę postanowił widocznie urozmaicić sobie nudną służbę i grasował po lodówkach. To mi jak najbardziej odpowiadało.

Przeciąłem hol i dotarłem schodami do kabin rufowych. Naliczyłem trzy kajuty gościnne. Kabina właściciela *Artiny* znajdowała się w środkowej części jachtu za maszynownią, więc o Wheelera nie musiałem się martwić. Jedyne, co mnie niepokoiło, to fakt, że nie wiedziałem, czy oprócz Slade'a w kajutach gościnnych mieszka ktoś jeszcze.

Kabina, którą przyuważyłem na Gibraltarze — ta z zasłoniętymi w ciągu dnia bulajami — była największa i mieściła się na rufie. Tam też skierowałem pierwsze kroki. Przekręciłem ostrożnie klamkę i tym razem drzwi nie ustąpiły. To podniosło mnie na duchu, bo jeśli Slade gdzieś tu w ogóle był, z pewnością trzymali go pod kluczem. Osłoniłem dłonią latarkę, włączyłem ją na krótką chwilę i obejrza-

łem zamek. Żadna sprawa. W drzwiach kabinowych nie instaluje się potrójnych zasuw, a gdyby zaszła potrzeba i takie zasuwki umiałem otwierać. Ot, po prostu cała zabawa trwałaby odpowiednio dłużej i tyle.

A tak, już po dwóch minutach stałem w kabinie, drzwi były zamknięte od wewnątrz, a ja wsłuchiwałem się w ciężki oddech śpiącego mężczyzny. Pstryknąłem latarkę, skierowałem ją na koję, modląc się w duchu, bym zobaczył na niej Slade'a. Gdybym ujrzał tam kogoś innego, ziściłyby się moje słowa i zawisnąłbym na rei jak na drzewie, które niegdyś pokazywałem Mackintoshowi.

Martwiłem się niepotrzebnie. To był Slade, Slade we własnej osobie i ucieszyłem się na widok jego nalanej gęby obleczonej żółtawą skórą. Wyjąłem zza paska pistolet i ze szczękiem przeładowałem. Slade poruszył się niespokojnie i wymamrotał coś przez sen. Podszedłem bliżej. Oświetliłem jego twarz, poniżej ucha wymacałem staw szczękowy i ucisnąłem go delikatnie palcem. To najlepszy sposób, żeby śpiącego obudzić w sposób łagodny.

Jęknął, zatrzepotał powiekami, a później zmrużył oczy w powodzi jaskrawego światła.

Przesunąłem latarkę tak, żeby zobaczyć, co trzymam w drugiej ręce.

— Krzykniesz i będzie to ostatni dźwięk, jaki wydasz na tym padole — powiedziałem cicho.

Wzdrygnął się, jabłko Adama na jego szyi zaczęło wyczyniać jakieś konwulsyjno-nerwowe harce, wreszcie przełknął ślinę i wykrztusił:

— Kim pan, u diabła jest?!

— Jak to kim? Twoim starym kumplem, Slade. To ja, Rearden. Przyszedłem zabrać cię do domu.

Chwilę trwało, nim ta radosna nowina do niego dotarła.

— Zwariowałeś! — syknął.

— Całkiem możliwe — przyznałem. — Facet, który chce ratować ci życie, musi być kompletnym wariatem.

Szok z wolna mijał. Na jego policzkach zjawiły się lekkie rumieńce i Slade odzyskiwał stopniowo wewnętrzny spokój ducha — jeśli ducha w ogóle miał.

— Jak się tutaj dostałeś? — spytał.

Przesunąłem latarkę i oświetliłem najbliższy bulaj. To nie były firanki, jak myślałem. Do bulajów przyspawano naprędce arkusze stalowej blachy i Slade nie miał najmniejszych szans, żeby wyrzeć na zewnątrz. Jeszcze jeden pokaz zmyślności Bractwa Wykałaczek.

Wyszczrzyłem do Slade'a zęby i spytałem:

— Tutaj? Gdzie tutaj?

— No. . . Jak to gdzie? Na jacht. — W jego głosie pobrzmiwała nutka nie-

pewności.

— Szedłem twoim tropem, Slade. — Z zainteresowaniem spostrzegłem, jak jego oczy wędrują w lewo, w stronę przycisku dzwonka obok koi. Uniosłem pi-

172

stolet tak, że chcąc nie chcąc, znów go musiał zauważyć. — Nie rób tego — warknąłem — jeśli szanujesz swoje zdrowie.

— Dla kogo ty pracujesz, Rearden? — wyszeptał.

— Można chyba powiedzieć, że bawię się w to samo co ty, ale gram w drużynie przeciwnika. Jestem oficerem kontrwywiadu.

Westchnął przeciągle, wypuszczając powietrze z długim, przerywanym sykiem.

— Więc chcecie mnie wykończyć, nasłali cię na mnie — skonstatował z opóźnieniem. — Nie wyjdiesz z tego, Rearden. — Ruchem głowy wskazał pistolet.

— Nie masz tłumika. Pociągniesz za spust i po tobie.

— Ja się nie liczę, Slade — rzuciłem lekko, mając nadzieję, że nikomu nie

będę musiał tego udowadniać. — Rusz mózgowicą, kretynie. Mogłem wejść do

tej kajuty i poderżnąć ci gardło, kiedy spałeś, Prawda? Nie lubię krwawych jatek, ale taki sposób jest ostatecznie cichy, nie? Mógłbym też zastosować coś lepszego, na przykład cienki drut do ręcznych robótek. Wbiłbym ci go w kark i połaskotał

twój rdzeń kręgowy. Też dobre i mało przy tym krwi. To, że teraz rozmawiamy, znaczy, że chcę cię stąd wyciągnąć żywcem, kochany.

Zafrasował się trochę i niemal słyszałem, jak w jego mózgu obracają się mentalne trybiki. Slade myślał.

— Tylko żebyśmy się dobrze zrozumieli — dodałem. — Albo zabiorę cię stąd żywcem, albo zostaną tu twoje zwłoki. Masz wolny wybór.

Doszedł już do siebie na tyle, że zdobył się na nikły uśmiech.

— Cholernie ryzykujesz — powiedział. — Nie możesz mnie trzymać na musz-
ce przez cały czas. Jeszcze będę górą, Rearden.

— Nie będziesz musiał — odparłem. — Nie po tym, jak mnie wysłuchasz.

Powiem ci, jak z tobą było, Slade. Zabrali cię z naszego pokoju, otumanili narko-tykiem i obudziłeś się w tej kabinie. Od tamtej chwili ani razu jej nie opuszczałeś, zgadza się? Jak myślisz, gdzie ty właściwie jesteś?

Trybiki w jego mózgu znów zabrały się do roboty, ale niczego nowego nie wymodziły.

— Nie zaobserwowałem skoku temperatury powietrza, więc nie mogli mnie zabrać ani na daleką północ, ani w tropiki południa — odrzekł w końcu.

— Ta krypa ma cholernie wydajne urządzenia klimatyzacyjne, Slade. Dlatego nie odczułeś zasadniczej różnicy. Lubisz chińskie żarcie?

Nagła zmiana tematu kompletnie go zaskoczyła.

— Co ty, do diabła, pieprzysz, Rearden?! Chińskie żarcie?! Nie wiem! Jem to to, albo nie jem i tyle.

— A ostatnio jadłeś?

Zgłupiał doszczętnie.

— Co? No. . . jadłem, nie dalej jak wczoraj jadłem. . .

173

— Na jachcie pracuje chiński kucharz — uciąłem. — Czy wiesz, do kogo należy ten jacht?

Pokręcił w milczeniu głową.

— Ten jacht należy do faceta nazwiskiem Wheeler — mówiłem dalej. —

Wheeler, członek angielskiego Parlamentu. Rozumiem, że tutaj go nie widziałeś.

— Nie, nie widziałem — potwierdził Slade. — Rozpoznałbym go. Spotkali-

śmy się kilka razy. . . dawniej. O co ci, do diabła, chodzi, Rearden?

— Sądzisz, że zabierają cię do Moskwy?

— Nie widzę powodu, żeby myśleć inaczej — odparł sztywno.

— Wheeler to z urodzenia Albańczyk. A jego Chińczyk zajmuje się czymś

więcej niż tylko pitraszeniem wieprzowiny na słodko i ostro. To inna odmiana komunizmu, Slade, nie ta, której jesteś wierny. Teraz jesteś na Malcie. Następny etap podróży to Durres, port w Albanii. Tam, jak sądzę, zapakują cię w samolot trans-portowy i wyekspediują prosto do Pekinu. Dlatego zacznij lepiej przyzwyczajać się do chińskiego żarcia. Zakładając, oczywiście, że w ogóle dadzą ci jeść.

Gapił się na mnie nieprzytomnie.

— Oszalałeś!

— Oszalałem? A cóż niezwykłego jest w tym, że chcą cię dorwać Chińczycy?

Pod twoim czerepem aż roi się od informacji, które ich diabelnie ciekawią. Tak, mój ty szpiegu, bo ty znasz tajemnice systemów wywiadowczych dwóch państw.

A oni wszystkie tajemnice z ciebie wyciągną, Slade, wyciągną, żeby nie wiem co, nawet gdyby mieli stosować akupunkturę. Wiesz, kto wynalazł pranie mózgow?

Tak, Slade, Chińczycy.

— Ale żeby Wheeler?! Wheeler?!

— Co żeby Wheeler? Nie ma w tym nic dziwnego. Tobie się udawało przez

ponad ćwierć wieku, to dlaczego ktoś nie miałby okazać się tak samo sprytny jak ty, co? Albo jeszcze sprytniejszy. W przeciwieństwie do ciebie, Wheelera żeśmy nie przyskrzynili. Póki co.

Zamilkł i dałem mu chwilę, żeby sobie wszystko przemyślał. Czasu jednak

zbyt wiele nie miałem, więc zacząłem go delikatnie popędzać.

— Wydaje mi się, że masz prosty wybór. Albo ze mną pójdziesz z własnej

woli, albo cię zabiję. Właściwie to gdybym cię ukatrupił, oddałbym ci dużą przysługę, Slade. Tak, bo uwierz mi, nie chciałbym ciebie oglądać po miesiącu po-

bytu u Chińczyków. Lepiej będzie, jak mnie posłuchasz. Zamkną cię w jednym

z więzień Jej Królewskiej Mości, wyznaczają celę w specjalnie chronionym skrzy-

dle i wreszcie sobie odpoczniesz, cały i zdrowy. No i nikt ci tam nie będzie wy-ciągał mózgu przez ucho, na miłość Boską!

Potrząsnął z uporem głową.

— Nie wiem, czy ci wierzyć, Rearden.

— Chryste Panie! Jeśli Wheeler chce cię odtransportować do Moskwy, to dla-
czego nie przerzucił cię na jeden z tych ruskich trawlerów, co? Przecież wszędzie 174

ich pełno! Na Atlantyku roi się od nich jak od pcheł na sponiewieranym kundlu!

Dlaczego? Dlaczego włókł cię aż na Morze Śródziemne, Slade? Pomyśl chwilę!

Zerknął na mnie swymi przebiegłymi oczkami.

— Ale nie masz na to dowodu, Rearden, prawda? — powiedział. — Tylko
słowa, domysły.

Westchnąłem i uniosłem pistolet.

— Nie masz zbyt wielkiego wyboru, prawda? — Gotowało się we mnie
z wściekłości. — W życiu nie widziałem człowieka, który zagładałby darowa-
nemu koniowi w zęby. Teraz widzę. Nie lażem tu za tobą aż z Irlandii, żeby. . .

— Z Irlandii? -wtrącił.

— Tam nas trzymali.

— Lynch jest Irlandczykiem. . . — rzekł w zamyśleniu.

— Seamas Lunch? Pracuje dla Wheelera. To rzezimieszek z IRA, nienawidzi
Anglików.

— On się mną tutaj opiekuje-powiedział Slade. — Pilnuje mnie. — Spojrzał

na mnie i zauważyłem, że na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności. — Gdzie teraz jesteśmy?
Dokładnie gdzie.

— Stoimy na kotwicy w porcie Marsamxett.

Zdecydował się.

— Dobrze. Ale jeśli wyjdę na pokład i nie rozpoznam okolicy, wpadniesz

w cholerne tarapaty. Chcesz opuścić jacht bezszelestnie, a w ciemnościach mogę spróbować odebrać ci broń. Więc pamiętaj.

— Kiedy ostatnio byłeś na Malcie?

— Pięć lat temu.

Uśmiechnąłem się z humorem.

— No to będę się modlił, żeby cię pamięć nie zawiodła.

Slade odrzucił koc i nagle zastygł w bezruchu, wbijając we mnie pytające spojrzenie. Moich uszu dobiegł jakiś obcy dźwięk, jakby skrzypnięcie. Wyteżyłem słuch. Skrzypnięcie powtórzyło się, tym razem bliżej.

Slade nakrył się błyskawicznie po szyję.

— Ktoś idzie! — szepnął.

Podsunałem mu pistolet pod nos.

— Pamiętaj o tym — syknąłem.

Dwa kroki w tył i otworzyłem drzwi do ubikacji. Kiedy wchodziłem do środ-

ka, usłyszałem szcęk klucza w zamku. Cichutko za mknąłem drzwi i pstryknąłem latarką, żeby zobaczyć, w co się wpakowałem. Jak w każdej ubikacji nie było tu zapasowego wyjścia i ujrzałem tylko to, czego się spodziewałem: kibelek, umywalkę, apteczkę i prysznic. Prysznic znajdował się za półprzeźroczystą zasłoną z plastiku.

Wyłączyłem latarkę, wstrzymałem oddech i wsłuchiwałem się w odgłosy dochodzące z kajuty. To Lynch, bez dwóch zdań Lynch.

175

— Słyszałem jakieś głosy — mówił. — Z kim pan, u diabła, gadał?

Nadeszła chwila krytyczna. Jeśli Slade zamierza mnie wydać, zrobi to teraz

— myślałem. Wyteżyłem więc uszy i wsłuchiwałem się w każde słowo tej bez

wątpienia najważniejszej w moim życiu rozmowy.

— Chyba. . . coś mi się śniło — odparł Slade, a moje serce opanowało się, zwolniło i teraz już tylko łomotało jak mały kafar. — Zły sen, miałem zły sen — mówił dalej Slade. — Chyba zaczyna mnie boleć głowa.

— No tak, nie dziwota, siedzisz pan w tej puszcze tyle czasu. . . Ale już niedługo, już niedługo będzie pan w domu — zapewniał Lynch.

— Dlaczego stoimy?

— Coś jest nie tak ze śrubami — odparł. — Ale nie wiem dokładnie, o co chodzi.

— Gdzie jesteście?

— Przecież pan dobrze wie, że nie mogę odpowiedzieć. To ściśle tajne.

— No to kiedy ruszymy? Kiedy wreszcie postawię nogę na suchym lądzie?

— Jeśli idzie o pierwsze pytanie, to może jutro — odrzekł Lynch. — A jeśli

idzie o drugie, to nie umiem panu odpowiedzieć. Ja tu nie szefuję, oni mi wszystkiego nie mówią. — Zamilkł na chwilę. — Mizernie pan wyglądasz, jakoś tak

blado. Dać panu aspirynę?

Czułem, jak włosy na moim karku stają dęba i tańczą fandango.

— Nie, nie, nie trzeba, nic mi nie jest — zapewniał Slade.

Slade miał nade mną znaczną przewagę, bo co prawda słyszałem jego głos, ale nie widziałem, co wyczynia z rękami. Mógł mówić jedno, a rękami dawać Lynchowi znaki, że w toalecie siedzi nieproszony gość.

— Żaden kłopot, panie Slade — odparł troskliwie Lynch. — Obiecaliśmy, że dostarczymy pana do domu w dobrym zdrowiu, to część naszej umowy, prawda?

Zaraz przyniosę panu aspirynę.

Rzuciłem się w stronę prysznicza i w chwili, gdy Lynch otwierał drzwi do ubi-

kacji, zaciągnąłem plastikową zasłonę. Pstryknął włącznikiem. Zapaliło się światło i dostrzegłem zarys jego sylwetki. Ruszył do apteczki. Cały czas trzymałem go na muszce i postanowiłem sobie, że gdyby do czegoś doszło, pozbędę się i jego, i Slade'a. A potem? Jak się wydostać z tego cholernego jachtu?!

Usłyszałem, jak potrząsa jakąś buteleczką z pigułkami, a potem odkręca kran.

W sumie mi ulżyło, bo przyszedł tu jednak po aspirynę, a nie po to, żeby mi skrę-

cić kark. Tak więc Slade mnie nie wydał. Lynch napełnił szklankę wodą i odwró-

cił się, żeby wyjść. Był tak blisko mnie, że gdybym tylko trącił zasłonę łokciem, dotknąłbym jego ramienia. Na szczęście światło padało na niego, nie na mnie,

w przeciwnym wypadku z pewnością by mnie zauważył.

Trzasnął wyłącznikiem i zamknął za sobą drzwi.

— Proszę. To panu pomoże na ból głowy.

— Dzięki — powiedział Slade i usłyszałem brzęk szklanki.

176

— O rany, ależ pan się spocił. . . Jest pan pewien, że to nie gorączka?

— Nie, nic mi nie jest — wychrypiał Slade. — Zechce pan zostawić światło.

Chyba sobie trochę poczytani.

— No jasne, proszę bardzo. Spokojnej nocy życzę. Usłyszałem, jak Lynch

otwiera drzwi do kajuty, jak je zamyka, a potem dobiegł mnie metaliczny szczęk zamka.

Ja też się spociłem, spociłem się jak mysz i musiałem odczekać, aż przesta-

ną mi się trząść ręce. Żołądek podchodził mi pod gardło, strumienie adrenaliny grasowały jak opętane, sprężając mięśnie i napinając mi nerwy tak, że musiały teraz wyglądać jak struny w harfie. W końcu odetchnąłem, wyszedłem z prysznicza

i otworzyłem cicho drzwi.

Bez względu na to, czy Slade pocił się z powodu gorączki czy ze strachu,

zagrał po mistrzowsku, prosząc Lyncha, by ten zostawił zapalone światło. Jeden rzut oka wystarczył i już wiedziałem, że kajuta jest czysta i bezpieczna. Tak, Slade zdecydowanie nie chciał, bym go ukatrupił przez jakiś idiotyczny przypadek.

Leżał na koi z książką, którą ścisnął miękkimi ze zdenerwowania palcami.

Twarz mu jeszcze bardziej pożółkła i przypominała kolorem starą gazetę.

— Nie widział ciebie! Dlaczego ciebie nie widział?! Uciszyłem go gestem ręki i nie spuszczać z niego pistoletu, podszedłem do drzwi. Nasłuchiwałem. Cisza. Odwróciłem się.

— Gdzie śpi Lynch? — spytałem. — Wiesz?

Pokręcił przecząco głową i szarpnął mnie za rękaw.

— Jakim cudem cię, do cholery, nie zobaczył?!

Nie wierzył, po prostu nie wierzył, że w klitce wielkości dwóch budek telefonicznych można kogoś nie zauważyć. Fakt, ja sam w to chyba nie wierzyłem.

— Brałem akurat prysznic — wyjaśniłem. — Co miał na sobie Lynch?

— Szlafrok.

To znaczyło, że musi mieszkać gdzieś blisko, najpewniej w jednej z sąsiednich kajut, żeby stale mieć Slade'a w zasięgu ręki.

— Masz tu jakieś ubranie? — Skinął głową. — Dobra. Ubieraj się. Tylko cicho.

Patrzyłem, jak się ubiera, bo nie chciałem, żeby wsunął sobie do kieszeni jakieś tępe narzędzie, które mógłby później na mnie wypróbować.

Kiedy skończył, poleciłem:

— Teraz wracaj do łóżka. — Zamierzał coś powiedzieć, ale dźgnąłem go łufą pod żebra i szybko mu to wyperswadowałem. — Czekamy. Niech Lynch zaśnie.

Wlazł do łóżka, a ja usiadłem w ubikacji, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

Slade okrył się po szyję prześcieradłem, ułożył na boku i niby coś tam czytał.

Gdyby Lynch zapragnął nagle tu wrócić, wszystko byłoby cacy. Dałem mu pół godziny i przez cały ten czas nie słyszałem niczego podejrzanego.

Wszedłem do kajuty i kiwnąłem na Slade'a. Kiedy wygrzebywał się spod prześcieradła — to naprawdę zadziwiające, jak trudno wstać z łóżka, kiedy jest się kompletnie ubranym; prześcieradło owija się wtedy wokół nóg i klops — ja zajmowałem się zamkiem. Musiałem odwrócić się do niego tyłem, ale na to nie było już rady.

Zerknąłem za siebie i zobaczyłem, że idzie wolno w moją stronę. Zbliżył usta do mego ucha i wyszeptał:

— Módl się, żebym tam, z pokładu, zobaczył Vallettę, Rearden. Kiwnąłem niecierpliwie głową, wyłączyłem światło i otworzyłem drzwi.

Korytarz był ciemny. Schody znajdowały się zaraz na lewo, więc dźgnąłem Slade'a w kręgosłup i trzymając go za ramię, popchnąłem w tamtym kierunku.

Na szczycie, u wejścia do holu, zatrzymałem go i sprawdziłem teren. Cisza. Znów dałem Slade'owi szturchańca i wyszliśmy na pokład rufowy.

Zaświeciłem latarkę, żeby zorientował się, jakie przeszkody należy ominąć na trasie do barierki relingu i ruszyliśmy.

W pół drogi stanął i rozejrzał się wokół.

— Mówiłeś prawdę — szepnął. — To Valletta. . .

— Zamknij się teraz.

Nerwowy byłem, jak zawsze, kiedy misja miała się ku końcowi. Na brzegu mogłem przekazać Slade'a maltańskiej żandarmerii, trzeba by się jeszcze zająć Wheelerem i jego bandą i po sprawie. Tak, tylko, że najpierw musiałem się na ten brzeg dostać.

Dotarliśmy do relingu, dalej nie było już dokąd iść. Przeciągnąłem ręką po drzewcu bandery w poszukiwaniu liny drapak. Nie mogłem jej znaleźć. Nagle noc zmieniła się w dzień.

Z góry uderzył w nas oślepiający słup światła z potężnego reflektora umiesz-

czego na nadbudówce. Usłyszeliśmy czyjś donośny głos.

— Ani kroku dalej!

Szturchnąłem łokciem Slade’a.

— Skacz! -wrzasnąłem, ale ani on, ani ja nie byliśmy dostatecznie szybcy.

Po deskach pokładu zatupotały kroki małej armii ludzi. Otoczyli nas i sprawnie przytrzymali. Nic nie mogłem zrobić, ni cholery.

Dwóch facetów wrywało mi akurat ramiona, najpewniej po to, żeby później

zdzielić mnie nimi przez łeb, a trzeci osiłek, ten z przodu, walił mnie w brzuch jak w bęben. Pałeczki do perkusji mają zwykle filcowe końcówki. W jego łapskach

żadnego filcu nie było.

Zgiąłem się w pół, łapiąc chrapliwie oddech i półprzytomnie zauważyłem, że

tamci złapali Slade’a pod ramiona i wloką go gdzieś w stronę dziobu; jego nogi ciągnęły się bezwładnie po deskach pokładu. Ktoś krzyknął, moi oprawcy rzucili się na mnie, pchnęli ku drzwiom i cisnęli do holu. Krzepki facet z czarną brodą

— rozpoznałem w nim jachtowego szypra — wydawał rozkazy w języku, którego

178

brzmienia nie mogłem sobie z niczym skojarzyć. Grzmotnęli mną bezceremonialnie o podłogę i ruszyli zaciągać zasłony w oknach.

Nim zaciągnęli ostatnią, spostrzegłem, że potężny szperacz na mostku zaczyna

omiatać wodę dookoła *Artiny*. Miałem nadzieję, że Alison zdążyła zwiać.

Ktoś podał szyprowi moją spluwę. Szyper przyjrzał się jej z zainteresowa-

niem, sprawdził, czy jest załadowana i odbezpieczona, po czym wycelował ją we mnie.

— Kto ty? — spytał. Mówił z lekkim akcentem, ale akcent ów z niczym mi się nie kojarzył.

Podparłem się na miękkich jak wosk ramionach.

— A ma to jakieś znaczenie? — zapytałem znużonym głosem.

Szyper przeniósł wzrok na Slade'a, który oklapł na krześle obok, a później spojrzął ponad jego ramieniem w stronę schodów.

— Aaa, jesteś, Lynch! — zabulgotał głucho jak wulkan sposobiący się do erupcji. — Co z ciebie za wartownik, Lynch, co?!

Obróciłem głowę. Lynch gapił się na Slade'a z nader głupią miną i widać było, że nie może otrząsnąć się z szoku.

— Skąd on się tutaj wziął!? Pół godziny temu widziałem go na dole, w kajucie.

Drzwi zamknąłem na klucz!

— Na klucz, na klucz! — przedrzeźniał go szyper. — *Te keni kujdes*, na jaki klucz? — Wskazał mnie ruchem głowy. — A ten człowiek to kto? On wyciągnął

Slade'a z kabiny.

Lynch przyjrzał mi się uważniej.

— Jezu, toż to Rearden! — zawołał. — Ale w kabinie go przecież nie było!

Jego tam nie mogło być! Zauważyłbym go!

— Stałem pod prysznicem, ty głupi sukinsynu, pół kroku od ciebie. — Spojrzałem na szypra. — Jeszcze chwila, a byłby z niego zimny trup. To dupa nie wartownik, co?

Lynch skoczył ku mnie ze ślepiami nabiegłymi krwią, ale szyper okazał się szybszy. Zasłonił mnie ciałem i powstrzymał Lyncha swym grubym jak sztaba ramieniem.

Później chwycił mnie za włosy, szarpnął w górę i wbił mi w policzek lufę pistoletu.

— Rearden? Więc ty jesteś ten Rearden, tak? — spytał, pieszcząc mnie po twarzy moją własną spluwą. — Czy wiesz, Rearden, że bardzo nas interesujesz?

— On nie nazywa się Rearden — powiedział ktoś opanowanym głosem.

Szyper odwrócił się gwałtownie do tyłu. Stał przed nim Chińczyk Chang Pi-wu, stał i patrzył na mnie beznamiętnie. Obok Chińczyka zobaczyłem wysokiego mężczyznę o popielatoblond włosach. Mężczyzna wkładał akurat papierosa do długiej cygarniczki. Wsunął dłoń do kieszeni eleganckiego szlafroka i wyjął zapalniczkę. Zamigotał jasny płomyk.

179

— To jest, jak sądzę, pan Stannard — powiedział Wheeler — pan Owen Stannard. — Przypalił sobie papierosa. — To bardzo ładnie z pańskiej strony, że zechciał pan nas odwiedzić, panie Stannard. Oszczędziło mi to wysiłku, bo nie muszę już pana nigdzie szukać.

— Jak go złapaliście? — spytał Wheeler szypra.

— Mehmet natknął się na rufie na hak i linę prowadzącą do wody. Zebrał to wszystko i zameldował mi. Wystawiłem czujki.

Wheeler skinął głową.

— Nie wiedziałeś, czy ktoś będzie na pokład wchodził, czy z niego schodził

— skonstatował.

Szyper machnął ręką w stronę, gdzie siedzieliśmy ze Sladem.

— Złapaliśmy tych dwóch. Chcieli zwiać. Ten idiota. . . — Dźgnął palcem

Lyncha. — Ten idiota pozwolił im uciec.

Wheeler spojrział zimno na Irlandczyka.

— Porozmawiamy później -rzucił krótko. — Teraz zmiataj na dół.

Lynch chciał chyba coś wyjaśnić, ale natknął się na lodowaty wzrok Whe-

elera. Spokorniał, odwrócił się na pięcie i odszedł, nie omieszkając posłać mi przedtem spojrzenia pełnego nienawiści.

Czułem się trochę lepiej. Ramiona już mi nie odpadały i chociaż brzuch bolał

jak jasna cholera, mogłem już przynajmniej w miarę swobodnie oddychać.

— Więc tak, panie Stannard. . . — zaczął Wheeler. — Jak zamierzał pan transportować Slade'a na brzeg? Łodzią? Gdzie jest ta łódź?

— Nie ma żadnej łodzi. Przyplłynąłem wpław.

— I zamierzaliście płynąć wpław z powrotem? Pan i pan Slade, tak? Nie wie-

rzę, panie Stannard. Slade jest kaleką. — Zwrócił się do szypra. — Szukać łodzi.

Szyper ani drgnął.

— Już szukają — rzucił.

Wheeler skinął aprobująco głową i podszedł do Slade'a, który pólleżał na krześle.

— Mój drogi przyjacielu — zaczął z troską w głosie. — Co cię napadło?

Opuszczać nas z tym tutaj człowiekiem?! Czy wiesz, kim on jest? Gdybyś zszedł

na ląd, natychmiast wydałby cię w ręce policji. A dobrze wiesz, co to dla ciebie oznacza — czterdzieści lat angielskiego więzienia. Cóż on ci takiego naopowiadał?

Slade uniósł ze znużeniem głowę.

181

— Znam pana — powiedział. — Poznaliśmy się kiedyś.

— Tak, w szczęśliwszych okolicznościach — odparł Wheeler. — Raz spotkaliśmy się na konferencji EFTA, a potem widzieliśmy się na obiedzie, który wydawała jakaś organizacja przemysłowa. Jaka? Nie pamiętam. Ta czy inna, to bez znaczenia.

— Pan się nazywa Wheeler i jest pan członkiem Parlamentu. Dlaczego więc pomaga pan człowiekowi takiemu jak ja?

— Dobrze pytanie — wtrąciłem. — Odpowiedz mu, Wheeler. Powiedz Slade'owi, dlaczego gotów jesteś popełnić zbrodnię zdrady stanu. — Spróbowałem rozmasować sobie brzuch. — O ile mi wiadomo, zdradę stanu nadal karze się w Anglii śmiercią. Tak, bo akt Parlamentu, który uwalnia od szubienicy zwykłych morderców, nie obejmuje zdrajców ojczyzny. — Wyszczrzyłem się do niego. —

Ale któż może o tym wiedzieć lepiej od ciebie, prawda?

Wheeler nie należał do ludzi, którzy łatwo się irytują. Uśmiechnął się i rzekł z opanowaniem:

— Pomagam panu, panie Slade, ponieważ nie uznaję prawa brytyjskiego, ponieważ tak jak i pan walczę o lepszy świat. — Położył rękę na jego ramieniu. —

I ponieważ tak samo jak pan jestem dobrym komunistą.

— Więc dlaczego nic o panu nie wiedziałem? — spytał Slade. — Powinienem być o panu wiedzieć.

— A to dlaczego? Wcale nie musiał pan wiedzieć, dlatego panu o mnie nie powiedziano. Tak jest zawsze bezpieczniej. — Wheeler uśmiechnął się. — Proszę darować, Slade, chociaż był pan niezmiernie ważnym człowiekiem, ja jestem człowiekiem nieporównanie ważniejszym.

— Mała poprawka — wtrąciłem. — Był pan człowiekiem nieporównanie ważniejszym, był pan. Nadszedł twój koniec, Wheeler.

Zignorował mnie, kompletnie mnie zignorował, jeśli nie liczyć tego, że lekko pokręcił głową. Z oczyma wciąż utkwionymi w Slade'a, uparcie pytał:

— Jakich głupot naopowiadał panu Stannard? Jest pan głupcem, jeśli uwierzył pan wrogowi.

— Co robimy na Malcie? — zapytał Slade.

Wheeler wyprostował się i głośno roześmiał.

— A więc to tak! To tu jest pies pogrzebany! Nie, Slade, zabieram pana do domu, tyle że nieco okrężną drogą. Co roku spędzam wakacje na Morzu Śródziemnym i byłoby rzeczą wielce podejrzaną, gdy bym zmienił nagle plany i popłynął na Bałtyk. Nie, Slade, nie zaryzykowałbym tego nawet dla pana.

— Zapytaj go, Slade — rzuciłem — czy aby nie czytał ostatnio jakichś złotych myśli. Może zacytuje nam coś z Małej Czerwonej Książeczki, co?

— Pan jest Albańczykiem — rzekł Slade. — Nie ufam panu.

— Ach tak. . . — odparł cicho Wheeler. — Czy to robi jakąś różnicę?

Slade wskazał ruchem głowy Chińczyka stojącego za Wheelerem.

— On robi różnicę — powiedział.

— Cholerną różnicę, Slade! — Nie potrafiłem sobie odmówić tej przyjemno-

ści. — Wheeler powiada, że wiezie cię do domu. Tak, tak, zgadza się, bo wiesz, gdzie jest dom? Tam, gdzie serce, a serce Wheelera mieszka w Pekinie, Slade! To go wreszcie ruszyło.

— Sądzę, że będzie pan musiał zamilknąć, panie Stannard. Na zawsze —

oświadczył jadowicie. — Znów się odprężył i delikatnie złączył obie dłonie. —

Cóż, Slade, to w zasadzie żadna różnica, czy pan zna prawdę, czy nie. Oczywi-

ście, dopóki pan myślał, że odstawiamy pana do Moskwy, było nam łatwiej, bo

więzień współpracujący to więzień potulny. Ale i tak pan tu z nami jest, panie Slade, i dowieziemy pana na miejsce przeznaczenia w dobrej kondycji, zgodnie

z umową.

Sądząc po tym, jak Slade na niego patrzył, poważnie w to wątpiłem. Gdzieś

na trasie mógł popełnić samobójstwo — był do tego jak najbardziej zdolny —

a śmierć okazałaby się dla niego wybawieniem, czymś bez porównania łagod-

niejszym niż proces prania mózgu, jaki czekał go w Chinach. Co więcej, w tych okolicznościach miał obowiązek popełnić samobójstwo. Każdy człowiek w jego

sytuacji wiedział by, że nic go już nie uratuje.

Ale Wheeler miał nosa.

— Warunki pańskiego odosobnienia będą od tej chwili bardziej rygorystyczne,

to chyba rozumiałe — powiedział. — Nie możemy dopuścić do tego, by się nam

pan tu obwiesił na szelkach, panie Slade.

— Mnie też zabieracie w tę piękną podróż? — spytałem.

Wheeler przyjrzał mi się z namysłem.

— Pana, panie Stannard? — Pokręcił głową. — Nie. Nie sądzą, żeby moi

przyjaciele się panem interesowali. Wpadł pan z gry, zbyt długo tkwił pan w odstawce i nie wie pan praktycznie nic o aktualnej sytuacji wywiadu brytyjskiego.

Agent z południowoafrykańskiej przechowalni jest dla nas bez wartości. — Od-

wrócił lekko głowę i rzucił przez ramię: — Co z nim zrobimy?

Milczący dotychczas Chińczyk powiedział:

— Na nic się nam nie przyda, ale jest niebezpieczny, bo za dużo wie. Trzeba go zabić — dodał spokojnie.

Posłałem mu chińską wiązanę, powiedziałem coś ohydnie obraźliwego i otworzył ze zdumienia usta. Jak widać, mieszkańcy Wschodu nie są wcale aż tak bardzo nieodgadnieni.

— Tak, panie Stannard, musimy pana zabić. Ale w jaki sposób. . . ? — spytał siebie Wheeler z głębokim namysłem. — Już wiem. Przypadkowo odkrywamy,

że na jachcie jest pasażer na gapę. Wybucho małe zamieszanie i pada strzał. To wypalił pistolet naszego biednego pasażera, wypalił i odebrał mu życie. Zawiadamy miejscową policję i cóż się okazuje? Że owym nieszczęśnikiem jest nie kto inny tylko Rearden, angielski przestępca i uciekinier. — Uśmiechnął się.

183

— Czy wyobraża pan sobie, jak taka historia wzbogaciłaby mój polityczny

image. Wyobraża pan sobie te nagłówki w angielskich gazetach? No, co pan o tym sądzi?

— Bzdura — odparłem. — Jeśli oddasz moje zwłoki policji, natychmiast za-

interesują się i Sladem. Slade jest w tej grze od cholery ważniejszy niż ja. Będą chcieli przeszukać jacht i przeszukają go cal po calu. A tego chcesz raczej uniknąć, co? No bo na pokładzie wciąż będzie Slade, a z nim już gorsza sprawa. Wheeler skinął głową.

— To prawda. Chyba darujemy sobie to małe przedstawienie, mój polityczny

image musi się bez niego obejść. Aha, panie Stannard, zanim pan umrze, zechce pan odpowiedzieć nam na kilka pytań, dobrze? Najpierw ten pański współnik. . .

Ano właśnie. — Zwrócił się do szypra. — Co z łodzią? Znaleźliście?

— Zaraz się dowiem — odpowiedział tamten i wyszedł z holu.

Westchnąłem.

— Mówiłem już, wszedłem na pokład sam.

— Na początku pańskiej małej operacji był pan rzeczywiście sam, Stannard.

Ale później mógł się do pana ktoś przyłączyć, prawda? Chyba pan rozumie, że muszę się co do tego upewnić. — Ruchem głowy wskazał Chińczyka. — Mój przyjaciel zna na taką okoliczność różne sposoby, ale chyba nie zechce pan ich poznać.

Rozejrzałem się obojętnie po holu. Szypra nie było, moje szansę trochę wzrosły, ale tylko trochę. Z tyłu stało dwóch drabów, z których jeden trzymał mnie na muszce mego własnego pistoletu, z przodu zaś był Wheeler i Chińczyk. Chińczyk macał ręką w kieszeni i nie ulegało wątpliwości, że ma tam broń. Zerknąłem na Slade'a i zastanawiałem się chwilę, czy przyłączyłby się do mnie, gdybym raptem zaczął jakąś rozróbę.

— Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób wpadliście tak szybko na mój ślad. I na ślad Mackintosha. Wygląda na to, że nic się przed wami nie uchowa.

Rozgryźliście nawet moją południowoafrykańską przykrywkę.

Wheeler zachichotał.

— Wy, Anglicy, jesteście narodem amatorów — oświadczył. — To odnosi się również do służb wywiadowczych. Doniesiono mi o panu, to oczywiste.

Oślupiałem, i to szczerze.

— Kto? Kto mógł panu powiedzieć? Przecież prawdę znałem tylko ja i Mackintosh.

— Właśnie. A pan mi tej prawdy nie zdradził. . .

Opadła mi szczeka. Gapiłem się na Wheelera z niedowierzaniem w oczach.

— Mackintosh?!

— A któżby inny? Sam pan do tego doszedł, czyż nie? Był lekko pijany i bardzo niedyskretny. Połechtalem nieco jego próżność i dostałem to, co chciałem.

Pod koniec zdał sobie sprawę z tego, że za dużo gada i zamilkł, ale wiedziałem 184 już, o co w tym wszystkim chodzi. To dopiero głupiec! — Roześmiał się. —

A dyskutowaliśmy wtedy o reformie więziennictwa!

We łbie miałem chaos, kompletny chaos. Historyjka, którą opowiedział Whe-

eler, zupełnie do Mackintosha nie pasowała! Czyżbym go w takim razie ani trochę nie znał? Niemożliwe. Mackintosh nie był głupcem, nie był też idiotą czującym na pochlebstwa. Co się z nim stało, że w tak durny sposób spieprzył całą robotę?!

— Oczywiście, Mackintosh nie żyje — rzucił obojętnie Wheeler. — Zająłem

się tym natychmiast, jak tylko upewniłem się, że jest pan już w Irlandii, w bezpiecznym miejscu. Jak się okazuje, myliliśmy się co do tego miejsca, prawda? Te błazny z IRA to też amatorzy. Ale nie szkodzi. Znow jest pan z nami, a wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Bez względu na to, czy Mackintosh umarł, czy

nie — śmierć Mackintosha była kwestią dyskusyjną, gdyż kazałem Alison puścić

plotkę o jego nieuchronnym końcu — czułem się oszukany, zdradzony i kom-

pletnie opuszczony. Jak człowiek, który stąpa w ciemnościach po nie istniejących schodach. Przeżywałem ciężki wstrząs. Musiałem wierzyć Wheelerowi, ponieważ

żadna inna wersja zdarzeń nie układała się w logiczną całość. Ale z drugiej strony zdrada Mackintosha też nie poddawała się żadnej logice. Chyba że. . .

Wrócił szyper i myśli rozwiały się jak dym.

— Nie ma łodzi — oświadczył.

Wheeler wkładał do cygarniczki następnego papierosa.

— W gruncie rzeczy może i nie kłamiesz, Stannard. . . — mruknął i spojrzał na szypra. — Potrzebuję locum dla tych dwóch. To muszą być, rzecz jasna, oddzielne pomieszczenia. Co proponujesz?

— Slade'a dać z powrotem do kabiny — odparł tamten.

— Po tym, co zaszło? — Wheeler uniósł brwi.

— Należy przywiązać go do łóżka i zadbać, żeby nie hałasował — wtrącił

Chińczyk. — Poza tym, pilnujący go człowiek musi przebywać cały czas razem z nim, w kajucie.

Wheeler zastanawiał się moment.

— No dobrze. A co ze Stannardem?

— Do forpiku go. Jest tam stalowa wodoszczelna grodz. Nie ucieknie.

Wheeler skinął krótko głową.

— Obawiam się, panie Stannard — powiedział — że musimy odłożyć pańskie

przesłuchanie do czasu, aż odpłyniemy daleko od lądu. Po wodzie krzyk człowie-ka niesie się bardzo daleko. — Wykonał gest ręką i poczułem, jak dwaj marynarze stojący z tyłu chwytają mnie za ramiona. — A propos, czy to pan jest odpowiedzialny za to, co stało się z naszymi klawiszami?

— A co się z nimi stało? — Zdobyłem się na uśmiech. — Zaczęły same grać?

— Bardzo dumne, bardzo odważne, panie Stannard — skomentował Wheeler.

— Pożartować sobie w obliczu śmierci. Bardzo to angielskie. Zabrać go.

185

Wyprowadzili mnie z holu. Jeden z siepaczy szedł z lewej strony, drugi z pra-

wej. Minęliśmy Slade'a, którego twarz była teraz szaro-żółta; sprawiał wrażenie człowieka doszczętnie rozbitego. Wypchnę li mnie na pokład rufowy.

Na pokładzie paliły się światła i kiedy szliśmy przy burcie w stronę dzio-

bu, spostrzegłem, że siepacz z prawej wciąż dzierży mój pistolet. Forpik. . . Ten pomysł zupełnie mi się nie podobał. Z tego, co pamiętałem i z tego, co widzia-

łem na planach bliźniaka *Artiny*, forpik miał ledwie metr dwadzieścia wysokości i przypominał stalowe, hermetycznie zamknięte pudło. Istniała duża szansa, że się w nim uduszę albo umrę na udar słoneczny.

Rozkoszna perspektywa, nie ma co, tymczasem facet z prawej wciąż wyma-

chiwał moją spluwą. To, że z niej we mnie nie celowa, niczego praktycznie nie zmieniało, bo trzymał mnie jednocześnie za ramię, a jego kolega ograniczał me ruchy niezwykle wprawnym nelsonem.

Wlekli mnie tak aż do środkowej części jachtu i tu usłyszałem coś, co za-

brzmiało jak wystrzał z kapiszona. Siepacz z pistoletem wrzasnął i upuścił broń na pokład. Zatrzymał się, zwolnił uchwyt i wbił wzrok w krew sączącą się z dziury na dłoni. A ten kapiszonowaty odgłos już gdzieś kiedyś słyszałem.

Nie minęła sekunda, jak usłyszałem go jeszcze raz. Zerknąłem w górę i na

szczybie nadbudówki ujrzałem króciutki błysk. Oprawca z lewej potknął się lekko i zdjął ze mnie nelsona. Potem upadł na deski — pomału jak na zwolnionym filmie

— a dokładnie pośrodku jego czoła ujrzałem ciemnoczerwoną plamkę.

— Skacz, ty cholerny idioto! Skacz! — krzyknęła Alison i rzuciłem się za burzę.

Skok mi zdecydowanie nie wyszedł. Ręce i nogi robiły, co chciały, więc wyrznąłem w wodę z potwornym plaskiem. Sekundę potem usłyszałem jeszcze jeden plask, znacznie wytworniejszy, wdzięczniejszy, bardziej kobiecy. To skoczyła Alison.

Nie traciłem czasu i natychmiast zanurkowałem. Pływałem w kółko, szukając

dziewczyny. W końcu dotknąłem jej nogi, Alison wykręciła się w wodzie i chwyciła mnie za nadgarstek. Pociągnąłem ją za sobą i zeszliśmy jeszcze głębiej, pod cielsko *Artiny*. Jak zaczną nas szukać, wyglądać będą po tej stronie burty, gdzie-

śmy skoczyli, to naturalny odruch. Dlatego należało stamtąd czym prędzej uciekać.

Całą sprawę pogarszał nieco fakt, że zaczynało mi brakować powietrza.

Wszystko zdarzyło się tak błyskawicznie, że nie zdążyłem nawet głębiej ode-

tchnąć, a kiedy się skacze na głęboką wodę, jest to rzecz raczej niezbędna. Nie chciałem wypłynąć w zasięgu strzału i oberwać kulki, więc poszedłem na kom-promis. Dopłynęliśmy do rufy i tam, trzymając się kurczowo płetwy steru, za-

czepnęliśmy powietrza, wystawiając na powierzchnię tylko usta i nosy.

Zrobiłem kilka głębokich wdechów, a później zaryzykowałem i wysunąłem nad wodę ucho. Na pokładzie panowało wielkie poruszenie. Słyszałem bezładny

186

tupot stóp załogi i głos basującego szypra, w którym brzmiała wyraźna groźba.

Trąciłem Alison w policzek. Wychynęła spod wody.

— Płyn do Ta'Xbiex — szepnąłem jej do ucha. — Pod wodą, jak daleko zdołasz. Spotkamy się w naszym miejscu.

Nie traciła czasu. Zanurzyła się i już jej nie było.

Nabrałem powietrza i ruszyłem w jej ślady. Lubię pływać, nie powiem, ale

w czystej wodzie. Ta czysta nie była. Staralem się tym nie przejmować. Płyną-
łem i kiedy już nie mogłem wytrzymać, z wolna wypuszczałem powietrze. Gdy
powietrza zbrakło, wystawiłem nad wodę nos i usta.

Oczyściłem płuca czterema oddechami, po czym zaryzykowałem i zerknąłem
w kierunku *Artiny*. Włączyli szperacz i omiatali nim okolicę, ale w moją stronę nie patrzyli. Właśnie
miałem zanurkować, kiedy usłyszałem jakiś koszmarny ryk.

Głowa w dół, błyskawiczny ruch nogami — zdążyłem w samą porę, bowiem pro-
sto na mnie waliła szybka motorówka. Pracowałem nogami jak szalony, żeby zejść maksymalnie
najniżej. Motorówka przemknęła dokładnie nade mną, a rozedrgana
woda szarpała przez chwilę moim ciałem na wszystkie strony.

Zanim dotarłem na ląd, a raczej do długiego szeregu jachtów i łodzi cumu-
jących rufami do nabrzeża w marinie Lazzaretto Creek, musiałem wypływać na
powierzchnię jeszcze trzy razy. Prychając, parskając, usiłując jak najszybciej odzyskać oddech,
wynurzyłem się przy dziobie jakiegoś pływającego pałacu. Wy-
nurzyłem się i prawie natychmiast zamilkłem, bowiem nad głową, na pokładzie,
usłyszałem miękkie *klap-klap* bosych stóp.

Ktokolwiek to był, aż biło od niego zdenerwowanie i irytacja.

— Znowu jakieś ryki! Środek nocy, a oni mi tu szaleją! Co się tam, do diabła, dzieje?!

— Wydawało mi się, że tuż przedtem słyszałam wybuch jakichś fajerwerków.

— Dobiegł mnie kobiecy głos.

— Fajerwerki! Niech ich szlag! Fajerwerki mają być dopiero jutro wieczorem,
kobieto! Kto robi pokazy fajerwerków o tej godzi nie?! Toż to rano!

Niedaleko przemknęła motorówka. Pędziła na pełnej szybkości i zaraz potem

łódź, której się trzymałem, rozkołysała się na fali odbojowej. To sprowokowało kolejny wybuch
wściekłości.

— Co oni tam, do ciężkiej cholery, wyczyniają?! — wrzasnął mężczyzna i po-

myślałem sobie, że to najpewniej jakiś zasuszony, ale wciąż dziarski pułkownik na emeryturze.

— Robisz więcej hałasu niż oni, George — zauważyła pani pułkownikowa. —

Natychmiast wracaj do łóżka!

Klap-klap-klap bosych stóp.

— Dobrze, już dobrze — mruknął. — Akurat teraz zasnę. Jutro pójde do kapitana portu. Takie hałasy są w nocy niedopuszczalne.

Uśmiechnąłem się. Kilka łodzi dalej wygramoliłem się na brzeg.

187

Ruszyłem truchcikiem w kierunku miejsca, gdzie umówiłem się z Alison, ma-

jąc nadzieję, że jej się udało. Martwiłem się o nią, i to z wielu powodów. Tam, w Irlandii, nie ufała mi i głośno swą nieufność wyraziła — podejrzewała, że zapisałem się do Bractwa Wykałaczek. Teraz ja jej nie ufałem.

Jeżeli to, co powiedział Wheeler, było prawdą — że to Mackintosh zawałił

naszą operację — wpakowałem się w niezłe tarapaty, gdyż Mackintosh nigdy by

czegoś takiego celowo nie zrobił. Ale z drugiej strony dlaczego niby miałbym wierzyć Wheelerowi? Czym się kierował, mówiąc mi prawdę? Skoro nie Mackintosh,

w takim razie jedyną osobą, która mogła nas sygnąć, była. . . Alison!

W tym punkcie ciąg myśli uległ gwałtownemu zerwaniu, bo przecież nale-

żało uwzględnić to, co zaszło przed chwilą na *Artinie*. Jeśli Alison zdradziła, po jaką cholere mnie teraz ratowała?! Po co wyciągała tę swoją niebezpieczną zaba-weczkę? Jednego goryla raniła, drugiego zabiła, a Stannarda wyprowadziła cało, choć robiło się już gorąco. To już kompletnie nie miało sensu. Tak czy siak, postanowiłem w przyszłości mieć oko na panią Smith. Zakładając, oczywiście, że ta piekielna motorówka jej nie zgilotynowała.

II

Zjawiała się po piętnastu minutach. Była kompletnie wyczerpana, tak wyczerpana, że nie mogła sama wyjść z wody. Doholowałem ją na brzeg i odczekałem chwilę, żeby doszła do siebie. Kiedy w końcu złapała oddech, powiedziała:

— Ta koszmarna motorówka omal mnie nie przejechała. Dwa razy.

— Widzieli cię? Pokręciła wolno głową.

— Chyba nie. I mieli szczęście.

— Prawie mnie dostali, cholera. Co z naszą łodzią.

— Widziałam, jak jakiś marynarz znalazł ten twój drapak — odparła. — Do-

myślałam się, że będziesz miał kłopoty. Podpłynęłam do dziobu i wspięłam się po łańcuchu kotwicy. Łódź po prostu odepchnęłam, zdryfowała.

— Na moje szczęście. Dobrze sobie radzisz z tym pistolecikiem.

— Sześć metrów, może nawet mniej. Każdy by trafił.

— Ale nie każdy wdrapywałby się na pokład. Ty się wdrapałaś.

Rozejrzała się dookoła.

— Lepiej stąd chodźmy. Mogą nas tu dorwać. Pokręciłem głową.

— Jesteśmy bezpieczni. Port ma tyle zatoczek, tyle zakamarków, że ludzie

Wheeler musieliby przeszukać z piętnaście kilometrów wybrzeża. Ale masz ra-

cję, lepiej już chodźmy. Do hotelu kawał drogi, a chcę się tam dostać zanim wzejdzie słońce. Dasz radę iść?

Wstała.

— Jestem gotowa.

188

Ocenałem, że marsz do hotelu zajmie nam godzinę. Szliśmy w milczeniu. Nie

wiem, o czym myślała Alison, ale ja zastanawiałem się cały czas, co, do diabła, robić dalej.

— No tak — powiedziałem po chwili. — To podejście spieprzyłem, że hej.

Miałem rozkaz uprowadzić Slade'a, albo go zabić. Nie zrobiłem ani tego, ani tego.

— Nie mogłeś postąpić inaczej — skonstatowała.

— Mogłem. Mogłem go na tym jachcie zabić, a ja próbowałem faceta stamtąd wyciągnąć.

— Niełatwo jest zabić śpiącego człowieka — odparła i wstrząsnął nią dreszcz.

— W ogóle zabijać nie jest łatwo.

Zerknąłem na nią i pomyślałem sobie, że szkoła Mackintosha w tym punkcie chyba nawalą.

— Ilu ludzi zabiłaś?

— Jednego — odparła i głos się jej załamał. — Przed. . . chwilą. — Zaczęła gwałtownie drżeć.

Objąłem ją ramieniem.

— Uspokój się, Alison. Wiem, tak się po tym reaguje, ale czas wszystko za-

ciera. Uspokój się. — Przeklinałem Mackintosha za to, co zrobił swojej własnej córce. Ale jednak wyszkolił ją na profesjonalistkę, a profesjonalistka zareaguje na odpowiedni bodziec jak pies Pawłowa. Żeby już o tym nie myślała, powiedziałem:

— Musimy wy prowadzić się z hotelu.

— To jasne. Ale co potem?

— Diabli wiedzą. Wszystko zależy od tego, jak bardzo uszkodziliśmy jacht

Whelera. Jeśli odpłyną, to koniec.

— A jeśli nie odpłyną?

— Spróbujemy jeszcze raz.

— Nie możesz tam iść. Drugi raz to nie wypali.

— Wiem. Trzeba wymyślić coś innego. . .

Popadliśmy w przygnębiające milczenie i parliśmy naprzód. Byliśmy przemo-

czeniu a nad ranem na Malcie nie jest wcale ciepło. Poza tym ogarnęło nas znużenie, więc myśleć logicznie było nam raczej trudno.

Kiedy wkraczaliśmy do Floriany, wschodziło już słońce, a po uliczkach kręcili się nieliczni przechodnie. Podczas długiego spaceru ubranie nam prawie wyschło, dlatego nie zwracaliśmy na siebie niepotrzebnej uwagi. Minęliśmy robotników

z drabinami, którzy rozciągali nad jezdnią sznury kolorowych chorągiewek.

— Wcześniej chłopaki zaczynają dzień — mruknąłem. — Co to za święto?

— Dzisiaj jest festa — wyjaśniła Alison. — Ciągłe się tutaj bawią.

Przypomniał mi się głos emerytowanego pułkownika, który narzekał na hałasy w porcie.

— Więc dzisiaj będą fajerwerki, tak?

189

— Jak w banku. Fajerwerki i festa zawsze idą w parze. Przynajmniej na Malcie.

Coś mi zaświtało w głowie, coś niejasnego, mało konkretnego, ale były to zaczątki rodzącego się pomysłu. Modliłem się, żeby na zaczątkach się nie skończyło.

— Ile zostało nam pieniędzy? — spytałem.

— Około trzech tysięcy funtów — odrzekła. — Łącznie z pięciuset funtami, które ci dałam.

Trzy tysiące funtów. . . Przynajmniej byliśmy dobrze wyposażeni na wypadek wojny. Mój pomysł jakby się nieco wyklarował, ale nim mogłem z nim wystąpić, musiałem jeszcze raz przestudiować plany jachtu.

Zaspany recepcjonista wręczył nam klucze i poszliśmy na górę.

— Alison, wejdź do mnie na sekundę. — Staliśmy pod drzwiami do mego pokoju.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, wziąłem szklaneczkę do mycia zębów i nalełem jej tęgą porcję szkockiej.

— Wychyl do dna, a poczujesz się lepiej. Weź gorący prysznic i przebierz się.

Ale zrób to szybko, Alison. Opuuszczamy okręt, powinniśmy stąd zniknąć najdalej za pół godziny.

Uśmiechnęła się blado.

— Dokąd jedziemy?

— Musimy się gdzieś zatrzymać. Jeszcze nie wiem gdzie, ale lada moment

ludzie Wheelera zaczną przetrząsać hotele, może już to robią. Zabierz tylko to, co najważniejsze: pieniądze, paszport i licencję pilota.

Wyszła, a ja postąpiłem zgodnie z własnymi wskazówkami. Wychyliłem szyb-

kiego kielicha i wskoczyłem pod gorący prysznic, który rozgrzał nieco moje ko-

ści; brzuch miałem czarny od sińców. Ubrałem się w locie i zacząłem zbierać na kupkę rzeczy, jakie mogły mi się przydać. W sumie niewiele tego było.

Później usiadłem i zagłębiłem się w plany jachtu. Na szczęście zaznaczono

skalę, więc udało mi się względnie dokładnie rozpracować interesujące mnie dane. Mój pomysł dojrzał, ba! nabierał wyraźnych rumieńców! Wszystko zależa-

ło od tego, czy jacht Wheelera zostanie w porcie na kolejną noc.

Alison wróciła gotowa do drogi. Dźwigała jedną z tych przepastnych toreb,

które wyglądają całkiem niewinnie, a jakimś cudem mieszczą tygodniowe zaopa-

trzenie dla dywizji wojska. Opuściliśmy hotel tylnym wyjściem i pięć minut póź-

niej byliśmy już w Kingsgate, gdzie wsiedliśmy do autobusu jadącego do Senglei.

Alison miała trochę lepszy humor.

— No to dokąd jedziemy i dlaczego? — spytała.

Zapłaciłem za bilety.

— Powiem ci, jak będziemy na miejscu.

190

W autobusie panował tłok i nie chciałem jej przy ludziach opowiadać, jak to ukatrupimy Wheelera ze Sladem. Kierowca albo wbił sobie do głowy, że nazy-

wa się Jack Brabham, albo sądził, że maleńka, przepięknie ukwiecona kapliczka Dziewicy na masce silnika zastąpi z powodzeniem najlepsze hamulce. Jazda do

Senglei trwała niezwykle krótko.

Senglea to półwysep rozdzielający wody Wielkiego Portu między Dockyard

Creek a French Creek. Po tym, jak Marynarka Królewska straciła na znaczeniu

i po tym, jak zdemilitaryzowano największą na Malcie stocznię, w której budo-

wano okręty wojenne, Senglea stała się miejscem, gdzie miałem nadzieję znaleźć to, czego szukałem: hangar na łódź, o ile możliwe z pochylnią.

Było za wcześnie, żeby zacząć się wokół tego kręcić, ale kawiarenki już dzia-

ły i zapraszały na śniadanie. O tak, śniadanie, koniecznie śniadanie!

Przy jajkach na bekonie spytałem:

— Jesteś pewna, że wczoraj cię nie widzieli? Nie skojarzyli z Irlandią?

Alison pokręciła głową.

— Chyba nie.

— Zdaje się, że Wheeler nie był tak do końca pewny, czy mam współnika, czy nie. Teraz już wie, to jasne, ale cię nie widział. Dlatego ty zrobisz zakupy. Ulice mogą okazać się dla mnie ciut niebezpieczne.

— Co załatwić? — spytała treściwie.

— Przede wszystkim hangar. Potrzebuję go tylko na dwanaście godzin, ale nie

możemy się z tym wygadać. Skończy się pewnie na tym, że będziemy go musie-

li wynająć na trzy miesiące. Powiedzmy, że jestem inżynierem, projektantem, że pracuję nad nowym typem. . . eee. . . hydroplanu. Nikt, na przykład konkurencja, nie może podglądać, co tam w tym hangarze wyczyniam. Dlatego proszę o dys-krecję i spokój, jasne? To nasza legenda.

— Co potem?

— Potem kupisz łódź. Coś około sześciu metrów długości, szybka jak diabli, maksymalnie duże silniki.

— Silniki wbudowane czy zewnętrzne?

— Bez znaczenia. Te z silnikami na zewnątrz są tańsze, ale głównie chodzi o moc. Szukaj najpotężniejszych. Kupisz łódź i przyprowadzisz ją do hangaru. — Wyjrzałem przez okno. — Tam jest złomowisko. Na złomowisku znajdę to, czego mi trzeba. I chyba uda mi się tam wypożyczyć sprzęt do spawania.

Alison zmarszczyła brwi.

— Dobra, masz szybką łódź i sprzęt do spawania. No i. . . ? — Cierpliwie czekała.

— Wtedy wynajmiesz ciężarówkę — powiedziałem. — Umiesz pro wadzić ciężarówkę?

Rzuciła mi pogardliwe spojrzenie i nie odezwała się słowem. Uśmiechnąłem się. Ja chyba zgłupiałem! Po co to pytanie? Alison ma najpewniej uprawnienia

191

do kierowania najnowszym typem czołgu, a egzaminy na te uprawnienia zdała śpiewająco.

— Więc weźmiesz ciężarówkę — mówiłem dalej — i kupisz tyle ogni sztucznych, ile zmieści się w łodzi.

To ją ruszyło.

— Sztuczne ognie!

— Tak, bierz tylko te największe, te, co to robią dużo huk, mają potężny rozprysk i dają od cholery światła. Żadnych tam maleństw, żadnych kapiszonów.

Nie chcę zabawek, chcę sprzęt dla zawodowców, jasne? Jeśli na Malcie tak lubią fajerwerki, muszą tu gdzieś mieć duży skład. Dasz sobie radę?

— Bez problemu. A teraz mi wyjaśnij, do czego ci to wszystko potrzebne.

Wydostałem plany jachtu i rozłożyłem je na stoliku.

— Byłem na pokładzie *Artiny* i wszystko, co tam widziałem, zgadza się z tym tu. Dlatego sądzę, że można tym dokumentom zaufać. To maszynownia. — Postukałem palcem w stół. — W maszynowni są dwa diesle Rolls-Royce'a po trzysta

pięćdziesiąt koni mechanicznych każdy. Pożerają mnóstwo paliwa. Pod maszy-

nownią, tutaj, jest zbiornik pitnej wody i dodatkowy zbiornik na paliwo zawierający pięć tysięcy litrów ropy. — Przesunąłem palec niżej. — Za maszynownią

kajuta Wheelera, a dalej pomieszczenia załogi. Pod nimi, w podwójnym dnie, jest główny zbiornik paliwa. Ma około sześciu metrów długości i zawiera dwadzie-

ścia pięć tysięcy litrów ropy. Wiemy, że dopiero co tankowali, więc baki są pełne.

— Zmierzyłem paznokciem odległość. — Żeby przebić ten zbiornik, w burcie,

przynajmniej metr poniżej linii wodnej, trzeba wyrąbać tęgą dziurę. Stalowe blachy poszycia mają grubość ośmiu milimetrów, dlatego żeby je rozerwać, trzeba

czegoś naprawdę potężnego. — Podniosłem wzrok. — Na łodzi, którą załatwisz,

chcę zbudować taran. Kiedyś, dawniej, taranowanie było ogólnie przyjętym spo-

sobem walki na morzu i wszystkie okręty miały tarany. Ale ja wymyśliłem nieco inny wariant bojowy. Mój wariant to kombinacja zwalczania przez taranowanie

uzupełniona taktycznym ładunkiem sztucznych ogni. Staranujemy zbiornik jach-

tu i upuścimy z niego ropy. Ropa pływa, unosi się na powierzchni wody, tak?

Sztuczne ognie wybuchną, zrobią wielkie *puffff* tę ropę podpalą.

— Więc zamierzasz Wheelera stamtąd wykurzyć?

Przyglądałem się jej chwilę w milczeniu, a później odparłem:

— Nie bądź niemądra, Alison. Ja chcę tego sukinsyna żywcem usmażyć.

To wszystko wymagało czasu, a czasu mieliśmy niewiele. Jak przypuszcza-

łem, znalezienie odpowiedniego hangaru w Senglei nie nastroczało kłopotów, ale znaleźć i wprowadzić się to dwie różne sprawy. Popytaliśmy tu i ówdzie i bardzo 192

szybko natknęliśmy się na znakomity lokal, lecz rozmowy się przedłużały i do-

piero o dziesiątej trzydzieści rano, kiedy dwadzieścia nowiutkich, szeleszczących pięciofuntówek Banku Anglii zmieniło właściciela, dobiliśmy targu.

Ponieważ minuty uciekały, wysłałem Alison po łódź. Miałem nadzieję, że

kupno łodzi nie będzie tak trudne i czasochłonne jak zdobycie hangaru. Poszedłem tymczasem na złomowisko i szperałem wśród rupieci tak długo, aż znalazłem to, czego szukałem: kilka sztuk stalowego kątownika, garść półcalowych śrub oraz

sztabę ze stali długą na dwa i pół metra i grubą na dwanaście milimetrów. Udało mi się również wypożyczyć palnik, butlę tlenu, butlę acetyleny i ochronne okulary.

Zapłaciłem i pomyślałem sobie, że kiedy jakiś urzędnik z angielskiego Mini-

sterstwa Skarbu przeczyta naszą listę wydatków, włosy staną mu dęba. Już go

widziałem, jak usiłuje podważyć celowość zakupu dwustu pięćdziesięciu kilogramów ogni sztucznych i smaruje do Alison jadowite pismo, żądając szczegółowych wyjaśnień. Ale może pani Smith umiała również preparować lipne dokumenty. . . ?

Ściągnąłem żelastwo do hangaru i kręcąc się w pobliżu czekałem na Alison.

Gapiałem się na basen Wielkiego Portu, spoglądałem w stronę Valletty i żałowa-

łem, że nie widać stąd zatoczki, gdzie kotwiczyła — wciąż miałem taką nadzieję

— *Artina*. O godzinie pierwszej trzydzieści nadal czekałem i zaczynało się we mnie z wolna gotować. Traciliśmy czas, a miałem jeszcze od groma roboty.

Wróciła dopiero przed drugą, a ja puszczałem już uszami parę.

— Dlaczego tak długo? — warknąłem.

Rzuciła mi cumę.

— Musiałam jechać aż do Sliemy. O coś takiego ci chodziło?

Obejrzałem łódź. Kupiła zgrabne, włoskie cacko z dwoma zewnętrznymi sil-

nikami typu Kiekhaefer Mercury, po sto koni mechanicznych każdy. Łódź wyglądała nieźle, a te dwa wielkie motory powinny sprawić, że będzie fruwała jak samolot.

— Kiedy tutaj płynęłam, wycisnęłam z niej ponad trzydzieści węzłów — powiedziała Alison.

— Przypłynęłaś na niej ze Sliemy? To musiałaś mijać po drodze *Artinę*.

— Jeszcze tam stoi. — Trochę mi ulżyło. — Na rufie odchodzi jakaś wielka robota. Akurat wyciągali na pokład śrubę.

— Naprawdę?! — Roześmiałem się głośno. — Wspaniale! No to zejdzcie im na tym cały dzień. — Kiwnąłem palcem w stronę hangaru. — Na pochylni jest wózek. Pomóż mi ją na niego wciągnąć. Nie powinna się rzucać ludziom w oczy.

Spuściliśmy z pochylni wózek, wepchnęliśmy nań łódź, a potem wprowadziliśmy wózek do hangaru. Alison zerknęła na zegarek.

— Zamówiłam sztuczne ognie. Mam je odebrać o trzeciej.

— No to lepiej leć. Zawahała się.

— Dasz sobie z tym radę sam?

193

— Powinienem. Jest tu dobry blok. Podwieszę na nim silniki.

— Zostawiłam ci w łodzi termos z kawą i kanapki. I butelkę szkockiej. Wrócę, jak tylko będę mogła.

Odwróciła się.

— Alison, mam jeszcze jedną prośbę. Czy możesz zdobyć siekierę? Dużą siekierę, taką, jakiej używają drwale przy wyrębie lasu.

Tym ją zaskoczyłem. Spochmurniała.

— Wątpię. . . Nie wiem, czy na Malcie czegoś takiego używają. Nie ma tu

wielu drzew.

— Zrób, co się da.

Poszła. Wyjąłem z łodzi wiktuały — omal nie stłukłem przy tym cennej butelki — potem odczepiłem ciągną steru i wymontowałem silniki. Z pomocą bloku

wywróciłem łódź do góry dnem, zdjąłem ją z wózka i ułożyłem na kozłach. Zja-

dłem kanapki i wypiliśmy kawę. Jedząc, dumałem, co dalej. Szkockiej nie tknąłem, bo czekało mnie mnóstwo pracy, chociaż zdrowy łyk na szczęśliwy początek dobrze by mi zrobił.

Zakasałem rękawy. Kadłub łodzi wymodelowany był ze szklanego włókna.

Zaznaczyłem na nim miejsca na otwory — bardzo starannie -i zacząłem go syste-

matycznie rujnować, borując w tych miejscach dziury. Mój pomysł sprowadzał się do tego, żeby zamontować taran w taki sposób, by kiedy łódź wpadnie w ślizg, taran znalazł się przynajmniej metr pod powierzchnią wody. Poza tym, taran musiał

być osadzony niezwykle mocno, bo gdyby nie był, w momencie starcia nie wy-

trzymałby i puścił. W takim wypadku cała moc, jaką wytwarzały potężne silniki, poszłaby na marne i mój taran nie przebiłby stalowej skorupy jachtu.

Przyciąłem kątownik i dokręciłem go śrubami do umocnień ze stalowych

taśm, które biegły w poprzek kadłuba. Potem zabrałem się za spawanie. Spaw

nie wyglądał może najpiękniej i z pewnością nie wygrałby konkursu w szkole zawodowej, ale spełniał swoje podstawowe zadanie: trzymał, trzymał, że aż strach!

Później zabrałem się za dwa trójkątne kształtowniki. Były wbudowane w kadłub, a ich wierzchołki wystawały na co najmniej metr poza dno łodzi. Chwyciłem mo-ją sztabę i przyspawałem ją do tychże wierzchołków tak, że biegła równoległe do kilu i sterczała na pół metra przed dziób.

Alison wróciła na długo przedtem i dzielnie mi pomagała. Robota była brudna,

zmudna i zabrała nam mnóstwo czasu. Zbliżała się siódma, zbliżał się koniec

pracy.

— Zdobyłaś siekierę? — spytałem.

Zdobyła dokładnie taką, o jaką mi chodziło: drwalską siekierę z długą ręko-

jeścią. Rękojeści nie potrzebowałem, więc nie marnując ni chwili, odciąłem ją palnikiem. Później

przyspawałem ostrze pionowo do sztaby pod dnem. Ostrze

miało spełniać funkcję głowicy bojowej mojego tarana.

194

Cofnąłem się i spojrzałem na swoje dzieło. Śmieszne, ale toto naprawdę wyglądało jak jakiś zwariowany typ hydroplanu. Może i wyglądało, lecz na myśl

o tym, jak ta bezwładna kupa złomu wpłynie na ślizg łodzi, robiło mi się słabo.

Zaczynałem się martwić, że nie uzyskam na niej wystarczającej prędkości, że w ogóle nie zadrze do góry pyska.

— No, to teraz bym się napił.

Alison nalała whisky do nakrętki od termosu. Spojrzała na łódź i powiedziała:

— To będzie niebezpieczne zadanie, Owen. Zastanawiałam się właśnie, czy. . .

— Czy co? Spojrzała mi w oczy.

— Czy nie można tego załatwić prościej. Na przykład przez policję.

— Świetny pomysł! — rzuciłem ironicznie. — I myślisz, że miejscowe gli-

ny ci uwierzą? Chryste, Wheeler przyływa tu rok w rok, jest tutaj szanowaną

figurą, członkiem Brytyjskiego Parlamentu i znamienitym kapitalistą. Na pew-

no zasila kasę jachtklubu i nie zdziwiłbym się, gdyby sprawował wyłączną opiekę nad miejscowym sierocińcem. Zanim byśmy tu kogokolwiek o czymkolwiek

przekonali, on i Slade wyfrunęliby z gniazdka!

— Nie zapominaj, że na *Artinie* mają trupa — argumentowała. — Musieliby się z tego jakoś wytłumaczyć, prawda?

— To bez znaczenia, Alison, daj sobie spokój. Spójrzmy lepiej na te fajerwerki.

Były tam rakiety z własnym napędem i takie, które wystrzeliwuje się ze specjalnych moździerzów. Było ich dużo, a wszystkie ogromne.

— Dobra — powiedziałem z satysfakcją. — To przyda świetności uroczysto-

ściom, bez dwóch zdań. Musimy teraz ustawić łódź z powrotem na wózku.

Żeby ją tam ustawić, musieliśmy to i owo z wózka odciąć, tak że nie nadawał się już do obsługi normalnych łodzi. Koszta Ministerstwa Skarbu rosły. Zamontowałem silniki, ciągną steru i sprawdziłem, jak chodzą. Kiedy zeskoczyłem na ziemię i spojrzałem na łódź — stała już kilem do dołu — sprawiała dużo lepsze wrażenie.

— Ile za nią zapłaciłaś? — zapytałem ciekawie.

— Tysiąc pięćset funtów — odparła. Uśmiechnąłem się.

— Pociski sterowane zawsze były drogie. No to załadujmy ją. Każdy wol-

ny centymetr kadłuba wytapetowaliśmy największymi rakietami. Alison, przewi-

dująca jak zwykle, zorganizowała kanister z benzyną i po napełnieniu zbiornika w kanistrze została jeszcze piątka. Pięć litrów nadawało się znakomicie, by wzniecić ogień — na dobry początek.

Miałem nowe zmartwienie. Wywierciłem w kadłubie od groma dziur na śruby.

Zakitowałem je co prawda nader starannie, ale czy aby któraś nie puszcza wody?

Mogliśmy to stwierdzić dopiero po zwodowaniu, a wodować łódź zamierzaliśmy po zapadnięciu zmroku.

— Kiedy zaczynają puszczać te ognie? — spytałem.

195

— Na feście? Dwie godziny po zachodzie słońca.

— Chcę staranować *Artinę*, kiedy pokaz fajerwerków rozkręci się na dobre.

Ludzie się trochę pogubią. — Znużony usiadłem i po raz enty wyдостаłem plan

jachtu; był już złachmaniony, upačkany smarem i brudny na zgięciach, ale wciąż czytelny. — Problem w tym, że mogę niechcący trafić w którąś z wręg. Jak w taką trafię, to nici z tego, za twarda.

Wręgi rozstawione były średnio co pół metra. Duże szansę, że chybię.

— Skoro znów będziemy pływać w tym bajorku, dlaczego mamy się tak kato-

wać? — odezwała się Alison. — Wstała i przytragała skądś sprzęt do nurkowania.

— Na wszelki wypadek pozwoliłam sobie to wypożyczyć.

— Fakt, to mi jakoś umknęło z pamięci. . . — Ciekawe, co jeszcze mi umknę-

ło? Spojrzałem na sprzęt. Alison wypożyczyła dwa komplety.

— Chwila — powiedziałem — to ja będę pływał, nie ty.

— Nie, idę z tobą. Przecież. . .

— Po co? — uciałem. — Tylko mi ciebie tam trzeba.

Drgnęła, jakbym uderzył ją w twarz.

— Tak, masz rację, Alison, to niebezpieczna wyprawa i nie ma sensu, żebyśmy

oboje pakowali się w tarapaty. Poza tym, zaplanowałem, że zajmiesz się czymś

innym. — Trąciłem kciukiem burtę łodzi. — Bez względu na to, czy staranuję

jacht, czy nie, kiedy wybuchną nasze rakiety, rozpęta się prawdziwe piekło. Jeśli nie wrócę, ktoś musi tu być, żeby wreszcie załatwić Wheelera. Tym kimś jesteś ty, Alison. — Sięgnąłem po butelkę i dolałem sobie szkockiej. — Możesz pójść

na policję. Niewykluczone, że jak zrobię *buum*, policja się nim zainteresuje.

Zrozumiała, o co chodzi, ale wcale się jej to nie podobało. Siedziała z zaciętą twarzą i sposobiła się do ataku. Uprzedziłem ją.

— No dobra, zrobisz tak. Zaczekasz tu do zapadnięcia zmroku i pomożesz mi

zwodować to bydlę. Później zabierzesz się do Ta'Xbiex i wynajmiesz inną łódź.

Jeśli znajdzie się frajer, który ci ją wynajmie. — Uśmiechnąłem się. — Wyglądasz teraz tak, że nie pożyczyłbym ci nawet zabawki do wanny.

Przeciągnęła dłonią po usmarowanych policzkach i ze wstrętem zerknęła na paznokcie.

— Dzięki — mruknęła. — Doprowadzę się jakoś do ładu.

— Jeśli nie zdołasz wynająć łodzi, to ją ukradnij. W marinie jest pełno ło-

dzi, których nikt nie pilnuje. Spotkamy się za Manoel, od strony morza. Płyń za mną, ale nie za blisko. Kiedy bomba pójdzie w górę, rozglądaj się za Wheelerem i Sladem. Jak wszystko zagra zgodnie z planem, będą usiłowali na łeb na szyję wyskoczyć za burtę. Dopilnuj, żeby nie wyleźli na brzeg.

— Wczoraj zgubiłam swój pistolet — powiedziała.

— No to przyłóż im wiosłem. W czerep i po krzyku. Nie przejmuj się, będę się od twego wiosła trzymał z daleka. — Spojrzałem na zegarek. — Za godzinę ją zwozujemy.

196

Godzina ciągnęła się w nieskończoność. Powiadają, że czas się tak wlecze dla tych, co biorą LSD. Nie wiem, nie próbowałem. Prawie nie rozmawialiśmy, a jak rozmawialiśmy, to o niczym. Słońce zaszło, niebo powoli szarzało, wreszcie stało się na tyle ciemne, że bez zwracania na siebie niepotrzebnej uwagi mogliśmy spuścić łódź na wodę. W wodzie nie będzie zbytnio rzucać się nikomu w oczy.

Poklepałem ostrze siekiery na czubku tarana i poszedłem otworzyć wielkie, podwójne wrota hangaru. Potem pchnęliśmy wózek i stoczył się gładko do wody.

Wyciągnąłem go spod kadłuba, odstawiłem i przyjrzałem się dziełu swoich rąk.

Łódź prezentowała się całkiem całkiem. Dziób ciągnęło trochę w dół, ale nie za wiele, jeśli uwzględnić wagę żelastwa zamocowanego pod kilem. W sumie nie odbiegała prawie od normy, tylko z boków sterczały jej fragmenty stalowego kątownika. Za dziesięć minut będzie tak ciemno, że nikt tego nie zobaczy — my-

ślałem. A nawet jeśli oświetli mnie w porcie jakaś latarnia czy reflektor, wątpię, czy ktoś zauważy w niej coś dziwnego.

— Chyba w porządku — skonstatowałem. Padałem z nóg. Bezsenna noc, man- to, jakie mi spuścili i całodniowa harówka nie poprawiały mi samopoczucia.

— Pójdę już — powiedziała cicho Alison. — Powodzenia, Owen. — Nie pocałowała mnie, nawet mnie nie dotknęła. Po prostu odeszła, schylając się po drodze po swoją kurtkę.

Wlazłem do łodzi i zrobiłem sobie trochę miejsca w stercie fajerwerków. Ułożyłem w pobliżu aparat do nurkowania i sprawdziłem prymitywny system zapło-

nowy tej pływającej bomby. Potem nie miałem już nic do roboty. Musiałem tylko czekać, jeszcze godzinę. Za godzinę wyruszę.

I znów czas mi się dłużył. W nieskończoność.

Po raz dwudziesty w ciągu ostatnich piętnastu minut spojrzałem na zegarek i zdecydowałem, że już pora. Nałożyłem butle z powietrzem, zacisnąłem pas balastowy i powiesiłem na szyi maskę. Potem uruchomiłem silniki. Łódź drgnęła, poruszyła się lekko.

Rzuciłem cumę, odepchnąłem się ręką, a potem delikatnie prze sunąłem dźwignię gazu. Delikatnie, bo nie wiedziałem, co mnie może zaraz czekać.

Kiedy płynąłem wolno, nawet nieźle dawała się prowadzić, chociaż reagowała na ster trochę przyciężkawo. Włączyłem światła — nie chciałem, żeby patrol portowy zatrzymał mnie pod zarzutem bezprawnego korzystania z łodzi — i ruszyłem w kierunku Wielkiego Portu w Valletcie. French Creek. Tutaj, w czasie

wojny, stacjonowała Brytyjska Flota, to tutaj stały w bojowym szyku jej pancerniki i krążowniki. Teraz płynął tędy nieco inny okręt, może trochę już niemodny, podobny bardziej do statków kapitana Drake'a, ale kto wie, czy nie równie skuteczny.

Po drugiej stronie portu ujrzałem rozświetloną Vallettę, natomiast Florianę zdobiły kolorowe sznury lampek. Po wodzie niosły się cichutkie dźwięki muzyki akcentowanej głuchym pohukiwaniem bębna. Zabawa nabierała rumieńców.

Okrzyżłem cypel Senglei i skręciłem w stronę wejścia do portu. Nie widzia-

łem w pobliżu żadnej łodzi, więc postanowiłem dodać gazu, żeby sprawdzić, jak zachowuje się mój wehikuł na pełnej szybkości. Silniki zabasowały, dwieście koni mechanicznych ruszyło z kopyta i poczułem, jak wciska mnie w fotel. Przeliczając moc silników na tonę wyporności, moja łódka była około czterdziestu razy

silniejsza niż *Artina* i stąd jej prędkość.

Ale za to sterowność była teraz kiepska, gorzej, była podła. Kierownica dosta-

ła drgawek, skakała mi w rękach, a kurs. . . O kursie lepiej nie wspominać. Krótko mówiąc, wpływałem do Wielkiego Portu, do złudzenia naśladując ruchy grzbie-topławka, takiego wodnego pajęczka, który mieszka sobie na różnych stawach

i sunie po powierzchni wody gwałtownymi, kompletnie nie skoordynowanymi skokami.

Ta cholerna łódź wcale nie zamierzała wpaść w ślizg, gdzież tam! Jej pręd-

kość wzrosła ledwie do dwunastu węzłów, a z dwunastoma węzłami to mogłem

198

sobie nakukać. Cała moc, jaka szła w śruby, wzniewała jedynie fale. Wzniewać fale potrafi każdy debil i nie po to wlokłem się tu pół świata. W desperacji i rozpacz, pchnąłem przepustnicę do oporu. Łódź uniosła gwałtownie pysk, dostała amoku

i w ciągu dziesięciu sekund przyspieszyła o co najmniej dziesięć węzłów. Ale sterowanie pogorszyło się jeszcze bardziej i moja torpeda reagowała na ruchy koła z gigantycznym opóźnieniem.

Zmniejszyłem ciąg i łódź oklapła na wodzie jak namoknięty kapok, wytraca-

jąc prędkość tak gwałtownie, jakby nadziała się na betonowy mur. Zanosilo się na niezłą zabawę. Mogłem z niej sporo wycisnąć — pod warunkiem, że nie rozlecia-

łyby się silniki — ale nie wiedziałem, czy uda mi się utrzymać ją na kursie i trafić tam, gdzie chciałem. Chociaż owiewał mnie chłodny, nocny wietrzyk, czułem, że pocę się jak mysz.

Jeżeli w ślizg wprowadzić ją można tylko poprzez maksymalne otwarcie prze-

pustnicy, to drugi raz lepiej tego nie próbować. Bałem się, że zatra się silniki i postanowiłem, że następna próba szybkości będzie próbą decydującą i zarazem ostatnią. A sterowanie? Z tym muszę sobie poradzić najlepiej jak umiem.

Zmniejszyłem prędkość jeszcze bardziej i powlokłem się w kierunku cypla

St Elmo. Upstrzony tysiącem świateł fort o tej samej nazwie piętrzył się za moimi plecami. Minałem cypel i wypłynąłem na otwarte morze. Łódź rozkołysała

się nieprzyjemnie, ponieważ sztaba zawieszona pod kilem działała jak wahadło.

Gdyby jakiś szanujący się konstruktor zobaczył moje dzieło, nie mógłby później zasnąć, a gdyby nawet zasnął, miałby koszmarne sny, to pewne jak w banku.

Wreszcie okrążyłem cypel i ciesząc się, że znów wpływam na osłonięte wody,

skręciłem w stronę portu Marsamxett. Wziąłem kurs na wyspę Manoel. Valletta

leżała teraz po lewej i zastanawiałem się przez moment, z którego miejsca będą puszczać sztuczne ognie. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że czasu zostało mi raczej niedużo.

Gdy zbliżyłem się do wyspy, zmniejszyłem maksymalnie gaz. Silniki pomru-

kiwały z cicha i nie pozwalały, by łódź wpadła w dryf. Niedaleko rozbłysł nikły płomyczek. Alison

była już na miejscu. Zapaliła zapalniczkę i trzymała ją tak, by oświetlić sobie twarz. Zakręciłem kołem steru i wkrótce staliśmy burta w burcie.

Alison siedziała w małej, zwinnej motorówce z jednym silnikiem.

— Śliczna — powiedziałem. — Gdzie ją wytrzasnęłaś?

— Posłuchałam twojej rady. Ukradłam ją — odparła i roześmiała się cicho.

— Bardzo dobrze. Naszym obowiązkiem jest oszczędzać pieniądze rządu Jej Królewskiej Mości.

— Jak sobie dajesz radę? -spytała.

— To istna dziwka. Narowista jak wszyscy diabli.

— Kiedy płynęłam na niej ze Sliemy, była w porządku.

— Dziewczyno, płynęłaś zupełnie inną łodzią. Teraz dodasz trochę gazu i ster wylatuje ci z rąk. Ile zostało nam czasu?

199

— Około dziesięciu minut.

Rozejrzałem się dookoła.

— Zajmę już lepszą pozycję. Jak tu będziemy sterczeć, rozjedzie nas prom ze Sliemy. Już nadpływa. *Artina* stoi, gdzie stała?

— Tak.

— No to ruszam. Najpierw podpłynę do Lazzaretto Creek. Tam zawrócę i we-

zmę dobry rozbieg. Ty trzymaj się z daleka, za *Artina*. — Urwałem. — Steruje się nią tak cholernie trudno, że za pierwszym podejściem mogę nawet chybić. Jak chybię, spróbuję z drugiej strony. Uważaj i zejdz mi wtedy z drogi, bo cię rozjadę.

— Powodzenia, Owen.

— Jak zobaczysz Wheelera, przyłóż mu i ode mnie, z najlepszymi życzeniami.

Palił się, żeby zobaczyć, jak ten jego Chińczyk będzie się nade mną pastwił. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zobaczymy się w Ta'Xbiex, w tym samym miejscu co

wczoraj. — Pchnąłem dźwignię przepustnicy i wolno odpłynąłem.

Na pokładzie *Artiny*, którą mijalem w bardzo niewielkiej odległości, zobaczyłem trzech mężczyzn: Wheelera, szypra i Chińczyka. Widziałem ich całkiem

wyraźnie, ponieważ nadbudówka była oświetlona. Ja znajdowałem się niżej, na poziomie wody, i otaczała mnie ciemność, więc nie mieli szans mnie przyuważyć. Ot, jeszcze jedna łódź zmierzająca w noc.

Na burcie jachtu, w miejscu, w które zamierzałem uderzyć, zaznaczyłem ręką wyobraźni wielki krzyż. Potem popłynąłem w kierunku Lazzaretto Creek. W pobliżu mostu Manoel przeszedłem na jałowy bieg i zawróciłem. Odkręciłem kurek butli z powietrzem, sprawdziłem zawór ssący, zagryzłem ustnik i nałożyłem maskę. Jeśli sprawy potoczą się zgodnie z planem, później nie będzie na to czasu.

Z tyłu, ma moście, pędziły samochody. Po chwili wkroczyła nań gromada ludzi z orkiestrą, hałaśliwymi bębnami i fałszującym bez sensu czynielem. Nie obejrzałem się nawet. Patrzyłem na Vallettę i czekałem na rozpoczęcie pokazu sztucznych ogni.

Po jakimś czasie usłyszałem coś, co początkowo wziąłem za głośniejsze uderzenie w bęben, ale okazało się, że to wypalił moździerz. Nad Vallettą wytrysnęła żółta fontanna ognia. Rozkwitła na niebie, odbiła się w wodach portu i przez moment widziałem *Artinę* jak na dłoni. Rozpoczął się pokaz. Nadszedł czas, bym i ja przyczynił się do uświetnienia maltańskich uroczystości.

Pchnąłem dźwignię gazu i wolno ruszyłem. Nad miasto poszybowała kolejna rakietka. Wybuchła, rozsiewając wokół ognisty, czerwono-zielony deszcz. Jedną ręką trzymałem koło steru, drugą chwyciłem kanister z benzyną. Obląłem nią cały ładunek, modląc się w duchu, żeby iskry lecące z nieba zgasły, nim opadną na poziom wody. Jedna iskierka na mojej krypie, a w gigantycznym obłoku chwały dołączę do kolorowych światełek w górze.

Nabierałem szybkości, a niebo jarzyło się nade mną tęczą barw; Maltańczycy

nie żalowali rakiet i dawali czadu, że hej. Widziałem *Artinę* coraz wyraźniej, więc 200

i ja dałem czadu, otwierając maksymalnie przepustnicę.

Silniki ryknęły. Łódź uniosła dziób, wpadła w ślizg i jej sterowność szlag

trafił. Kierownica wpadła w agonalne drgawki i chociaż próbowałem utrzymać ją w rękach, nic z tego nie wyszło. Płynąłem horrendalnym zygzakiem, niemal ocierając się o dzioby jachtów cumujących u nabrzeża. Szarpnąłem sterem w lewo,

ale ta dziwka miała spóźniony refleks i z nadbudówki łodzi, którą akurat mijalem, dobiegł mnie czyjś przerażony wrzask. To musiał krzyczeć mój emerytowany puł-

kownik. Nie dziwota, bo pędząc z szybkością dwudziestu węzłów musnąłem jego

pałac i chyba nieźle biedaka nastraszyłem.

Ale pułkownik był już za mną, już wpływałem do portu. Brykając jak osza-

lały koń na rodeo, skacząc to w lewo, to w prawo, pędziłem przed siebie na złamanie karku. Gdyby mnie wtedy zobaczył jakiś porządny sternik, popłakałby się z rozpacz. Niebo stało w płomieniach, wkoło niosła się upiorna kanonada, woda błyszczała refleksami świateł i raptem serce skoczyło mi do gardła. Nie wiadomo skąd wyprysnęła przede mną jakaś motorówka. Śmignęła jak błyskawica tuż

przed dziobem mojej łodzi i zniknęła w mroku. W basenie portu Marsamxett gra-

sowało więc dwóch niebezpiecznych wariatów.

Szarpnąłem kołem steru w przeciwną stronę, zerknąłem na *Artinę* i spostrzegłem, że chybię, bez najmniejszych wątpliwości chybię, i to sporo! Zakląłem pod nosem, bo za wszelką cenę chciałem uniknąć nawrotu i jeszcze jednej opętanej

przejażdżki. Przyszło mi na myśl, że skoro łódź prowadzi się, jak się prowadzi, lepiej będzie, jeśli nakieruję ją byle gdzie, tylko nie na *Artinę*, a wtedy trafię w jacht jak nic.

Namierzałem się, żeby uderzyć w okolice rufy, ale w tym momencie lewy

silnik strzelił, zakrztusił się i zdechł z okropnym, zgrzytliwym łoskotem pękają-

cego wału. Ale łódź wróciła niespodziewanie na kurs i teraz celowała dziobem

dokładnie w *Artinę*! Zapałem się rękami o koło steru i wbiłem wzrok w cielsko jachtu. Było blisko, coraz bliżej, było tuż tuż. A później mój taran zrobił swoje i z ogłuszającym trzaskiem wbił się w sam środek kadłuba *Artiny*.

Rzuciło mną w przód. Stłukłem sobie żebra o ster, ale jakimś cudem nie wy-

padłem z łodzi. Pozostało mi tylko jedno do zrobienia. Namacałem zapalniczkę.

W tej samej chwili na pokładzie jachtu, nad sobą, usłyszałem krzyk. Zadarłem

głowę i w drażniącej wzrok mieszaniu światłości i mroku dostrzegłem jakiś ruch

— ktoś wychylał się przez burtę, żeby sprawdzić, co się tam, u diabła, stało. Widziałem go słabo, ale gdy w niebo poszybowała kolejna rakietka, sam musiałem

być widoczny jak cholera.

Pstryknąłem zapalniczką. Dała iskrę, ale nie płomień. W czerwonej po-

świacie lejącej się z góry zobaczyłem, że dziób mojej łajby jest roztrzaskany na fets, z tak wielką siłą wbił się w burtę *Artiny*. Taran musiał tkwić głęboko pod poszyciem, bo łódź trzymała się twardo i nic nie wskazywało na to, że zaraz się od jachtu odczepi.

201

Pstryknąłem zapalniczką jeszcze raz, nerwowo, rozpaczliwie, ale i tym ra-

zem ogień się nie pokazał. Z góry dobiegł mnie odgłos wystrzału. Pocisk uderzył

w deskę rozdzielczą, tuż koło mego łokcia, i strzaskał obrotomierz. Pochyliłem się i przystawiłem zapalniczkę do wiązki nasiąkniętych benzyną rakiet. Łódź zaczynała nabierać wody, dlatego musiałem skrzesać ogień, nim będzie za późno.

Pstryk-pstryk. Wreszcie! Zajęło się od razu wszystko, wszystko okryło się jaskrawą płachtą ognia! Ja nie zająłem się tylko dlatego, że chroniły mnie częściowo butle z powietrzem i maska. Płomień buchnął z charakterystycznym, miękkim

uuuff tak, jak zapala się rozlana benzyna, buchnął i wyrzucił mnie za burtę. Kiedy wpadałem do wody, poczułem silne uderzenie w ramię.

Nie wiem, czy się przez chwilę paliłem, czy nie. Gdy lądowałem w wodzie,

byłem trochę otumaniony, ale raptowny szok przywrócił mi zdolność myślenia

i działania. Obróciłem się i zacząłem schodzić w dół, jak najgłębiej. I wówczas stwierdziłem, że prawe ramię jest kompletnie do niczego. Nie miało to wprawdzie dużego znaczenia, gdyż podczas nurkowania z aparatem pracują głównie nogi, ale martwiłem się, bo nie wiedziałem, co się, u licha, mogło stać.

Przez jakiś czas młóciłem wodę, lecz szybko przestałem, bo nie miałem po-

jęcia, gdzie jestem i dokąd płynę. Byłem całkowicie zdezorientowany i miałem do brzegu, mogłem równie dobrze zmierzać prosto w otwarte morze. Żeby określić

swoje położenie i zobaczyć, co dzieje się na *Artinie*, wychylnąłem na powierzchnię.

Nie odpłynąłem tak daleko, jak sądziłem, ledwie ze sto metrów. Znajdowałem

się zbyt blisko, co było dość niebezpieczne, ponieważ w środkowej części jachtu szalał pożar, który miałem przyjemność wzniecić. Moja łódź grzmiała na całego.

Z taranem pogrążonym w boku *Artiny*, wyglądała jak olbrzymi narwał, który dźga kłębem swoją ofiarę. Rakiety wybuchały z ogłuszającą kanonadą, rozsiewając wokół

deszcz kolorowych iskier i plując długimi jęzorami ognia. Ogień lizał burtę jachtu, na górze paliło się już płócienne zadaszanie, a ludzie biegali chaotycznie tam i z powrotem.

Jakaś rakietka — chyba z tych większych — eksplodowała niczym pocisk

z haubicy, ciskając wkoło zielonkawe iskry. Dotarły aż do mnie i opadały w wodę, gasnąc w niej ze złowieszczym sykiem. Byłem na tyle blisko *Artiny*, że ktoś mógł-

by mnie zobaczyć — o ile znalazłby chwilkę wolnego czasu — więc rozejrzałem

się po raz ostatni i zanurkowałem, kierując się w stronę brzegu.

Nie upłynąłem dwudziestu metrów, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że coś

jest nie tak. Czuję się dziwnie słabo, głowę miałem lekką. W prawym ramieniu krew pulsowała jakby mocniej, zaraz potem zaczęło w nim narastać nieprzyjemne mrowienie, które prze rodziło się szybko w ostry ból. Zwolniłem, sięgnąłem ramienia lewą ręką, dotknąłem go i omal nie zawyłem z bólu, co jest w sumie niezłą metodą na śmierć przez zachłyśnięcie.

Wypląnąłem na powierzchnię. Podałem się falom i dryfowałem, czując

202

w głowie coraz większą lekkość, czując, jak z minuty na minutę opuszczają mnie siły. Pożar na *Artinie* wciąż szalał, ale widziałem go jak przez mgłę, a raczej jak zza szyby splukiwanej deszczem. Zrozumiałem wtedy, że niechybnie umrę, że

nie wytrwam, nie dopłynę do brzegu, który znajdował się przecież tak blisko, i że znosi mnie na otwarte morze, gdzie najpewniej się utopię.

Chyba straciłem na moment przytomność, bo następna rzeczą, którą pamię-

tałem, było ostre światło latarki bijące mi prosto w oczy. I natarczywy szept:

— Owen! Owen! Chwyć się tego!

Coś pacnęło mnie w twarz i spoczęło w wodzie tuż obok głowy. Wysunąłem

lewą rękę i namacałem linę.

— Utrzymaś ją?

Alison.

Zawarczał silnik, lina naprężyła się i zacząłem sunąć przez wodę. Całą uwagę

skupiłem tylko i wyłącznie na jednym: na utrzymaniu w ręku liny. Muszę ze-

brać resztki sił, jakie mi zostały — myślałem, muszę skoncentrować je w dłoni, w palcach, i nawet na milimetr nie rozewrzeć palców. Woda obmywała mi głowę,

tworząc maleńką falę i nawet wtedy, w tym koszmarze musiałem oddać hołd Ali-

son Smith i jej nauczycielowi, Alecowi Mackintoshowi. Bo Alison wiedziała, że półprzytomnego człowieka nie da się wciągnąć do łodzi bez wywrotki, albo — co gorsze — bez zwracania na siebie uwagi osób postronnych.

Do nabrzeża było śmiesznie blisko i łódź wylądowała na pochylni. Alison

wpakowała się na nią, nie bacząc na skutki, po czym wyskoczyła za burtę i wlokąc mnie w głębokiej do kolan wodzie, doholowała prawie na brzeg.

— Owen, co się stało?

Usiadłem chwiejnie na płyciźnie.

— Chyba mnie postrzelili — odparłem powoli i zdawało mi się, że mój własny

głos dochodzi z jakiejś olbrzymiej odległości. — W ramię. Prawe.

Dotknęła rany i ogarnęła mnie fala bólu. Potem usłyszałem odgłos dartej tka-

niny i Alison obandażowała mi ramię — prowizorycznie, ale skutecznie. Wcale

bym się nie zdziwił, gdyby postanowiła mnie tam operować. Miała przecież nóż, a pocisk wydłubałaby za pomocą szpilki od włosów. Zaczynałem już przywykać

do jej nadzwyczajnych umiejętności i talentów.

— Co z *Artin*,

a? — wyszeptałem.

Odsunęła się i ujrzałem jacht. Stał w ogniu, w ogniu stało otaczające go morze, żółte płomienie strzelały wysoko nad pokład, a nad tym piekłem przetaczały się kłęby tłustego czarnego dymu. Taki dym daje tylko płonąca ropa. A więc jednak taran zrobił swoje. . . W tym samym momencie tuż pod

sterówką *Artiny* ujrzałem czerwony błysk i w ułamku sekundy cała nadbudówka zniknęła, rozerwana po-tężnym wybuchem; musiał eksplodować zbiornik paliwa, eksplodował i rozsadził

od spodu pokład. Nad portem przetoczył się głuchy grzmot. Odbił się podwójnym echem od wysokich, skalistych fortyfikacji Valletty i ucichł.

203

— No, tak. . . — rzekłem z roztargnieniem.

Alison pochyliła się nade mną.

— Dasz radę iść? -spytała.

— Nie wiem. Mogę spróbować.

Wzięła mnie pod lewe ramię.

— Krwawisz jak zarzynana świnia. Nie obejdzie się bez szpitala.

Kiwnąłem głową.

— Dobra.

Teraz nic już nie miało znaczenia. Robota skończona. Nawet jeśli Wheeler

i Slade przeżyli, dobiorą się im do skóry. Spytałiby mnie, dlaczego spaliłem *Artinę*, ja powiedziałbym im prawdę i wysłuchaliby mnie z wielką uwagą. Bo jachtów nie wysadza się w powietrze ot, tak sobie, dlatego moje słowa nie pozostałyby bez echa. Czy uwierzyliby im, czy nie, to już inna sprawa, ale do Wheelera przy lgnę-

łoby tyle błota, że do końca życia czuwałoby nad nim zimne oko odpowiedniego

urzędu. Co do Slade'a, tak, uciekłem z nim z więzienia i skoro byłem na Mal-

cie i twierdziłem, że on tu również jest, aresztowaliby go natychmiast. Na wyspie wielkości Malty nikt obcy długo się nie poukrywa.

Jeśli zaś chodzi o mnie, nie wiedziałem, co się będzie dalej działo. Alison mo-gła co prawda złożyć w mojej sprawie zeznania, ale jeżeli Mackintosh nie żyje, wątpię, czy jej słowa potraktowano by z należy tą powagą. Istniało duże prawdopodobieństwo, że resztę życia spędzę w więzieniu Durham, w oddziale dla kry-

minalistów pod specjalnym nadzorem. Ale teraz mało to mnie raczej obchodziło.

Alison pomogła mi wstać. Zatoczyłem się jak pijany marynarz i uczepiłem

bezwładnie jej ramienia. Wyszliśmy na szczyt pochylni i zastygłem w bezruchu.

Wyteńczyłem oczy. Ktoś na nas czekał. Facet był niezwykle podobny do tego młodego, buńczucznego gliniarza, do sierżanta Jervisa, który zniechęcił mnie za to, że kiedyś ukradłem paczkę brylantów i nie raczyłem mu powiedzieć, gdzie ją ukryłem.

Popatrzyłem w drugą stronę. Stali tam Brunskill i Forbes. Już nie stali. Rozdzielili się i zmierzali w naszym kierunku.

— To chyba koniec trasy, Alison — szepnąłem i obróciłem się do Brunskilla.

Zatrzymał się i wbił we mnie swój bezbarwny wzrok. Zobaczył, w jakim jestem stanie, zauważył bandaż na ramieniu. Zerknął na Alison, a potem kiwnął głową w stronę portu, gdzie smażyła się *Artina*.

— Ty to zrobiłeś?

— Ja?! — Obruszyłem się. — To pewnie iskra z tych sztucznych ogni.

Uśmiechnął się ponuro.

— Muszę cię ostrzec, że wszystko, co od tej pory powiesz, może zostać zanotowane i użyte przeciwko tobie jako dowód. — Spojrzał na Alison. — To dotyczy także pani.

204

— Nie sędzę, żeby pańska władza sięgała aż na Maltę — odpowiedziała chłodno.

— Niech się pani nie martwi. Na moje rozkazy czeka pluton miejscowej żandarmerii. — Obrócił się do mnie. — Nawet jeśli żyjesz jeszcze sto lat, spędzisz je w pudle. Tym razem tak cię wrobię, że będą musieli wybudować dla ciebie specjalne więzienie. Wyłącznie dla ciebie.

Już go widziałem, jak sporządza w duchu listę zarzutów. Podpalenie, morderstwo, poważne obrażenia cielesne, nielegalne posiadanie broni — i co gorsza, używanie jej — naruszenie wszelkich możliwych przepisów Aktu o Materiałach

Wybuchowych. Jak się postara, uda mu się jeszcze dorzucić zarzut o piractwo

i podpalenie stoczni Jej Królewskiej Mości, a to nadal było karane śmiercią.

— Człowieku, co ci odbiło?! — spytał z nutką podziwu w głosie.

Zachwiałem się lekko.

— Wszystko opowiem, ale najpierw muszę do lekarza.

Podtrzymał mnie, gdy padałem.

II

Obudziłem się w pudle. Niby w szpitalu, ale w pudle, bo szpital był więzienny, za murami. Mury na Malcie są grubsze niż gdzie indziej, w dodatku położyli

mnie w separacie. Doszedłem do wniosku, że miejscowe gliny najwidoczniej nie

chcą, by prości, siermiężni kryminaliści maltańscy dostali się pod wpływ takiego zatwardziałego i pozbawionego skrupułów zbrodniarza jak ja. Ale myliłem się,

nie o to szło.

Milczkowaty lekarz znieczulił mi okolice rany i przeprowadził krótką, nie-

skomplikowaną operację. Potem leżałem, czekając na przybycie Brunskilla i nie-uniknione pytania. Zabijałem czas, obmyślając najbardziej wyrafinowane bred-

nie, które zamierzałem mu sprzedać; szeregowi policjanci nie powinni wiedzieć o pewnych aspektach działalności rządu Jej Królewskiej Mości.

Ale do separatu wprowadzono kogoś innego, kogoś, kogo nie znałem, w każ-

dym razie nie Brunskilla. Był to wysoki mężczyzna w średnim wieku o gładkiej, nie poranej zmarszczkami twarzy, sprawiający wrażenie faceta, który dużo mo-

że. Przedstawił się jako Armitage i podał mi cały plik listów uwierzytelniających.

Przeczytałem dokument podpisany przez premiera, a resztę makulatury odłoży-

łem na bok.

Przysunął sobie krzesło i usiadł.

— No i jak się pan czuje, panie Stannard? — spytał.

— Jeśli zna pan moje nazwisko, nie muszę panu opowiadać, o co w tym

wszystkim chodziło. Przysłał pana Alec Mackintosh?

205

— Żałuję, ale nie — odparł ze smutkiem. — Mackintosh nie żyje. Poczułem,

jak w żołądku rośnie mi lodowata gula.

— Więc nie wykaraskał się z tego. . .

— Umarł, nie odzyskawszy przytomności — rzekł Armitage.

Pomyślałem o Alison. Jak to przyjęła? Trudno było powiedzieć, bo i kochała go, i nienawidziła.

— Czy pani Smith już wie? — zapytałem. Skinął głową.

— Tak. Przyjęła to dzielnie.

A skąd, palancie, możesz wiedzieć, co ona naprawdę czuje? — dumałem.

— Sprawa jest bardzo trudna, panie Stannard — mówił dalej Armitage. —

Pańska działalność, szczególnie w Irlandii, może postawić rząd w niezręcznej sytuacji. — Urwał. — O ile zostanie w pełni ujawniona.

No pewnie! Stosunki angielsko-irlandzkie już były napięte, zwłaszcza teraz,

kiedy w Ulsterze rozpętało się piekło. Prasa zrobiłaby aferę, zamieszczając wyssane z palca opowieści o agencie szalejącym w suwerennej Republice Irlandii.

— Nie mówiąc już o niezręcznej sytuacji, w jakiej znalazłem się ja, co? — rzuciłem ironicznie.

— Otóż to — potwierdził Armitage.

Wpatrywaliśmy się w siebie.

— No dobra — powiedziałem w końcu. — Kto spieprzył całą zabawę? Nie uczestniczyłem dotąd w równie tajnej misji. Jakim cudem to się rozchrzało?

Armitage westchnął.

— Takim że operacja była zbyt tajna. Posypała się, gdyż Mackintosh nikomu nie ufał, taki już był. — Spojrzał mi w oczy. — Nie ufał nawet panu.

Kiwnąłem głową, a Armitage prychnął:

— Ba! Mackintosh nie ufał nawet samemu premierowi! Przez cały czas działał na własną rękę i nie zdradzał nikomu motywów swego postępowania.

— Chyba lepiej będzie, jak mi pan wszystko opowie, panie Armitage. Ja sie-

dzę w tym po uszy.

Afera zaczęła się od serii ucieczek z więzień, które zaczęły niepokoić tych na wyższych stołkach. Mountbatten zbadał sytuację i napisał swój Raport. W wię-

zieniach zaostrzono co prawda środki bezpieczeństwa, ale wciąż krążyły plotki o jakimś tajemniczym Bractwie Wykałaczek. Owe plotki podgrzewały nastroje,

więc zdecydowano, że ktoś musi się sprawą zająć. Padło na Mackintosha.

— Ten pomysł mi się nie podobał — oświadczył Armitage. — I od razu im to powiedziałem. Sprawę powinien był przejąć Wydział do Zadań Specjalnych.

— Mackintosh mówił, że ci z Wydziału próbowali i nawalili.

Armitage skinął niecierpliwie głową.

— Wiem, ale mogli przecież spróbować jeszcze raz. Mackintosh był samotnikiem, zbyt wielkim i zbyt tajemniczym samotnikiem.

206

Wtedy zrozumiałem, co dręczyło Armitage'a. Armitage należał do grupy najwyższych urzędników państwowych, był istnym mandarynem Whitehallu i lubił

załatwiać sprawy, jak trzeba, wedle ściśle określonych przepisów. Nie podobało mu się zwłaszcza to, że premier zaangażował prywatnego siepacza. Prywatny siepacz na usługach rządu Jej Królewskiej Mości obrażał jego poczucie stosowności.

Armitage przysunął się bliżej i powiedział:

— Nie powiadamiając nikogo, Mackintosh zaczął obserwować Wheelera.

Miał co do niego podejrzenia, ale nikomu z nich się nie zwierzył, nawet premierowi. Nigdy się już nie dowiemy, dlaczego tak postąpił. Może się bał, że premier mu nie uwierzy. . . ? Wheeler zdobywał coraz większą popularność, zdobywał też wpływy. Premier miał lada dzień wręczyć mu tekę ministra.

— Tak — wtrąciłem. — Chyba rozumiem Mackintosha. Jak wpadł na trop Wheelera?

Armitage pokręcił głową.

— Nie wiem. Sądzę, że premier pokładał w Mackintoshu całkowi te zaufa-

nie, jeśli chodzi o pewne przedsięwzięcia natury ściśle tajnej — odparł z naganą w głosie.

A więc Mackintosh sprawdzał lojalność ludzi stojących na samym wierzchoł-

ku! Rozpracowywał śmietankę władzy, elitę! Oto odpowiedź na pytanie: *Quis cu-stodiet ipsos custodes?* Tak, mogłem sobie wyobrazić, jak Mackintosh wyławia jakiegoś ekstremistę, lewicowca, albo prawicowca, twierdząc, że facet stanowi potencjalne zagrożenie dla kraju i rządu, ale żeby solidnego burżuja, kapitalistę z centrum podejrzewać o maoizm!? Pomysł zakrawał na śmieszność!

— Więc Mackintosh dysponował niczym nie udokumentowanymi podejrze-

niami — powiedziałem. — Nie chciał, żeby Wheeler coś zwęszył, dlatego trzymał

gębę na kłódkę. Chciał go przyłapać na gorącym uczynku, tak?

— Chyba właśnie o to chodziło — zgodził się Armitage. — Wprowadził do

akcji pana i za pomocą tej sztuczki z brylantami zetknął pana ze Sladem. — Je-go surową twarz złagodził na chwilę nikły uśmiech. — Bardzo ciekawy pomysł,

przyznaję. Ale Mackintosh nie powiedział panu o Wheelerze.

— Niczego takiego nie oczekiwałem — stwierdziłem sucho. — W tym sta-

dium operacji nie musiałem o niczym wiedzieć. — Potarłem policzek. — Ale

myślałem, że powie pani Smith.

— Nie powiedział, ale o tym za moment. — Armitage pochylił się do przodu.

— Kiedy uciekł pan ze Sladem, Mackintosh spotkał się z Wheelerem w jego klu-

bie. Odbyli rozmowę, podczas której zdradził Wheelerowi, kim pan jest. W ten

sposób. . . eee. . . przykrywka, tak?, przykrywka posypała się w gruzy.

Zamrugałem nieprzytomnie oczyma, potem je zamknąłem i opadłem na po-

duszkę.

— Zrobił to celowo? — wyszeptałem.

— Och, tak, oczywiście. Chciał pchnąć Wheelera do czynu, chciał wymusić

na nim fałszywy krok i przyłapać go *in flagrante delicto*. Wygląda na to, że zrobił

z pana kozła ofiarnego.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na Armitage'a.

— Zawsze byłem kozłem ofiarnym, to nieodłączna część mojego zawodu. —

I pomyślałem sobie, że Mackintosh to jednak kawał bez względnego sukinsyna.

— Wheeler chwycił przynętę, a jakże — mówił dalej Armitage. — Tylko

dla Mackintosha źle się to skończyło. Tego samego dnia potrącił go samochód.

Skonfiskowaliśmy wszystkie samochody Wheelera, żeby je na tę okoliczność do-

kładnie zbadać. Jestem absolutnie pewny, że nawet po tak długim czasie nasi specjaliści znajdą w nich, co trzeba. Sądzę, że zrobił to jego szofer, Irlandczyk.

— Albo kucharz. To Chińczyk.

Armitage wzruszył ramionami.

— Tak więc Mackintosh leżał nieprzytomny w szpitalu. Miał wypadek w dro-

dze do biura, gdzie czekała na niego pani Smith. Nie dowiemy się już, czy zamierzał jej o wszystkim powiedzieć, czy nie. W każdym razie nikt z członków rządu nie wiedział o Wheelerze. Rozumie pan teraz, co miałem na myśli twierdząc, że operacja była zbyt tajna?

— Urzędnik wysokiego szczebla z Whitehallu nie zjawia się na Malcie o tak sobie. Coś musiało się stać.

— Stało się: Mackintosh zmarł. Okazało się, że na wszelki wypadek poczynił

pewne zabezpieczenia. Napisał szczegółowe sprawozdanie ze swojej działalności i tuż przed rozmową z Wheelerem oddał je w depozyt prawnikowi. Sęk w tym,

że dokument umieścił w zaklejonej kopercie, a na kopercie napisał: „Otworzyć

tylko na wypadek mojej śmierci”. — Zerknął na mnie. — A cały czas opiekowali

się nim lekarze. Wciąż żył, chociaż trudno to nazwać życiem. Jednak z prawne-

go punktu widzenia żył. Tak naprawdę stał się warzywem, którego egzystencję

podtrzymywali lekarze zobowiązani Przysięgą Hipokratesa i skomplikowana apa-

ratura medyczna. Ta przeklęta koperta leżała u prawnika aż przez dwa tygodnie, do śmierci Mackintosha, a wtedy było już prawie za późno. Prawie. Gdyby nie

pańska. . . przedsiębiorczość, nie mielibyśmy szans.

— To wszystko bardzo fajnie, ale w jaki sposób trafiliście za mną aż tutaj?

Mackintosh nie wiedział, gdzie jestem.

— Ruszyliśmy od razu na Wheelera — odparł. — Właśnie zastana wialiśmy

się, jak to rozegrać, kiedy wziął pan sprawę w swoje ręce. — Uśmiechnął się blado. — Pańskie metody są bardzo. . . bezpośrednie, że tak powiem. Przypuszcza-

liśmy, że może się pan gdzieś tutaj kręcić, dlatego sprowadziliśmy ludzi, którzy mogli pana rozpoznać.

— Brunskilla i jego kumpli, co? A więc macie Wheelera.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie. Wheeler nie żyje, Slade też. Raczył pan o to skutecznie zadbać, że

się tak wyrażę. Wydział do Zadań Secjalnych rozpracowywuje teraz organizację

208

Wheelera, rozgryza jej filie, te legalne i te nielegalne. Sądzę, że to trochę potrwa, ale tym nie musi się pan już martwić. — Oparł się o krzesło. — Ale pan, panie Stannard, pan stwarza dla naszego rządu duży problem. Dlatego tu jestem.

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

— O tak, wiem, dałem wam do wiwatu, co?

— Nie ma się z czego śmiać, panie Stannard — powiedział poważnie Armita-

ge. — Prasa już coś zwęszyła. — Wstał i podszedł wolno do okna. — Na szczęście większość . . . eee. . . przestępstw popełnił pan poza granicami Królestwa i na te przestępstwa można przymknąć oko. Ale jest ta sprawa rabunku brylantów, a to

już o wiele trudniej załatwić.

— Czy właściciele brylantów dostali odszkodowanie od towarzystwa ubezpieczeniowego? — spytałem.

Armitage obrócił się i spojrzał na mnie z uwagą.

— Sądzę, że tak.

— No i po krzyku. Dlaczego nie zostawić tego jak jest?

Był wyraźnie urażony.

— To nie do pomyślenia, by rząd Jej Królewskiej Mości tolerował fakt, że ktoś oszukuje towarzystwo ubezpieczeniowe — odparł.

— A dlaczego nie? — zapytałem trzeźwo. — Przecież rząd Jej Królewskiej Mości toleruje morderstwa popełnione na osobach niejakie go Wheelera i Slade’a.

Robić w portki dla głupich paru tysięcy funciaków? Bez przesady.

Takie rozwiązanie wyraźnie mu nie leżało. W Anglii prawo własności stoi wyżej niż prawa człowieka. Chrząknął, zaambarasowany i spytał:

— Cóż więc pan proponuje?

— Wheeler i Slade nie żyją, tak? Dlaczego by nie ukatrupić i Reardena? Dopadliście go, zaczął uciekać, *pif-paf*, trup. To nie po winno być trudne. Ale trzeba zamknąć usta Brunskillowi, Forbesowi i Jervisowi. Też proste, bo można to zrobić powołując się na Akt o Dochowaniu Tajemnicy Państwowej. Albo możecie

ich nastraszyć. Nie sądzę, by któryś z nich chciał spędzić resztę swoich dni na Orkadach.

— I w ten sposób przywrócimy do życia pana Stannarda, tak?

— Otóż to.

— To się chyba da załatwić. A jak wytłumaczymy spektakularną śmierć pana Wheelera?

— Rakiety, rakiety, które wybuchaly nad portem. Jedna z nich zesła z kursu i uderzyła w jacht. Na pokładzie coś akurat naprawiali. Głowę daję, że musiały się tam znajdować otwarte kanistry. Może nawet rozlane paliwo? Myślę, że rząd maltański powinien zostać upomniany za brak odpowiedniej kontroli, panie Armitage.

— Zmyślne, całkiem zmyślne, panie Stannard — rzekł Armitage i wyjął notes. — Proponuję, by Marynarka Wojenna Jej Królewskiej Mości zaoferowała

nam pomoc w wydobyciu wraku. Niechaj zaproponują nam okręt i nurka. Skorzystamy, oczywiście, tylko z nurka. — Pstryknął srebrnym ołówkiem i coś tam sobie zapisał.

— Tak będzie chyba lepiej — odrzekłem, myśląc o moim taranie, który najpewniej nadal tkwił w boku *Artiny*. — Jakiż to smutny koniec dla tak popularnego członka Parlamentu. Aż żal duszę ścisła.

Wargi Armitage'a drgnęły i wykrzywiły się w stłumionym uśmiechu. Schował notes.

— Wygląda na to, że organizacja, dla której pan pracował, zanim Mackintosh wyciągnął pana z RPA, bardzo pana ceni, panie Stannard. Proszono mnie, bym pana poinformował, że ktoś imieniem Lucy niedługo się z panem skontaktuje. Skinąłem głową. Lucy. . . Mackintosh zacząłby szydzić.

— Premier naszego rządu prosił mnie o przekazanie najszczerzych podziękowań za pańskie uczestnictwo w tej operacji i za jej efektywne zakończenie.

Premier żałuje, że w tych okolicznościach słowo „Dziękuję” jest wszystkim, co może panu oferować.

— No cóż, medalami się człowiek nie naje — mruknąłem filozoficznie.

Siedziałem w hotelu Fenicja i czekałem na Alison. Wiadoma organizacja za-

łatwiła jej błyskawiczny przelot do Anglii, by mogła uczestniczyć w pogrzebie ojca. Ja również chciałbym oddać mu ostatni hołd, ale moja twarz figurowała

we wszystkich tamtejszych gazetach, a pod nią stało, że jestem Rearden. Dłatego rzeczą niemądrą byłoby się tam pokazywać do czasu, aż Rearden zatrze się

w krótkotrwałej pamięci czytelników i całego społeczeństwa. No i postanowiłem zapuścić brodę.

Czerpałem wiele przyjemności, ba!, uciechy z czytania *The Timesa*, którego przysyłali tu pocztą lotniczą. Nekrolog Wheelera był napisany w taki sposób, że dawał mu solidne szansę na błyskawiczną kanonizację. Czegóż w nim nie wyczytałem! Wychwalano jego oddanie społeczeństwu, wysławiano przenikliwość

finansową, wznoszono hymny na temat jego wszem i wobec znanej dobroci. Lider

opozycji powiedział, że śmierć Wheelera zadała druzgocący cios penolgii, której Wheeler, podobnie jak Mountbatten, był wielkim orędownikiem. W tym miejscu

omal się nie zakrztusiłem.

Premier, zabierając głos w Izbie Gmin, stwierdził, że śmierć Wheelera, jakże

cenionego kolegi, to ogromna strata dla brytyjskiej polityki. Izba wstała i milczała przez dwie minuty. Ha! Ten facet musiał przedtem wyprać sobie język mydłem!

Tylko szef działu finansowego *The Timesa* zwęszył coś podejrzane go. Ko-mentując gwałtowny spadek notowań akcji byłego imperium Wheelera, zastana-

210

wał się głośno, dlaczego licytatorzy przystępują do dzieła tak od razu, natychmiast, dlaczego nie poczekają, aż trup Wheelera nieco ostygnie. Ale poza tym, Wheeler szedł do piekła drogą usłaną różami.

Rearden wypadł najgorzej. Potępiono go jako niebezpiecznego szaleńca, a je-

go śmierć podczas wymiany ognia traktowano jako zbawienną nauzkę dla jemu

podobnych.

Brunskill dostał pochwałę za wytrwałość w tropieniu zbrodniarza i za hart du-

cha w obliczu niemal pewnej śmierci. *Nic w tym niezwyčajnego* — odparł skromnie. *Jestem*

policjantem i wypełniałem tylko swój obowi

azek.

Wszyscy wyrażali nadzieję, że Slade zostanie wkrótce schwytany.

Jego śmierć obłożono klauzulą najściślejszej tajemnicy i nie ulegało wątpliwo-

ści, że za dziesięć, dwadzieścia lat wielu autorów o skłonnościach sensacyjnych zbije tęgi szmal na książkach o Tajemnicy Slade'a.

Podniosłem wzrok i ujrzałem, jak do holu wchodzi Alison. Była blada i zmę-

czona, ale uśmiechnęła się na mój widok. Wstałem, a ona zatrzymała się przede mną, uważnie mi się przyglądając. Spojrzała na gips na prawej ręce, na nie goloną szczecinę i powiedziała:

— Wyglądasz okropnie.

— Ale czuję się nieźle. Lewą ręką też można co nieco zdziałać. Czego się napijesz?

— Campari. — Usiadła. Przywołałem kelnera. — Widzę, że już o tym czytałeś

— powiedziała.

Uśmiechnąłem się.

— Nie wierz we wszystko, co piszą w gazetach. Oparła się wygodniej.

— No i tak, Owen, to już koniec, skończyło się. . .

— Tak. Przykro mi z powodu Aleca.

— Przykro ci? — rzuciła bez emocji. — Omal przez niego nie zginąłeś.

Wzruszyłem ramionami.

— Źle ocenił szybkość reakcji Wheelera. I kierunek jego ataku. Poza tym, cała operacja była w porządku.

— I nawet to, że cię sprzedał? To też było w porządku?! — powiedziała z niedowierzaniem.

— Do ciężkiej cholery! Nie bawiliśmy się przecież w kotka i myszkę! Stawka

była zbyt wysoka. Mackintosh musiał przyskrzynić Wheelera i jeśli taka zagryw-ka była jedynym

sposobem, żeby tego dokonać, inny wybór nie istniał. Wheeler

namierzał się, żeby zadać cios w samo serce naszego państwa. Premier chciał mu zaproponować tekę ministra i Bóg jeden wie, co ten sukinsyn by wtedy zrobił i jak daleko by zaszedł.

— Jeśli wszyscy mężowie stanu są tacy jak Alec, niech Bóg ma Anglię w opiece — wyszeptała Alison.

211

— Nie bądź zgorzkniała. Alec nie żyje. To on zginął, nie ja. Zawsze o tym pamiętaj.

Nadszedł kelner z tacą, więc milczeliśmy, póki nas nie obsłużył.

— Co chcesz teraz robić? — spytała.

— Miałem odwiedziny. Był tu człowiek od Lucy. Oczywiście teraz na nic się im nie przydam. Poczekam, aż zagoi mi się ramię. Miesiąc, sześć tygodni, nie wiem dokładnie.

— Wracasz do RPA? Pokręciłem głową.

— Chyba wciągną mnie z powrotem na listę agentów czynnych. — Upiłem z kieliszka. — A ty?

— Nie miałam czasu, żeby o tym myśleć — odparła. — Oprócz pogrzebu miałam w Londynie mnóstwo innych rzeczy do załatwienia. Musiałam zadbać o sprawy osobiste Aleca. Dużo czasu strawiłam z jego prawnikiem.

Pochyliłem się ku niej.

— Alison — spytałem — czy wyjdiesz za mnie?

Ręka drgnęła jej tak mocno, że kilka kropel czerwonego campari wylało się na stół. Spojrzała na mnie tak jakoś dziwnie, tak, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

— Nie, Owen, Boże, nie. . .

— Kocham cię, Alison. Bardzo cię kocham.

— Ja ciebie chyba też. — Wargi jej drżały.

— No to w czym problem? — spytałem. — Pasujemy do siebie.

— Powiem ci, Owen. Jesteś drugim Alekiem. Za dwadzieścia lat, jeśli w ogóle przeżyjesz, będziesz siedział w jakiejś maleńkiej, obskurnej klitce i kierował ludźmi. Będziesz pociągał za sznurki, a oni będą skakać, jak im zagrasz. Jak Alec.

I będziesz to robił nie dlatego, że to lubisz, ale z poczucia obowiązku. I będziesz tego wszystkiego nienawidził, i znenawidzisz siebie samego. Jak Alec. Ale nie rzucisz tego, nie.

— Ktoś musi to robić — powiedziałem.

— Ale nie mężczyzna, za którego wyjdę za mąż. Kiedyś ci powie działałam, że jestem jak muchołówka. Wiesz, kim chcę być? Chcę być kurą domową, chcę mieszkać na zielonych krańcach jakiegoś małego miasteczka, ubierać się po wiejsku i hodować świnię. Tego chcę.

— Nie widzę przeszkód, żebyś nie mogła tak żyć — odparłem.

— I co? I zostawać w domu, podczas gdy ty będziesz się gdzieś zabijał? —

Pokręciła głową. — Nie, Owen, nic by z tego nie wyszło.

Ogarnęła mnie nagła złość.

— To dlaczego tu wróciłaś? — spytałem szorstko.

Była wyraźnie skonsternowana.

— Więc ty myślałaś, że. . . Boże, Owen, tak mi przykro.

212

— Nie pożegnałaś się ze mną. Armitage powiedział, że po pogrzebie wracasz na Maltę. Więc co, u licha, miałem myśleć?

— Zabrałam się do Anglii maszyną RAF-u — odpowiedziała cicho. — Wróciłam po swój samolot i chciałam się z tobą pożegnać.

— Aha. Chciałaś się ot, tak po prostu, pożegnać, tak?

— Nie — odparła zdecydowanie. — Nie. — W jej oczach pokazały się łzy. —

Owen, to wszystko nie tak.

Ująłem ją za rękę.

— Byłaś kiedy w Maroku?

Spojrzała na mnie znudzonymi oczyma, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

— Tak. Znam Maroko. Nawet nieźle.

— A ten twój samolot mógłby stąd dolecieć do Tangeru?

— No. . . mógłby — powiedziała niezdecydowanie. — Ale. . .

— Słuchaj, muszę odpocząć. I mam do wydania półtoraroczne pobory. Sam

nie dam rady tego puścić. Ty mi pomożesz. Jestem pewien, że będę miał w tobie znakomitego przewodnika. Nigdy nie byłem w Maroku. Przewodnik mi się bardzo

przyda.

— Znów mi schlebiasz — odparła, a w jej głosie zabrzmiały wesołe nutki. —

Maeve O’Sullivan ostrzegała mnie przed tobą.

Mnie też powiedziała, że nie jestem facetem dla Alison Smith. Może i miała rację, ale warto było spróbować.

— Bez nacisków, bez obietnic, zgoda? — spytała.

Uśmiechnąłem się tylko. Sześć tygodni sam na sam z Alison wystarczało za najgorętsze obietnice. Bo ileż mogło się w tym czasie zdarzyć!

KONIEC